17946
t. VII

Egz. 1

KOMEDYA LUDZKA

17946
B.P. im. Ł.

HONORYUSZ BALZAC.

KOMEDYA LUDZKA.

TOM VII.

JASZCZUR

(LA PEAU DE CHAGRIN).

ARCYDZIEŁO NIEZNANE.

PRZEKŁAD

Antoniego Sygietyńskiego.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.
Ulica Nowy-Świat, Nr. 39 (nowy).

1000084135

BIBLIOTEKA

NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW

LITERATURY EUROPEJSKIÉJ.

1824

Z Księgozbioru BOLESŁAWA PRUSA

LITERATURA FRANCUSKA.

WARSZAWA.

NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.

(Pod kierunkiem Redakcyi „Kłosów".)

1884.

Honoryusz Balzac.

KOMEDYA LUDZKA.

TOM VII.

JASZCZUR

(LA PEAU DE CHAGRIN).

ARCYDZIEŁO NIEZNANE.

PRZEKŁAD

Antoniego Sygietyńskiego.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.
Nowy-Świat Nr. 39.

1884.

166170

Дозволено цензурою.
Варшава, 23 Марта 1884 г.

II-323919
LUBLIN
323914 /7
840-3

JASZCZUR.

Panu Savary,
Członkowi Akademii Umiejętności.

Sterne (Tristram Shandy, rozdz. CCXXII).

Talizman.

Pod koniec października przeszłego roku młody człowiek wszedł do *Palais-Royal* w chwili, kiedy domy gry otwierały się zgodnie z prawem, które opiekuje się namiętnością, istotnie ulegającą opodatkowaniu. Nie wahając się długo, wstąpił na schody szulerni, znanéj pod nazwą numeru 36.

— Panie! pański kapelusz, jeżeli łaska! — odezwał się za nim głos suchy a grzmiący staruszka bladego, który, przykucnąwszy w cieniu, za kratką, podniósł się nagle, pokazując twarz odlaną według typu haniebnego.

Kiedy wchodzicie do domu gry, prawo zaczyna od tego, że was odziera z kapelusza. Miałażby to być allegorya ewangieliczna i opatrznościowa? A może żądanie jakiegoś zastawu jest raczéj sposobem zawierania z wami kontraktu piekielnego? Może też to dlatego, ażeby was zmusić do zachowywania się z uszanowaniem wobec tych, którzy wygrywać będą wasze pieniądze? A może jest-to policya, przyczajona we wszystkich ściekach społecznych, która chce znać nazwisko waszego kapelusznika, lub wasze, jeżeliście je zapisali na kapeluszu? Może wreszcie jest-to chęć brania miary z waszych czaszek, ażeby następnie sporządzić pouczającą statystykę objętości mózgowéj graczów? Na tym punkcie administracya zachowuje milczenie zupełne. Ale wiedzcież o tém, że zaledwie zrobiliście jeden krok w kierunku zielonego sukna, to tak dobrze kapelusz nie należy do was, jak wy nie należycie do siebie samych: jesteście w grze wy, wasze mienie, wasz kapelusz, wasza laska, wasz paltot. Przy wyjściu *GRA* pokaże strasznym epigramatem w akcyi, że zostawia coś jeszcze, skoro wam zwraca rzeczy. Jeżeli

przypadkiem macie kapelusz nowy, dowiecie się własnym kosztem, że trzeba sobie sprawić strój gracza.

Zdumienie, jakie młody człowiek okazał przy odbieraniu marki numerowanéj w zamian za kapelusz, którego brzegi były na szczęście wytarte, pokazywało dostatecznie duszę jeszcze niewinną; to też staruszek, który z pewnością od najmłodszych lat butwiał we wrzących przyjemnościach życia graczy, rzucił nań spojrzenie zamglone i bezogniste, z jakiém filozof przypatrywałby się nędzom szpitala, włóczęgostwu ludzi zrujnowanych, protokułom mnóstwa uduszeń, ciężkim robotom na całe życie, wypędzeniom do Guazacoalco. Ten człowiek, którego twarz długa i biała odżywianą była tylko zupami galaretowatemi d'Arcet'a, przedstawiał blady obraz namiętności, zredukowanéj do wyrazu najprostszego. W jego zmarszczkach widać było ślad dawnych tortur: musiał przegrywać nędzną pensyą w tym samym dniu, w którym ją otrzymywał. Podobny do szkap, na które bicie batem niéma już wpływu, nie umiał zadrżeć na nic; głuche jęki graczów, którzy wychodzili zrujnowani, ich nieme przekleństwa, ich spojrzenia ogłupiałe znajdowały w nim zawsze nieczułość. Była-to *GRA* wcielona. Gdyby młody człowiek był przyjrzał się uważnie temu Cerberowi smutnemu, może byłby sobie powiedział: „W tém sercu niéma nic więcéj nad talię kart!“ Lecz nieznajomy nie słuchał téj rady żyjącéj, którą bezwątpienia Opatrzność umieściła tam, tak samo jak niesmak u drzwi wszelkich złych miejsc. Wszedł więc śmiało do sali, gdzie dźwięk złota wywierał urok olśniewający na zmysły w pełni ich pożądania. Ten młody człowiek był tam może popchnięty przez najlogiczniejsze ze wszystkich wymownych zdań J. J. Rousseau'a, którego smutna myśl, jak sądzę, jest taka: *Pojmuję, że człowiek może iść do gry, ale wtenczas, kiedy pomiędzy sobą i śmiercią widzi już tylko ostatniego talara.*

Wieczorem domy gry mają poezyą pospolitą, któréj jednak efekt jest również pewny, jak efekt dramatu krwawego. Sale zapełnione są widzami i graczami, starcami zubożałemi, którzy tam przyłażą ogrzać się twarzami niespokojnemi, orgiami, rozpoczętemi w winie, a gotowemi zakończyć się w Sekwanie. Jeżeli namiętności nie brak, zbyt wielka liczba aktorów przeszkadza wam przypatrywać się twarz w twarz szatanowi gry. Taki wieczór jest prawdziwym ustępem zbiorowym, w którym cała trupa krzyczy, w którym każdy instrument orkiestry moduluje swój frazes. Zobaczycie tam ludzi poważnych, którzy przychodzą po rozrywkę, i płacą za nią, jakby płacili za przyjemność widowiska, smakoszostwa, lub jakby poszli na poddasze kupić sobie za niską cenę ubolewań piekących na trzy miesiące. Ale czy pojmujecie, ile-to szału i mocy musi być w duszy człowieka, który czeka z niecierpliwością na otwarcie domu gry?

Pomiędzy graczem porannym a graczem wieczornym istnieje ta sama różnica, jaka jest pomiędzy mężem zaniedbującym się a kochankiem napuszonym pod oknami pięknéj. Namiętność gorączkowa i potrzeba w swojéj jawnéj ohydzie zdarzają się tylko rano. W téj chwili możecie uwielbiać prawdziwego gracza — gracza, który nie jadł, nie spał, nie żył, nie myślał, tak tęgo zćwiczył go bat *parolu*, tyle nacierpiał się od świerzby *trente-et-quarante*. O téj godzinie spotkacie się z oczyma, których spokój przeraża, z twarzami, które na was urok rzucają, ze spojrzeniami, które podnoszą i pożerają karty. To téż domy gry są wzniosłe tylko przy otwarciu posiedzenia. Jeżeli Hiszpania ma walki byków, jeżeli Rzym miał gladyatorów, to Paryż może się pysznić swoim *Palais-Royal*, którego drażniące rulety dają przyjemność widzenia, jak krew płynie potokami, chociaż nogi parteru nie są narażone na poślizgnięcie się na niéj. Spróbujcie rzucić spojrzenie ulotne na tę arenę, wejdźcie... Co za nagość! Mury, pokryte papierem zatłuszczonym na wysokość człowieka, nie przedstawiają ani jednego obrazu, któryby mógł odświeżyć duszę. Nie znajdzie tam nawet ani jednego gwoździa dla ułatwienia samobójstwa. Posadzka zużyta, brudna. Stół podłużny zajmuje środek sali. Prostota krzeseł, skupionych wokoło sukna zużytego przez złoto, zdradza ciekawą obojętność na zbytek w ludziach, którzy przychodzą tam zginąć dla majątku i dla zbytku. Ta antyteza ludzka objawia się wszędzie, gdzie dusza oddziaływa potężnie na siebie samę. Kochanek chciałby ułożyć swą ulubienicę na jedwabiu, okryć ją miękką tkaniną wschodu, a najczęściéj posiada ją na tapczanie. Człowiek ambitny widzi się u szczytu władzy, płaszcząc się wciąż w błocie służalstwa. Kupiec wegietuje w głębi sklepu wilgotnego i niezdrowego, stawiając wielki pałac, z którego jego syn, spadkobierca przedwczesny, wypędzony będzie przez subhastującego brata. Wreszcie czy istnieje coś bardziéj nierozkosznego, jak dom rozkoszy? Szczególna zagadka! Zawsze w opozycyi z samym sobą, oszukując nadzieje przez bóle obecne, a bóle przez przyszłość, która do niego nie należy, człowiek na wszystkich swoich czynach wyciska charakter niekonsekwencyi i słabości. Tu na ziemi tylko nieszczęście jest zupełne.

W chwili, kiedy młody człowiek wchodził do salonu, już się tam znajdowało kilku graczy. Trzéj starcy z głowami łysemi siedzieli niedbale przy zielonem suknie; przez ich twarze z gipsu, niewzruszone, jak twarze dyplomatów, objawiały się dusze odrętwiałe, serca, które oddawna już zapomniały bić nawet przy ryzykowaniu wiana kobiety. Młody Włoch z czarnemi włosami, o cerze oliwkowéj, opierał się łokciem spokojnie o krawędź stołu i zdawał się wsłuchiwać w te przeczucia utajone, które fatalnie krzyczą do gra-

cza: „Tak! — Nie!“ Ta głowa południowa oddychała złotem i ogniem. Siedmiu, czy ośmiu widzów, uszykowanych w rząd, formujący galeryą, stojąc, czekało na sceny, jakie dla nich przygotowywały wypadki losu, twarze aktorów, ruch pieniędzy i grabek. Ci próżniacy byli milczący, nieruchomi, uważni, jak lud na placu *Grève*, kiedy kat ścina głowę. Wysoki, suchy mężczyzna, w ubraniu wytartém, w jednéj ręce trzymał rejestr, a w drugiéj szpilkę do znaczenia stawek, Czerwonéj i Czarnéj. Był-to jeden z tych Tantalów nowoczesnych, którzy żyją na marginesie wszystkich rozkoszy swojego wieku, jeden z tych skąpców bez skarbu, którzy grają w stawkę urojoną, rodzaj waryata rozsądnego, który po swoich nieszczęściach pocieszał się pieszczeniem chimery i który nareszcie wobec występku i niebezpieczeństwa zachowywał się jak młodzi księża wobec eucharystyi przy odprawianiu cichéj mszy. Naprzeciwko banku jeden, czy dwu z tych spekulantów zręcznych, biegłych w szansach gry i podobnych do starych złoczyńców, którzy nie boją się już galer, przyszło spróbować trzech stawek i otrzymać natychmiast ów zarobek prawdopodobny, jaki stanowił ich utrzymanie. Dwu starych lokai przechadzało się niedbale po sali z rękoma na krzyż i od czasu do czasu spoglądało na ogród przez okna, jak gdyby dla pokazania przechodniom swych twarzy płaskich, zamiast szyldu. *Tasujący karty* i *bankier* już rzucili na *poniterów* to spojrzenie blade, które ich zabija, i zawołali głosem ochrypłym:

— Przygotować stawkę!

Kiedy młody człowiek otworzył drzwi, milczenie stało się niejako głębszém jeszcze i głowy zwróciły się ku nowoprzybyłemu przez ciekawość. Rzecz niesłychana! Starcy zgrzybiali, oficyaliści sztywni zawsze, jak kamień, wszyscy widzowie aż do Włocha fanatycznego, spostrzegłszy nieznajomego, doznali jakiegoś uczucia strasznego. Czyż nie trzeba być bardzo nieszczęśliwym, ażeby zasłużyć na litość, bardzo słabym, aby wzbudzić sympatyą, lub mieć złowrogą powierzchowność, aby przejąć dreszczem dusze w téj sali, gdzie boleść musi być niemą, gdzie nędza jest wesołą, a rozpacz przyzwoitą? Tak! wszystko-to znalazło się we wrażeniu nowém, jakie poruszyło temi sercami zlodowaciałemi, kiedy młody człowiek wszedł. Ale czyż kaci nie płakali nad dziewicami, których jasne głowy miały być ścięte na rozkaz rewolucyi?

Od pierwszego rzutu oka gracze na twarzy nowicyusza doczytali się jakiéjś strasznéj tajemnicy; jego młode rysy nacechowane były wdziękiem posągowym, spojrzenie świadczyło o usiłowaniach zawiedzionych, o tysiącu nadziei oszukanych. Ponura niewzruszoność samobójstwa dodawała temu czołu bladości matowéj i chorobliwéj, uśmiech gorzki rysował się lekkiemi fałdami w kątach ust,

a twarz wyrażała stanowczość, na którą aż przykro było patrzeć. Jakiś gieniusz utajony migotał w głębi oczu zamglonych — może znojami przyjemności. A może też to rozpusta położyła brudne znamię na téj szlachetnéj twarzy, niegdyś czystéj i palącéj, a dziś znikczemniałéj? Lekarze z pewnością przypisaliby uszkodzeniom serca lub piersi tę żółtą obwódkę, w którą były oprawione jego powieki, i te czerwone plamy, jakie się uwydatniały na policzkach, a poeci chcieliby widzieć w tych znakach spustoszenia nauki i ślady nocy przepędzonych przy świetle lampy pracownika. Lecz namiętność, bardziéj śmiertelna, niż choroba, choroba bardziéj nieubłagana, niż nauka i gieniusz, przekształciły tę młodą głowę, ściągnęły te mięśnie ruchliwe, ścisnęły to serce, które orgia, nauka i choroba zlekka tylko dotknęły. Kiedy sławny zbrodniarz przybywa na galery, skazani przyjmują go z uszanowaniem; tak samo ci szatani ludzcy, wytrawni na męczarnie, pozdrowili boleść niesłychaną, ranę głęboką, któréj dna spojrzenie ich dosięgło, i poznali jednego ze swoich władców po powadze jego niemêj ironii, po wytwornéj nędzy jego ubrania. Młody człowiek miał wprawdzie frak w dobrym guście, ale połączenie kamizelki i krawata zanadto mądrze było urządzone, ażeby można go było posądzić o koszulę. Ręce śliczne, jak ręce kobiety, odznaczały się wątpliwą czystością; wszakże od dwóch dni nie nosił już rękawiczek! Jeżeli tasujący i lokaje zadrżeli, to tylko dlatego, że powaby niewinności kwitły widocznie w tych włosach rzadkich i jasnych, naturalnie fryzujących się. Jego twarz miała dwadzieścia pięć lat, a zepsucie było na niéj tylko przypadkowém. Jędrne życie młodzieńcze walczyło tam jeszcze ze spustoszeniami bezwładnéj lubieżności. Ciemność i światło, nicość i byt potykały się, wytwarzając razem i wdzięk i odrazę. Młody człowiek przedstawiał się tam jak anioł bez promieni, zabłąkany w drodze. To też wszyscy ci profesorowie-emeryci zepsucia i hańby, podobni do starêj kobiety bezzębnéj, zdjętéj litością na widok ładnéj dziewczyny, która się oddaje występkowi, byli gotowi zawołać do nowicyusza: „Wyjdź!“ Ten szedł prosto do stołu, stanął przy nim, upuścił na sukno bez namysłu sztukę złota, którą miał w ręku, a która potoczyła się na Czarną, i potém, jak dusze silne, brzydzące się niepewnościami zagmatwanemi, rzucił na tasującego spojrzenie zarazem burzliwe i spokojne. Wysokość téj gry była tak wielka, że starcy wstrzymali się od postawienia; lecz Włoch z fanatyzmem namiętności chwycił się myśli, jaka się do niego uśmiechnęła, i zaponiterował swoję masę złota przeciwko stawce nieznajomego. Bankier zapomniał wypowiedzieć frazesów, które ostatecznie przemieniły się w krzyk ochrypły i niezrozumiały: „Stasować karty! — Karty stasowane! — Nikt nie stawia więcéj?“ Zdawało

się, że tasujący, jako obojętny na stratę lub zysk osiągnięty przez przedsiębiorców tych przyjemności ponurych, ciągnął karty, życząc szczęścia ostatniemu przybyszowi. Każdy z widzów chciał patrzyć na dramat i ostatnią scenę życia szlachetnego w losie téj sztuki złota; ich oczy, utkwione na tekturach ogłaszających wyroki, błyszczały; ale pomimo uwagi, z jaką spoglądali kolejno na młodego człowieka i na karty, nie mogli dojrzeć żadnéj oznaki wzruszenia na jego twarzy zimnéj i zrezygnowanéj.

— Czerwona, cetno, stawka! — powiedział urzędowym głosem tasujący.

Rodzaj chrapnięcia głuchego wydostał się z piersi Włocha, kiedy zobaczył, jak upadały, jeden po drugim, złożone papierki, które mu bankier rzucał. Co zaś do młodego człowieka, to zrozumiał on swoję ruinę dopiéro w chwili, kiedy grabki wyciągnęły się po jego ostatniego napoleona. Sztuka złota szczęknęła sucho przy zetknięciu się z kością słoniową i szybko, jak strzała, poszła połączyć się ze stosem złota, rozłożonego przed kasą. Nieznajomy zamknął lekko oczy, wargi mu zbladły, ale kiedy podniósł wkrótce powieki, usta jego już powlokły się napowrót czerwonością koralową; potém przybrał minę Anglika, dla którego życie nie ma tajemnic, i znikł, nie żebrząc nawet pociechy jedném z tych spojrzeń rozdzierających, jakie gracze w rozpaczy rzucają dosyć często na galeryą. Ileż-to wypadków stoczy się w przeciągu jednéj sekundy, ileż-to rzeczy w jedném rzuceniu kości!

— Z pewnością to jego ostatni nabój — odezwał się z uśmiechem krupier po chwili milczenia, w czasie którego trzymał sztukę złota pomiędzy wielkim palcem a wskazującym dla pokazania jéj obecnym.

— To mózg zapalony, który rzuci się do wody — odpowiedział jeden z domowych, spoglądając wokoło siebie po graczach, którzy znali się wszyscy.

— Ba! — zawołał lokaj, zażywając tabaki.

— Gdybyśmy byli poszli za przykładem tego pana? — rzekł jeden ze starców do swoich kolegów, pokazując na Włocha.

Wszyscy patrzyli na szczęśliwego gracza, którego ręce drżały przy liczeniu biletów bankowych.

— Słyszałem — mówił on — głos, który mi krzyczał w ucho: „Gra zemści się na rozpaczy tego młodego człowieka“.

— Nie jest-to gracz — dodał bankier — inaczéj byłby podzielił pieniądze na trzy grupy dla zapewnienia sobie więcéj szans.

Młody człowiek przechodził, nie żądając kapelusza, lecz stary molos, zauważywszy zły stan tego łachmana, oddał mu go, nie rzekłszy słowa; gracz zwrócił markę machinalnie i zszedł po schodach,

gwiżdżąc *Di tanti palpiti* tchem tak słabym, że zaledwie sam słyszał rozkoszne nuty.

Wkrótce znalazł się pod galeryą *Palais-Royal*, puścił się aż do ulicy *Saint-Honoré*, zwrócił się w stronę *Tuileries* i przeszedł ogród krokiem niepewnym. Szedł jak gdyby wśród pustyni, potrącany przez ludzi, których nie widział, słysząc poprzez wrzawę uliczną jeden tylko głos — głos śmierci; był pogrążony w medytacyi odrętwiałéj, podobnéj do téj, jaka niegdyś ogarniała zbrodniarzy prowadzonych na wozie z Pałacu Sprawiedliwości na plac *la Grève* ku temu szafotowi, czerwonemu od krwi, przelewanéj od czasu 1793 roku.

W samobójstwie jest coś wielkiego i przerażającego. Upadki mnóstwa ludzi nie przedstawiają żadnego niebezpieczeństwa, tak samo jak upadki dzieci, które nie kaleczą się, gdyż upadają zniska; ale kiedy wielki człowiek się łamie, musiał on chyba przyjść z bardzo wysoka, wznieść się aż pod niebo, zajrzéć do jakiegoś raju nieprzystępnego. Nieubłagane muszą być uragany, które go zmuszają do żądania pokoju duszy od lufy pistoletu. Ileż-to młodych talentów, zamkniętych na poddaszu, więdnie i ginie przez brak przyjaciela, przez brak kobiety-pocieszycielki, na łonie miliona istot, wobec tłumu znużonego złotem, który się nudzi! Na tę myśl samobójstwo przybiera rozmiary olbrzymie. Pomiędzy śmiercią własnowolną a bujną nadzieją, któréj głos wzywał młodego człowieka do Paryża, Bóg jeden tylko wie, ile rozbiło się pomysłów, poezyj porzuconych, rozpaczy i krzyków stłumionych, zamiarów bezużytecznych i arcydzieł poronionych. Każde samobójstwo jest poematem wzniosłym melancholii. Gdzie znajdziecie w oceanie literatur książkę, pływającą po wierzchu, któraby mogła walczyć o gieniusz z tą wiadomostką:

„Wczoraj o czwartéj godzinie młoda kobieta rzuciła się do Sekwany z wysokości mostu des Arts“.

Wobec tego lakonizmu paryskiego, dramaty, powieści, wszystko blednie, nawet ten stary tytuł: „Lamentacye sławnego króla Kaërnavanu, wtrąconego do więzienia przez własne dzieci“, ostatni urywek książki zagubionéj, nad którego czytaniem płakał Sterne, chociaż sam porzucił żonę i dzieci.

Nieznajomy był zaskoczony przez tysiąc podobnych myśli, przesuwających się w szmatach przez jego duszę, jak te chorągwie poszarpane, które powiewają wśród bitwy. Jeżeli na chwilę pozbywał się ciężaru pojmowania rzeczy i wspomnień, ażeby się zatrzymać przed jakiemiś kwiatami, których główki lekko kołysały się na

323919
LUBLIN

wietrzu wśród ogromu zieleni, to wkrótce, porwany konwulsyami życia, które wierzgało jeszcze pod przygniatającą myślą samobójstwa, wznosił oczy do nieba: tam szare obłoki, kłęby wiatru, naładowane smutkiem, i powietrze ciężkie jeszcze radziły mu umrzeć. Skierował się w stronę mostu *Royal*, myśląc o ostatnich fantazyach swoich poprzedników. Uśmiechał się, przypominając sobie, że lord Castlereagh zaspokoił najnędzniejszą z naszych potrzeb pierwéj, zanim sobie poderżnął gardło, i że akademik Auger poszedł po tabakierkę, ażeby zażyć tabaki, idąc na śmierć. Rozbierał te dziwactwa i badał samego siebie, kiedy nagle przysunąwszy się do balustrady mostu dla zrobienia miejsca przechodzącemu tragarzowi mąki, który mu lekko ubielił rękaw fraka, spostrzegł się, że starannie kurz z niego strzepuje.

Doszedłszy do punktu kulminacyjnego sklepienia, przypatrywał się wodzie z wyrazem złowrogim.

— Brzydki czas na utopienie się — powiedziała doń, śmiejąc się, stara kobieta, odziana w łachmany. — Jaka brudna i zimna ta Sekwana!

Odpowiedział uśmiechem, pełnym naiwności, który świadczył o szale jego odwagi, lecz zadrżał nagle, widząc zdaleka na moście Tuileries szopę z tablicą na wierzchu, na któréj znajduje się napis z liter wysokich na stopę: *RATUNEK DLA TOPIELCÓW*. Zjawił się przed nim pan Dacheux, uzbrojony w filantropią, rozbudzający i poruszający temi wiosłami cnotliwemi, które rozbijają głowy topielcom, kiedy nieszczęściem wypływają nad wodę; widział go, jak pobudzał ciekawych, biegł po lekarza, przygotowywał nakadzania; czytał ubolewania dziennikarzy, napisane pomiędzy rozkoszami uczty a uśmiechami tancerki; słyszał, jak brzęczą talary, wyliczone przez prefekta Sekwany przewoźnikom za jego głowę. Jako umarły, wart był pięćdziesiąt franków, jako żywy zaś, był tylko człowiekiem utalentowanym bez protektorów, bez przyjaciół, bez siennika, bez bębna, — prawdziwe zero towarzyskie, nieużyteczne dla państwa, które się o nie bynajmniéj nie troszczyło. I ponieważ śmierć w biały dzień wydała mu się czémś haniebném, postanowił umrzéć w nocy i tym sposobem przekazać trupa nieodgadnionego społeczeństwu, które nie poznało się na wielkości jego życia. Poszedł więc daléj swoją drogą i skierował się w stronę *quai Voltaire* leniwym krokiem próżniaka, który czas chce zabić. Kiedy schodził ze stopni, stanowiących zakończenie trotuaru na moście, uwaga jego zaciekawioną została przez szpargały, rozłożone na parapecie; o mało co nie zatargował kilku z nich. Zaczął się uśmiechać, włożył filozoficznie ręce w kieszonki od kamizelki i już miał przybrać napowrót postawę zaniedbaną, z któréj przebijała się zimna pogarda, kiedy usłyszał

ze zdziwieniem, jak kilka sztuk w sposób istotnie fantastyczny zabrzęczało mu w kieszeni. Uśmiech nadziei zajaśniał na jego twarzy, podemknął się z warg na rysy, na czoło, zamigotał blaskiem radości w oczach i na policzkach ponurych. Ta iskra szczęścia była podobną do owych ogni, które przemykają się pomiędzy resztkami papieru już spalonego przez płomień, ale twarz doznała losu popiołów — stała się napowrót smutną, kiedy nieznajomy, żywo wyciągnąwszy rękę z kieszonki, zobaczył trzy wielkie miedziaki.

— Ach! łaskawy panie, *la carita! la carita! Catarina!* Jednego solda na chleb!

Młody kominiarz, który miał twarz nabrzękniętą, czarną, ciało brunatne od sadzy, a odzienie podarte w szmaty, wyciągnął rękę do tego człowieka, chcąc mu wyrwać ostatnie soldy.

O dwa kroki od małego Sabaudczyka stary biedak zawstydzony, schorowany, cierpiący, niecnie odziany w łachmany podziurawione, odezwał się do niego grubym, stłumionym głosem:

— Panie! daj, *co sam zechcesz!* Będę Boga prosił za ciebie...

Ale kiedy młody człowiek popatrzył na starca, ten ostatni zamilkł i nie żądał już nic więcéj, poznając może na téj twarzy grobowéj liberyą nędzy, przykrzejszéj jeszcze niż jego.

— *La carita! la carita!*

Nieznajomy rzucił pieniądze dziecku i staremu biédakowi, zszedł z trotuaru i puścił się ku domom, nie mogąc dłużéj znieść bolesnego widoku Sekwany.

— Będziemy prosili Boga o zachowanie pańskich dni — zawołali obaj żebracy.

Dochodząc do wystawy handlarza rycin, ten człowiek prawie nieżywy spotkał się z młodą kobietą, która wysiadała ze świetnego powozu. Przypatrywał się z rozkoszą prześlicznéj osobie, któréj biała twarz była harmonijnie oprawioną w atłas zgrabniutkiego kapelusza. Jéj kibić wiotka i ładne ruchy zachwyciły go. Suknia, lekko podniesiona przez stopień powozu, pozwoliła dojrzéć nogę, któréj kontury wytwornie się rysowały pod pończochą białą i dobrze obciągniętą. Młoda kobieta weszła do sklepu, targowała albumy, zbiory litografij; kupiła coś za kilka sztuk złota, które błyszczały i dźwięczały na kantorku. Młody człowiek, pozornie zajęty na progu drzwi oglądaniem rycin, wystawionych za szybą, zamienił żywe z piękną nieznajomą spojrzenie, najbardziéj przenikające, jakie tylko mężczyzna może rzucić na jedno z tych błyśnięć oka obojętnych, przypadkowo tylko zwróconych na przechodniów. Było-to z jego strony pożegnanie miłości, kobiety; lecz to ostatnie i potężne zapytanie nie zostało zrozumianém, nie poruszyło serca kobiety płochéj, która się nie zaczerwieniła, nie spuściła oczu. Bo i cóż-to było dla

niéj? Jedno uwielbienie więcéj, jedno pragnienie wzbudzone, które wieczorem wywołałoby na jéj usta te słodkie słowa:

— Wyglądałam dziś *dobrze!*

Młody człowiek przeszedł szybko do innéj wystawy i nie obejrzał się wcale, kiedy nieznajoma wsiadała do powozu. Konie popędziły i ten ostatni obraz zbytku i wytworności znikł, jak miało zniknąć jego życie. Krokiem melancholicznym szedł wzdłuż sklepów, przypatrując się bez wielkiego interesu próbkom towarów. Kiedy zabrakło mu wystaw, studyował Louvre, Instytut, wieże kościoła Notre-Dame, Pałacu Sprawiedliwości i most *des Arts*. Pomniki te przybierały niejako wyraz smutny, odbijając szare tony nieba, którego jasności gdzieniegdzie nadawały pozór groźny Paryżowi, podobnemu w tym względzie do ładnéj kobiety, poddającéj się kaprysom niepojętym brzydoty i piękności. Tym sposobem natura nawet przyczyniała się do pogrążenia umierającego w zachwyt bolesny. Porwany przez potęgę niezdrową, któréj działanie rozpuszczające znajduje przewodnik w płynie, krążącym w naszych nerwach, czuł, jak jego organizm zbliżał się nieznacznie do zjawisk płynności. Zaburzenia agonii wywoływały w nim ruch, podobny do ruchu fal, i pokazywały mu gmachy i ludzi poprzez mgłę, w któréj wszystko falowało. Chciał oderwać się od tych drgań, jakie oddziaływanie natury fizycznéj wywoływało w jego duszy, i skierował się ku sklepowi ze starożytnościami, w zamiarze dania strawy zmysłom lub doczekania się nocy, targując przedmioty sztuki. Było-to — że tak powiem — kwestowanie odwagi i szukanie kordyału, jak u zbrodniarzy, którzy idąc na szafot, nie dowierzają swoim siłom; lecz przekonanie o bliskiéj śmierci dało na chwilę młodemu człowiekowi pewność księżnéj, która ma dwu kochanków, i dlatego-to wszedł do kupca osobliwości z miną swobodną, pozwalającą dopatrzéć się na jego ustach uśmiechu stałego, jak uśmiech pijaka. Czyż nie był pijany życiem lub może śmiercią? Zawroty głowy jednak powróciły wkrótce i zaczął nanowo widzieć rzeczy w kolorach dziwnych, lub ożywionych lekkim ruchem, którego źródło znajdowało się niewątpliwie w nieregularném krążeniu krwi, już-to kipiącéj jak kaskada, już-to spokojnéj i ckliwéj, jak ciepła woda. Poprosił poprostu o pozwolenie przejrzenia składów, chcąc się przekonać, czy nie zawierały jakich osobliwości w jego guście. Młody chłopiec o twarzy świeżéj i pulchnéj, z włosami rudemi, ubrany w czapkę wydrzaną, zdał pilnowanie sklepu staréj wieśniaczce, rodzajowi *Calibana*-samicy, zajętéj myciem pieca, którego cuda należały do gieniuszu Bernarda Palissy; potém wyrzekł do obcego z miną obojętną:

— Niech pan ogląda, niech pan ogląda!.. Na dole mamy tylko rzeczy dosyć zwyczajne, ale jeżeli pan zechce pofatygować się na

pierwsze piętro, to pokażę panu bardzo piękne mumie z Kairu, kilka garnków inkrustowanych, kilka hebanów rzeźbionych, *prawdziwe Odrodzenie* niedawno otrzymane, a wszystko zupełnie piękne".

W położeniu okropném, w jakiém znajdował się nieznajomy, to szczebiotanie cycerona, te frazesy głupio kupieckie, były dla niego jak te przekomarzania się nędzne, któremi umysły ciasne zabijają człowieka gieniuszu. Znosząc mękę aż do końca, zdawało się, że słucha przewodnika, gdyż odpowiadał mu giestami lub monosylabami; lecz nieznacznie udało mu się wywalczyć dla siebie prawo milczenia i oddania się bez obawy ostatnim medytacyom, które były straszne. Był poetą, a dusza jego przypadkiem natrafiała na olbrzymią strawę; miał widzieć przed czasem kości dwudziestu światów.

Na pierwszy rzut oka, składy przedstawiały dla niego obraz bezładny, w którym mieszały się wszystkie dzieła ludzkie i boskie. Zdawało się, że krokodyle, małpy, węże wypchane słomą, uśmiechały się do szyb z kościoła, że chcą gryźć popiersia, gonić za lakami, lub wspinać się na świeczniki. Wazon sewrski, na którym pani Jacotot wymalowała Napoleona, znajdował się obok sfinksa poświęconego Sezostrysowi. Początek świata i wypadki wczorajszego dnia żeniły sie z sobą ze śmieszną dobrodusznością. Rożen leżał na monstrancyi, szabla republikańska na toporze średniowiecznym. Zdawało się, że pani Dubarry, malowana pastelami przez Latour'a, z gwiazdą na głowie, naga i w obłoku, przypatruje się pożądliwie cybuchowi indyjskiemu, chcąc jednocześnie odgadnąć pożyteczność linij spiralnych, które wężowym ruchem wspinały się do niéj. Narzędzia śmierci, sztylety, pistolety ciekawe, bronie ze sprężynami ukrytemi, były porozrzucane, jak groch z kapustą, obok narzędzi życia: waz porcelanowych, talerzy saskich, filiżanek przezroczystych przywiezionych z Chin, solniczek starożytnych, kubków feudalnych. Okręt z kości słoniowéj płynął rozpiętemi żaglami na grzbiecie żółwia nieruchomego. Maszyna pneumatyczna wybijała oko cesarzowi Augustowi, majestatycznie niewzruszonemu. Kilka portretów rajców francuskich i burmistrzów holenderskich, nieczułych jak za życia, unosiło się ponad tym chaosem starożytności, rzucając nań spojrzenie blade i zimne. Zdawało się, że wszystkie kraje ziemi przyniosły tam po kilka szczątków swojéj nauki, próbkę swoich sztuk. Był to rodzaj śmietnika filozoficznego, któremu nie brakowało ani trzcinki dzikich, ani pantofla zielonego i złocistego z seraju, ani jataganu maurytańskiegó, ani bożyszcza tatarskiego. Znajdowało się tam wszystko aż do kapciucha żołnierskiego, aż do cyboryum kapłana, aż do piór jakiegoś tronu. A te północne obrazy podlegały jeszcze tysiącznym przypadkowościom światła w skutek

dziwactwa mnóstwa refleksów, zależnych od mieszaniny odcieni i nagłego przeciwstawiania jasności i ciemności. Zdawało się uszom, że słyszą krzyki przerwane, umysłowi, że chwyta dramaty niedokończone, oku, że widzi światła źle zduszone. Uporny kurz wreszcie rzucał lekki całun na wszystkie te przedmioty, których kanty wielorakie i krzywizny liczne wytwarzały jak można najbardziéj malownicze efekty.

Nieznajomy przyrównał najprzód te trzy sale, naładowane cywilizacyą, religią, boskością, arcydziełami, władzą królewską, rozpustą, rozumem i szaleństwem, do zwierciadła, pełnego rżniętych tafelek, z których każda przedstawiała jakiś jeden świat. Po tém wrażeniu mglistém chciał przebrać w rozkoszach, lecz w skutek patrzenia, myślenia i marzenia upadł pod wpływem gorączki, jaką prawdopodobnie był winien głodowi, ryczącemu w jego wnętrznościach. Widok tylu bytów narodowych i indywidualnych, poświadczonych przez fakty ludzkie, które je przeżyły, wprowadził ostatecznie zmysły młodego człowieka w stan odrętwiałości; pragnienie, które go popchnęło do sklepu, zostało spełnione: wyszedł z życia rzeczywistego, wzniósł się stopniowo ku światowi idealnemu, dostał się do pałaców zaczarowanych Ekstazy, gdzie świat okazał mu się w okruchach i rysach ognistych, jak niegdyś przyszłość płomieniejąca w oczach świętego Jana na wyspie Patmos.

Tłum figur zbolałych, zgrabnych i strasznych, ciemnych i jasnych, odległych i bliskich, podniósł się w masach, w miryadach, w pokoleniach. Egipt sztywny, tajemniczy, powstał ze swoich piasków, przedstawiony przez mumią, ujętą w opaski czarne; potém byli tam Faraonowie, grzebiący ludy dla zbudowania sobie grobu, i Mojżesz i Hebrajczycy i pustynia; widział, jak przez mgłę, cały świat starożytny i uroczysty. Posąg z marmuru, świeży i rozkoszny, ustawiony na kolumnie kręconéj i promieniejącéj białością, mówił mu o mitach lubieżnych Grecyi i Jonii. Ach! któżby się nie uśmiechnął, jak on, widząc na tle czerwoném młodą dziewczynę brunetkę, tańczącą w delikatnéj glinie wazy etruskiéj przed bogiem Pryapem, którego witała uśmiechem wesołym? Naprzeciwko królowa latyńska pieściła swą chimerę z miłością! Kaprysy Rzymu cesarskiego oddychały tam w całości i pozwalały widzieć kąpiel, łoże, tualetę Julii ociężałéj, zamyślonéj, czekającéj na swego Tybula. Głowa Cycerona, uzbrojona w potęgę talizmanów arabskich, wywoływała wspomnienia Rzymu wolnego i rozwijała przed nim kartki Tytusa Liwiusza. Młody człowiek rozmyślał nad *Senatus Populusque romanus;* konsul, liktorowie, togi wyszywane purpurą, walki na forum, lud rozjątrzony — wszystko to defilowało przed nim, jak mgliste figury snu. Nakoniec Rzym chrześcijański panował nad temi obra-

zami. Otworzywszy oczy na malarstwo, widział Maryą Dziewicę, pogrążoną w obłoku złotym, na łonie aniołów, zaćmiewającą sławę słońca, słuchającą skarg ludzi nieszczęśliwych, do których ta Ewa odrodzona uśmiechała się z wyrazem słodkim. Dotykając się mozaiki, zrobionéj z przeróżnych kawałków lawy Wezuwiusza i Etny, dusza jego przerzuciła się do gorących i jasnych Włoch: przypatrywał się orgiom Borgi'ów, przebiegał Abruzzy, wzdychał do miłostek włoskich, roznamiętniał się do twarzy białych z podłużnemi, czarnemi oczyma. Drżał na myśl końca sprw nocnych, przerwanych zimną szpadą męża, spostrzegając sztylet średniowieczny z rękojeścią, wypracowaną jak koronka, którego rdza podobną była do plamek krwi. Indye ze swemi religiami odradzały się w bożyszczu, ubraném w kapelusz kończasty, o kątach rozwartych, ozdobioném dzwoneczkami, odzianém w złoto i jedwab'. Niedaleko od chińczyka z porcelany mata, śliczna jak bajaderka, która się w nią owijała, wydawała z siebie jeszcze woń drzewa sandałowego. Potwór chiński z oczyma powykręcanemi, ustami powykrzywianemi, członkami powyłamywanemi, cucił duszę pomysłami narodu, który, zmęczony pięknem, zawsze jednostajném, znajduje przyjemność niewymowną w płodzeniu brzydoty. Solniczka, pochodząca z pracowni Benvenuta Celliniego, przenosiła go na łono Odrodzenia, w czasy, kiedy sztuki i swawola kwitły, kiedy władcy zabawiali się karaniem na śmierć, kiedy sobory, leżące w objęciach kurtyzanek, nakazywały czystość prostym księżom. Widział zdobycze Aleksandra na kamei, rzeź Pizarra w rusznicy z lontem, wojny religijne rozczochrane, wrzące, okrutne, na dnie kasku. Potém śmiejące się obrazy rycerskości wydostawały się ze zbroi medyolańskiéj, świetnie damascenizowanéj, dobrze wyczyszczonéj, zpod szyszaka któréj błyszczały jeszcze oczy paladyna.

Ten ocean mebli, wynalazków, mody, dzieł, ruin tworzył dla niego poemat bez końca. Kształty, barwy, myśli, wszystko powracało tam do życia, lecz dla duszy nie nastręczało się nic zupełnego. Poeta musiał kończyć szkice wielkiego malarza, który przygotował tę paletę olbrzymią, gdzie niezliczone wypadki życia ludzkiego były porzucone aż do zbytku, z pogardą. Ogarnąwszy świat, przyjrzawszy się krajom, wiekom, rządom, młody człowiek zwrócił się do bytów indywidualnych. Uosobił się nanowo, skupił szczegóły, odrzucając życie narodów jako zbyt przygniatające jednego człowieka.

Tam spało dziecko z wosku, ocalone z gabinetu Ruysch'a, i to czarujące stworzenie przywiodło mu na pamięć zabawy jego wieku młodocianego. Na widok uroczy chustki panieńskiéj jakiéjś młodéj dziewczyny z Taiti, rozpalona wyobraźnia malowała przed nim życie proste natury, czystą nagość wstydliwości prawdziwéj, rozkosze

lenistwa, tak właściwego człowiekowi, całe przeznaczenie spokojne nad brzegiem strumyka świeżego i dumającego, pod cieniem bananu, który szafował manną smaczną, bez żadnéj uprawy. Lecz nagle stawał się korsarzem i odziewał się w straszną poezyą, zapożyczoną z roli Lary, silnie podniecony kolorami perlistemi tysiąca muszli, uniesiony widokiem kilku tołpi, które czuć było morszczyzną, algami i uraganami atlantyckiemi. Uwielbiając daléj miniatury delikatne, arabeski lazurowe i złote, które zdobiły jakiś drogocenny mszał w rękopiśmie, zapomniał o wrzawach morza. Miękko kołysany myślą o spokoju, nanowo poślubił studya i naukę, pragnąc tłustego życia mnichów, życia wolnego od smutków, wolnego od przyjemności, i kładł się spać w głębi celki, przypatrując się przez okno ostrołukowe łąkom, lasom, winnicom swojego klasztoru. Przed kilku Teniersami przywdziewał na siebie płaszcz żołnierza lub nędzę robotnika; chciał nosić szlafmycę brudną i okopconą Flamandów, upijał się piwem, grał z niemi w karty i uśmiechał się do grubéj wieśniaczki o ujmującéj tuszy. Drżał z zimna na widok śniegu Mierisa, lub bił się, patrząc na potyczkę Salwatora Rozy. Pieścił się tomahawkiem (*) z Illinois i czuł skalpel Czerokeza, który mu zdejmował skórę z czaszki. Oczarowany widokiem lutni, powierzał ją w ręce jakiéjś udzielnéj pani, rozkoszując się romansem melodyjnym i oświadczając jéj miłość wieczorem, przy kominku gotyckim, w półcieniu, w którym się gubiło spojrzenie przyzwalające. Czepiał się wszystkich rozkoszy, chwytał wszelkie boleści, ogarniał wszystkie formuły istnienia, rozrzucając życie i uczucia na widma téj natury plastycznéj i pustéj tak obficie, że odgłos jego kroków odzywał się w duszy, niby dźwięk odległy z innego świata, jak wrzawa Paryża, która dochodzi na wieże kościoła Notre-Dame.

Wstępując na schody wewnętrzne, które prowadziły do sal, położonych na pierwszém piętrze, widział puklerze wotywowe, zbroje ze stali, cyborya rzeźbione, figury z drzewa, zawieszone na murach, poustawiane na każdym stopniu. Ścigany przez formy najdziwniejsze, przez utwory cudowne, siedzące na krańcach śmierci i życia, szedł po czarach snu. Ostatecznie, wątpiąc o swojém istnieniu, był jako te przedmioty ciekawe, ani zupełnie umarły, ani téż zupełnie żywy. Kiedy wchodził do nowych składów, dzień zaczynał blednąć; lecz zdawało się, że dla tych bogactw, jaśniejących złotem i srebrem, jakie się tam znajdowały w stosach, nie było potrzeba światła. Najkosztowniejsze kaprysy rozrzutników, którzy pomimo dawniéj posiadanych milionów umarli na poddaszach, były

(*) Berdysz dzikich Indyan.

w tym obszernym bazarze szaleństw ludzkich. Kałamarz, zapłacony sto tysięcy franków, a kupiony za sto soldów, leżał przy zamku z ukrytą maszyneryą, którego cena byłaby niegdyś wystarczyła na okup króla. Tam gieniusz ludzki ukazywał się w całéj pompie swojéj nędzy, w całéj chwale swoich olbrzymich małości. Stół hebanowy, prawdziwe bożyszcze artysty, rzeźbiony podług rysunku Jana Goujon, a który kosztował kiedyś kilka lat pracy, został prawdopodobnie kupiony za cenę drzewa na opał. Kuferki wytworne, meble, wyrabiane ręką wieszczek, były tam pogardliwie narzucane.

— Ależ macie tu miliony! — zawołał młody człowiek, przychodząc do sali, na któréj kończył się szereg apartamentów złoconych i rzeźbionych przez artystów z przeszłego wieku.

— Powiedz pan raczéj miliardy — odrzekł gruby chłopiec pucołowaty. — Ale to nic jeszcze: chodźmy na trzecie piętro, to pan zobaczy!

Nieznajomy szedł za swoim przewodnikiem i dostał się do czwartéj galeryi, gdzie przed jego oczyma zmęczonemi przesuwały się kolejno obrazy Poussina, wspaniała statua Michała-Anioła, kilka zachwycających krajobrazów Klaudyusza Lorrain'a, jeden Gérarda Dow, który był podobny do kartki Sterne'a, Rembrandty, Murille, Velasquezy ponure i kolorowane, jak poemat lorda Byrona; potém płaskorzeźby starożytne, ciosy agatu, onyksy cudowne!.. Ostatecznie były-to prace, mogące odstręczyć od pracy, arcydzieła, nagromadzone dla wywołania nienawiści do sztuk i dla zabicia entuzyazmu. Kiedy przyszedł przed Dziewicę Rafaela, był już znużony Rafaelem. Twarz Corregia, która chciała jednego tylko spojrzenia, nie otrzymała go nawet. Nieoszacowanemu wazonowi z porfiru starożytnego, a którego rzeźby wokoło przedstawiały najśmieszniéj rozpustną ze wszystkich pryapij rzymskich, rozkosze jakiéjś Korynny, dostał się zaledwie uśmiech. Dusił się pod szczątkami pięćdziesięciu wieków zniweczonych; był chory od tych myśli ludzkich, zabity przez zbytek i sztuki, przygnieciony temi formami odradzającemi się, które, podobne do potworów, spłodzonych pod jego nogami przez jakiegoś gieniusza złośliwego, wypowiadały mu walkę bez końca.

Czy dusza, podobna w swoich kaprysach do chemii nowoczesnéj, streszczającéj stworzenie świata w gazie, nie tworzy również trucizn strasznych w nagłém ześrodkowaniu swoich uciech, swoich sił, lub swoich myśli? Czy wielu ludzi nie ginie pod piorunującém uderzeniem jakiegoś kwasu moralnego, nagle rozlanego w ich jestestwie wewnętrznem?

— Co to pudełko zawiera w sobie? — spytał, wchodząc do wielkiego gabinetu, ostatniego stosu chwały, wysiłków ludzkich, orygi-

nalności, bogactw, pomiędzy któremi wskazał palcem na wielką skrzynię kwadratową, wyrobioną z mahoniu, zawieszoną na gwoździu na łańcuchu srebrnym.

— Ach! mój pan ma klucz od tego — odpowiedział chłopiec z miną tajemniczą. — Jeżeli pan pragnie widzieć ten portret, chętnie się narażę i uprzedzę mojego pana.

— Nazazić się? — odparł młody człowiek. — A czyż wasz pan jest księciem?

— Nie wiem tego — odrzekł chłopiec.

Zdumieni, tak dobrze jeden jak i drugi, patrzyli się na siebie przez chwilę. Wytłómaczywszy sobie milczenie nieznajomego jako życzenie, subjekt zostawił go samego w gabinecie.

Czy rzuciliście się kiedy w niezmierzoność przestrzeni i czasu, czytając dzieła gieologiczne Cuvier'a? Czy, uniesieni jego gieniuszem, bujaliście nad przepaścią bezgraniczną przeszłości, jak gdyby podtrzymywani ręką czarodzieja? Odkrywając, od przecięcia do przecięcia, od warstwy do warstwy, w kopalniach Montmartre lub łupkach Uralu te zwierzęta, których szczątki kopalne należą do cywilizacyj przedpotopowych, dusza przeraża się widokiem miliardów lat, milionów narodów, o jakich słaba pamięć ludzka, o jakich nieulegająca zniszczeniu tradycya boska zapomniała, a których proch, nagromadzony na powierzchni naszéj kuli, tworzy dwie stopy ziemi dającéj nam chleb i kwiaty. Lecz czyż Cuvier nie jest największym poetą naszego wieku? Lord Byron odtworzył wprawdzie w słowach kilka zaburzeń moralnych; ale nasz nieśmiertelny naturalista odbudował światy z kości zbielałych, założył jak Kadmus miasta z zębów, zaludnił tysiące lasów tajemniczych zoologij kilkoma odłamami węgla ziemnego, odnalazł ludność olbrzymów w stopie mamuta. Te postacie powstają, rosną i zdobią kraje w harmonii z ich postawami olbrzymiemi. Jest on poetą liczb, jest wzniosłym, stawiając zero przy siódemce. Rozbudza nicość nie wymówiwszy słów sztucznie magicznych; odgrzebuje cząsteczkę gipsu, dostrzega na niéj ślad, i woła: Patrzcie! Nagle drzewa przeistaczają się w zwierzęta, śmierć się ożywia, świat się rozwija! Po niezliczonych dynastyach tworów olbrzymich, po rasach ryb i klasach mięczaków, przychodzi nareszcie rodzaj ludzki, płód wyrodzony jakiegoś typu wspaniałego, zniszczonego może przez Stwórcę. Ogrzani spojrzeniem, które może widzieć przeszłość, ci ludzie wynędzniali, zrodzeni wczoraj, są w stanie przebyć chaos, zaintonować hymn bez końca i ukształtować sobie przeszłość wszechświata w rodzaju Apokalipsy wstecznéj. Wobec tego strasznego zmartwychwstania zależącego od głosu jednego człowieka, okruszyna, któréj używać pozwolono nam w téj nieskończoności bez nazwy, nieskończoności

wspólnéj wszystkim sferom, a którą nazwaliśmy Czasem, ta minuta życia litość w nas wzbudza. Pytamy się samych siebie, przyciśnięci, jak obecnie, tyloma wszechświatami w ruinie, na co nasze chwały, nasze nienawiści, nasze miłości; i czy dla zostania w przyszłości punktem nienamacalnym, męczenie się życiem należy przyjąć? Wy, korzenieni z teraźniejszości, jesteśmy umarłemi aż do chwili, kiedy nasz służący wchodzi i mówi: „Pani hrabina odpowiedziała, że czekała na pana!“

Cuda, których widok dopiéro co przedstawił młodemu człowiekowi całe stworzenie świata znane, wywołały w jego duszy upadek jaki u filozofa wywołuje widok naukowy stworzeń nieznanych. Pragnął żywiéj niż kiedykolwiek umrzéć i padł na krzesło kurulne, pozwalając błąkać się spojrzeniom swoim po fantasmagoryach téj panoramy przeszłości. Obrazy zajaśniały światłem, głowy dziewic uśmiechnęły się do niego, a rzeźby zabarwiły się życiem ułudném. Pod zasłoną cieniu, te dzieła porwane w taniec gorączkowém zaburzeniem, jakie fermentowało w jego mózgu znękanym, poruszały się i wirowały przed nim; każdy chińczyk porcelanowy wykrzywiał się na niego, a powieki osób przedstawionych w obrazach zapadały na oczy dla odświeżenia ich. Każda z tych form drżała, podskakiwała, odrywała się od miejsca ciężko, lekko, z wdziękiem lub nagle, stosownie do swoich obyczajów, charakteru i sposobu myślenia. Był-to sabat tajemniczy godzien fantazyj dojrzanych przez doktora Fausta na *Brocken*. Ale te zjawiska optyki spłodzonéj przez znużenie, przez wytężenie sił wzrokowych lub przez kaprysy zmierzchu, nie mogły przestraszyć nieznajomego. Trwogi życia nie miały siły nad duszą zbrataną z trwogami śmierci. Przez rodzaj wspólnictwa szyderczego sprzyjał nawet dziwactwom tego galwanizmu moralnego, którego cuda sprzęgały się z ostatniemi myślami, dającemi mu jeszcze poczucie istnienia. Milczenie panowało tak głębokie naokoło niego, że wkrótce zapuścił się w marzenie słodkie, którego wrażenia stopniowo czarne postępowały, z odcienia w odcień i jak gdyby magicznie, za powolnemi spadkami światła. Promyk, opuszczając niebo, zabłysnął ostatnim refleksem w walce z nocą; on podniósł głowę, zobaczył szkielet zaledwie oświecony, który pochylił z powątpiewaniem czaszkę z prawéj na lewą stronę, jakgdyby chcąc powiedzieć: Umarli nie chcą jeszcze ciebie! Przesuwając ręką po czole dla spędzenia snu, młody człowiek uczuł wyraźnie wiatr świeży wywołany przez coś kosmatego, co mu obtarło policzek, i zadrżał. Kiedy szyby zadźwięczały suchym zgrzytem, sądził, że ta zimna pieszczota godna tajemnic pozagrobowych pochodziła od jakiegoś nietoperza. Przez chwilę jeszcze, pobrzaski nieokreślone zachodzącego słońca pozwoliły mu dojrzéć niewyraźnie widma, przez

jakie był otoczony; potém cała ta natura umarła stopiła się w jednym tonie czarnym. Noc, godzina umierania nadeszła nagle. Od téj chwili upłynął pewien przeciąg czasu, podczas któréj nie miał żadnéj percepcyi jasnéj rzeczy ziemskich, bądź-to że zagrzebał się w marzeniu głębokiém, bądź téż że uległ senności wywołanéj przez zmęczenie i wielość myśli, rozrywających mu serce.

Nagle zdało mu się, że wołał nań głos straszny, i zadrżał, jak kiedy wśród zmory palącéj jesteśmy zrzuceni od jednego zamachu w głębie przepaści. Zamknął oczy, oślepiony promieniami żywego światła; widział jak w łonie ciemności błyszczało koło czerwonawe, w którego środku stał mały staruszek i kierował na niego jasności lampy. Nie widział go ani kiedy przyszedł, ani żeby mówił, ani żeby się poruszał. To zjawienie się miało w sobie coś magicznego. Człowiek najodważniejszy, napadnięty tak znienacka podczas snu, byłby niewątpliwie zadrżał przed tą osobistością, która wychodziła niejako z nadgrobka sąsiedniego. Szczególna młodość, jaką były ożywione oczy tego rodzaju widma, niepozwalała nieznajomemu wierzyć w efekty nadnaturalne; jednakże, przez czas przerwy gwałtownéj, jaka oddzielała jego życie somnambuliczne od życia rzeczywistego, pozostawał w wątpieniu filozoficznem zalecaném przez Kartezyusza, i tém samém był pomimowolnie pod władzą tych niepodobnych do wytłomaczenia halucynacyj, których tajemnice potępiane są przez naszę dumę, lub które nasza nauka bezsilna stara się napróżno zanalizować.

Wyobraźcie sobie staruszka suchego i chudego, odzianego w szatę z aksamitu czarnego, przewiązaną w biodrach grubym sznurem jedwabnym. Na głowie czapka, z aksamitu również czarnego, pozwalała z każdéj strony twarzy wydostawać się długim kosmykom białych włosów, i przystawała do czaszki w taki sposób, że ściśle czoło oprawiała w ramy. Szata owijała ciało jak gdyby szerokim całunem i nie pokazywała innéj formy ludzkiéj nad twarz wąską i bladą. Bez ręki wychudłéj, podobnéj do kija, na którym rozciągnięto jakąś materyę, a którą starzec trzymał w powietrzu, chcąc przenieść na młodego człowieka całą jasność lampy, twarz ta byłaby się wydała, jak gdyby była zawieszona w obłokach. Broda siwa i strzyżona kończasto, zakrywała podbródek téj istoty dziwacznéj i nadawała jéj pozór jednéj z tych głów żydowskich, które służą za typ artystom, kiedy chcą przedstawić Mojżesza. Wargi tego człowieka były tak pozbawione barwy, tak wąskie, że trzeba było uwagi szczególnéj, aby odgadnąć linię zarysowaną przez usta na jego białéj twarzy. Szerokie czoło pomarszczone, policzki blade i zapadnięte, surowość niezbłagana małych oczu zielonych, pozbawionych rzęs i brwi, mogły pozwolić uwierzyć nieznajomemu, że *Ważący złoto*

Gérarda Dow'a wyszedł z ram. Przenikliwość inkwizytora zdradzająca się przez krzywizny jego zmarszczek i fałd zarysowanych w łukach na skroniach, znamionowała naukę głęboką spraw życia. Niepodobna było oszukać tego człowieka, który jak się zdawało, miał dar podchwytywania myśli na dnie serc najbardziéj ostrożnych. Obyczaje wszystkich narodów kuli ziemskiéj i ich mądrości były streszczone na jego twarzy zimnéj, tak samo jak twory świata całego były nagromadzone w jego składach pokrytych kurzem. Bylibyście wyczytali spokój jasny boga, który widzi wszystko, albo siłę dumną człowieka, który widział wszystko. Malarz byłby z dwoma wyrazami różnemi i w dwu pociągnięciach pędzlem zrobił z téj twarzy piękny obraz Ojca Wiekuistego albo maskę szyderczą Mefistofelesa, gdyż znajdowało się tam wszystko razem: wzniosła potęga na czole i złowrogie szyderstwo na ustach. Tłukąc na miazgę wszystkie trudy ludzkie pod potęgą olbrzymią, ten człowiek musiał był zabić uciechy ziemskie. Umierający zadrżał na myśl, że ten stary gieniusz mieszkał na kuli obcéj światu, gdzie żył sam, bez rozkoszy, ponieważ nie miał już złudzeń; bez boleści, ponieważ nie znał już przyjemności. Starzec stał nieruchomo, niezachwianie, jak gwiazda w środku obłoku światła. Zdawało się, że jego oczy zielone, pełne jakiejś złośliwości spokojnéj, oświecały świat moralny tak, jak jego lampa oświecała ten gabinet tajemniczy.

Takim był ów widok dziwny, który zaskoczył młodego człowieka w chwili, kiedy ten, ukołysany myślami o śmierci i obrazach fantastycznych, otworzył oczy. Jeżeli pozostał jak odurzony, jeżeli pozwolił się przez chwilę opanować przez wiarę godną dzieci, słuchających bajek swoich piastunek, to błąd ten trzeba przypisać zasłonie rozciągniętéj nad jego życiem i rozsądkiem przez rozmyślania, podrażnieniu nerwów rozstrojonych, dramatowi gwałtownemu, którego sceny obdarowały go hojnie rozkoszami okrutnemi, zawartemi w kawałku opium. To widzenie miało miejsce w Paryżu, na *quai Voltaire*, w dziewiętnastym wieku, w czasach i miejscach, w których magia powinna była być niemożliwą. Sąsiad domu, w którym bóg niedowiarstwa francuskiego wyzionął ducha, uczeń Gay-Lussac'a i Arago, szyderca sztuk kuglarskich, pokazywanych przez ludzi mających *moc*, nieznajomy był posłuszny tylko czarom poetycznym, którym poddajemy się często, ażeby niejako uciec przed prawdami rozpaczliwemi, ażeby niejako doświadczyć potęgi Boga. Trząsł się więc przed tém światłem i tym starcem, pobudzony przez trudne do wytłómaczenia przeczucie jakiéjś mocy dziwnéj; lecz to wzruszenie było podobne do tego, jakiegośmy wszyscy doznawali przed Napoleonem, lub wobec jakiegoś wielkiego człowieka, błyszczącego gieniuszem i odzianego chwałą.

— Czy pan życzy sobie widzieć portret Jezusa Chrystusa malowany przez Rafaela? — powiedział doń starzec grzecznie głosem, którego dźwięczność jasna i krótka miała w sobie coś metalicznego.

I postawił lampę na trzonie rozbitéj kolumny tak, ażeby cała jasność padła na pudło ciemne.

Na imiona religijne Jezusa Chrystusa i Rafaela, młody człowiek zdradził się giestem ciekawości, na który kupiec widocznie czekał, gdyż w téjże saméj chwili pociągnął za sprężynę. Ściana mahoniowa zsunęła się nagle po rowkach, upadła bez hałasu, i przedstawiła ku uwielbieniu młodego człowieka płótno. Na widok tego nieśmiertelnego utworu, zapomniał o fantazyach składu, o kaprysach snu, stał się napowrót człowiekiem, rozpoznał w starcu stworzenie z ciała naprawdę żyjące, w żadnym razie nie fantasmagoryczne, i odżył w świecie rzeczywistym. Troskliwość czuła, pogoda słodka boskiéj twarzy oddziałały na niego odrazu. Jakaś woń wylana z nieba rozproszyła męczarnie piekielne, które paliły szpik jego kości. Zdawało się, że głowa Zbawcy świata wychodziła z ciemności wyobrażonych przez tło czarne; aureola promieni iskrzyła się żywo naokoło jego włosów, skąd to światło chciało wyjść; pod czołem, pod ciałem było wymowne przekonanie, które z każdego rysu wydostawało się przenikającemi wyciekami. Usta czerwone pozwalały dosłyszéć słów życia, i widz szukał jego oddźwięku świętego w obłokach, żądał jego alegoryj zachwycających od milczenia, słuchał go w przyszłości, odnajdywał je w naukach przeszłości. Ewangielia była objaśnioną przez prostotę spokojną tych oczu cudownych, do których uciekały się dusze zaniepokojone. Ostatecznie religia katolicka czytała się cała w rozkosznym i wspaniałym uśmiechu, który wyrażał niejako ten przepis streszczający ją: *Kochajcie się wzajem!* Obraz ten pobudzał do modlitwy, zalecał przebaczenie, przyduszał egoizm, rozniecał wszystkie cnoty zdrzémane. Przyswajając sobie w części przywilej czarowania muzyki, dzieło Rafaela rzucało was pod urok nieodbity wspomnień, i jego tryumf był zupełny: zapominało się o malarzu. Czar światła wywierał nadto wpływ na ten cud: chwilami zdawało się, że głowa poruszała się w dali, na łonie jakiegoś obłoku.

— To płótno pokryłem sztukami złota — rzekł zimno kupiec.

— A więc trzeba będzie umrzéć! — wykrzyknął młody człowiek wychodząc z marzenia, którego ostatnia myśl przywiodła mu na pamięć jego los fatalny i drogą dedukcyj nieuchwytnych pozbawiła ostatniéj nadziei, jakiéj się uchwycił.

— Ach! ach! miałem słuszność zatém niedowierzać ci — odpowiedział starzec, chwytając młodego człowieka za obydwie ręce, które ścisnął w stawach w jednéj ze swoich, niby w kleszczach.

Nieznajomy roześmiał się smutnie z téj pomyłki i rzekł głosem łagodnym:

— E! mój panie, nie obawiaj się niczego; idzie tu o moje życie. Dlaczegóż zresztą nie miałbym się przyznać do niewinnego podstępu? — zawołał po chwili uważnego przypatrywania się zaniepokojonemu starcowi. — Czekając nocy, kiedy-bym mógł utopić się bez hałasu, przyszedłem zobaczyć pańskie bogactwa. Któż bowiem nie przebaczyłby téj ostatniéj przyjemności człowiekowi nauki i poezyi?

Podejrzliwy kupiec, słuchając swego fałszywego kundmana, wpatrywał się w jego ponurą twarz okiem przenikliwém. Uspokojony wkrótce dźwiękiem głosu bolesnego, albo raczéj, wyczytawszy w tych rysach bladych przeznaczenie złowrogie, od którego niedawno co zadrżeli gracze, puścił ręce; lecz w skutek reszty podejrzenia, znamionującego doświadczenie co najmniéj stuletnie, wyciągnął niedbale rękę ku kredensowi, jak gdyby dla oparcia się na nim, i biorąc sztylet rzekł:

— Czy jesteś pan urzędnikiem nadliczbowym od trzech lat w skarbie, nie otrzymującym gratyfikacyi?

Nieznajomy odpowiadając ruchem przeczącym, uśmiechnął się pomimowoli.

— Czy pański ojciec za-zbyt żywe robił panu wyrzuty, żeś przyszedł na świat, lub też może sam się pan zniesławiłeś?

— Gdybym chciał się zniesławić, żyłbym.

— Wygwizdano pana u Linoskoków, czy też musisz komponować piosneczki, ażeby zapłacić za pogrzeb kochanki? A może cierpisz pan na chorobę złota? Chcesz pan nudę zrzucić z tronu? Bo ostatecznie, cóż za błąd zmusza pana do odebrania sobie życia?

— Nie szukaj pan zasady mojéj śmierci w przyczynach pospolitych, jakie po największéj części kierują samobójstwami. Ażeby się jednak uwolnić od potrzeby odsłonięcia panu cierpień niesłychanych, jakie trudno wyrazić w języku ludzkim, powiem tylko, że jestem w najgłębszéj, w najhaniebniejszéj, w najbardziéj dokuczliwéj z nędz. I — dodał tonem głosu, którego duma dzika kłam zadawała słowom poprzednim — nie chcę żebrać ani pomocy, ani pociechy.

— E! e!

Te dwie sylaby, które starzec początkowo wyrzucił z siebie, były podobne do skrzeku grzechotki. Następnie tak ciągnął:

— Bez zmuszania pana do błagania mnie, na którebyś pan się zarumienił, nie dając panu ani centyma francuskiego, ani parata wschodniego, ani tarain'a sycylijskiego, ani krajcara niemieckiego, ani kopiejki rosyjskiéj, ani farthing'a szkockiego, ani jednéj z sestercyj lub denarów starego świata, ani jednego piastra z nowego, nie ofiarując nic a nic w złocie, srebrze, bilonach, papierze, biletach,

chcę zrobić pana bogatszym, potężniejszym, bardziéj poważanym, aniżeli jakikolwiekbądź król konstytucyjny.

Młody człowiek sądził, że starzec jest zdziecinniały, i nie śmiejąc odpowiedzieć, pozostał jakby w odrętwieniu.

— Odwróć się pan — zawołał kupiec, chwytając nagle za lampę i kierując światłem w ten sposób, ażeby padło na mur naprzeciwko portretu — i przypatrz się temu *JASZCZUROWI* — dodał.

Młody człowiek podniósł się żywo i okazał pewne zdumienie, spostrzegając po-nad krzesłem, na którém siedział, kawałek *jaszczuru* zawieszonego na murze, a nie większego od skóry z lisa; lecz dziwnym trafem, skóra ta, wśród ciemności głębokiéj, panującéj w składzie, rozrzucała promienie tak świetlne, że możnaby było ją wziąć za małą kometę. Młody niedowiarek zbliżył się do tego domniemanego talizmanu, który miał uchronić go od nieszczęścia, drwiąc sobie z niego w myśli. Zdjęty jednak ciekawością, skądinąd usprawiedliwioną, nachylił się, chcąc obejrzéć skórę ze wszystkich stron, i wkrótce odkrył przyczynę naturalną téj dziwnéj jasności. Czarne groszki jaszczuru były tak starannie wypolerowane i tak dobrze wypalone, karby fantastyczne były tak czyste i tak jasne, że nierówności téj skóry wschodniéj, podobne do ścianek granatu, formowały małe ogniska, żywo odbijające światło. Wykazał matematycznie istotę tego zjawiska starcowi, który za całą odpowiedź uśmiechnął się złośliwie. Ten uśmiech wyższości dał do zrozumienia młodemu uczonemu, że był w téj chwili ofiarą jakiegoś szarlatanizmu. Nie chcąc więc ponieść do grobu jeszcze jednéj zagadki więcéj, odwrócił nagle skórę, jak dziecko, któremu pilno poznać tajemnice nowéj zabawki.

— Ach! ach! — wykrzyknął — oto znak pieczęci, który ludzie Wschodu nazywają pieczęcią Salomona.

— Więc pan go znasz? — spytał kupiec, którego nozdrza wyrzuciły dwa albo trzy kłęby powietrza, malujące więcéj myśli, aniżeliby ich wyrazić mogły najenergiczniejsze słowa.

— Czyż istnieje na świecie człowiek tak prosty, któryby uwierzył w tę chimerę? — wykrzyknął młody człowiek dotknięty śmiechem niemym i pełnym gorzkiego szyderstwa. — Czy pan nie wiesz — dodał — że przesądy Wschodu uświęciły formę mistyczną i charakter kłamliwy tego symbolu, który przedstawia potęgę bajeczną? Nie zdaje mi się, ażebym miał być pomówiony o głupotę w tym wypadku więcéj, aniżeli kiedybym mówił o sfinksach lub gryfach, których istnienie jest do pewnego stopnia mitologicznie dopuszczoném.

— Ponieważ pan jesteś oryentalistą — przerwał starzec — możebyś chciał odczytać tę sentencyą?

To mówiąc, przyniósł lampę przed talizman, który młody czło-

wiek trzymał na wywrót, i pokazał mu litery inkrustowane w tkankach komórkowatych skóry cudownéj, jak gdyby były wytworzone przez zwierzę, do którego kiedyś należała.

— Przyznaję — odezwał się nieznajomy — że nie znam sposobu, jakim się posługiwać trzeba, ażeby wyryć tak głęboko litery na skórze dzikiego osła.

I zdawało się, że oczy jego, zwracając się żywo ku stołom, przeładowanym osobliwościami, czegoś szukały.

— Czego pan chcesz? — spytał starzec.

— Narzędzia do przecięcia skóry, ażeby lepiéj widzieć, czy litery są wyciskane, czy też inkrustowane.

Starzec podał swój sztylet nieznajomemu, który, wziąwszy go, starał się napocząć skóry w miejscu, gdzie były wypisane słowa; lecz kiedy uniósł cienką warstwę skóry, litery pokazały się tak jasno i tak zgodnie z temi, które były wyciśnięte na powierzchni, że przez chwilę zdawało mu się, iż nic z niéj nie odjął.

— Przemysł Wschodu ma tajemnice, które jemu tylko są właściwe — rzekł, przypatrując się sentencyi wschodniéj z rodzajem niepokoju.

— Tak — odpowiedział starzec — lepiéj to przypisać ludziom, aniżeli Bogu.

Słowa tajemnicze były ułożone w sposób następujący:

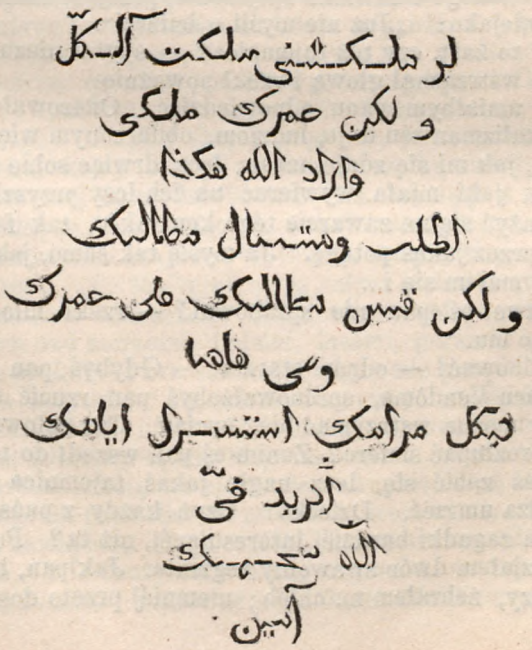

Coby znaczyło po polsku:

JEŻELI MNIE POSIĄDZIESZ, POSIĄDZIESZ WSZYSTKO.
LECZ TWE ŻYCIE DO MNIE NALEŻEĆ BĘDZIE. BÓG
TAK CHCIAŁ. PRAGNIJ, A TWOJE PRAGNIENIA
BĘDĄ SPEŁNIONE. LECZ STOSUJ TWE
ŻYCZENIA DO TWEGO ŻYCIA. ONO
JEST TU. ZA KAŻDĘM
CHCENIEM UBĘDĘ, JAK
TWOJE DNI. CHCESZ
MNIE? — WEŹ.
BÓG CIEBIE
WYSŁUCHA.
STAŃ SIĘ!

— Ach! pan czytasz płynnie sanskryt! — rzekł starzec. — Czyś pan nie podróżował po Persyi lub Bengalu?

— Nie, panie — odpowiedział młody człowiek, macając z ciekawością skórę symboliczną, dosyć podobną do blachy z powodu małéj swéj giętkości.

Stary kupiec postawił lampę na kominie, skąd ją był wziął, i rzucił na młodego człowieka spojrzenie, przejęte zimną ironią, która mówiła niejako: „Już nie myśli o śmierci“.

— Czy to żart, czy też tajemnica? — spytał nieznajomy.

Starzec wstrząsnął głową i rzekł poważnie:

— Nie umiałbym panu odpowiedzieć. Ofiarowałem moc straszną, jaką talizman ten daje, ludziom, obdarzonym większą energią, aniżeli pan, jak mi się zdaje, masz; lecz, drwiąc sobie z wpływu zagadkowego, jaki miała wywierać na ich losy przyszłe, żaden nie chciał odważyć się na zawarcie tego kontraktu, tak fatalnie proponowanego przez jakąś potęgę. Ja myślę tak samo, jak oni. Wątpiłem, wstrzymałem się i...

— I nawet-eś pan nie spróbował? — rzekł młody człowiek, przerywając mu.

— Spróbować! — odparł starzec. — Gdybyś pan był na kolumnie na placu Vendôme, spróbowałżebyś pan rzucić się na powietrze? Czy można wstrzymać bieg życia? Czy człowiek mógł kiedykolwiek rozłupać śmierć? Zanim-eś pan wszedł do tego gabinetu, postanowiłeś zabić się, lecz nagle jakaś tajemnica zajmuje pana i przeszkadza umrzeć. Dziecko! Czyż każdy z pańskich dni nie przedstawia zagadki bardziéj interesującéj, niż ta? Posłuchaj mnie pan. Widziałem dwór swawolny regienta. Jak pan, byłem podówczas w nędzy, żebrałem na chleb; niemniéj przeto dosięgnąłem stu

dwu lat wieku i stałem się milionerem: nieszczęście dało mi majątek, niewiadomość mnie nauczyła. Odsłonię panu w dwu słowach wielką tajemnicę życia ludzkiego. Człowiek wyczerpuje się przez dwa akty, instynktownie wykonywane, które przebierają źródło jego istnienia. Dwa słowa wyrażają wszystkie formy, w jakie się przyoblekają te dwie przyczyny śmierci: *CHCIEĆ* i *MÓDZ*. Pomiędzy temi dwoma wyrazami i akcyą ludzką znajduje się inna formuła, którą opanowują mędrcy, i jéj-to winien jestem szczęście mojéj długowieczności. *Chcieć* nas pali, a *Módz* nas niszczy, lecz *WIEDZIEĆ* pozostawia nasz słaby organizm w stanie wiecznego spokoju. Tak więc pragnienie, czyli chcenie, umarło we mnie, zabite przez myśl; ruch, czyli możność, rozpłynął się w grze naturalnéj moich organów. Jedném słowem, umieściłem życie nie w sercu, które się niszczy, nie w zmysłach, które tępieją, ale w mózgu, który się nie zużywa i który jest w stanie przeżyć wszystko. Nic nadzwyczajnego nie obraziło ani mojéj duszy, ani mego ciała. Tymczasem widziałem świat cały. Stopy moje stratowały najwyższe góry Azyi i Ameryki, nauczyłem się wszystkich narzeczy ludzkich i żyłem pod wszystkiemi rządami. Pożyczyłem pieniędzy Chińczykowi, przyjmując na zastaw ciało jego ojca, spałem w namiocie Araba na wiarę jego słowa, podpisałem umowy we wszystkich stolicach europejskich, zostawiłem bez obawy moje złoto w *wighamie* dzikich, nakoniec otrzymałem wszystko, ponieważ wszystkiém umiałem pogardzać. Jedyną moją żądzą było widzieć. Lecz widzieć czy nie jest wiedzieć? A wiedzieć, młodzieńcze, czyż nie jest używać intuicyjnie? Odkryć istotę samę faktu i opanować nim zupełnie? Cóż pozostaje z posiadania materyalnego? Ideja. Osądź więc pan, jak pięknem musi być życie człowieka, który mogąc odcisnąć wszelką rzeczywistość na myśli, unosi w swéj duszy źródła szczęścia, wyciąga z nich tysiące rozkoszy idealnych, otrząśniętych z kału ziemskiego. Myśl jest kluczem do wszystkich skarbów, wytwarza uciechy skąpca, nie przynosząc jego trosk. To téż bujałem po całym świecie, gdzie przyjemności były zawsze rozkoszami umysłowemi. Moje rozpustowanie było dumaniem nad morzami, ludami, lasami, górami! Widziałem wszystko, ale spokojnie, bez znużenia; nigdy nie pożądałem niczego, a czekałem na wszystko. Przechadzałem się po wszechświecie, jak po ogrodzie posiadłości, należącéj do mnie. To, co ludzie nazywają zmartwieniem, miłością, żądzą, niepowodzeniem, smutkiem, dla mnie było myślą przemienioną na marzenie; zamiast czuć, wyrażam je, tłómaczę; zamiast pozwolić im pochłonąć moje życie, dramatyzuję je, rozwijam, bawię się, jak powieścią, którąbym czytał w widzeniu wewnętrznem. Nie znużywszy nigdy organów, cieszę się jeszcze czerstwém zdrowiem. Ponieważ moja dusza odziedziczyła całą siłę,

której nie nadużyłem, ta głowa więc lepiéj jeszcze jest umeblowana, aniżeli moje składy. Tam — mówił, uderzając się w czoło — tam są prawdziwe miliony. Przepędzam dnie rozkoszne, rzucając spojrzenie rozumne w przeszłość, wywołuję kraje całe, miejscowości, widoki Oceanu, postacie historycznie piękne! Mam seraj urojony, gdzie posiadam wszystkie kobiety, których nie miałem. Widzę napowrót nasze wojny, nasze rewolucye i sądzę je. Och! i jakże tu przekładać gorączkowe, lekkie uwielbienia dla kilku ciał mniéj lub więcéj zabarwionych, dla kształtów mniéj lub więcéj okrągłych?! jakże przekładać wszystkie porażki waszych chęci oszukiwanych nad zdolność szczytną wprowadzania wszechświata w siebie samego, nad przyjemność bezmierną poruszania się, nie będąc skrępowanym ani węzłami czasu, ani okowami przestrzeni, nad przyjemność ogarniania wszystkiego, widzenia, pochylania się nad brzegiem świata dla badania innych sfer, dla słuchania Boga? To — rzekł głosem wrzaskliwym, pokazując Jaszczur — to *módz* i zarazem *chcieć*. Tam są pańskie ideje społeczne, pańskie żądze nadzwyczajne, pańskie niepowściągliwości, pańskie uciechy, które zabijają, pańskie boleści, które każą żyć za wiele, gdyż złe prawdopodobnie jest tylko przyjemnością gwałtowną. Któż mógłby oznaczyć punkt, gdzie rozkosz staje się złem, a gdzie złe jest jeszcze rozkoszą? Czyż najżywsze światła świata idealnego nie pieszczą wzroku, kiedy najłagodniejsze ciemności świata fizycznego obrażają go zawsze? Czyż słowo Mądrości nie pochodzi z wiedzenia? A czémże jest szaleństwo, jeśli nie nadużyciem jakiéjś chęci, lub jakiéjś mocy?

— A więc tak, chcę żyć z nadużyciem — rzekł nieznajomy, chwytając za Jaszczur.

— Młodzieńcze, strzeż się! — wykrzyknął starzec z żywością niepojętą.

— Obróciłem życie na naukę i na myśl, ale mnie one nawet nie żywiły — odparł nieznajomy.—Nie chcę być oszukanym ani przez kazanie, godne Swedenborga, ani przez pański amulet wschodni, ani przez pańskie miłosierne wysiłki, jakie pan robisz, ażeby mnie zatrzymać w świecie, gdzie moje istnienie jest już odtąd niemożliwém. Tak! — dodał, ściskając talizman ręką konwulsyjną i patrząc się na starca. — Chcę obiadu królewsko-wspaniałego, jakiéjś bachanalii, godnéj wieku, w którym, jak mówią, wszystko się udoskonaliło. Niech moi biesiadnicy będą młodzi, dowcipni i bez przesądów, weseli aż do szaleństwa! niech wina następują, jedne po drugich bardziéj wytrawne, bardziéj musujące, i niech mają siłę upojenia nas na trzy dni! Niech ta noc będzie przystrojona w kobiety wrzące! Chcę, ażeby Rozpusta pijana i rycząca poniosła nas na wozie w cztery konie poza granice świata i wyrzuciła na wybrzeża nieznane;

niech dusze idą pod niebiosa, albo nurzają się w błocie, choćbym nie wiedział, czy się wznoszą, czy zniżają, gdyż mało mnie to obchodzi! Rozkazuję zatém téj mocy złowrogiéj stopić mi wszystkie uciechy w jednéj. Tak, potrzebuję objąć przyjemności nieba i ziemi w ostatnim uścisku, aby od niego umrzéć. A życzyłbym sobie także i pryapij starożytnych po pijatyce i śpiewów, któreby obudziły umarłych, i potrójnych pocałunków, pocałunków bez końca, których wrzawa przeszłaby ponad Paryżem, jak trzask pożaru, i obudziwszy małżonków, natchnęła ich żarem tak palącym, żeby aż odmłodnieli wszyscy, nawet starcy siedemdziesięcioletni!

Głośny śmiech, wyrwawszy się z ust małego starca, rozległ się w uszach młodego szaleńca, jak chrzęst piekła, i przerwał mu tak despotycznie, że zamilkł.

— Sądzisz pan — rzekł kupiec — że mój pułap otworzy się nagle i pozwoli wejść tu stołom bogato zastawionym dla biesiadników z innego świata? Nie, nie, młody szaleńcze! Podpisałeś umowę, wszystko więc skończone. Teraz pańskim chęciom w zupełności stanie się zadość, ale kosztem pańskiego życia. Koło pańskich dni, wyobrażone przez tę skórę, zacieśni się stosownie do siły i liczby życzeń, począwszy od najlżejszych, a skończywszy na najbardziéj wygórowanych. Bramin, któremu jestem winien posiadanie tego talizmanu, wytłómaczył mi kiedyś, że pomiędzy losami i życzeniami posiadacza wytworzy się zgodność tajemnicza. Pańskie pierwsze pragnienie jest pospolite i mógłbym je zrealizować, lecz staranie o niém pozostawiam wypadkom pańskiego nowego życia. Zresztą, pan chciałeś umrzéć? A więc pańskie samobójstwo jest tylko opóźnioném.

Nieznajomy, zdumiony i prawie rozdrażniony, widząc, że dziwny starzec, którego intencya nawpół filantropijna okazała się jasno w tym ostatnim żarcie, zawołał:

— Zobaczę przecie, czy moje szczęście zmieni się przez ten czas, kiedy będę przekraczał szerokość ulicy. Lecz, jeżeli pan nie drwisz sobie z nieszczęśliwego, pragnę, dla zemszczenia się za usługę tak fatalną, abyś pan zakochał się w tancerce. Zrozumiesz pan wtenczas czar rozpusty i być może, zaczniesz rozrzucać wszystkie bogactwa, jakieś tak filozoficznie zaoszczędził.

Wyszedł, nie usłyszawszy westchnienia głębokiego, jakie się wyrwało z piersi starca, minął sale i zbiegł po schodach tego domu, zostawiając za sobą grubego, pucołowatego chłopca, który napróżno chciał mu poświecić; biegł z szybkością złodzieja, schwytanego na gorącym uczynku. Oślepiony rodzajem szału, nie spostrzegł nawet giętkości niesłychanéj Jaszczuru, który stawszy się miękkim, jak rękawiczka, zwinął się pod jego palcami drżącemi i mógł się zmie-

ścić w kieszeni fraka, gdzie go włożył prawie machinalnie. Wybiegając ze drzwi składu, potrącił trzech młodych ludzi, którzy szli pod rękę.

— Bydlę!

— Osioł!

Tak miłe odezwania się zamienili pomiędzy sobą.

— Ach! to Rafał!

— Ależ szukaliśmy cię przecie!

— Co! to pan?

Te trzy frazesy przyjacielskie nastąpiły po obeldze z chwilą, kiedy jasność rewerberu, kołysanego wiatrem, padła na twarze téj grupy zdumionéj.

— Mój drogi przyjacielu — rzekł do Rafała młody człowiek, który przez niego o mało-co nie został przewrócony — musisz pójść z nami.

— Ale o co idzie?

— Nie zatrzymujmy się; opowiem ci sprawę w drodze.

Z musu, czy też z dobréj woli Rafał pozwolił się otoczyć przyjaciołom, którzy, związawszy go ramionami ze swoją bandą wesołą, pociągnęli w stronę mostu *des Arts*.

— Mój drogi — ciągnął mówca — ścigamy cię od tygodnia prawie. W twoim szanownym hotelu *Saint-Quentin*, którego szyld nieruchomy, mówiąc nawiasem, przedstawia zawsze litery kolejno czarne i czerwone, jak za czasów J. J. Rousseau, twoja Leonarda powiedziała nam, żeś wyjechał na wieś. A jednak z pewnością nie mieliśmy miny ludzi pieniężnych, możnych, wierzycieli, dozorców handlowych etc. Niech tam zresztą! Rastignac spostrzegł cię wczoraj w teatrze *Bouffons*, otucha więc wstąpiła w nas i przez miłość własną postanowiliśmy odkryć, czy nie siadujesz na drzewach *Pól Elizejskich*, czy nie chodzisz sypiać za dwa soldy w tych domach filantropijnych, gdzie śpią żebracy, oparci o sznury wyciągnięte, lub czy, szczęśliwszy, nie rozłożyłeś biwaku w jakimś buduarze. Nie spotkaliśmy cię nigdzie, ani na rejestrach więzienia *Sainte-Pélagie*, ani na rejestrach w *la Force*. Ministerya, Opera, domy klasztorne, kawiarnie, biblioteki, listy prefektów, biura dziennikarzy, restauracye, *foyers* w teatrach, krótko mówiąc, wszystkie dobre i złe miejsca w Paryżu zostały należycie przetrząśnięte, a my jęczeliśmy nad stratą człowieka, obdarzonego dostatecznym widać gieniuszem, skoro można szukać go zarówno na dworach, jak i w więzieniach. Mówiliśmy już o tém, ażeby cię kanonizować jako bohatera lipcowéj rewolucyi! i na honor, żałowaliśmy cię!

W téj chwili Rafał przechodził z przyjaciołmi przez most, skąd, nie słuchając ich, patrzył na Sekwanę, któréj woda szemrząca odbi-

jała światła Paryża. Ponad tą rzeką, do której niedawno-co miał się rzucić, przepowiednie starca ziściły się: godzina jego śmierci została fatalnie opóźnioną.

— I żałowaliśmy cię naprawdę! — ciągnął przyjaciel rzecz swoję daléj. — Chodzi tu bowiem o kombinacyą, do któréj włączyliśmy ciebie jako człowieka wyższego, to jest człowieka, który umie postawić się ponad wszystkiém. Eskamotowanie muszkatu konstytucyjnego pod kubek królewski odbywa się dzisiaj, mój drogi, gorzéj, niż kiedykolwiek. Haniebna Monarchia, 'wywrócona przez bohaterstwo ludu, była kobietą złego życia, z którą można było śmiać się i hulać; ale ponieważ ojczyzna jest małżonką swarliwą i cnotliwą, trzeba zatém przyjąć, chcąc nie chcąc, jéj pieszczoty wyrachowane. Tak więc władza przeniosła się, jak wiesz, z Tuileries do dziennikarzy, tak samo jak budżet zmienił dzielnicę, przenosząc się z przedmieścia *Saint-Germain* na ulicę *Chaussée d'Antin*. Ale teraz to, czego nie wiesz może! Rząd, to jest arystokracya bankierów i adwokatów, którzy robią dziś ojczyznę, jak księża robili kiedyś monarchią, poczuł potrzebę mistyfikowania poczciwego ludu Francyi słowami nowemi, a idejami staremi, na podobieństwo filozofów wszystkich szkół i mężów silnych wszystkich czasów. Idzie więc o to, ażeby wbić sobie w pamięć opinią pokrólewsku narodową, dowodząc, że większém szczęściem jest płacić tysiąc dwieście milionów trzysta trzy centymy ojczyznie, reprezentowanéj przez panów takich a takich, aniżeli tysiąc sto milionów królowi, który mówił *ja* zamiast mówić *my*. Jedném słowem dziennik, opatrzony w dwieście albo trzysta poczciwych tysięcy franków, został założony w celu robienia opozycyi, którąby zadowolniła niezadowolnionych, nie szkodząc jednak rządowi narodowemu króla-obywatela. Otóż, ponieważ kpimy sobie z wolności, tak samo jak i z despotyzmu, z religii tak dobrze, jak i z niewiary; ponieważ ojczyzną dla nas jest stolica, gdzie myśli wymieniają się i sprzedają po tyle od wiersza, gdzie każdy dzień sprowadza obiady obfite i widowiska liczne, gdzie roją się nierządnice swawolne, gdzie kolacye kończą się dopiéro nazajutrz, gdzie miłości idą na godziny, jak obywatelki miejskie; ponieważ Paryż będzie zawsze najbardziéj czarującą ze wszystkich ojczyzn — ojczyzną wesołości, wolności, dowcipu, ładnych kobiet, łajdaków i dobrego wina, gdzie kij władzy nie da się czuć nigdy zanadto, gdyż się jest blisko tych, którzy go trzymają... — my, prawdziwi spadkobiercy boga Mefistofelesa, postanowiliśmy pobielić usposobienie umysłu publiczności, ubrać aktorów, przybić nowe deski w budzie rządowéj, wykurować doktrynerow, przegotować starych republikanów, odsunąć bonapartystów i ożywić środek, byle nam tylko było wolno śmiać się *in petto* z królów i ludów, nie mieć wieczorem téj saméj

opinii, co zrana, a pędzić życie wesołe à la Panurge, lub *more orientali*, leżéć na miękkich poduszkach. Wodze tego rządu makaronicznego i zabawnego powierzyliśmy tobie; tymczasem jednak zabieramy cię na obiad, jaki wydaje założyciel będącego w mowie dziennika, bankier, który wycofał się z interesu i, nie wiedząc, co robić ze złotem, chce je zamienić na umysł. Będziesz tam przyjęty jak brat; obwołamy cię królem tych umysłów niezadowolnionych, które niczém się nie przestraszają, których przezorność odkrywa zamysły Austryi, Anglii lub Rosyi pierwéj, zanim Rosya, Anglia lub Austrya zamysły jakiekolwiek miéć-by mogła! Tak, ustanawiamy cię władcą tych potęg zręcznych, które dostarczają światu Pitt'ów, Mirabeau'ów, Talleyrandów, Metternichów i nareszcie tych wszystkich zuchwałych Kryspinów, którzy grają pomiędzy sobą o losy państwa, jak ludzie zwyczajni grają o *kirschen-wasser* w domino. Daliśmy ci za najbardziéj nieustraszonego towarzysza, jaki kiedykolwiek uścisnął się w ramionach z Rozpustą, tego potwora cudownego, z jakim chcą walczyć wszystkie umysły wyższe; dowodziliśmy nawet, że ciebie jeszcze nie zwyciężył. Mamy nadzieję, że nie zadasz kłamu naszym pochwałom. Taillefer, nasz amfitryon, przyrzekł nam zaćmić ciasne saturnalia naszych małych Lukullusów nowoczesnych. Jest dosyć bogatym na to, ażeby dodać wielkości małostkom, a elegancyi i wdzięku zepsuciu. Czy słyszysz, Rafale? — spytał go mówca, przerywając nagle.

— Tak — odpowiedział młody człowiek, mniéj zdumiony spełnieniem się życzeń, aniżeli sposobem naturalnym, w jaki wypadki się zawiązywały. Jakkolwiek niepodobna mu było uwierzyć we wpływ magiczny, uwielbiał jednak losy przeznaczenia ludzkiego.

— Lecz mówisz nam tak, jak gdybyś myślał o śmierci swojego dziadka — odpowiedział mu jeden z sąsiadów.

— Ach! — odparł Rafał z akcentem naiwności, która pobudziła do śmiechu tych pisarzy, nadzieję młodéj Francyi — myślałem, moi drodzy, że blisko nam do tego, ażeby stać się wielkiemi łajdakami! Aż do téj chwili dopuszczaliśmy się nieprawości pomiędzy dwiema butelkami wina, ważyliśmy życie po pijanemu, szacowaliśmy ludzi i rzeczy, trawiąc. Przy dziewiczości w czynach, byliśmy zuchwałemi w słowach; lecz obecnie, napiętnowani gorącém żelazem polityki, zajdziemy na te wielkie galery i stracimy tam nasze illuzye. Kiedy się wierzy już tylko w dyabła, wolno żałować raju młodości, czasu niewinności, w którym wyciągało się pobożnie język księdzu dla przyjęcia ciała Pana naszego Jezusa Chrystusa. Ach! moi kochani przyjaciele, jeżeliśmy doznawali tyle przyjemności w popełnianiu pierwszych naszych grzechów, to tylko dlatego, żeśmy mieli zgry-

zoty sumienia przy upiększaniu ich, przy dodawaniu im uroku, wykwintności; tymczasem teraz...

— Och! teraz — przerwał pierwszy mówca — pozostaje nam...

— Co? — spytał drugi.

— Zbrodnia.

— Otóż-to słowo, które w zupełności posiada wysokość szubienicy i głębokość Sekwany — odparł Rafał.

— Ależ nie rozumiesz mnie wcale! Mówię o zbrodniach politycznych. Od rana zazdroszczę jednego tylko bytu, bytu spiskowców. Jutro nie wiem, czy moja fantazya trwać będzie ciągle, lecz dziś wieczorem to życie blade naszéj cywilizacyi, jednostajne, jak tor kolei żelaznéj, obrzydzeniem serce mi napełnia! Roznamiętniłem się do nieszczęść odwrotu zpod Moskwy, do wrażeń *Korsarza czerwonego* i do bytu przemytników. Ponieważ niéma Kartuzów we Francyi, chciałbym przynajmniéj jakiegoś Botany-Bay, rodzaju szpitala, przeznaczonego dla małych lordów Byronów, którzy, zgniótłszy życie niby serwetę po obiedzie, nie mieliby nic lepszego do roboty nad podpalanie swojego kraju, strzelanie sobie w łby, spiskowanie przeciwko rzeczypospolitéj, lub żądanie wojny...

— Emilu — odezwał się z zapałem do mówcy sąsiad Rafała — na honor, gdyby nie rewolucya lipcowa, byłbym został księdzem, byle tylko pędzić życie zwierzęce gdzieś na wsi i...

— I czytałbyś może brewiarz codzień?

— Tak.

— Trzebaby na to być błaznem.

— Czytamy przecież dzienniki.

— To wcale nie źle jak na dziennikarza! Ale cicho! idziemy wśród tłumu abonentów. Dziennikarstwo, widzisz, to religia społeczeństw nowoczesnych i postępu.

— Jakto?

— Kapłani nie są obowiązani wierzyć, ani lud także...

Tak bajdurząc, jak ludzie, którzyby znali *de Viris illustribus* od wielu lat, doszli do pałacu przy ulicy Joubert.

Emil był dziennikarzem, który zdobył sobie więcéj sławy, nic nie robiąc, aniżeli inni jéj mają za swoje powodzenie. Krytyk śmiały, pełen werwy i uszczypliwości, posiadał wszystkie zalety, na jakie te wady pozwalają. Otwarty i wesoły, mówił w oczy tysiące docinków przyjacielowi, którego, pod jego nieobecność, bronił z odwagą i prawością. Drwił sobie ze wszystkiego, nawet ze swojéj przyszłości. Zawsze goły, był pogrążony, jak wszyscy ludzie pewnéj wartości, w trudném do opisania próżniactwie, rzucając w jednem słowie książkę w nos ludziom, którzy w swoje książki nie umieli włożyć jednego słowa. Rozrzutny w obietnicach, których nie

realizował nigdy, ze swojego losu i swojéj sławy zrobił sobie poduszkę do spania, ryzykując tym sposobem szansę obudzenia się na starość w szpitalu. Zresztą, przyjaciel aż na szafot, fanfaron cynizmu, a skromny jak dziecko, pracował tylko dla żartu, lub z konieczności.

— Zrobimy, według wyrażenia mistrza Alcofribasa, znakomity *tronçon de chiere lie* — rzekł do Rafała, pokazując mu doniczki z kwiatami, które wonią i zielonością napełniały schody.

— Lubię przedsionki dobrze ogrzane i bogato dywanami ozdobione — odpowiedział Rafał. Przepych, poczynający się już w perystylu, jest rzadkością we Francyi. Czuję, że tu jak gdybym nanowo się narodził.

— A na górze będziemy pić i raz jeszcze śmiać się, mój biédny Rafale. Ależ tak! — ciągnął daléj — mam nadzieję, że zostaniemy zwycięscami i będziemy stąpali po tych wszystkich głowach.

Następnie z wyrazem szyderczym wskazał na biesiadników, wchodząc do salonu, jaśniejącego złoceniami, światłami, w którym zostali dobrze przyjęci przez najznakomitszą młodzież Paryża. Jeden okazał talent nowy, rywalizując pierwszym obrazem ze wszystkiemi sławami malarstwa cesarskiego. Drugi rzucił wczoraj książkę, pełną jędrności, nacechowaną rodzajem lekceważenia literackiego, która dla szkoły nowoczesnéj otwierała nowe drogi. Daléj rzeźbiarz, którego twarz blada, pełna ostrości, znamionowała jakiś gieniusz silny, rozmawiał z jednym z tych zimnych szyderców, którzy, stosownie do okoliczności, już to nie chcą widzieć wyższości nigdzie, już téż przyznają ją wszędzie. Tu, najdowcipniejszy z naszych karykaturzystów, z okiem złośliwém, z ustami uszczypliwemi, czatował na przycinki, ażeby je przełożyć na cięcia człowieka. Tam, ten młody i zuchwały pisarz, który lepiéj niż ktokolwiek dystylował kwintesencyą myśli politycznych, lub bawiąc się, kondensował umysł pisarza płodnego, gawędził z tym poetą, którego pisma przygniotłyby wszystkie dzieła obecne, gdyby jego talent miał siłę jego nienawiści. Obydwaj, obdzielając się słodyczami pochwalnemi, starali się nie mówić prawdy i nie kłamać. Sławny muzyk pocieszał w tonie *b* major i z odcieniem głosu szyderczym jakiegoś młodego polityka, który niedawno spadł z trybuny, nic złego jednak sobie nie robiąc. Młodzi autorowie bez stylu siedzieli przy młodych autorach bez idei, a prozatorowie pełni poezyi przy poetach prozaicznych. Biédny saint-simonista, dosyć naiwny, ażeby wierzyć w swoję doktrynę, widząc te istoty niedoskonałe, zgromadzał je z politowaniem, chcąc je prawdopodobnie przemienić w mnichów swojego zakonu. Nakoniec znajdowało się tam dwóch, czy trzech z tych uczonych, którzy są przeznaczeni do dodawania azotu do rozmowy, i kilku wodewilistów, zawsze gotowych do rzucania tych blasków przemijających, które,

podobnie jak iskry dyamentu, nie dają ani ciepła, ani światła. Kilku ludzi o umysłach paradoksalnych, śmiejąc się w duchu z tych biedaków, którzy bronią swoich uwielbień lub wzgardy dla ludzi i rzeczy, zajmowało się już tą polityką obosieczną, z jaką spiskują zawsze przeciwko wszelkim systematom, nie biorąc strony za żadnym. *Rozstrzygacz*, który niczemu się nie dziwi, który obciera sobie nos w środku kawatyny w operze *Bouffons*, krzyczy *brawa* przed wszystkiemi i zaprzecza tym, którzy uprzedzają jego przekonanie, był tam, starając się przyswoić sobie słowa ludzi wykształconych. Pomiędzy temi biesiadnikami pięciu miało przyszłość, dziesięciu powinno było dobić się niejakiéj sławy dożywotniéj; co zaś do innych, to mogli, jak wszystkie mierności, powiedzieć sobie sławne kłamstwo Ludwika XVIII-go: *Jedność i zapomnienie.* Amfitryon był w stanie wesołości zakłopotanéj człowieka, które wydaje dwa tysiące talarów. Od czasu do czasu oczy jego zwracały się niespokojnie ku drzwiom salonu, wzywając tego z biesiadników, który pozwolił na siebie czekać. Wkrótce ukazał się mały człowiek, gruby, który został przyjęty ze szmerem pochlebnym. Był-to notaryusz, który tego rana właśnie założył dziennik. Lokaj, ubrany czarno, otworzył drzwi do obszernego pokoju jadalnego, gdzie każdy poszedł bez ceremonii szukać swego miejsca koło stołu olbrzymich rozmiarów. Rafał, zanim opuścił salony, rzucił na nie okiem po raz ostatni. Jego życzenie z pewnością było całkiem zrealizowane. Jedwab' i złoto zdobiły mieszkanie. Od niezliczonéj ilości świec, oprawionych w kandelabry bogate, błyszczały najdrobniejsze szczegóły fryzów złoconych, delikatne rzeźbienia w brązie i okazałe kolory umeblowania. Kwiaty rzadkie w żardinierkach, artystycznie wyrobionych z bambusu, rozlewały słodką woń. Wszystko, aż do draperyj, oddychało wytwornością bez przesady; ostatecznie we wszystkiém był tam jakiś wdzięk poetyczny, którego urok musiał działać na wyobraźnią człowieka bez pieniędzy.

— Sto tysięcy franków renty jest bardzo ładnym komentarzem do katechizmu i pomaga nam cudownie do zamienienia *moralności na akcyą* — zawołał, wzdychając. — Och! tak, moja cnota nie udaje się wcale piechotą. Dla mnie występek, to poddasze, ubranie wytarte, kapelusz siwy w zimie i długi u odźwiernego. Ach! chcę żyć na łonie tego przepychu rok, sześć miesięcy, wszystko jedno! A potém umrzéć. Tym tylko sposobem byłbym w stanie wyczerpać, poznać, pochłonąć tysiąc bytów.

— Och! — odpowiedział mu Emil, który go słuchał — uważasz kocz agienta giełdowego za szczęście. Daj pokój! wkrótce znudziłbyś się majątkiem, widząc, że porywa ci szanse zostania człowiekiem wyższym. Czy artysta wahał się kiedykolwiek pomiędzy nę-

dzami bogactwa a bogactwami nędzy? Czyż dla nas wszystkich nie potrzeba walk? Tak więc, przygotuj żołądek. Patrz! — rzekł do niego, wskazując z giestem bohaterskim na wspaniały, po trzykroć święty i dobrze wróżący widok, jaki przedstawiała sala jadalna słodziutkiego kapitalisty. — Człowiek ten — ciągnął daléj — zadał sobie tyle trudu w nagromadzeniu pieniędzy jedynie tylko dla nas. Czyż to nie rodzaj gąbki, zapomnianéj przez naturalistów, z gatunku polipów, którą należy wycisnąć delikatnie, zanimby się pozwoliło wyssać ją przez spadkobierców? Czy płaskorzeźby, które zdobią mury, nie wydają ci się w stylu? A świeczniki i obrazy co za przepych dobrze zrozumiany! Gdyby trzeba było wierzyć ludziom zawistnym, lubiącym widzieć sprężyny życia, człowiek ten miał jakoby zabić podczas rewolucyi Niemca i kilka innych osób, które były, jak mówią, jego najlepszym przyjacielem i matką tego przyjaciela. Czy możesz wystawić sobie miejsce na zbrodnie pod włosami siwiejącemi tego szanownego Taillefera? Ma minę bardzo dobrego człowieka. Patrz przecie, jak srebro stołowe iskrzy się, a każdy z tych promieni błyszczących byłby dla niego pchnięciem sztyletu. Cóż znowu! W takim razie wartoby już było wierzyć w Mahometa. Gdyby publiczność miała słuszność, trzydziestu ludzi z sercem i talentem zabierałoby się do jedzenia wnętrzności, do picia krwi całéj jednéj rodziny. A my dwaj młodzieńcy, pełni łagodności i zapału, bylibyśmy wspólnikami zbrodni! Mam ochotę spytać się naszego kapitalisty, czy jest uczciwym człowiekiem.

— Byle nie zaraz! — wykrzyknął Rafał. — Jak się spije na śmierć, będziemy już po obiedzie.

Obydwaj przyjaciele zasiedli, śmiejąc się. Najpierw spojrzeniem szybszém niż słowo każdy z biesiadników spłacił haracz uwielbienia wspaniałemu widokowi, jaki przedstawiał długi stół biały, jak warstwa śniegu na ponowie, na którym wznosiły się symetrycznie nakrycia, ukoronowane bułkami jasnemi. Kryształy powtarzały kolory tęczy w refleksach gwiaździstych, świece zakreślały ognie, krzyżujące się do nieskończoności, półmiski, ustawione pod kopułami srebrnemi, zaostrzały apetyt i ciekawość. Słowa nie dawały się słyszéć często. Sąsiedzi patrzyli się na siebie. Madera krążyła. Potém pierwsze podanie ukazało się w całéj okazałości; mogłoby było przynieść zaszczyt nieboszczykowi Cambacérèsowi, a Brillat-Savarin byłby je rozsławił. Wina bordoskie i burgundzkie, białe i czerwone lały się z obfitością królewską. Ta pierwsza część uczty dałaby się porównać pod każdym względem do wystawy jakiéjś tragiedyi klasycznéj. Drugi akt stał się cokolwiek przydługim. Każdy biesiadnik pił porządnie, zmieniając gatunki stosownie do kaprysu, i tym sposobem w chwili, kiedy wynoszono resztki dania

wspaniałego, zawiązały się dyskusye burzliwe; kilka czół białych zaczerwieniło się, kilka nosów zaczęło pokrywać się purpurą, twarze zapalały się, oczy iskrzyły. Podczas téj jutrzenki pijaństwa rozmowa nie wychodziła z granic grzeczności, lecz żarty i dowcipy wyrywały się od czasu do czasu ze wszystkich ust; następnie potwarz podniosła leciutko swą głowę wężową i mówiła głosem łagodnym, jak dźwięk fletu; tu i owdzie kilku ludzi skrytych słuchało uważnie, mając nadzieję nie stracić przytomności. Przy drugiém daniu umysły były zupełnie już rozgrzane. Każdy jadł, rozmawiając, rozmawiał, jedząc, pił, nie zwracając uwagi na obfitość płynów, tak były smaczne i wonne, tak przykład stał się zaraźliwym. Taillefer wziął sobie za punkt honoru ożywić swoich biesiadników i kazał przynieść strasznych win Rodanu, rozgrzewającego tokaju, starego roussilonu wytrawnego. Rozuzdani, jak konie ekstrapoczty, wyjeżdżającéj z przeprzęgu, ci ludzie, podcinani płomykami wina szampańskiego, tak niecierpliwie oczekiwanego, a tak obficie nalewanego, pozwolili swoim zmysłom galopować na próżni tych rozumowań, których nikt nie słucha; jęli się opowiadać historye, dla których niéma audytoryum; rozpoczynali po setki razy te wezwania, które pozostają bez odpowiedzi. Orgia tylko rozwinęła swój olbrzymi głos — głos, złożony ze stu wrzasków pomieszanych, które rosły, jak crescenda Rossiniego. Potém nastąpiły toasty podstępne, junakierya, wyzywania. Wszyscy przestali przechwalać się ze zdolnościami umysłowemi, przyznając prawo do sławy beczkom, kufom i kadziom. Zdawało się, że każdy miał dwa głosy. Była chwila, że panowie mówili wszyscy naraz, a lokaje uśmiechali się. Lecz ta mieszanina słów, w któréj paradoksy wątpliwie jasne i prawdy śmiesznie ubrane przebijały się przez krzyki, wyroki przedstanowcze, nakazy najwyższe, bzdurstwa, jak kiedy wśród bitwy krzyżują się kule armatnie, kule karabinowe i kartacze, i byłaby niewątpliwie zaciekawiła jakiegoś filozofa niezwykłością myśli, lub wprawiła w zdumienie jakiegoś polityka dziwacznością systematów. Było-to naraz książką i obrazem. Filozofie, religie, moralności, tak różne pomiędzy jedną szerokością gieograficzną a drugą, rządy i nareszcie wszystkie wielkie dzieła umysłu ludzkiego, padały tam pod kosą również długą, jak kosa Czasu, i z trudnością zaledwie bylibyście mogli orzec, co nią władało: Mądrość pijana, czy też Pijaństwo, które stało się mądrém i przenikliwém. Zdawało się, że te umysły, niesione przez rodzaj burzy, jak morze rozjuszone przeciwko skałom, chcą zatrząść wszystkiemi prawami, pomiędzy któremi pływają cywilizacye, bezwiednie czyniąc tym sposobem zadość woli Boga, zostawiającego w naturze złe i dobre, a zachowującego dla siebie tylko tajemnicę ich walki wiecznej. Dyskusya wściekła i śmieszna

była do pewnego stopnia sabatem inteligencyi. Pomiędzy smutnemi żartami, wypowiedzianemi przez te dzieci rewolucyi na cześć urodzin dziennika, a przemowami, wygłoszonemi przez tych wesołych pijaków na cześć urodzin Gargantuy, znajdowała się cała przepaść, jaka oddziela wiek dziewiętnasty od szesnastego. Tamten przygotowywał zniszczenie, śmiejąc się, nasz śmieje się wśród ruin.

— Jak pan nazywasz tego młodego człowieka, którego tam widzę na końcu? — spytał notaryusz, wskazując na Rafała. — Coś mi się zdaje, że nazywają go Walentynem.

— Co pan tam śpiewasz nam ze swoim Walentynem poprostu!— wykrzyknął Emil, śmiejąc się. — Rafał de Valentin, jeżeli łaska! Pieczętujemy się *orłem złotym w polu piaszczystém, z koroną ze srebra, z dziobem i pazurami z paszcz*, przy pięknéj dewizie: *NON CEDIT ANIMUS!* Nie jesteśmy dzieckiém podrzuconém, ale potomkiem cesarza *Walens*, szczepu *Valentinois*, założyciela miast Walencyi w Hiszpanii i Francyi, spadkobiercą prawym cesarstwa wschodniego. Jeżeli pozwalamy Machmudowi siedzieć na tronie w Konstantynopolu, to tylko przez grzeczność i dla braku pieniędzy lub żołnierza.

Emil zatoczył w powietrzu widelcem koronę nad głową Rafała. Notaryusz zbierał myśli przez chwilę, lecz następnie zaczął pić, wyrwawszy się tylko z giestem autentycznym, ktory wyrażał, jak się zdawało, że niepodobieństwem było dla niego wciągnąć do swojéj klienteli miast Walencyi i Konstantynopola, Machmuda, cesarza Walensa i rodzinę Valentinois.

— Ale czy zburzenie tych mrowisk, zwanych Babilonem, Tyrem, Kartaginą lub Wenecyą, zawsze gniecionych pod stopami olbrzyma, ktory przechodzi, nie byłoby ostrzeżeniem, daném człowiekowi przez jakąś potęgę szyderczą? — spytał Klaudyusz Vignon, rodzaj niewolnika, kupionego do robienia Bossueta po dziesięć soldów od wiersza.

— Mojżesz, Sylla, Ludwik XI, Richelieu, Robespierre i Napoleon być może, że to jeden człowiek tylko, który się ukazuje poprzez cywilizacye, jak kometa na niebie!—odpowiedział stronnik Ballanche'a.

— Poco badać Opatrzność? — rzekł Canalis, fabrykant ballad.

— Dajcie pokój! Już Opatrzność! — wykrzyknął *rozstrzygacz*, przerywając. — Nie znam nic bardziéj elastycznego na świecie.

— Ależ, panie, Ludwik XIV zamordował więcéj ludzi na wydrążanie akweduktów w Maintenon, aniżeli konwencya na sprawiedliwe rozłożenie podatków, na wprowadzenie jedności do prawa, znarodowienie Francyi i rozdzielenie spadków równo — mówił Massol, młodzieniec, który został republikaninem z braku jednéj sylaby przed nazwiskiem.

— Panie — odpowiedział mu Moreau de l'Oise, bogaty dziedzic — pan, który bierzesz krew za wodę, chciałbyś tym razem zostawić każdemu głowę na karku?

— A to naco, panie? Czyż zasady porządku społecznego nie są warte kilku ofiar?

— Bixiou! hej! Ten... tego... republikanin utrzymuje, że głowa tego dziedzica byłaby ofiarą — odezwał się jakiś młodzieniec do swego sąsiada.

— Ludzie i wypadki są niczém — mówił republikanin, rozwijając swoję teoryą poprzez czkawkę. — W polityce i w filozofii są tylko zasady i ideje.

— Co za zgroza! Nie miałbyś pan więc żadnego skrupułu zabić swoich przyjaciół za jedno: *jeżeli...*

— Eh! mój panie, człowiek, który doznaje wyrzutów sumienia, jest prawdziwym zbrodniarzem, ponieważ ma jakieś poczucie cnoty, kiedy tymczasem Piotr Wielki lub książę Alby byli systematami, a korsarz Monbard organizacyą.

— Ale czy społeczeństwo nie mogłoby się pozbyć pańskich systematów i organizacyj? — spytał Canalis.

— Ach! zgoda — odpowiedział republikanin.

— Ej! wasza głupia rzeczpospolita sprawia mi nudności! Nie będzie można rozebrać spokojnie kapłona, żeby nie znaleść w nim prawa rolnego.

— Twoje zasady są wyborne, mój mały Brutusie, faszerowany truflami! Ale jesteś podobny do mojego lokaja. Hultaj tak jest spętany przez manią czystości, że gdybym mu pozwolił czyścić rzeczy według jego fantazyi, sam chodziłbym nago.

— Wszyscyście bydlęta! Chcecie wyczyścić naród przy pomocy wykałaczek — odparł człowiek o zasadach republikańskich. Według was, sprawiedliwość byłaby niebezpieczniejszą, aniżeli złodzieje.

— He! he! — odezwał się adwokat Desroches.

— Jakże oni są nudni ze swoją polityką! — powiedział Cardot, notaryusz. — Proszę zamknąć drzwi. Niéma nauki, ani cnoty, któreby były warte kropli krwi. Gdybyśmy chcieli zlikwidować prawdę, znaleźlibyśmy w niéj może bankructwo.

— Ach! z pewnością mniéjby to kosztowało, gdybyśmy się bawili złém, aniżeli to, że kłócimy się o dobro. I ja też oddałbym wszystkie mowy, wygłoszone z trybuny od czterdziestu lat, za jednego pstrąga, za jednę baśń Perraulta, lub za jeden szkic Charleta.

— Masz pan najzupełniejszą słuszność. Proszę o szparagi. Gdyż poza tém wszystkiém wolność rodzi anarchią, anarchia wiedzie do despotyzmu, a despotyzm prowadzi do wolności. Miliony istot zgi-

nęły, nie doczekawszy się tryumfu tych systematów. Ale czy to nie błędne koło, w którém świat moralny kręcić się będzie zawsze? Kiedy człowiekowi zdaje się, że coś udoskonalił, z pewnością poprzestawiał tylko rzeczy.

— Och! och! — wykrzyknął Cursy, wodewilista — a zatém, panowie! wznoszę toast na cześć Karola X-go, ojca wolności!

— Dlaczegożby nie? — odpowiedział Emil. — Kiedy despotyzm jest w prawach, wolność znajduje się w obyczajach i *vice versa*.

— Pijmy więc za zdrowie głupoty władzy, która nam daje tyle władzy nad głupcami! — rzekł bankier.

— E! mój drogi, przynajmniéj Napoleon zostawił nam sławę! — krzyczał oficer marynarki, który nigdy nie wyjeżdżał z Brestu.

— Ach! sława, smutny towar! Kosztuje drogo, a nie przechowuje się wcale. Ale czy przypadkiem nie jest egoizmem wielkich ludzi, jak szczęście jest egoizmem głupców?

— Panie, pan jesteś bardzo szczęśliwym.

— Pierwszy, kto wynalazł rowy, bezwątpienia był człowiekiem słabym, gdyż społeczeństwo odnosi korzyść tylko na ludziach biednych. Dziki i myśliciel, postawieni na dwu krańcach świata moralnego, jednakowy mają wstręt do własności.

— Ślicznie! — wykrzyknął Cardot. — Gdyby nie było własności, jakżebyśmy mogli robić akty?

— To nie groszek wyśmienicie fantastyczny!

— A proboszcza znaleziono nieżywego w łóżku nazajutrz...

— Kto mówi o zmarłym? Czy to nie żarty? Mam wuja.

— Zgodziłbyś się pan z pewnością utracić go.

— Nie ulega wątpliwości.

— Słuchajcie, panowie! *SPOSÓB ZABICIA SWOJEGO WUJA!* Cicho! (Słuchajcie! słuchajcie!) Trzeba przedewszystkiém mieć wuja grubego i tłustego, co najmniéj siedemdziesięcioletniego, to najlepsi wujowie. (Wrażenie). Dajcie mu zjeść pod jakimkolwiekbądź pretekstem pasztetu sztrasburskiego...

— E! mój wuj jest wysoki, suchy, skąpy, wstrzemięźliwy!

— Ach! tacy wujowie są potworami, nadużywającemi życia!

— I — ciągnął człowiek z wujem — donieście mu w chwili, kiedy zaczął trawić, że bankier jego zbankrutował.

— A jeżeli wytrzyma?

— Podsunąć mu ładną dziewczynę!

— Jeżeli jest?... — powiedział z giestem przeczącym.

— W takim razie to nie wuj; wuj jest z istoty swojéj rzeźki.

— Głos Malibranowéj stracił dwie nuty.

— Nie, panie!

— Tak, panie!

— Och! och! tak i nie! Czyż to nie wieczna historya wszystkich sporów religijnych, politycznych i literackich? Człowiek jest błaznem, tańcującym na przepaściach!

— Rozumiejąc pana, byłbym głupcem.

— Przeciwnie, ponieważ mnie pan nie rozumiesz.

— Wykształcenie! piękne bzdurstwo! Pan Heineffettermach szacuje ilość tomów wydrukowanych na miliard przeszło, kiedy życie jednego człowieka nie pozwala przeczytać więcéj nad sto pięćdziesiąt tysięcy. Wytłómacz-że mi pan teraz, co znaczy wyraz *wykształcenie?* Dla jednych zależy ono na tém, ażeby znać imiona konia Aleksandra, psa Berecillo, magnata des Accords, a nie wiedzieć nazwiska człowieka, któremu zawdzięczamy spławianie drzewa, lub porcelanę. Dla drugich być wykształconym, to umieć palić testament i żyć jako uczciwi ludzie, kochani, uważani, zamiast kraść zegarek po raz drugi z pięcioma okolicznościami obciążającemi i iść umrzéć na placu *Grève*, w nienawiści, w bezcześci.

— Czy Nathan zostanie?

— Ach! jego współpracownicy, mój panie, są bardzo dowcipni.

— A Canalis?

— To wielki człowiek. Nie mówmy już o tém.

— Jesteście pijani!

— Następstwem bezpośredniém konstytucyi jest spłaszczenie się inteligencyi. Sztuki, nauki, pomniki, wszystko zostaje pożartém przez przerażające uczucie egoizmu, naszego trądu obecnego. Trzystu waszych filistrów, zasiadłszy na ławach, będzie tylko myślało o sadzeniu topoli. Despotyzm robi nielegalnie wielkie rzeczy, a wolność nie zadaje sobie nawet trudu robienia legalnie choćby bardzo małych.

— Wasze kształcenie wzajemne fabrykuje pięciofrankówki z ciała ludzkiego — rzekł absolutysta, przerywając. — Indywidualności znikają w narodzie zniwelowanym przez wykształcenie.

— A jednak czyż wystaranie się o dobrobyt dla każdego nie jest celem społeczeństwa? — spytał saint-simonista.

— Gdybyś pan miał pięćdziesiąt tysięcy franków renty, nie myślałbyś wcale o ludzie. Pałasz pan piękną namiętnością dla ludzkości? jedź na Madagaskar: znajdziesz pan tam śliczny ludek nowiuteńki do saint-simonizowania, do gatunkowania, do kładzenia w słoje; lecz tutaj każdy wchodzi naturalnie do swéj komórki, jak sęk w swoję dziurę. Odźwierni są odźwiernemi, a głupcy bydlętami, które nie potrzebują promocyi z kolegium ojców. Ach! ach!

— Pan jesteś karlistą!

— Dlaczegożby nie? Lubię despotyzm, ponieważ zwiastuje on pewną pogardę dla rasy ludzkiéj. Nie mam wstrętu do królów.

Tacy są przecie zabawni! Tronować w pokoju, o trzydzieści milionów mil od słońca, czyż to nic?

— Ale streśćmy ten widok szeroki cywilizacyi — mówił uczony, który dla nauki rzeźbiarza roztrzepanego rozpoczął dyskusyą o początku społeczeństw i o ludach-autochtonach. — Przy początku narodów siła do pewnego stopnia była materyalną, jedną, nieokrzesaną; potém, ze wzrostem skupienia, rządy posiłkowały się rozkładem mniéj więcéj zręcznym władzy pierwotnéj. To też w głębokiéj starożytności siła była w teokracyi; ksiądz trzymał miecz i kazalnicę. Późniéj były dwa stany kapłańskie: kapłan i król. Dziś nasze społeczeństwo, ostatni wyraz cywilizacyi, rozdało władzę odpowiednio do ilości kombinacyj, i tym sposobem doszliśmy do sił, zwanych: przemysłem, myślą, pieniędzmi, słowem. Władza, nie mając już jedności, kroczy bezustannie ku rozprzężeniu społeczeństwa, które nie ma innéj zapory nad interes. Tak więc nie opierajmy się już ani na religii, ani na sile materyalnéj, ale na rozumie. Czy książka warta jest tyle, co miecz? czy dyskusya warta jest tyle, co działanie? Oto zagadnienie.

— Rozum zabił wszystko — zawołał karlista. — Wolność absolutna prowadzi narody do samobójstwa; nudzą się w tryumfach, jak Anglik milioner.

— Cóżbyś nam pan powiedział nowego? Dziś ośmieszyliście wszystkie władze, a zaprzeczać istnienia Boga jest nawet rzeczą pospolitą! Nie macie wiary. To też wiek nasz jest, jak stary sułtan, zgubiony przez rozpustę. Ostatecznie wasz lord Byron w ostatniéj rozpaczy poezyi opiewał namiętności występku.

— Czy pan wiesz — odpowiedział mu Bianchon najzupełniéj pijany — że jedna doza fosforu więcéj albo mniéj wytwarza człowieka gienialnego albo zbrodniarza, człowieka rozumnego lub idyotę, człowieka cnotliwego lub występnego.

— Czyż to można traktować cnotę w ten sposób! — wykrzyknął de Cursy. — Cnota! przedmiot wszystkich sztuk teatralnych, rozwiązanie wszystkich dramatów, podstawa wszystkich trybunałów.

— Bądź-że cicho, bydlę jakieś! Twoja cnota, to Achiles bez pięty! — powiedział Bixiou.

— Dawajcie pić!

— Chcesz się założyć, że wypiję butelkę wina szampańskiego duszkiem?

— Co za głowa! — wykrzyknął Bixiou.

— Popili się, jak dorożkarze — odezwał się młody człowiek, który naprawdę dawał pić swojéj kamizelce.

— Tak, panie, rząd obecny jest sztuką zdania władzy na rzecz opinii publicznéj.

— Opinia? Ależ to najwystępniejsza ze wszystkich nierządnic! Słysząc was, ludzi moralności i polityki, trzebaby bezustannie przekładać wasze prawa nad naturę, opinią nad sumienie. Daj pan pokój! wszystko jest prawdziwém, wszystko jest fałszywém! Jeżeli społeczeństwo dało nam puch do poduszek, to z pewnością skompensowało dobrodziejstwo przez pogardę, jak wprowadziło procedurę dla miarkowania sprawiedliwości, a katary w następstwie szalów kaszmirowych.

— Potworze! — zawołał Emil, przerywając mizantropowi — jak możesz uwłaczać cywilizacyi wobec wina, potraw tak smacznych i stołu aż pod brodę? Gryź tę sarnę w kopyta i w rogi złocone, ale nie gryź własnéj matki.

— Czy to moja wina, jeżeli katolicyzm dochodzi do tego, że kładzie milion bogów do worka mąki, jeżeli rzeczpospolita kończy zawsze na jakimś Robespierze, jeżeli władza królewska znajduje się pomiędzy zabójstwem Henryka IV a skazaniem Ludwika XVI-go, jeżeli liberalizm staje się Lafayettem?

— Czy uściskałeś się z nim w lipcu?

— Nie.

— Milcz więc, sceptyku.

— Najsumienniejszemi ludźmi są sceptycy.

— Nie mają sumienia.

— Jak można tak mówić! Już co najmniéj mają dwa.

— Eskontować niebo, panie, to myśl prawdziwie kupiecka! Religie starożytne były tylko szczęśliwym rozwojem rozkoszy fizycznéj; co do nas, to myśmy rozwinęli duszę i nadzieję; w tém był postęp.

— Ech! moi kochani, czego można się spodziewać po wieku obżartym polityką?—spytał Nathan. — Jakiż był los *króla cygańskiego i jego siedmiu zamków*, najbardziéj czarującego ze wszystkich pomysłów?...

— To!.. — krzyczał *rozstrzygacz* z jednego końca stołu na drugi — to są frazesy wyciągnięte na los szczęścia z kapelusza, prawdziwe dzieło, napisane dla Charentonu.

— Pan jesteś głupi!

— Pan jesteś błazen!

— Och! och!

— Ach! ach!

— Będą się bili!

— Nie.

— Do jutra, panie!

— Natychmiast! — odpowiedział Nathan.

— Dobrze! tęgo! Obydwa zuchy!

— I pan także — odpowiedział wyzywający.

— Tylko, że nie mogą powstać na nogi.

— Ach! nie stoję prosto, być może — odparł wojowniczy Nathan, podnosząc się, jak latawiec, niepewny.

Rzucił na stół okiem zamglonem, potém, jak gdyby wycieńczony tym wysiłkiem, upadł na krzesło, pochylił głowę i zamilkł.

— Czyżby to nie było śmiesznem — odezwał się *rozstrzygacz* do sąsiada — abym się musiał bić za dzieło, którego ani widziałem, ani czytałem?!

— Emil, uważaj na ubranie, twój sąsiad zbladł! — zawołał Bixiou.

— Kant, panie? Jeszcze jeden balon puszczony dla uciechy głupców! Materyalizm i spirytualizm, to dwie śliczne rakiety, któremi szarlatani w szlafroku podrzucają jeden i ten sam wolant. Czy Bóg jest we wszystkiém, według Spinozy, czy też wszystko pochodzi z Boga, według świętego Pawła?... Osły! otworzyć, czy zamknąć drzwi, toć to ten sam ruch. Czy jajko pochodzi od kury, czy kura od jajka? (Proszę o kawałek kaczki). Ot! i cała nauka.

— Kpie jakiś — odezwał się do niego uczony — kwestya, którą stawiasz, jest załatwioną przez jeden fakt.

— A jaki?

— Nie katedry profesorów utworzone zostały dla filozofii, ale właśnie filozofia dla katedr! Włóż okulary i czytaj budżet.

— Złodzieje!

— Osły!

— Oszusty!

— Dudki!

— Czy możnaby gdzieindziéj, niż w Paryżu, znaleść wymianę myśli równie żywą, równie szybką? — wykrzyknął Bixiou grubym głosem.

— No! Bixiou, pokaż nam jaką farsę klasyczną! Cokolwiek, karykaturę!

— Chcecie, żebym wam pokazał dziewiętnasty wiek?

— Słuchajcie!

— Cicho!

— Pozakładajcie kneble na pyski!

— Czy będziesz milczał, Chińczyku jakiś!

— Dajcie mu wina, a niech będzie cicho ten dzieciak!

— Do ciebie, Bixiou!

Artysta zapiął surdut czarny aż pod szyję, nałożył żółte rękawiczki i wykrzywił sobie twarz w ten sposób, ażeby małpować

Revue des Deux-Mondes, zyzując; lecz hałas zagłuszył jego głos, i niepodobna było schwycić słowa z tego naigrawania się. Jeżeli jednak nie przedstawił wieku, to w każdym razie przedstawił *la Revue*, gdyż sam siebie nie rozumiał.

Wety zostały podane jak gdyby sposobem czarodziejskim. Na stole postawiono olbrzymi serwis z bronzu złoconego, wykończony w pracowni Thomire'a. Wysokie figury, obdarzone przez artystę znakomitego formami uznanemi w Europie za piękność idealną, podtrzymywały i unosiły krzaki truskawek, ananasy, daktyle świeże, winogrona żółte, brzoskwinie jasne, pomarańcze dopiéro co przywiezione na pakebocie z Sétubal'u, granaty, owoce z Chin, i nareszcie wszystkie niespodzianki zbytku, cuda cukiernicze, łakocie najsmaczniejsze i przysmaki najponętniejsze. Kolory tych obrazów gastronomicznych były podniesione przez blask porcelany, przez linie skrzące się złota, przez sylwetki wazonów. Wdzięczny jak frędzle płynne Oceanu, zielony i lekki mech wieńczył krajobrazy Poussin'a, skopiowane w Sèvres. Ziemia księcia niemieckiego nie byłaby w stanie opłacić tego bogactwa bezczelnego. Srebro, perłowa masa, złoto, kryształy, były nanowo rozrzucone pod innemi formami; lecz oczy zdrętwiałe i gorączka gadulcza pijatyki zaledwie pozwoliły biesiadnikom miéć intuicyę nieokreśloną tego dziwu godnego bajki wschodniéj. Wina deserowe przyniosły woń i płomienie, napoje potężne, wyziewy czarodziejskie, wytwarzające rodzaj majaka intelektualnego, którego węzły potężne oplątują nogi, powodują ociężałość w rękach. Piramidy owoców zostały zrabowane, głosy zgrubiały, wrzawa podniosła się. I wtedy nie było już rozmów wyraźnych; kieliszki rozpryskiwały się z brzękiem, a śmiechy okrutne wyrywały się jak race. Cursy schwycił za róg i zaczął dąć fanfarę. Był-to jak gdyby znak dany przez dyabła. Zgromadzenie w upojeniu wyło, gwizdało, śpiewało, krzyczało, ryczało, huczało. Bylibyście uśmiechnęli się na widok ludzi wesołych z natury, którzy stali się ponuremi jak zakończenia sztuk Crébillon'a, lub marzycielskiemi, jak marynarze w powozie. Ludzie przebiegli opowiadali swoje tajemnice ciekawcom, którzy ich nie słuchali. Melancholicy uśmiechali się jak tancerki kończące pirueta. Klaudyusz Vignon dreptał na podobieństwo niedźwiedzi w klatce. Najserdeczniejsi przyjaciele się bili. Podobieństwa zwierzęce, wypisane na twarzach ludzkich i tak ciekawie wykazane przez fizyologów, objawiały się niepewnie w ruchach, w przyzwyczajeniach ciała. Byłaby książka do napisania dla jakiegoś Bichat'a, któryby się tam znalazł z rozwagą i naczczo. Pan domu, czując się pijanym, nie śmiał się podnieść, lecz uśmiechem stałym pochwalał wybryki swoich biesiadników, starając się zachować minę przyzwoitą

i gościnną. Jego twarz szeroka, stawszy się czerwoną i siną, prawie fioletową, straszną do widzenia, zespalała się z ruchem ogólnym przez wysiłki podobne do kiwania się i kołysania brygu.

— Czy zabiłeś ich? — spytał go Emil.

— Kara śmierci, jak mówią, ma być zniesioną przez wzgląd na Rewolucyę Lipcową — odpowiedział Taillefer, który podniósł brwi z miną naraz pełną bystrości i głupoty.

— Ale czy nie widujesz ich czasem we śnie? — wtrącił Rafał.

— To ulega przedawnieniu! — zawołał morderca pełen złota.

— A na jego grobie — wykrzyknął Emil z tonem sardonicznym — przedsiębierca cmentarza karze wyryć: *Przechodniu, uroń łzę na cześć jego pamięci!* Och! — ciągnął daléj — dałbym sto soldów matematykowi, któryby za pomocą równania algiebraicznego wykazał mi istnienie piekła.

Rzuciwszy sztukę srebra w górę, krzyknął:

— Reszka dla Boga!

— Nie patrzcie — zawołał Rafał chwytając monetę. — Kto wié? przypadek jest tak zabawny!

— Niestety! — odparł Emil z miną smutnie błazeńską — nie widzę gdzie postawić nogę pomiędzy gieometryą niewiary a *Pater noster* papieża. Ba! pijmy! Trącenie się jest, jak sądzę, wyrocznią boskiéj butelki i służy za wniosek Pantagruel'owi.

— Może to właśnie owemu *Pater noster* — odpowiedział Rafał — zawdzięczamy nasze sztuki, nasze pomniki, nasze nauki i dobrodziejstwo większe jeszcze, nasze rządy nowoczesne, w których społeczeństwo obszerne i płodne jest cudownie przedstawiane przez pięć set inteligencyj, gdzie siły sprzeczne jedne z drugiemi neutralizują się, pozostawiając całą władzę *CYWILIZACYI*, królowéj olbrzymiéj, która zastępuje *KRÓLA*, tę starożytną i straszną figurę, rodzaj fałszywego przeznaczenia stworzonego przez człowieka pomiędzy niebem a nim. Wobec tylu dzieł dokonanych, ateizm pokazuje się jako szkielet, który nie płodzi wcale. Co mówisz na to?

— Myślę o potokach krwi wylanych przez katolicyzm — odpowiedział Emil chłodno. — Wziął nasze żyły i nasze serca, ażeby podrobić potop. Ale co to szkodzi! każdy człowiek myślący powinien iść pod sztandarem Chrystusa. On tylko uświęcił tryumf ducha nad materyą, on tylko odsłonił nam poetycznie świat pośredni, jaki nas oddziela od Boga.

— Tak sądzisz? — przerwał Rafał rzucając mu nieokreślony uśmiech pijaństwa. — A więc, ażeby się nie narazić, wznieśmy sławny toast: *Diis ignotis!*

I wychylili swoje kielichy nauki, gazu węglowego, woni, poezyi i niewiary.

— Jeżeli panowie chcą przejść do salonu, kawa już tam czeka — zawołał marszałek.

W téj chwili prawie wszyscy biesiadnicy zataczali się wśród tych otchłani rozkosznych, gdzie światła ducha gasną, gdzie ciało, uwolnione od swego tyrana, puszcza się na majaczejące rozkosze wolności. Jedni, doszedłszy do kulminacyjnego punktu pijaństwa, pozostali w ponurości i byli ciężko zajęci chwytaniem myśli, która im dawała dowód ich istnienia własnego; drudzy, pogrążeni w wycieńczeniu spowodowaném przez trawienie ociężające, zapierali się ruchu. Mówcy nieustraszeni wypowiadali jeszcze niepewne słowa, których sens jednak wymykał się im samym. Kilka śpiewek rozbrzmiewało jak hałas przyrządu mechanicznego, obowiązanego dokonać swego życia sztucznego i bez duszy. Milczenie i wrzawa dziwacznie się sprzęgły. Pomimo to, na głos dźwięczny lokaja, który pod nieobecność marszałka uprzedzał o nowych zabawach, biesiadnicy podnieśli się, ciągnięci, podtrzymywani lub niesieni jedni przez drugich. Cała gromada, nieruchoma i oczarowana, zatrzymała się przez chwilę na progu drzwi. Rozkosze niezwykłe uczty zbladły wobec widowiska łechcącego, jakie amfitryon dał dla najbardziéj rozpustnego z ich zmysłów. Pod iskrzącemi się świecami żyrandola złotego, przy stole przepełnionym srebrami, grupa kobiet pokazała się nagle biesiadnikom ogłupionym, których oczy zabłysły nagle jak dyamenty. Bogatemi były stroje, lecz bogatszemi jeszcze były te piękności oślepiające, wobec których nikły wszystkie cuda pałacu. Oczy namiętne tych ladasznic, czarodziejskich jak wieszczki, miały więcéj jeszcze żywości aniżeli potoki światła, oblewającego jasnością refleksy aksamitne obicia, białość marmurów i wydatności delikatne bronzów. Serce gorzało na widok kontrastów ich strojów głowy i ich postaw, całkiem różnych powabem i charakterem. Był-to żywopłot z kwiatów pomieszanych z rubinami, szafirami i koralem; pas naszyjników czarnych na szyjach ze śniegu, szarfy lekkie powiewne jak płomienie latarni morskiéj, zawoje wyniosłe, suknie skromnie wyzywające... Seraj ten przedstawiał ponęty dla wszystkich oczu, rozkosze dla wszystkich kaprysów. Zdawało się, że tancerka upozowana do porwania, była bez zasłony pod fałdami falistemi kaszmiru. Tam gaza przezroczysta, tu jedwab' łechcący, skrywały lub odsłaniały doskonałości tajemnicze. Stopy maleńkie mówiły o miłości, usta świeże i czerwone milczały. Młode dziewczyny, wątłe i przyzwoite, dziewice podrobione, których włosy oddychały niewinnością religijną, przedstawiały się oczom niby zjawiska, które jedno tchnienie rozproszyćby

mogło. Potém piękności arystokratyczne, o spojrzeniu dumném, ale nieczułe, ale wybujałe, chude, wdzięczne, pochylały głowę, jak gdyby miały jeszcze protekcye królewskie do sprzedania. Angielka, biała i czysta figura powietrzna, sprowadzona z obłoków Osyana, była podobną do anioła melancholii, do wyrzutu sumienia uciekającego przed zbrodnią. Paryżanka, której cała piękność leży we wdzięku nieokreślonym, pyszna swoim strojem i dowcipem, uzbrojona we wszechpotężną słabość, giętka i twarda, syrena bez serca i bez namiętności, ale umiejąca sztucznie stworzyć skarby namiętności i podrobić głos serca, była również w tém zgromadzeniu niebezpiecznem, gdzie błyszczały jeszcze Włoszki spokojne na pozór i sumienne w swéj szczęśliwości, pyszne Normandki o kształtach wspaniałych, kobiety południowe o włosach czarnych, o oczach podłużnych. Można-by powiedzieć, piękności z Wersalu zwołane przez Lebela, zastawiające sidła od samego rana, przybywające jak gromada niewolników obudzonych na głos handlarza, ażeby odejść o świcie. Były zdumione, zawstydzone, i cisnęły się koło stołu jak pszczoły, które brzęczą we wnętrzu ula. To zakłopotanie bojaźliwe, wyrzut i kokieterya zarazem, było albo jakimś wabikiem obliczonym, albo też wstydliwością pomimowolną. A może uczucie, którego kobieta nie pozbywa się nigdy w zupełności, nakazywało im owinąć się w płaszcz cnoty, ażeby dodać więcéj jeszcze uroku i wyrazistości dziwom występku. To też zdawało się, że spisek uknuty przez starego Taillefer'a chybił celu. Ci ludzie bez wędzidła zostali naprzód podbici przez potęgę okazałą, jaką kobieta jest obdarowana. Szmer uwielbienia rozbrzmiał w powietrzu jak najprzyjemniejsza muzyka. Miłość nie podróżowała w towarzystwie pijatyki; zamiast uraganu namiętności, biesiadnicy, zaskoczeni w chwili słabości, oddali się rozkoszom uniesienia zmysłowego. Artyści na głos poezyi, która nad niemi zawsze panuje, studyowali z powodzeniem odcienie delikatne, przez które te piękności wybrane różniły się pomiędzy sobą. Filozof, obudzony przez myśl, którą pewnie był winien wydzielaniu się kwasu węglanego z wina szampańskiego, zadrżał, zastanawiając się nad nieszczęściami, jakie tu sprowadzały te kobiety, godne może kiedyś najwyższych zaszczytów. Każda z nich miała niewątpliwie dramat krwawy do opowiedzenia. Prawie wszystkie przynosiły udręczenia piekielne i ciągnęły za sobą ludzi bez czci, obietnice niedotrzymane, uciechy przypłacone nędzą. Biesiadnicy zbliżyli się do nich grzecznie, i rozmowy, tak różnorodne jak ich charaktery, zawiązały się pomiędzy niemi. Rzeklibyście: salon dobrego towarzystwa, gdzie młode panny i kobiety idą, ofiarując się po obiedzie biesiadnikom z pomocą, jaką kawa, likiery i cukier dają żarłokom zakłopotanym pracą trawienia opor-

nego. Ale wkrótce kilka śmiechów się rozległo, szmer powstał, głosy się podniosły. Orgia, poskromiona na chwilę, groziła od czasu do czasu obudzeniem się. Te alternatywy milczenia i wrzawy miały niejakie podobieństwo do symfonii Beethovena.

Usiadłszy na miękkiéj sofie, dwaj przyjaciele zobaczyli najprzód, jak zbliżyła się do nich wysoka dziewczyna, kształtna, wspaniała postawą, z wyrazem twarzy regularnym, lecz przenikliwym, lecz gwałtownym, chwytająca za serce silnemi kontrastami. Zdawało się, że jéj włosy czarne, lubieżnie zwinięte, już wytrzymały walkę miłości, i spadały w lekkich kosmykach na szerokie ramiona, przedstawiające ponętne perspektywy dla oka. Długie, ciemne zwoje otaczały nawpół szyję okazałą, na któréj światło oślizgiwało się, miejscami odsłaniając wytworność konturów najpiękniejszych. Skóra, matowéj białości, uwydatniała tony gorące i wyraźne jéj kolorów żywych! Oko, opatrzone długiemi rzęsami, rzucało płomienie śmiałe, iskry miłości. Usta czerwone, wilgotne, nawpół otwarte, domagały się pocałunków. Ta dziewczyna miała kibić tęgą, ale miłośnie elastyczną; jéj łono, jéj ramiona były dostatnio rozwinięte, jak w pięknych figurach Carracia; niemniéj przeto wydawała się lekką, wiotką, a jéj siła pozwalała domyślać się zwinności pantery, kiedy wdzięk samczy jéj kształtów zapowiadał rozkosze niszczące. Jakkolwiek musiała umieć śmiać się i swawolić, jéj oczy i uśmiech przestraszały myśl. Podobna do tych wróżek niepokojonych przez dyabła, więcéj zadziwiała aniżeli podobała się. Wszystkie ekspresye przesuwały się gromadnie i jak błyskawice po jéj twarzy ruchliwéj. Może-by zachwyciła ludzi zużytych, lecz człowiek młody byłby się jéj uląkł. Była to statua olbrzymia, oderwana z góry jakiéjś świątyni greckiéj, wspaniała na pewną odległość, lecz nieokrzesana, gdy się widziało ją zblizka. Niemniéj przeto, jéj piękność piorunująca musiała pobudzać bezsilnych, jéj głos czarować głuchych, jéj spojrzenia ożywiać stare kości; to téż Emil przyrównał ją do tragiedyi Szekspira, do rodzaju arabesku cudownego, w którym wesołość wyje, w którym miłość ma w sobie coś dzikiego, w którym urok wdzięku i ogień szczęścia następują zaraz po wrzawach krwawych gniewu; do potwora, który umie gryźć i pieścić, śmiać się jak szatan, płakać jak aniołowie, improwizować w jednym uścisku wszystkie powaby kobiety z wyjątkiem westchnień melancholii i skromności czarujących dziewicy; potém w jednéj chwili ryczéć, rozedrzéć sobie łono, zgruchotać swoję namiętność, swego kochanka; nakoniec zniszczyć się sama jak lud zbuntowany. Odziana w suknię z aksamitu czerwonego, deptała obojętnie nogą jakieś kwiatki, które spadły już z głowy jéj towarzyszek, a ręką niedbale wyciągniętą podawała dwom przyjaciołom tacę srebrną. Dumna ze swéj piękności, dumna

ze swych wad może, pokazywała ramię białe, które się rysowało wyraźnie na aksamicie. Była tam jako królowa rozkoszy, jako obraz uciechy ludzkiéj, téj uciechy, która rozprasza skarby nagromadzone przez trzy pokolenia, która się śmieje na trupach, drwi sobie z przodków, rozpuszcza perły i trony, przemienia ludzi młodych w starców, a częstokroć starców w ludzi młodych; była jako obraz téj uciechy dozwolonéj tylko olbrzymom zmęczonym władzą i wypróbowanym przez myśl, dla których wojna stała się rodzajem zabawki.

— Jak się nazywasz? — spytał jéj Rafał.

— Aquilina.

— Och! och! pochodzisz z *Wenecyi ocalonéj* — zawołał Emil.

— Tak — odpowiedziała. — I jak papieże przybierają sobie nowe imiona, wznosząc się po-nad mężczyzn, tak samo ja przybrałam sobie inne, wznosząc się ponad wszystkie kobiety.

— Lecz czy masz, jak twoja patronka, jakiegoś szlachetnego i strasznego spiskowca, któryby cię kochał i musiał umrzéć za ciebie? — powiedział żywo Emil, obudzony tym pozorem poezyi.

— Miałam — odpowiedziała. — Ale gilotyna była moją rywalką. To też przypinam sobie zawsze kilka gałganków czerwonych do sukien, ażeby moja wesołość nie szła zadaleko.

— Och! jeżeli pozwolicie jéj opowiadać historyę czterech młodzieńców z Rochelli, nie skończy jéj nigdy. Bądź-że cicho Aquilino! Czyż nie wszystkie kobiety mają kochanka do opłakiwania? Nie wszystkie tylko mają szczęście, jak ty, stracić go na szafocie. Wolałabym przecież wiedzieć, że mój leży w jakimś dole, w Clamart, aniżeli w łóżku mojéj rywalki.

Te słowa były powiedziane głosem słodkim i melodyjnym przez najniewinniejsze, najładniejsze i najzgrabniejsze stworzonko, jakie kiedykolwiek, pod uderzeniem laski wróżki, wyszło z jajka zaczarowanego. Podeszła cichym krokiem i pokazała twarz delikatną, kibić wysmukłą, oczy niebieskie zachwycające skromnością, policzki świeże i czyste. Najada niewinna, która się wyrywa ze swego źródła, nie jest bardziéj nieśmiałą, bardziéj białą, ani bardziéj naiwną, niż ta młoda dziewczyna, która musiała mieć szesnaście lat, nie wiedzieć o złém, nie wiedzieć o miłości, nie znać burz życia, a przychodzić z kościoła, gdzie prosiła aniołów, ażeby wyjednali przed czasem powołanie jéj do nieba. W Paryżu tylko spotykać można te stworzenia o twarzy czystéj, które kryją zepsucie najgłębsze, wady najbardziéj wyrafinowane pod czołem tak łagodném, tak czułém jak kwiat astru. Emil i Rafał uwiedzeni z początku niebiańskiemi obietnicami, wypisanemi w rozkosznych powabach młodéj dziewczyny, przyjęli kawę, jaką im nalała w filiżanki podane przez

Aquilinę, i zaczęli ją wypytywać. Przez alegoryę złowrogą, dokończyła ona przemieniać w oczach dwu poetów postać życia ludzkiego, przeciwstawiając wyrazowi twardemu i namiętnemu swéj towarzyszki okazałéj portret tego zepsucia zimnego, zmysłowo okrutnego, dostatecznie odurzonego, ażeby popełnić zbrodnię, dosyć silnego, ażeby śmiać się z niéj; rodzaj szatana bez serca, który karze dusze bogate i czułe za to, że doznają wzruszeń, jakich on jest bozbawiony; który znajdzie zawsze grymas miłości do sprzedania, łzy na pogrzeb swéj ofiary, a radość wieczorem przy czytaniu testamentu. Poeta uwielbiałby Aquilinę; świat cały powinienby uciekać przed wzruszającą Eufrazyą: jedna była duszą występku, druga występkiem bez duszy.

— Bardzo chciałbym wiedzieć — odezwał się Emil do tego ładnego stworzenia — czy też czasem myślisz o przyszłości?

— Przyszłość? — odpowiedziała śmiejąc się. — Co pan nazywasz przyszłością? Dlaczegóż miałabym myśléć o tém, co nie istnieje jeszcze? Nie patrzę nigdy ani za ani przed siebie. Czyż to już nie zawiele, jeżeli zajmuję się całą dobą odrazu? Zresztą, przyszłość? my ją znamy; to szpital.

— Jakże możesz stąd widzieć szpital a nie uniknąć tego, ażeby tam nie pójść? — zawołał Rafał.

— Cóż szpital ma tak przerażającego? — spytała straszna Aquilina. — Kiedy nie jesteśmy ani matkami, ani żonami, kiedy starość wkłada nam pończochy czarne na nogi a zmarszczki na czoło, pozbawia świeżości całą naszę kobiecość i wysusza radość w oczach naszych przyjaciół, to czegóż jeszcze mogłybyśmy potrzebować? Wtedy nie widzicie w nas, z naszego stroju, nic więcéj nad błoto, które idzie na dwu łapach, zimne, suche, w rozkładzie, i postępuje, wydając szelest suchych liści. Najładniejsze gałganki stają się dla nas łachmanami, bursztyn, który ożywiał sypialnię, nabiera zapachu trupa i trąci szkieletem; a przytém, jeżeli w tém błocie znajdzie się serce, urągacie mu wszyscy, nie pozwalacie nam mieć nawet wspomnień. Tak więc, czybyśmy w téj epoce życia hodowały pieski w bogatym pałacu, czy też przebierały w gałganach w szpitalu, nasz byt jest jeden i ten sam. Skrywać siwe włosy pod chustką w kratki czerwone i niebieskie, czy też pod koronkami, zamiatać ulice miotłą czy schody w Tuileryach atłasem, siedzieć przy ogniskach złoconych czy ogrzewać się popiołem w garnku z gliny czerwonéj, być na widowisku na placu Grève czy iść do Opery, cóż to znowu za różnica taka?

— *Aquilina mia!* nigdy nie miałaś tyle słuszności wśród twoich rozpaczy — odparła Eufrazya. — Tak, kaszmiry, weliny, perfumy, złoto, jedwab', przepych, wszystko, co błyszczy, wszystko, co się po-

doba, przystoi tylko młodości. Czas tylko mógłby mieć słuszność przeciwko naszym szaleństwom, lecz szczęście nas rozgrzesza. Śmiejcie się z tego, co mówię — zawołała, rzucając uśmiech zjadliwy dwóm przyjaciołom — ale czy nie mam racyi? Wolę umrzeć z przyjemności, niż z choroby. Nie mam ani manii na wieczne trwanie, ani wielkiego uszanowania dla rodzaju ludzkiego, widząc, co Bóg z tém zrobił! Dajcie mi miliony, a zjem je; nie chciałabym zachować centyma na rok przyszły. Żyć aby się podobać i panować, oto wyrok jaki wydaje każde uderzenie mojego serca. Społeczeństwo pochwala mnie; bo czyż nie dostarcza mi bezustannie wszystkiego, czego mi potrzeba na moje marnotrawstwo? Dlaczegóż Bóg daje mi co rano resztę z tego, co wydaję co-wieczór? dlaczegóż zakładacie dla nas szpitale? Ponieważ nie postawił nas pomiędzy dobrém i złém, ażeby wybrać to, co nas rani lub nudzi, byłabym więc bardzo głupią, gdybym się nie miała bawić.

— A inne? — spytał Emil.

— Inne? Niech sobie radzą! Wolę śmiać się z ich cierpień, aniżeli płakać nad mojemi. Wyzywam każdego mężczyznę, ażeby mi spowodował choćby najmniejsze zmartwienie.

— Lecz cóż-eś przecierpiała, że tak myślisz? — spytał Rafał.

— Porzucono mnie dla spadku! — zawołała, przybierając pozę, która uwydatniła odrazu wszystkie jéj powaby. — A jednak przepędzałam dnie i noce przy pracy, byle wyżywić mojego kochanka. Nie chcę więc teraz łudzić się żadnym uśmiechem, żadną obietnicą, i mam zamiar z mojego życia zrobić sobie jednę długą zabawę.

— Ale — wykrzyknął Rafał — czyż szczęście nie pochodzi z duszy?

— Jakto! — odparła Aquilina — czyż to nic widzieć się uwielbianą i chwaloną, tryumfować nad wszystkiemi kobietami, nawet najcnotliwszemi, druzgocząc je naszą pięknością, naszemi bogactwami? Zresztą, my więcéj żyjemy w jednym dniu, aniżeli poczciwa mieszczka przez dziesięć lat, i to rozstrzyga rzecz całą.

— Czyż kobieta bez cnoty nie jest wstrętną? — rzekł Emil do Rafała.

Eufrazya rzuciła na nich okiem żmii i odpowiedziała z niepodobnym do naśladowania wyrazem ironii:

— Cnota? zostawiamy ją brzydkim i garbatym. Biedne kobiety! czémże byłyby bez tego?

— No, milcz — zawołał Emil. — Nie mów o tém, czego nie znasz.

— Ach! nie znam jéj! — odparła Eufrazya. — Oddać się na całe życie istocie znienawidzonéj, umieć wychowywać dzieci, które was porzucają, i mówić im: Dziękuję! kiedy wam w samo serce go-

dzą, oto cnoty jakie przeznaczacie kobiecie; i jeszcze, ażeby ją wynagrodzić, za jéj zaparcie się saméj siebie, narzucacie jéj cierpienia, starając się ją uwieść; jeżeli się opiera, kompromitujecie ją. Śliczne życie! lepiéj już zachować swobodę, kochać tych, którzy się nam podobają i umrzéć zamłodu.

— Czy nie boisz się zapłacić za to wszystko pewnego dnia?

— To i cóż? — odparła zamiast przeplatać przyjemności smutkami, moje życie będzie przecięte na dwie części: na młodość z pewnością wesołą, i na jakąś starość niepewną, podczas któréj będę sobie cierpiała, ile i jak mi się podoba.

— Ona nigdy nie kochała — rzekła Aquilina z dźwiękiem głębokim w głosie. — Nie zrobiła nigdy stu mil, ażeby pójść pochłonąć z tysiącem rozkoszy jedno spojrzenie i jednę odmowę; nigdy nie przywiązała swego życia do jednego włoska, ani starała się zasztyletować kilku ludzi dla ocalenia swego władcy, swego pana, swego Boga. Dla niéj miłość była ślicznym pułkownikiem.

— He! he! *Rochella* — odpowiedziała Eufrozya — miłość jest jak wiatr; nie wiemy, skąd przychodzi. Zresztą, gdybyś była kochaną przez zwierzę, nabrałabyś wstrętu do ludzi wykształconych.

— Kodeks zabrania nam kochać zwierzęta — odparła wielka Aquilina z akcentem ironicznym.

— Myślałam, że jesteś wyrozumialszą dla wojskowych! — wykrzyknęła Eufrazya śmiejąc się.

— Jakże one są szczęśliwe, że mogły tak zrzec się rozumu! — zawołał Rafał.

— Szczęśliwe! — rzekła Aquilina uśmiechając się litośnie, strasznie, rzuciwszy dwom przyjaciołom spojrzenie okropne. — Ach! nie wiecie, co to być skazaną na uciechę z umarłym w sercu.

Patrzyć w téj chwili na salony, było-to miéć widok uprzedni Pandemonium Miltona. Płomienie niebieskawe ponczu barwiły tonem piekielnym twarze tych, którzy jeszcze pić mogli. Tańce szalone, ożywione dziką energią, pobudzały do uśmiechów i krzyków, które wybuchały z hukiem ogni sztucznych. Gotowalnia i mały salonik, zasłane umarłemi i umierającemi, przedstawiały obraz pola bitwy. Powietrze było gorące od wina, rozkoszy i słów. Pijaństwo, miłość, szał, zapomnienie świata, były w sercach, na twarzach, były wypisane na dywanach, wyrażone przez nieporządek, i rzucały na wszystkie spojrzenia lekką zasłonę, która pozwalała widzieć w powietrzu parę upajającą. Jak w pasach świetlnych, zarysowanych przez promień słońca, powstał pył błyszczący, wpośród którego igrały formy najdziwaczniejsze, walki najzabawniejsze. Tu i owdzie, grupy figur poplątanych mieszały się z białemi marmurami, szlachetnemi arcydziełami rzeźby, jakie zdobiły mieszkanie.

Jakkolwiek dwaj przyjaciele zachowali jeszcze rodzaj jasności zwodniczéj w myślach i członkach, ostatni dreszcz, pozór niedoskonały życia, nie byli w stanie jednak rozpoznać, ile było rzeczywistości w fantazyach dziwnych, ile prawdopodobieństwa w tych obrazach nadnaturalnych, które przesuwały się bezustannie przed ich oczami znużonemi. Niebo duszące naszych snów, słodycz gorąca, jakiéj nabierają figury w naszych wizyach, zwłaszcza zwinność obciążona kajdanami, i zjawiska najbardziéj niezwykłe snu, natarły na nich tak żywo, że igraszki téj rozpusty wzięli za kaprysy zmory, w któréj ruch jest bez hałasu, w któréj krzyki są stracone dla ucha. W téj chwili lokajowi zaufanemu udało się, nie bez pewnego trudu, wyciągnąć swego pana do przedpokoju, mówiąc mu do ucha:

— Panie, wszyscy sąsiedzi wyglądają przez okna i skarżą się na hałas.

— Jeżeli boją się hałasu, to dlaczegóż nie każą położyć słomy przed swojemi bramami? — krzyknął Taillefer.

Rafał wybuchnął nagle śmiechem tak gwałtownie niepomiarkowanym, że aż jego przyjaciel zapytał się go o przyczynę téj radości zwierzęcéj.

— Zaledwie z trudnością byłbyś w stanie mnie zrozumieć — odpowiedział. — Najpierw muszę ci się przyznać, że zatrzymaliście mnie na *quai Voltaire* w chwili, kiedy miałem rzucić się do Sekwany, i chciałbyś bezwątpienia poznać motywy mojéj śmierci. Ale jeżelibym dodał nawet, że przez przypadek prawie bajeczny, zwaliska najpoetyczniejsze świata materyalnego dopiéro co streściły się w moich oczach za pomocą tłómaczenia symbolicznego mądrości ludzkiéj, kiedy tymczasem szczątki wszystkich skarbów umysłowych, jakie splądrowaliśmy przy stole, zmierzają do tych dwu kobiet, dwu wyobrażeń żywych i oryginalnych szaleństwa, i kiedy nasza głęboka obojętność dla ludzi i rzeczy posłużyła nam za przejście do obrazów silnie zabarwionych dwu systematów bytu tak na głowę sobie przeciwnych, to i cóżby cię to objaśniło? Gdybyś nie był pijany, możebyś w tém dopatrzył się traktatu filozofii.

— Gdybyś nie miał obydwu nóg na téj zachwycającéj Aquilinie, któréj chrapanie ma niejakie podobieństwo do ryczenia burzy bliskiéj zerwania się — odparł Emil, który sam bawił się zwijaniem i rozwijaniem włosów Eufrazyi, niewiele mając świadomości tego zajęcia niewinnego — zaczerwieniłbyś się na samę myśl pijaństwa i gadulstwa. Twoje dwa systematy mogą wejść do jednego frazesu i streścić się w jednéj myśli. Życie proste i mechaniczne prowadzi do jakiéjś mądrości bezrozumnéj, przygłuszając naszę inteligencyę przez pracę; życie przeszłe, tymczasem, w próżni abstrakcyj lub w przepaściach świata moralnego, prowadzi do jakiéjś szalonéj

mądrości. Jedném słowem, zabić uczucia, ażeby żyć jako starcy, lub umrzéć w młodości zgadzając się na męczeństwo namiętności, oto nasz wyrok. A w dodatku jeszcze, sentencya ta musi walczyć z temperamentami, jakiemi nas obdarzył ten filut tęgi, któremu zawdzięczamy szablon wszystkich stworzeń.

— Głupcze! — wykrzyknął Rafał, przerywając mu. — Nie zaniedbuj skracać się sam w ten sposób, a zrobisz tomy! Gdybym był miał pretensyę do sformułowania tych dwu myśli, byłbym ci powiedział, że człowiek psuje się przez ćwiczenie rozumu, a oczyszcza się przez ciemnotę. Jest-to to samo, co potępiać społeczeństwo! Lecz, czybyśmy żyli z mędrcami czy téż ginęli z szaleńcami, rezultat prędzéj czy późniéj zostanie się ten sam! To téż wielki abstraktor kwintesencyi te dwa systematy wyraził kiedyś w dwu słowach: *CARYMARY, CARYMARA.*

— Z powodu ciebie zaczynam wątpić o wszechmocy Boga, gdyż ty jesteś bardziéj głupi aniżeli Wszechmocny — odtrącił Emil. — Nasz kochany Rabelais streścił tę filozofię w słowie krótszém niż Carymary, Carymara; a tém jest *Być może*, z którego Monteskiusz wziął swoje *Alboż ja wiem?* I to jeszcze te ostatnie słowa nauki moralnéj są tylko wykrzyknikiem Pirrona pozostającego pomiędzy dobrém a złém, jak osioł Burydana pomiędzy dwoma miarami owsa. Lecz skończmy z tą wieczną dyskusyą, która zmierza dziś do *tak* i *nie*. Jakież więc doświadczenie chciałeś zrobić, rzucając się do Sekwany? czy byłeś zazdrosny o maszynę hidrauliczną przy moście *Notre-Dame?*

— Ach! gdybyś znał moje życie.

— Ach! — krzyknął Emil — nie myślałem, że jesteś tak pospolity; to frazes zużyty. Czyż nie wiész, że wszyscy uważamy się za ludzi cierpiących o wiele więcéj niż inni?

— Ach! — wykrzyknął Rafał.

— Ależ jesteś śmieszny ze swojém *ach!* Jakaż więc choroba duszy czy ciała zmusza cię wskutek kurczu mięśni do ściągania corano-łbów koniom, które mają cię rozćwiertować wieczorem, jak to niegdyś zrobił Damiens? Czy zjadłeś psa całkiem surowego, bez soli, na twojém poddaszu? Czy dzieci powiedziały ci kiedy: Jeść się chce? Czy sprzedałeś włosy kochanki, ażeby miéć za co grać? Czyś szedł kiedy zapłacić w fałszywém mieszkaniu fałszywy weksel, wystawiony na fałszywego wuja, bojąc się przyjść zapóźno? No, słucham. Jeżeli rzucałeś się do wody dla kobiety, z powodu protestu, lub z nudów, wyrzekam się ciebie. Spowiadaj się, nie kłam; nie żądam wcale pamiętników historycznych. Nadewszystko, bądź o tyle treściwy, o ile ci twoje upicie się pozwoli na to; jestem wy-

magający jak czytelnik, i blizki zaśnięcia jak kobieta, która słucha nieszporów.

— Biedny głupcze! — rzekł Rafał. — Odkądże-to bóle nie są w stosunku do wrażliwości? Kiedy dojdziemy do stopnia nauki, który nam pozwoli stworzyć historyę naturalną serc, nazwać je, uklasyfikować je w rodzaje, w pod-rodzaje, w rodziny, w skorupiaki, w kopalne, w jaszczurkowate, w mikroskopijne, w.... alboż ja wiem zresztą? wtedy, mój kochany, będzie to rzeczą dowiedzioną, że istnieją czułe, delikatne jak kwiaty, a które jak one, muszą się łamać za najlżejszém dotknięciem, na jakie inne serca mineralne nie są nawet wrażliwe.

— Och! na litość, oszczędź mi przedmowy — rzekł Emil z miną nawpół śmiejącą się, nawpół litośną, biorąc Rafała za rękę.

Kobieta bez serca.

Po chwili milczenia Rafał rzekł, machnąwszy ręką niedbale:

— Nie wiem doprawdy, czy nie należałoby przypisać dymom wina i ponczu ten rodzaj jasnowidzenia, który mi pozwala w téj chwili objąć całe moje życie jak jeden obraz, gdzie figury, kolory, cienie, światła, półcienie, są wiernie oddane. Ta gra poetyczna wyobraźni nie dziwiłaby mnie wcale, gdyby nie towarzyszył jéj rodzaj pogardy dla moich cierpień i dla moich rozkoszy przeszłych. Życie moje, widziane z oddalenia, jest jakby zacieśnione przez pewne zjawisko moralne. Ta długa i powolna boleść, która trwała dziesięć lat, może się dziś odtworzyć w kilku frazesach, w których boleść będzie tylko myślą, a rozkosz uwagą filozoficzną. Zamiast czuć, sądzę...

— Jesteś nudny jak poprawka do prawa, którą się roztrząsa — wykrzyknął Emil.

— Być może — odparł Rafał bez szemrania. — To téż, nie chcąc nadużywać twoich uszu, podaruję ci siedemnaście pierwszych lat mojego życia. Aż dotąd żyłem taksamo jak ty, jak tysiące innych, tém życiem kolegium lub liceum, którego nieszczęścia urojone i uciechy rzeczywiste stanowią rozkosz naszych wspomnień; tém życiem, od jakiego nasza gastronomia żąda jarzyn piątkowych, o tyle o ile nie skosztowaliśmy ich nanowo; piękne życie, którego prace wydają się nam marnemi, a które tymczasem nauczyły nas pracy...

— Przechodź do dramatu — rzekł Emil z miną nawpół komiczną a nawpół żałosną.

— Kiedy wyszedłem z kolegium — ciągnął Rafał, domagając się ruchem ręki prawa mówienia daléj — mój ojciec trzymał mnie w karności surowéj, dając mi za mieszkanie pokój przyległy do swojego gabinetu; szedłem spać o dziewiątéj wieczór, a wstawałem o piątéj rano; chciał, żebym słuchał prawa sumiennie; chodziłem jednocześnie do szkoły i do adwokata. Lecz prawa czasu i przestrzeni były tak surowo zastosowane do moich wycieczek i do moich prac, a mój ojciec żądał ode mnie przy obiedzie rachunku tak ścisłego z...

— Cóż to może mnie obchodzić? — zawołał Emil.

— Ech! niech cię dyabli porwą! — odpowiedział Rafał. — Jakżeż mógłbyś pojąć uczucia, gdybym ci nie opowiedział faktów nieznacznych, które wpłynęły na moję duszę, ukształtowały ją na bojaźni i pozostawiły mnie długo w naiwności pierwotnéj młodego człowieka? Tak więc, aż do dwudziestego pierwszego roku byłem zgięty pod despotyzmem zimnym jak reguła zakonnicza. Ażeby ci przedstawić smutki mego życia, dosyć byłoby odmalować ci mego ojca: mężczyzna wysoki, suchy i cienki, o twarzy jak ostrze noża, z cerą bladą, zwięzły w słowach, sprzeka jak stara panna, podejrzliwy jak naczelnik biura. Jego ojcowstwo unosiło się nad mojemi myślami swawolnemi i wesołemi, i zamykało je niby pod kopułą z ołowiu; jeżeli chciałem okazać mu uczucie błogie i czułe, przyjmował mnie jak dziecko, które ma powiedzieć głupstwo; obawiałem się go bardziéj, aniżeliśmy się bali kiedyś naszych korepetytorów; dla niego miałem zawsze osiem lat. Zdaje mi się, że go widzę jeszcze przed sobą. W tużurku kasztanowatym, w którym się trzymał prosto jak świéca wielkanocna, miał pozór śledzia wędzonego owiniętego w okładkę czerwonawą pamfletu. A jednak kochałem go, ponieważ był sprawiedliwy. Być może, że nie nienawidzimy surowości usprawiedliwionéj przez wielki charakter, przez obyczaje czyste, która zręcznie pomieszana jest z dobrocią. Jeżeli mój ojciec nie opuszczał mnie nigdy, jeżeli aż do dwudziestu lat wieku, nie zostawił mi dziesięciu franków do mojéj dyspozycyi, dziesięciu łajdackich, dziesięciu bezbożnych franków, skarbu olbrzymiego, którego posiadanie, napróżno pożądane, usposabiało mnie do marzenia o rozkoszach niezatartych, to starał się przynajmniéj sprawiać mi przyjemności. Obiecując uciechę przez miesiące całe, prowadził mnie do teatru *Bouffons*, na koncert, na bal, gdzie miałem nadzieję spotkać kochankę. Kochanka! to była dla mnie niezależność. Lecz wstydliwy i nieśmiały, nie wtajemniczony wcale w język salonów, nie znający nikogo, powracałem z sercem zawsze tak samo

nowém i tak samo wzdętém pragnieniami. Potém nazajutrz, okiełznany, jak koń szwadronowy, przez ojca, szedłem od samego rana do adwokata, na Prawo, do Pałacu Sprawiedliwości. Chcieć zboczyć z drogi jednostajnéj, jaką mi ojciec nakreślił, było-to wystawić się na jego gniew; zagroził mi, że za pierwszém wykroczeniem wsadzi mnie na statek w charakterze chłopca okrętowego, i wyśle na Antylle. To też straszny dreszcz mnie przejmował, kiedy przypadkiem ośmieliłem się puścić na godzinę lub dwie na jaką zabawę. Wystaw sobie wyobraźnię najbardziéj włóczęgoską, serce najbardziéj kochliwe, duszę najczulszą, umysł najpoetyczniejszy, bezustannie w obecności człowieka najbardziéj kamiennego, najbardziéj hipokondrycznego, najbardziéj zimnego w świecie; wydaj zresztą młodą dziewczynę za mąż za szkielet, a zrozumiész życie, którego sceny ciekawe trzeba ci opowiedzieć: zamiary ucieczki spełzłe na niczém na widok ojca, rozpacze uspokojone przez sen, pragnienia stłumione, czarne melancholie rozproszone przez muzykę. Nieszczęście moje wydychałem w melodyach. Beethoven lub Mozart często byli mojemi powiernikami zaufanemi. Dziś uśmiecham się na wspomnienie wszystkich przesądów, jakie trwogą przejmowały moje sumienie w owéj epoce niewinności i cnoty; gdybym był postawił nogę w restauracyi, byłbym się uważał za zrujnowanego; wyobraźnia moja kazała mi uważać kawiarnie za miejsce rozpusty, gdzie mężczyzni wyzuwali się z honoru i zostawiali swoje majątki; co zaś do ryzykowania pieniędzy na grę, to trzeba było je mieć. Och! choćbym miał cię uśpić, muszę ci opowiedzieć jednę z najstraszniejszych uciech mego życia, jednę z tych uciech uzbrojonych w szpony, zagłębiające się w nasze serce jak rozpalone żelazo w ramię zbrodniarza. Byłem na balu u księcia de Navarreins, krewnego mego ojca. Ale, ażebyś zrozumiał doskonale moje położenie, musisz wiedzieć, że miałem ubranie wytarte, buty źle zrobione, krawat dorożkarza i rękawiczki już noszone. Wcisnąłem się w jakiś kącik, chcąc swobodnie zajadać lody i przypatrywać się ładnym kobietom. Ojciec mnie spostrzegł. Dla jakiegoś powodu, którego nigdy nie odgadłem, tak ten krok zaufania mnie ogłuszył, oddał mi swoję portmonetkę i klucze do przechowania. O dziesięć kroków ode mnie panowie grali. Słyszałem jak złoto padało. Miałem dwadzieścia lat i pragnąłem przepędzić dobę całą, zanurzywszy się w zbrodniach mojego wieku. Było-to wyuzdanie umysłu, którego podobizny nie znajdzie ani w kaprysach kurtyzanki, ani w snach młodych dziewczyn. Od roku marzyłem, ażeby być dobrze ubranym, w powozie, mieć piękną kobietę u boku, udawać pana, zjeść obiad u Very'ego, pójść wieczorem na widowisko, zdecydowany powrócić dopiéro nazajutrz do ojca, uzbroiwszy się przeciwko niemu

w przygodę bardziéj zagmatwaną niż z *Wesela Figara*, a z któréj niepodobieństwem by było mu się wywikłać. Całą tę uciechę szacowałem na pięćdziesiąt talarów. Czyż nie byłem jeszcze pod urokiem naiwnym *szkoły wagusowskiéj*. Poszedłem więc do buduaru, gdzie, sam, z oczami płonącemi, palcami drżącemi, liczyłem pieniądze ojca: sto talarów! Uciechy mojego wykradzenia się, wywołane przez tę sumę, zjawiły się przede mną, tańcząc jak czarownice Macbeth'a naokoło kotła, ale powabne, drgające, rozkoszne! Stałem się łajdakiem skończonym. Nie słuchając ani szumu w uszach, ani bicia przyspieszonego w sercu, wziąłem dwie sztuki dwudziestofrankowe, które widzę jeszcze. Ich daty były starte, a twarz Bonapartego wykrzywiała się na nich. Włożywszy portmonetkę do kieszeni, zwróciłem się w stronę stołu gry, trzymając dwie sztuki złota w dłoni wilgotnéj, i kręciłem się koło graczy jak krogulec po-nad kurnikiem. Trawiony obawą trudną do wyrażenia, rzuciłem nagle wzrok przejrzysty wokoło siebie. Upewniwszy się, że nikt ze znajomych mnie nie widzi, postawiłem za małym człowieczkiem tłustym i rozweselonym, na którego głowę nazbierałem więcéj modlitw i życzeń, niżby ich było potrzeba na morzu w czasie trzech burz. Potém, przez instynkt zbrodniczości czy machiawelizmu, zdumiewającego w moim wieku, stanąłem przy drzwiach, patrząc po-przez salony, w których nic nie widziałem. Dusza moja i oczy kręciły się koło fatalnego zielonego stolika. Od tego wieczoru datuje się pierwsze spostrzeżenie fizyologiczne, któremu zawdzięczam ten rodzaj przenikliwości, jaki pozwolił mi pochwycić kilka tajemnic naszéj dwoistéj natury. Odwróciłem się plecami do stołu, gdzie się rozgrywało moje szczęście, szczęście tém głębsze jeszcze, być może, że było zbrodnicze; pomiędzy dwoma graczami i mną znajdował się szpaler mężczyzn, złożony z czterech czy pięciu szeregów ludzi gawędzących; brzęczenie głosów nie pozwalało mi dosłyszéć dźwięku złota, który się mieszał z hałasem orkiestry. Pomimo wszystkich tych przeszkód, przez dar właściwy namiętnościom, który daje im władzę unicestwiania przestrzeni i czasu, słyszałem wyraźnie słowa obu graczy, poznawałem ich karty, wiedziałem, który z nich odwraca króla, jak gdybym widział talię; ostatecznie, o dziesięć kroków od gry bladłem na jéj kaprysy. Mój ojciec przesunął się nagle przede mną, i wtedy zrozumiałem te słowa Pisma Świętego: „Duch Boga przesunął się przed jego obliczem!“ Wygrałem. Po-przez wir mężczyzn, którzy krążyli koło graczów, przybiegłem do stolika wślizgując się ze zręcznością węgorza, który wymyka się przez rozerwane oko siatki. Z bolesnych, moje fibry stały się radosnemi. Byłem jako skazaniec, który, idąc na miejsce kary, spotkał króla. Przypadkiem, jakiś pan dekorowany upomniał

się o czterdzieści franków, których brakowało. Ponieważ podejrzywano mnie oczami niespokojnemi, zbladłem, a krople potu spływały mi po czole. Zbrodnia okradzenia ojca wydała mi się dobrze pomszczoną. Poczciwy gruby człowieczek rzekł wtenczas głosem z pewnością anielskim: „Wszyscy ci panowie postawili“, i zapłacił czterdzieści franków. Podniosłem głowę i rzuciłem na grających spojrzenie tryumfujące. Włożywszy do portmonetki ojca złoto, wyjęte stamtąd, pozostawiłem wygraną temu godnemu i uczciwemu panu, który daléj wygrywał. Kiedy zobaczyłem się posiadaczem stu sześćdziesięciu franków, zawinąłem je w chustkę, tak, ażeby nie mogły ani poruszać się, ani dzwonić podczas naszego powrotu do domu, i nie grałem już więcéj.

— Coś robił przy grze? — rzekł do mnie ojciec wsiadając do dorożki.

— Patrzyłem — odpowiedziałem drżąc.

— Ależ — odparł mój ojciec — nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdybyś był został zmuszony przez miłość własną do postawienia trochy pieniędzy na stole. W oczach ludzi światowych wydajesz się dosyć dojrzałym na to, ażebyś mógł mieć prawo popełniania głupstw. To téż miałbym cię za wytłómaczonego, gdybyś się był posłużył moją portmonetką...

Nie odpowiedziałem nic. Kiedyśmy już byli z powrotem, oddałem ojcu klucze i pieniądze. Wszedłszy do pokoju, wytrząsnął portmonetkę na kominek, przeliczył złoto, zwrócił się do mnie z miną dosyć przyjemną i odezwał się, rozdzielając słowa pauzami mniéj lub więcéj długiemi i znaczącemi:

— Mój synu, wkrótce będziesz miał dwadzieścia lat. Jestem z ciebie zadowolony. Potrzeba ci pensyi, choćby tylko dlatego, ażebyś nauczył się oszczędzać, znać sprawy życia. Począwszy od tego wieczoru, dawać ci będę sto franków miesięcznie. Oto pierwszy kwartał tego roku — dodał pieszcząc się ze stosem złota, jakby dla sprawdzenia sumy.

Przyznaję, że niewiele już brakowało do tego, ażebym mu się rzucił pod nogi i wyznał, że byłem łotrem, nędznikiem, i... gorzéj jeszcze niż to, bo kłamcą! Wstyd mnie wstrzymał. Już miałem go uściskać, kiedy mnie lekko odepchnął.

— Teraz jesteś już człowiekiem, *moje dziecko* — odezwał się do mnie. — To, co robię, jest rzeczą prostą i słuszną, za którą nie potrzebujesz mi dziękować. Jeżeli mam prawo do twojéj wdzięczności, Rafale — ciągnął tonem słodkim lecz pełnym godności — to za to, żem ustrzegł młodość twoję od nieszczęść, jakie pochłaniają wszystkich młodych ludzi w Paryżu. Odtąd będziemy dwoma przyjaciołmi. Za rok zostaniesz doktorem prawa. Odmawiając sobie

pewnych rzeczy nie bez przykrości, nabyłeś wiadomości gruntownych i zamiłowania do pracy, tak potrzebnych dla ludzi powołanych do zajmowania się interesami. Trzeba teraz, Rafale, ażebyś poznał mnie. Nie chcę robić z ciebie ani adwokata, ani notaryusza, lecz męża stanu, któryby mógł stać się chwałą naszego biednego domu. Do jutra! — dodał, żegnając mnie z wyrazem tajemniczym.

Od tego dnia, ojciec zapoznawał mnie otwarcie ze swojemi projektami. Byłem jedynakiem, a matkę straciłem przed dziesięciu laty. Niegdyś, ojciec mój, głowa domu historycznego, prawie już zapomnianego w Owernii, mało uszczęśliwiony prawem orania ziemi ze szpadą u boku, przyszedł do Paryża walczyć z biédą. Obdarzony sprytem, który ludziom z południa Francyi daje wyższość, kiedy towarzyszy mu energia, dobił się bez wielkiéj pomocy stanowiska w sercu samego rządu. Rewolucya pozbawiła go wkrótce majątku; lecz udało mu się ożenić z dziedziczką wielkiego domu i za cesarstwa doczekał chwili odzyskiwania dawnéj świetności przez naszę rodzinę. Restauracya, zwracając mojéj matce znaczne dobra, zrujnowała go. Kupiwszy niegdyś ziemie dane przez cesarza gienerałom, a położone w kraju obcym, porał się od dziesięciu lat z likwidatorami i dyplomatami, z trybunałami pruskiemi i bawarskiemi, dla utrzymania się przy posiadaniu wątpliwém tych nieszczęśliwych donacyj. Ojciec rzucił mnie w labirynt zawikłany tego obszernego procesu, od którego zależała nasza przyszłość. Mogliśmy byli być skazani na zwrot dochodów jak również i szacunku kilku porębów dokonanych od 1814-go do 1816-go roku; w tym wypadku, majątek mojéj matki zaledwieby wystarczył na ocalenie honoru naszego imienia. Tak więc, w dniu, w którym zdawało się, że ojciec do pewnego stopnia wyswobodził mnie, dostałem się pod jarzmo najobrzydliwsze. Musiałem walczyć jak na polu bitwy, pracować dzień i noc, chodzić za mężami stanu, starać się podchwycić ich religie, usiłować zainteresować ich naszą sprawą, uwodzić ich, ich żony, ich służących, ich psów, i przybierać to rzemiosło okropne w formy wykwintne, w żarty przyjemne. Zrozumiałem wszystkie smutki, których znamię było napiętnowane na twarzy mojego ojca. Przez rok prawie prowadziłem zatém życie człowieka światowego na pozór; ale to rozrywanie się i moja gorliwość w łączeniu się z krewnemi w łaskach lub z ludźmi, którzyby mogli być nam użytecznemi, kryły w sobie pracę olbrzymią. Moje rozrywki były jeszcze obronami, a moje rozmowy pamiętnikami. Aż dotąd byłem cnotliwy z powodu niemożności oddania się namiętnościom młodego człowieka; lecz z obawy spowodowania ruiny mojego ojca lub mojéj przez niedbalstwo, stałem się swoim własnym despotą, i nie

śmiałem pozwalać sobie ani na przyjemności, ani na wydatki. W młodości naszéj, kiedy ludzie i rzeczy, w skutek ocierania się, nie zdarły z nas jeszcze tego kwiatu delikatnego uczucia, téj zieloności, téj szlachetnéj czystości sumienia, która nie pozwala nam nigdy wchodzić w układy ze złém, czujemy żywo nasze obowiązki; nasz honor przemawia głośno i każe się słuchać; jesteśmy otwarci i bez wykrętów; takim téż byłem wówczas. Chciałem usprawiedliwić zaufanie ojca. Niedawno, byłbym mu skręcił rozkosznie nędzną sumkę; lecz dźwigając z nim ciężar jego spraw, jego imienia, jego domu, byłbym mu dał pokryjomu moje dobro, moje nadzieje, jak poświęciłem mu przyjemności; szczęśliwy nawet tém poświęceniem! To téż, kiedy pan de Villèle wygrzebał, naumyślnie dla nas, dekret cesarski o pozbawieniu praw, i zrujnował nas, podpisałem sprzedaż moich włości, zachowując tylko małą wysepkę bez wartości, leżącą na środku Ligery, na któréj znajdował się grób mojéj matki. Dziś, być może, nie zbrakłoby mi na argumentach, wykrętach, rozprawach filozoficznych, filantropijnych i politycznych, ażeby uwolnić się od zrobienia tego, co mój adwokat nazwał *głupotą*. Ale w dwudziestym pierwszym roku jesteśmy, powtarzam to, chodzącą wspaniałomyślnością, chodzącym zapałem, chodzącą miłością. Łzy, jakie widziałem w oczach ojca, były wtedy dla mnie najpiękniejszym z majątków, a wspomnienie tych łez często pocieszało mnie w moich nieszczęściach. W dziesięć miesięcy po spłaceniu wierzycieli, ojciec umarł ze zmartwienia. Uwielbiał mnie i dlatego zrujnował; ta myśl zabiła go. W 1825 roku, a w dwudziestym drugim mego życia, pod koniec jesieni, szedłem sam za pogrzebem pierwszego przyjaciela, mojego ojca. Niewielu młodych ludzi znalazło się tak samych ze swojemi myślami, za karawanem, zaprzepaszczonych w Paryżu, bez przyszłości, bez majątku. Sieroty podjęte przez dobroczynność publiczną mają przynajmniéj za przyszłość pole do walki, za ojca rząd lub prokuratora, za ostatnie schronienie szpital. Ja nie miałem nic! W trzy miesiące późniéj, komornik wręczył mi tysiąc sto dwanaście franków, jako pewny i czysty spadek po ojcu. Wierzyciele zmusili mnie do wyprzedania się z nieruchomości. Przyzwyczajony od dzieciństwa do nadawania wielkiéj wartości przedmiotom zbytku, któremi byłem otoczony, nie mogłem powstrzymać się od pokazania zdziwienia na widok téj skromnéj pozostałości.

— Och!—rzekł do mnie komornik—wszystko to było takie *rococo*.

Słowo straszne, które zbezczeszczało wszystkie religie mojego dziecinnego wieku i obdzierało mnie z pierwszych illuzyj, najdroższych ze wszystkich. Majątek mój streszczał się w wykazie sprzedaży, przyszłość leżała w worku płóciennym, ktory zawierał tysiąc sto dwanaście franków, społeczeństwo przedstawiało mi się

w osobie komornika, który mówił do mnie w kapeluszu na głowie. Lokaj, który mnie kochał, a któremu matka moja wyznaczyła kiedyś czterysta franków pensyi dożywotniéj, Jonatan, opuszczając dom, z którego tak często wyjeżdżałem wesoło w powozie za czasów mojego dzieciństwa, rzekł do mnie: „Bądź pan oszczędnym, panie Rafale!“ Poczciwina płakał.

Oto wypadki, mój kochany Emilu, które rządziły mojemi losami, zmodyfikowały moję duszę i postawiły mnie za młodu jeszcze na drodze najfałszywszéj ze wszystkich sytuacyj społecznych — rzekł Rafał po chwilowéj pauzie. Węzły rodzinne, ale słabe łączyły mnie z kilkoma domami, do których wstęp był mi wzbroniony z powodu mojéj dumy, jeżeli pogarda i obojętność nie zamknęły mi już pierwéj do nich drzwi. Jakkolwiek spokrewniony z osobami bardzo wpływowemi, nie miałem ani krewnych, ani protektorów. Dusza moja, bezustannie wstrzymywana w swych wylewach, zwróciła się ku sobie saméj. Pełen otwartości i naturalności, musiałem wydawać się zimnym i skrytym; despotyzm ojca odjął mi całą wiarę w siebie; byłem bojaźliwy i niezręczny, nie wierzyłem, ażeby mój głos mógł wywierać najmniejszą władzę, nie podobałem się sobie samemu, zdawało mi się, że jestem brzydki, wstydziłem się sam swojego wzroku. Pomimo głosu wewnętrznego, ktory powinien podtrzymywać ludzi talentu w ich walkach, a który wołał za mną: odwagi! naprzód! pomimo objawień nagłych mojéj potęgi w samotności, pomimo nadziei jaka mnie ożywiała przy porównywaniu dzieł nowych uwielbianych przez publiczność, z temi, które kręciły mi się w myśli, wątpiłem o sobie jak dziecko. Byłem ofiarą ambicyi nadzwyczajnéj; sądziłem, że jestem przeznaczony do wielkich rzeczy, a czułem się w nicości. Potrzebowałem ludzi, a znajdowałem się bez przyjaciół. Miałem utorować sobie drogę w świecie, i zostawałem na niéj sam, nie tyle jeszcze bojaźliwy ile zawstydzony. W roku, kiedy zostałem rzucony przez ojca w wir wielkiego towarzystwa, przyszedłem tam z sercem nowém, z duszą świeżą. Jak wszystkie wielkie dzieci, wzdychałem potajemnie do pięknych miłostek. Pomiędzy młodemi ludźmi w moim wieku spotykałem się z sektą fanfaronów, którzy chodzili z głowami podniesionemi do góry, mówiąc fraszki, zasiadając bez drżenia przy kobietach, które mi się wydawały najbardziéj nakazującemi poszanowanie, prawiąc niegrzeczności, gryząc koniec lasek, mizdrząc się, puszczając na wszeteczníctwo pomiędzy sobą najładniejsze osoby, kładąc lub utrzymując, że kładli głowy na wszystkich poduszkach, mając minę jakby odrzucali przyjemności, uważając kobiety najcnotliwsze za łup łatwy, dający się zdobyć prostém słowem, najmniejszym ruchem śmiałym, pierwszém spojrzeniem bezczelném! Oświadczam ci, na

moję duszę i sumienie, zdobycie sobie władzy lub wielkiéj sławy literackiéj wydawało mi się tryumfem mniéj trudnym do osiągnięcia, aniżeli powodzenie z kobietą wysokiego rodu, młodą, dowcipną i powabną. Wierzyłem, że zamęty mego serca, moje uczucia, moje religie, są w niezgodzie z maksymami społeczeństwa. Byłem śmiały lecz w duchu tylko, a nie w postępowaniu. Dowiedziałem się późniéj, że kobiety nie chciały, ażeby o nie żebrano; widziałem wiele z nich, które uwielbiałem, którym oddawałem serce do rozporządzenia, duszę do rozdarcia, energię nie lękającą się ani ofiar, ani udręczeń; a jednak należały one do głupców, którychbym nie chciał mieć za odźwiernych. Ileż razy, niemy, nieruchomy, uwielbiałem kobietę moich marzeń, zjawiając się na balu; i wtedy poświęcając w myśli moje istnienie pieszczotom wiecznym, wyciskałem wszystkie nadzieje w jedném spojrzeniu i ofiarowałem jéj w uniesieniu miłość młodego człowieka, który biegł naprzeciwko złudzeniom. W pewnych chwilach byłbym dał życie za jednę noc. I cóż! nie znalazłszy nigdy uszu, gdzieby rzucić słowa namiętne, spojrzeń, gdzieby dać odpocząć moim, serca dla mego serca, żyłem we wszystkich udręczeniach energii bezsilnéj, która się pożerała sama, bądź-to przez brak śmiałości lub sposobności, bądź też doświadczenia. Być może także, że straciłem nadzieję, ażebym mógł być zrozumianym, lub też drżałem, ażeby się nie skompromitować zabardzo. A jednak miałem zawsze burzę gotową na każde spojrzenie grzeczne, jakie ku mnie zwracano. Pomimo pochopności do brania tych spojrzeń lub tych słów, napozór przychylnych, za czułą zachętę, nie ośmieliłem się nigdy ani mówić, ani milczéć w samę porę. Względnie do uczucia, słowa moje były nic nieznaczącemi, a milczenie wydawało się się głupiém. Bezwątpienia, miałem zawiele naiwności jak na społeczeństwo sztuczne, które żyje przy świécach, które oddaje wszystkie swoje myśli przez frazesy umówione, lub w słowach podyktowanych przez modę. A przytém nie umiałem wcale mowić milcząc, ani milczéć mówiąc. Zresztą tłumiąc w sobie ognie, które mnie przepalały, mając duszę podobną do tych, z jakiemi życzyłyby sobie się spotkać kobiety żądne uniesień, posiadając energię, jaką się przechwalają głupcy, wszystkie kobiety znalazłem zdradziecko okrutnemi. To też uwielbiałem naiwnie bohaterów koteryi, kiedy głosili swoje tryumfy, nie przypuszczając w nich kłamstwa. Błędem moim bezwątpienia było pożądać miłości na słowo, chcieć znaléźć w sercu kobiety swawolnéj i lekkomyślnéj tę namiętność wielką, silną i szeroką, ten ocean, który burzliwie bił w mojém sercu. Och! czuć się urodzonym dla kochania, dla uszczęśliwienia kobiety, i nie znaléźć nikogo, nawet odważnéj i szlachetnéj Marceliny, nawet staréj jakiéj margrabiny! Nosić skarby w sakwach i nie módz

spotkać dziecka, jakiéjś młodéj dziewczyny ciekawéj, aby jéj pozwolić je uwielbiać! Często przychodziła mi ochota zabić się z rozpaczy.

— Tragiczny aż miło, tego wieczoru! — wykrzyknął Emil.

— Ech! pozwól mi potępiać się za moje życie — odparł Rafał. — Jeżeli twoja przyjaźń nie ma dość siły do słuchania moich elegij, jeżeli nie możesz zakredytować mi pół godziny nudów, śpij! Ale w takim razie nie żądaj ode mnie rachunku z mego samobójstwa, które huczy, które się podnosi, które mnie wzywa, a które pozdrawiam. Dla osądzenia człowieka trzeba posiadać przynajmniéj tajemnicę jego myśli, jego nieszczęść, jego wzruszeń; nie chcieć znać z jego życia więcéj nad wypadki materyalne, to zajmować się chronologią, historyą głupców!

Ton gorzki, z jakim te słowa były powiedziane, uderzył tak silnie Emila, że od téj chwili poświęcił całą uwagę Rafałowi, patrząc nań z miną głupowatą.

— Ale teraz — ciągnął opowiadający — światło, które barwi te wypadki, nadaje im nową postać. Porządek rzeczy, który uważałem niegdyś za nieszczęście, spłodził, być może, piękne zdolności, z jakich późniéj byłem dumny. Zaciekawienie filozoficzne, prace nadzwyczajne, zamiłowanie do czytania, które od siódmego roku aż do wejścia w świat stale wypełniało moje życie, czyż nie obdarzyły mnie łatwą potęgą, z jaką, jeżeli-bym miał wam wierzyć, umiem oddać myśli i iść naprzód w pole obszerne wiadomości ludzkich? Czyż zapomnienie, na jakie zostałem skazany, czyż przyzwyczajenie się do odpychania uczuć i do życia w swojém sercu tylko, nie wyrobiły we mnie władzy porównywania, rozmyślania? Nie zatracając się w usługach podrażnień światowych, które zmniejszają duszę najpiękniejszą i sprowadzają ją do stanu łachmana, czyż moja wrażliwość nie ześrodkowała się o tyle, że stała się narzędziem udoskonalonem woli wyższéj niż zachcianki namiętności? Niezrozumiany przez kobiety, przypominam sobie, że je obserwowałem z przenikliwością miłości wzgardzonéj. Teraz widzę, że szczerość mego charakteru musiała nie podobać się! A może kobiety chcą trochę hipokryzyi? Co do mnie, to jestem kolejno, w téj saméj godzinie, mężczyzną i dzieckiem, wietrznikiem i myślicielem, bez uprzedzeń i pełnym przesądów, często kobietą jak one; czyż więc nie mogły brać méj naiwności za cynizm, a czystości mojéj myśli za wyuzdanie? Nauka była dla nich nudą, omdlewanie kobiece słabością. Ta niezwykła ruchliwość wyobraźni, nieszczęście poetów, pozwalała mnie sądzić jako istotę niezdolną do miłości, niestałą w myślach, bez energii. Idyota, kiedy milczałem, przerażałem je prawdopodobnie, kiedy starałem się podobać, i dlatego mnie potępiły. Zgodziłem się,

we łzach i smutku, na wyrok wydany przez świat. Ta kara jednak wydała swoje owoce. Chciałem się zemścić na społeczeństwie, chciałem posiadać duszę wszystkich kobiet, podbijając umysły, i widzieć wszystkie spojrzenia zwrócone na mnie, kiedy moje imię będzie wymówione przez lokaja z progu salonu. W dzieciństwie już, uderzyłem się w czoło, mówiąc sobie jak Andrzej Chénier: „Tam jest coś!“ Zdawało mi się, że czuję w sobie myśl do wyrażenia, system do ugruntowania, naukę do wyjaśnienia. O mój drogi Emilu! dziś, kiedy mam dwadzieścia sześć lat zaledwie, kiedy jestem pewien, że umrę nieznany, nie będąc nigdy kochankiem kobiety, jaką pragnąłem posiadać, pozwól mi opowiedzieć ci moje szaleństwa! Czyż wszyscy, mniéj lub więcéj, nie braliśmy naszych pragnień za rzeczywistość? Ach! nie chciałbym za przyjaciela miéć młodego człowieka, który-by w swoich marzeniach nie wił wieńców, nie stawiał jakiegoś piedestału, lub nie dostarczał sobie kochanek nadskakujących. Co do mnie, to często byłem generałem, cesarzem; byłem Byronem, a potém niczém. Igrając na szczycie rzeczy ludzkich, spostrzegałem się, że wszystkie góry, wszystkie trudności były jeszcze do przebycia. Ta olbrzymia miłość własna, która we mnie wrzała, ta wiara najwyższa w przeznaczenie, która może staje się gieniuszem, kiedy człowiek nie pozwala nacinać sobie duszy przy zetknięciu się ze sprawami równie łatwo jak skop zostawiający wełnę na kolcach krzaków, którędy przechodzi, wszystko-to ocaliło mnie. Chciałem okryć się sławą i pracować na kochankę, którą spodziewałem się miéć pewnego dnia. Wszyst' kobiety streszczały się w jednéj, a tę kobietę spodziewałem się znaleźć w piérwszéj, jaka się nastręczy moim oczom; lecz ponieważ widziałem królowę w każdéj z nich, wszystkie one zatém powinny były, jak królowe, które są zmuszone robić piérwszy krok ku swoim kochankom, wyjść naprzeciwko mnie, biednemu, cierpiącemu i nieśmiałemu. Ach! dla téj, któraby mnie żałowała, miałem w sercu tyle wdzięczności po-za miłością, że byłbym ją uwielbiał przez całe jéj życie. Późniéj obserwacye nauczyły mnie strasznych prawd. To téż, mój kochany Emilu, byłem wystawiony na to, że miałem żyć sam. Kobiety są przyzwyczajone przez jakąś skłonność umysłu, do dostrzegania w człowieku talentu tylko jego wad, a w głupcu tylko jego zalet; doznają wielkich sympatyj dla zalet głupca, które są jedném wiecznem pochlebianiem ich własnym wadom, wtenczas kiedy człowiek wyższy nie przynosi im dosyć uciech na skompensowanie swoich niedoskonałości. Talent jest gorączką peryodycznie wracającą się, a żadnéj kobiecie nie chodzi o to, ażeby podzielać tylko choroby; wszystkie-by chciały znaleźć w kochankach motywy dla zadowolenia swych próżności. Siebie-to same kochają w nas! Człowiek biedny, dumny,

artysta, obdarzony władzą tworzenia, czyż nie jest uzbrojony w egoizm obrażający? Naokoło niego istnieje jakiś wir myśli, w jaki owija wszystko, nawet kochankę, która powinna iść za jego ruchem. Czyż kobieta, której pochlebiają, może wierzyć w miłość takiego człowieka! Czy pójdzie go szukać? Ten kochanek niéma czasu swobodnego do oddania się przy sofie owym drobnym małpowaniom wrażliwości, o które tyle chodzi kobietom, które są tryumfem ludzi fałszywych i nieczułych. Brak mu czasu na pracę, jakżeby więc mógł tracić go na poniżanie, na ośmieszanie się? Gotów oddać życie ryczałtem, nie był-by go spodlił detalicznie. Ostatecznie, w postępowaniu wekslarza, który załatwia interesy kobiety bladéj i mizdrzącéj się, istnieje coś nędznego, czém artysta się brzydzi. Miłość abstrakcyjna nie wystarcza człowiekowi biednemu i wielkiemu, który od niéj żąda wszystkich poświęceń się. Małe istoty, które przepędzają życie na przymierzaniu kaszmirów, lub które robią z siebie szaragi mody, nie znają poświęcenia, wymagają i widzą w miłości przyjemność rozkazywania, nie zaś słuchania rozkazów. Prawdziwa małżonka sercem, ciałem i kośćmi, pozwala się wlec tam, gdzie idzie ten, w którym mieści się jéj życie, jéj siła, jéj sława, jéj szczęście. Dla ludzi wyższych potrzeba kobiet wschodnich, których jedyną myślą było-by studyowanie ich potrzeb; dla nich nieszczęście jest w niezgodzie ich pragnień ze środkami. Ja, który uważałem się za gieniusz, lubiłem właśnie te małe kochanki! Żywiąc myśli tak sprzeczne z myślami przyjętemi, mając pretensyę do wdarcia się do nieba bez drabiny, posiadając skarby, które nie miały kursu, uzbrojony w wiadomości rozległe, obciążające mi pamięć, których jeszcze nie rozgatunkowałem, których sobie nie przyswoiłem nawet wcale; znajdując się bez krewnych, bez przyjaciół, sam wśród najstraszniejszéj pustyni, pustyni brukowanéj, pustyni ożywionéj, myślącéj, żyjącéj, gdzie wszystko jest dla was więcéj aniżeli nieprzyjaznem, obojętném! Postanowienie, jakie powziąłem, było naturalném, jakkolwiek szaloném; zawierało w sobie jakieś niepodobieństwo, które mi dodawało odwagi. Byto-to jakby partyą, którą grałem z sobą, gdzie byłem graczem i stawką. Oto mój plan. Moje tysiąc sto franków miało wystarczyć mi na życie przez trzy lata, bo tyle czasu potrzebowałem na stworzenie dzieła, któreby mogło ściągnąć uwagę publiczności na mnie, dać mi majątek lub imię. Cieszyłem się na myśl, że będę żył chlebem i mlekiem, jak samotnik z Tebaidy, zatopiony w świecie książek i myśli, w sferze nieprzystępnéj, wśród tego Paryża tak gwarnego, w sferze pracy i milczenia, gdzie, jak poczwarki, budowałem sobie grób, ażeby odrodzić się świetnym i sławnym. Narażałem się na śmierć, ażeby żyć. Redukując życie do jego potrzeb prawdziwych, do rzeczy nie-

odzownie koniecznych, uważałem, że trzysta sześćdziesiąt pięć franków rocznie powinno było wystarczyć mojéj biedzie. W istocie, ta nędzna suma była dostateczną dla mego życia, o tyle o ile chciałem zastosować się do mojéj własnéj reguły klasztornéj.

— To niepodobna — zawołał Emil.

— Tak żyłem blizko trzy lata — odparł Rafał z rodzajem dumy. — Liczmy — ciągnął daléj. — Trzy soldy na chleb, dwa soldy na mleko, trzy soldy na wędliny, nie pozwalały mi umrzéć z głodu i utrzymywały mój umysł w stanie jasnowidzenia szczególnego. Obserwowałem, wiesz, cudowne wpływy dyety na wyobraźnią. Mieszkanie kosztowało mnie trzy soldy dziennie, oliwy wypalałem za trzy soldy w noc, sam sprzątałem pokój, nosiłem koszule tylko flanelowe, ażeby na pranie nie wydawać więcéj nad dwa soldy dziennie. Paliłem w piecu węglem kamiennym, którego cena podzielona przez ilość dni w roku dawała dwa soldy za każdy dzień. Ubrania, bielizny, obuwia miałem na trzy lata, ponieważ ubierałem się tylko wtenczas, kiedy szedłem na pewne kursa publiczne i do bibliotek. Wszystkie te wydatki razem wynosiły osiemnaście soldów; tak więc zostawały mi się jeszcze dwa soldy na wydatki nieprzewidziane. Nie przypominam sobie, ażebym przez czas tego długiego peryodu pracy przeszedł na drugą stronę mostu *des Arts*, lub też chociaż raz kupił sobie wody; chodziłem po nią co rano do fontanny na placu Saint-Michel, przy rogu ulicy *des Grès*. Och! nosiłem moję biedę z dumą! Człowiek, który przeczuwa piękną przyszłość, idzie przez życie nędzy, jak niewinny prowadzony na miejsce kary; nie wstydzi się. Nie chciałem przewidywać choroby. Jak Aquilina, patrzyłem na szpital bez trwogi. Ani przez chwilę nie wątpiłem o mojém zdrowiu. Zresztą, biedny powinien kłaść się do łóżka wtenczas tylko, kiedy ma umrzéć. Obcinałem sobie włosy aż dotąd, kiedy anioł miłości czy dobroci... Lecz nie chcę uprzedzać położenia, do którego dochodzę. Dowiédz się tylko, mój drogi, że w braku kochanki, żyłem z wielką myślą, z marzeniem, z kłamstwem, w które wszyscy zaczynamy od tego, że mniéj lub więcéj wierzymy. Dziś śmieję się z siebie, z tego *siebie*, może świętego i wzniosłego, który już nie istnieje. Społeczeństwo, świat, nasze zwyczaje, nasze obyczaje, widziane z blizka, odsłoniły przede mną niebepieczeństwo mojéj wiary niewinnéj i zbyteczność moich prac gorliwych. Te prowianty są bezużyteczne dla człowieka ambitnego. Niech zapasy tego, kto goni za fortuną, będą lekkie! Błędem ludzi wyższych jest marnowanie lat młodocianych na to, ażeby się stać godnemi losu. Kiedy ludzie biedni ciułają siłę i naukę, chcąc nosić bez wysiłku ciężar potęgi, która przed niemi ucieka, intryganci, bogaci w słowa, a pozbawieni myśli, chodzą i przechodzą, zdumie-

wają głupców i usadawiają się w zaufaniu pół-główków; jedni uczą się, drudzy idą; jedni są skromni, drudzy odważni; człowiek genialny przemilcza swoję dumę, intrygant wywiesza swoję i dlatego koniecznie musi dopiąć swego. Ludzie władzy, tak silnie potrzebują wierzyć w zasługę urojoną, w talent bezczelny, że u prawdziwego uczonego dzieciństwem jest spodziewać się nagród ludzkich. Nie staram się z pewnością parafrazować miejsc pospolitych cnoty, Pieśni nad Pieśniami, śpiewanéj wiecznie przez gieniuszów zapoznanych; chcę tylko dedukować logicznie przyczynę tak częstego powodzenia osiągniętego przez ludzi miernych. Niestety! nauka jest tak macierzyńsko dobrą, że było-by zbrodnią żądać od niéj nagród innych niż uciechy czyste i błogie, jakiemi żywi swoje dzieci. Przypominam sobie, że niekiedy maczałem wesoło chleb w mleku, siedząc przy oknie, oddychając świeżém powietrzem, wodząc oczami po krajobrazie dachów ciemnych, szarych, czerwonych, łupkowych, glinianych, pokrytych mchem żółtym lub zielonym. Jeżeli z początku widok wydał mi się jednostajnym, to wkrótce jednak odkrywałem tam piękności niezwykłe. Bądź-to wieczorem, pasy świetlne, wybiegłszy z okiennic źle zamkniętych, cieniowały i ożywiały czarne głębie tego kraju oryginalnego; bądź téż jasności blade rewerberów rzucały z dołu refleksy żółtawe po przez mgłę i pokazywały słabo na ulicach falowania dachów ściśniętych; ocean bałwanów nieruchomych. Niekiedy, wreszcie, rzadkie figury zjawiały się wśród téj pustyni ponuréj, pomiędzy kwiatami jakiegoś ogrodu powietrznego; i widziałem, to profil zygzakowaty i krzywy staréj kobiety podlewającéj nasturcye, to znowu, w ramie dymnika zgniłego, jakąś młodą dziewczynę strojącą się, myślącą, że jest samą, a któréj tylko piękne czoło i długie włosy, podniesione w górę białą ręką, dostrzedz mogłem. W rynnach uwielbiałem niekiedy rośliny znikome, biedne istoty uniesione wkrótce przez jakąś burzę! Studyowałem mchy, ich kolory ożywione w skutek deszczu, które na słońcu przemieniały się w aksamit suchy i ciemny o przebłyskach dziwacznych. Ostatecznie, poetyczne i przelotne efekty światła dziennego, smutek mgły, nagłe iskrzenia się słońca, cisza i czary magiczne nocy, tajemnice jutrzenki, dymy każdego komina, wszystkie wypadki téj natury szczególnéj, odkąd stały się mojemi dobremi znajomemi, bawiły mnie.

Lubiłem moje więzienie, ponieważ było własnowolném. Te sawany Paryża, ukształtowane z dachów zniwelowanych jak płaszczyzna, które pokrywały przepaści zaludnione, przemawiały do mojéj duszy, harmonizowały z mojemi myślami. Nużącém jest znaleźć się nagle wśród ludzi, kiedy schodzimy z wysokości niebiańskich, dokąd nas zawiodły rozmyślania naukowe; to téż pojąłem wtedy doskonale nagość klasztorów. Kiedy postanowiłem ostatecznie iść

za swoim planem życia, szukałem mieszkania w dzielnicach Paryża najbardziéj odludnych. Pewnego wieczoru, powracając z *Estrapady* do siebie, przechodziłem ulicą *de Cordiers*. Na rogu ulicy *de Cluny* spostrzegłem małą dziewczynkę, mogącą mieć jakie czternaście lat, która grała w wolanta z jedną ze swych towarzyszek, bawiąc sąsiadów śmiechem i swojemi figlami. Było pięknie; wieczór był ciepły; wrzesień jeszcze się nie skończył. Przed każdą bramą kobiety, siedząc, gwarzyły jak w jakiém prowincyonalném mieście w dzień świąteczny. Zauważyłem przedewszystkiém młodą dziewczynę, która miała cudowny wyraz twarzy, a ciało jak gdyby dla pozowania do obrazu. Była to scena czarująca. Szukałem przyczyny téj dobroduszności wśród Paryża i spostrzegłem, że ulica nie prowadziła nigdzie i nie musiała być bardzo ruchliwą. Przypomniawszy sobie, że tu mieszkał J. J. Rousseau, odnalazłem hotel Saint-Quentin, a rudera, jaką on był, pozwoliła mi mieć nadzieję znalezienia tam legowiska niekosztownego, i dlatego postanowiłem obejrzéć ją. Wchodząc do pokoju niskiego, zobaczyłem klasyczne lichtarze mosiężne, opatrzone w świece, metodycznie ustawione po nad kluczami, i byłem uderzony czystością, jaka panowała w téj sali, zazwyczaj dość źle utrzymywanéj w innych hotelach, a która była tam jakby wymalowana w jakimś obrazku rodzajowym; łóżko niebieskie, naczynia, meble, odznaczały się kokieteryą natury konwencyonalnéj. Właścicielka hotelu, kobieta jakich czterdziestu lat wieku, któréj rysy wyrażały nieszczęścia, któréj spojrzenie było jakby zaćmione płaczem, podniosła się i wyszła naprzeciwko mnie; przedstawiłem jéj pokornie taryfę mego najmu; lecz, zamiast okazać zdumienie, poszukała klucza pomiędzy innemi, i zaprowadziła mnie na poddasze, gdzie pokazała mi pokój z widokiem na dachy, na podwórza domów sąsiednich, przez okna których wychodziły długie tyczki uginające się pod ciężarem bielizny. Nic wstrętniejszego nad to poddasze o ścianach żółtych i brudnych, które czuć było nędzą, i które wzywało do siebie swego uczonego. Dach spadał regularnie, a dachówki porozdzielane pozwalały widzieć niebo. Było miejsce na łóżko, stół i kilka krzeseł, a fortepian postawić mogłem pod ostrym kątem dachu. Nie mając dosyć pieniędzy na sprawienie mebli do téj klatki, godnéj *więzienia* weneckiego, biedna kobieta nie mogła jéj nigdy wynająć. Ponieważ wyłączyłem ze sprzedaży ruchomości, dopiero co dokonanéj, przedmioty, które były dla mnie do pewnego stopnia osobiste, wkrótce więc zgodziłem się z moją właścicielką hotelu, i nazajutrz wprowadziłem się do niéj. W tym grobie napowietrznym żyłem przez trzy lata prawie, pracując dzień i noc bez wytchnienia, z taką rozkoszą, że nauka wydawała mi się najpiękniejszą zagadką, najszczęśliwszém rozwiązaniem życia ludz-

kiego. Spokój i cisza, tak konieczne dla uczonego, mają w sobie coś błogiego i upajającego jak miłość. Uprawianie myśli, poszukiwanie idei, zastanawianie się spokojne nad nauką, dają nam rozkosze niezatarte, niepodobne do opisania, jak wszystko co należy do umysłu, którego zjawiska są nieuchwytne dla naszych zmysłów zewnętrznych. To też zawsze jesteśmy zmuszeni objaśniać tajemnice ducha przez porównania materyalne. Rozkosz pływania po jeziorze czystéj wody, wśród skał, drzew i kwiatów, samemu i pieszczonemu przez wiatr ciepły, dała-by nieświadomym rzeczy słabe wyobrażenie o szczęściu, jakiego doznawałem, kiedy moja dusza kąpała się w blaskach sam nie wiem jakiego światła, kiedy wsłuchiwałem się w głosy straszne i mętne natchnienia, kiedy obłoki nieznanego pochodzenia przesuwały się przez mój mózg drgający życiem. Widzieć myśl, która zakwita na polu abstrakcyj ludzkich jak słońce rano i jak ono podnosi się, która, lepiéj jeszcze, bo rośnie jak dziecko, dosięga wieku dojrzałości i staje się powoli męską, jest radością wyższą nad wszystkie inne radości ziemskie, lub raczéj jest rozkoszą boską. Nauka dodaje pewnego uroku wszystkiemu, co nas otacza. Biurko biedne, na którém pisałem, i skóra, jaką ono było pokryte, fortepian, łóżko, fotel, dziwactwa obicia papierowego, moje meble, wszystkie te przedmioty ożywiały się i stawały mojemi pokornemi przyjaciołmi, wspólnikami milczącemi mojéj przyszłości; ileż to razy dzieliłem się z niemi sercem, patrząc na nie! Często, pozwalając błądzić oczom po listwie spaczonéj, spotykałem rozwinięcia nowe, dowód oczywisty mojego systematu lub słowa, które uważałem za najwłaściwsze do oddania myśli prawie niepodobnych do wyrażenia. Ciągle wpatrując się w przedmioty, które mnie otaczały, znajdowałem w każdym z nich fizyognomię, charakter; często mówiły do mnie; jeżeli po nad dachami, słońce zachodząc, rzucało przez wąskie okno jakieś światełko przelotne, one zabarwiały się, lub rozweselały, zadziwiając mnie zawsze nowemi efektami. Te drobne wypadki życia samotnego, które wymykają się z pod uwagi świata, są pociechą więźniów. Czyż nie byłem pojmany przez myśl, uwięziony w systemacie, lecz podtrzymywany przez nadzieję życia pełnego chwały! Po każdéj trudności przełamanéj, całowałem ręce miękkie kobiety o pięknych oczach, wytwornéj i bogatéj, która miała pewnego dnia pieścić się z mojemi włosami, mówiąc do mnie z czułością: Wiele cierpiałeś, biedny aniele! Przedsięwziąłem dwa wielkie dzieła. Komedya miała za kilka dni dać mi rozgłos, majątek i wejście w ten świat, gdzie chciałem ukazać się, używając praw monarszych człowieka gienialnego. Wszyscy widzieliście w tém arcydziele pierwszy błąd młodego człowieka, który wychodzi ze szkoły, prawdziwe głupstwo dziecka. Wasze żarty obcięły skrzy-

dła obfitym iluzyom, które się od téj pory już nie podniosły. Ty tylko, mój drogi Emilu, ukoiłeś ranę głęboką, jaką inni zadali mi w sercе! Ty tylko uwielbiałeś moję *Teoryą woli*, to długie dzieło, dla którego nauczyłem się języków wschodnich, anatomii, fizyologii, któremu poświęciłem największą część mego czasu. Dzieło-to, jeżeli się nie mylę, uzupełni prace Muellera, Lavatera, Galla, Bichata, pokazując nową drogę nauce ludzkiéj. Tu zatrzymuje się moje piękne życie, ta ofiara ze wszystkich dni, ta praca jedwabnika nieznanego światu, którego jedyna nagroda jest pewnie w pracy saméj. Począwszy od wieku rozumowania aż do dnia, kiedy skończyłem moję teoryę, obserwowałem, uczyłem się, pisałem, czytałem bez wytchnienia, a życie moje było jak gdyby jedną długą pokutą. Kochanek zniewieściały lenistwa wschodniego, zakochany w marzeniach swoich, zmysłowy, pracowałem ciągle, odmawiając sobie kosztowania uciech życia paryskiego. Łakomiec, byłem wstrzemięźliwy; lubiąc przechadzki i podróże morskie, pragnąc zwiedzać kraje liczne, znajdując jeszcze przyjemność, jak dziecko, w zbijaniu kamieniami kaczek na wodzie, siedziałem wytrwale na krześle z piórem w ręku; gaduła, chodziłem w milczeniu słuchać profesorów na kursach publicznych w Bibliotece i Muzeum; spałem na tapczanie samotnie jak zakonnik reguły świętego Benedykta, a jednak kobieta była moją jedyną chimerą, z którą się pieściłem i która wciąż uciekała ode mnie! Niekiedy moje skłonności naturalne budziły się jak pożar od dawna tlejący. Przez rodzaj majaka czy szaleństwa napadającego żeglujących pod zwrotnikami, ja, wdowiec po wszystkich kobietach, tak ich pożądałem! pozbawiony wszystkiego i gnieżdżący się na poddaszu artysty, widziałem się w gronie kochanek czarujących! Przebiegałem ulice Paryża, wyciągnięty na miękkich poduszkach świetnego powozu! Byłem zjedzony przez występki, zatopiony w rozpuście, pragnąc wszystkiego, mając wszystko — wreszcie, pijany na czczo, jak święty Antoni w swoich pokusach. Na szczęście, sen ostatecznie przytłumiał te wizye pożerające; nazajutrz, nauka wzywała mnie z uśmiechem, i byłem jéj wiernym. Wyobrażam sobie, że kobiety, tak zwane cnotliwe, muszą padać często ofiarą tych wirów szaleństwa, pragnień i namiętności, jakie się podnoszą w nas, pomimo nas. Takim marzeniom nie brak czasu; bo czyż nie są podobne do tych gawęd wieczornych, w zimie, kiedy się wyjeżdża od swojego ogniska w podróż do Chin? Lecz czémże staje się cnota, podczas tych podróży rozkosznych, kiedy myśl zniosła wszystkie przeszkody? Podczas dziesięciu piérwszych miesięcy mego zamknięcia, pędziłem życie biédne i samotne, jak ci to już odmalowałem; chodziłem z rana, sam, niedostrzeżony przez nikogo, po zapasy na cały tydzień; sprzątałem pokój, byłem jednocześnie

panem i sługą, dyogienesowałem z trudną do uwierzenia dumą. Lecz później kiedy właścicielka hotelu i jéj córka wyszpiegowały moje obyczaje i zwyczaje, wybadały moję osobę i pojęły moję nędzę, być może dlatego, że same były bardzo nieszczęśliwe, pomiędzy niemi a mną zawiązały się stosunki nieuchronne. Paulina to czarujące stworzenie, którego wdzięki naiwne i tajemne do pewnego stopnia przywiodły mnie do tego, oddała mi kilka usług, jakich niepodobna mi było odrzucić. Wszystkie niedole są siostrami, mają jeden język, jednakową wspaniałomyślność, wspaniałomyślność tych, którzy nie posiadając nic, rozrzucają uczucia, płacą swoim czasem i swoją osobą. Nieznacznie Paulina rozgospodarowała się u mnie, postanowiła mi usługiwać, a matka nie opierała się temu wcale. Widziałem matkę samę, jak naprawiała moję bieliznę, czerwieniąc się, kiedym ją zszedł przy tém zajęciu miłosiernem. Zostawszy pomimowolnie ich protegowanym, musiałem przyjmować ich usługi. Ażeby zrozumieć tę dziwną życzliwość, trzeba znać uniesienie pracy, tyranię idei, i ten wstręt instyktowny, jakiego człowiek żyjący myślowo doznaje do drobiazgów życia materyalnego. Czyż mogłem oprzeć się delikatnéj grzeczności, z jaką Paulina przynosiła mi pocichu posiłek skromny, spostrzegłszy, że od siedmiu lub ośmiu godzin nic w ustah nie miałem? Z wdziękiem kobiety i prostotą dziecka, uśmiechała się, dając mi znak, jakby chciała powiedzieć, że nie mam na nią patrzyć. Był-to Aryel, wsuwający się sylf pod mój dach, i przewidujący moje potrzeby. Pewnego wieczoru, Paulina opowiedziała mi swoję historyę z prostotą wzruszającą. Jéj ojciec był dowódcą szwadronu grenadyerów konnych w gwardyi cesarskiéj. Przy przejściu Berezyny, kozacy wzięli go do niewoli; późniéj, kiedy Napoleon zaproponował wymianę, władze rosyjskie napróżno szukały go w całéj Syberyi; według innych więźniów miał jakoby uciec, mając zamiar dostać się do Indyj. Od tego czasu pani Gaudin, moja gospodyni, nie mogła zasięgnąć żadnéj wiadomości o swym mężu, jakkolwiek klęski 1814-go i 1815-go roku nadeszły; sama, bez środków i bez pomocy, postanowiła trzymać hotel meblowany dla wyżywienia córki. Ciągle jeszcze miała nadzieję zobaczyć męża. Najokrutniejszém dla niéj zmartwieniem było to, że musiała zostawić Paulinę bez edukacyi, swoję Paulinę, chrzestną córkę księżnéj Borghese, a która nie powinna-by były minąć się z piękném przeznaczeniem, jakie obiecywała jéj protektorka cesarska. Kiedy pani Gaudin zwierzyła mi się z tą gorzką boleścią, która ją zabijała, i zawołała z akcentem rozdzierającym: „Oddałabym chętnie i świstek papiéru, przez który Gaudin został baronem cesarstwa, i prawo, jakie mamy do donacyi Wistchnau, bylem wiedziała, że Paulina będzie się chować w Saint-Denis!“ zadrżałem nagle, i dla wywdzięczenia

się za starania, jakich mi obydwie kobiety nie szczędziły, powziąłem myśl zajęcia się dokończeniem edukacyi Pauliny. Szczerość, z jaką te dwie kobiety przyjęły propozycyę, równała się naiwności, która ją podyktowała. Tym sposobem miałem chwile rekreacyi. Mała mając wiele zdatności, uczyła się z taką łatwością, że wkrótce grała na fortepianie lepiéj ode mnie. Przyzwyczaiwszy się myśléć przy mnie na głos, roztaczała tysiące wdzięków serca, które się otwiera do życia, jak kielich kwiatu rozwiniętego przez słońce; słuchała mnie z namaszczeniem i przyjemnością, zatrzymując na mnie oczy czarne i aksamitne, które uśmiechały się niejako, wydawała lekcye głosem miłym i pieszczotliwym, okazując radość dziecinną, kiedy byłem z niéj zadowolony. Jéj matka, codzień bardziéj niespokojna o to, ażeby ustrzedz przed niebezpieczeństwem młodą dziewczynę, która, rosnąc, dotrzymywała wszystkich obietnic sformułowanych przez wdzięk dzieciństwa, widziała z przyjemnością, że ta całemi dniami zamykała się przy nauce. Ponieważ jedynie tylko moim fortepianem posługiwać się mogła, korzystała więc z każdéj mojéj nieobecności, ażeby się ćwiczyć. Wchodząc do siebie, zastawałem Paulinę w ubraniu jak najskromniejszém; lecz za najmniejszém poruszeniem jéj kibić wiotka i wdzięki jéj osoby objawiały się pod materyą grubą. Jak bohaterka z bajki *Ośla skóra*, miała nóżkę drobną w obuwiu haniebném. Lecz te skarby śliczne, to bogactwo młodéj dziewczyny, cały ten przepych piękności, były dla mnie jakby stracone. Rozkazałem sobie samemu, ażeby w Paulinie widzieć tylko siostrę, i byłbym był nabrał wstrętu do siebie, oszukując zaufanie matki. Uwielbiałem czarującą dziewczynę jak obraz, jak portret kochanki umarłéj. Wreszcie było-to moje dziecko, moja statua. Jako nowy Pigmaliom, z dziewicy żywéj i zabarwionéj, wrażliwéj i mówiącéj, chciałem zrobić marmur. Byłem dla niéj bardzo surowy; lecz im więcéj dawałem jéj uczuwać mój despotyzm nauczycielski, tém więcéj stawała się miłą i posłuszną. Jeżeli w mojéj skromności i wstrzemięźliwości podtrzymywany byłem przez uczucia szlachetne, to nie mniéj przeto na dowodach prokuratora nie brakowało mi również. Nie rozumiem prawości talarów bez prawości myśli. Oszukać kobietę lub zbankrutować, było dla mnie zawsze jedną i tą samą rzeczą. Kochać młodą dziewczynę lub pozwolić się kochać przez nią, stanowi prawdziwą umowę, któréj warunki powinny być dobrze rozumiane. Wolno nam opuścić kobietę, która się sprzedaje, ale nie młodą dziewczynę, która oddając się nie zna rozległości swojéj ofiary. Byłbym więc poślubił Paulinę, i to byłoby szaleństwem. Jakżebym mógł, wreszcie, wydać duszę łagodną i dziewiczą na straszne nieszczęścia? Moje ubóstwo przemawiało językiem egoistycznym i przychodziło zawsze kłaść swoję rękę

żelazną pomiędzy tém dobrém stworzeniem a mną. A przytém, przyznaję się do hańby, nie pojmuję miłości w nędzy. Być może, że to jest we mnie zepsuciem wypływającém z choroby ludzkiéj, którą nazywamy cywilizacyą; lecz kobieta choćby była tak pociągającą jak piękna Helena, Galatea Homera, nie ma żadnéj władzy nad mojemi zmysłami, jeżeli cokolwiek tylko jest zabłoconą. Ach! niech żyje miłość w jedwabiu, na kaszmirze, otoczona cudami zbytku, które ją stroją cudownie dobrze, ponieważ sama może jest zbytkiem. Lubię gnieść pod memi pożądaniami suknie nastroszone, łamać kwiaty, prowadzić ręką niszczycielską po wykwintnych gmachach stroju głowy napełnionego wonią. Oczy palące, skryte pod zasłoną koronkową, których spojrzenia przebijają, jak kiedy płomień rozdziera dym armaty, mają dla mnie pociąg fantastyczny. Moja miłość potrzebuje drabinek jedwabnych do wchodzenia w milczeniu, w noc zimową. Co za rozkosz przyjść, okryty śniegiem, do pokoju oświeconego zapachami, wybitego jedwabiami malowanemi, i znaleźć tam kobietę, która również ze śniegu się otrząsa; bo jakież inne imię dać tym zasłonom z muślinów drażniących zmysły, po przez które się ona rysuje niepewnie jak anioł w swoim obłoku, a skąd ma wyjść? A przytém potrzeba mi jeszcze bojaźliwego szczęścia, zuchwałego bezpieczeństwa. Wreszcie, chcę ujrzéć tę kobietę tajemniczą, ale jaśniejącą, ale wśród świata, ale cnotliwą, otoczoną hołdami, ubraną w koronki, dyamenty, wydającą rozkazy miastu, a tak wysoko postawioną i tak nakazującą poszanowanie, ażeby nikt nie śmiał zwrócić do niéj swych pragnień. Z pośrodka swojego dworu rzuca mi spojrzenie ukradkowe, spojrzenie, które zadaje kłam tym podstępom, spojrzenie, które poświęca dla mnie świat i ludzi! Z pewnością, sto razy wydawało mi się śmiesznością kochać kilka łokci koronki jedwabnéj, aksamitu, batystów cienkich, wysiłki fryzyera, świéce, karetę, tytuł, korony herbowe, malowane przez szklarzy lub wyrobione u złotnika, i nakoniec, wszystko to, co jest sztucznem, najmniéj kobiecém w kobiecie; drwiłem sam z siebie, rozumowałem; wszystko-to jednak naprożno. Kobieta arystokratyczna i jéj uśmiech wyszukany, dystynkcya w ruchach i jéj szanowanie saméj siebie, czarują mnie; kiedy stawia zaporę pomiędzy sobą a światem, tém samém pochlebia wszystkim moim zdrożnościom, które są połową miłości. Szczęście, którego mi wszyscy zazdroszczą, wydaje mi się jak gdyby było smaczniejszém. Nie robiąc nic z tego, co robią inne kobiety, nie chodząc, nie żyjąc jak ona, odziewając się w płaszcz, jakiego one mieć nie mogą, wydając zapach sobie tylko właściwy, moja kochanka wydaje mi się o wiele lepiéj; im więcéj oddala się od ziemi, nawet w tém, co miłość ma ziemskiego, tém więcéj pięknieje w moich oczach. We Francyi,

gdzie na szczęście dla mnie, od dwudziestu lat jesteśmy bez królowéj, kochałbym królową! Ażeby mieć ułożenie księżniczki, kobieta powinna być bogatą. Lecz, w porównaniu z mojemi fantazyami romantycznemi, czém-że była Paulina? Czy mogłaby mi sprzedać noce, które płaci się życiem, miłość, która zabija i wprowadza w grę wszystkie władze umysłowe? My nie umieramy wcale dla biednych dziewczyn, które się oddają! Nigdy nie mogłem zniszczyć tych uczuć ani tych marzeń poety. Urodziłem się do miłości niemożliwéj, a przypadek chciał, ażebym był obsłużony po-za mojemi życzeniami, Ileż-to razy ubierałem w atłas drobne nóżki Pauliny, ujmowałem jéj kibić, giętką jak młoda topola, w suknię z gazy, rzucałem na jéj pierś lekką szarfę, każąc jéj stąpać po dywanie pałacowym i prowadząc ją do powozu wytwornego! W ten sposób byłbym ją uwielbiał! Nadawałem jéj dumę, któréj nie miała, wyzuwałem ją ze wszystkich cnót, z jéj wdzięków naiwnych, z jéj naturalności rozkosznéj, z uśmiéchu prostego, chcąc ją pogrążyć w Styksie naszych występków, uczynić jéj serce nieczułém na rany, uróżować ją naszemi zbrodniami, zrobić z niéj lalkę dziwaczną naszych salonów, kobietę wybujałą, która idzie spać rano, ażeby odżyć wieczorem, przy jutrzence świéc. Paulina była chodzącém uczuciem, chodzącą świeżością, a ja chciałem ją mieć suchą i zimną. W ostatnich dniach mego szaleństwa, wspomnienie pokazało mi Paulinę tak samo jak nam maluje sceny naszego dzieciństwa. Po wiele kroć razy byłem rozczulony, myśląc o chwilach rozkosznych: bądź-to, że widziałem napowrót tę rozkoszną dziewczynę siedzącą przy moim stole, zajętą szyciem, spokojną, milczącą, zamyśloną i słabo oświeconą światłem, które, schodząc z mojego okna, znaczyło lekkie refleksy srebrne na jéj pięknych czarnych włosach; bądź-téż, że słyszałem jéj uśmiéch młody lub głos o dźwięku bogatym, kiedy śpiewała piosenki miluchne, które komponowała bez wysiłku. Często moja Paulina zapalała się grając, i wtedy jéj twarz przypominała mi w sposób uderzający szlachetną głowę, przez jaką Carlo Dolce chciał przedstawić Italię. Pamięć bezlitośna rzucała mi tę dziewczynę po przez wybryki mojego życia, jako wyrzuty sumienia, jego obraz cnoty! Lecz pozostawmy biedne dziecko jéj losowi! Jakkolwiek mogła-by być nieszczęśliwą, przynajmniéj byłbym ją uchronił od burzy okropnéj, starając się nie zaciągnąć jéj do mego piekła. Aż do zimy przeszłego roku, życie moje było życiem spokojném i pracowitém, którego słabe wyobrażenie dać ci usiłowałem. W piérwszych dniach grudnia 1829-go roku spotkałem Rastignac'a, który pomimo nędznego stanu mego ubrania, podał mi rękę i zapytał się o mój los z zajęciem prawdziwie braterskiém; wzięty na lep jego obejścia się, opowiedziałem mu pokrótce i moje życie i moje nadzieje: zaczął

się śmiać, i traktował mnie jako człowieka gienialnego i głupca zarazem. Jego głos gaskoński, jego znajomość świata i zamożność, jaką zawdzięczał swéj umiejętności działania, wpłynęły na mnie w sposób nieprzezwyciężony. Rastignac mnie, traktowanego jak dudek, uśmiercił w szpitalu, szedł za moim własnym pogrzebem, rzucił do jamy biednych. Mówił mi o szarlatanizmie z tym zapałem, którym porywa, przedstawiał mi wszystkich ludzi gienialnych jako szarlatanów. Oświadczył mi, że mam o jeden zmysł mniéj, zaród śmierci, jeżeli zostanę sam, przy ulicy *des Cordiers*. Według niego, powinienem wejść w świat, przyzwyczajać ludzi do wymawiania mego imienia, pozbyć się sam tego pokornego *pana*, który nie pasuje do wielkiego człowieka za życia.

— Głupcy — zawołał — nazywają ten zawód *intrygowaniem*, moraliści prześladują go pod nazwą *życia rozproszonego;* lecz nie zatrzymujmy się na ludziach, badajmy skutki. Pracujesz? A więc nigdy nic nie zrobisz. Ja jestem dobry do wszystkiego i do niczego, próżniak jak komar. Za to dokazałem wszystkiego. Rozpościeram się, rozpycham, i robią mi miejsce; chwalę się, a wierzą mi; zaciągam długi, które płacą! Rozpraszanie się, mój drogi, jest systemem politycznym. Życie człowieka, zajętego zjadaniem swego majątku, staje się często spekulacyą: umieszcza on kapitały na przyjaciołach, na przyjemnościach, na protektorach, na znajomościach. Kupiec ryzykuje milion, przez dwadzieścia lat nie śpi, nie pije, nie bawi się; wysiaduje milion, każe kłusować po całéj Europie; nudzi się, oddaje się wszystkim złym duchom, jakie człowiek wymyślił; potém likwidacya, jak to widziałem w czynie, zostawia go często bez solda, bez imienia, bez przyjaciela. Rozpraszacz bawi się życiem, pędzeniem swych koni. Jeżeli przypadkiem traci kapitały, ma szansę zostania poborcą głównym, ożenienia się dobrze, zostania sekretarzem ministra lub ambasadora. Ma ciągle przyjaciół, dobre imię i zawsze pieniądze. Znając sprężyny świata, manewruje niemi na swoję korzyść. I albo ten system jest logicznym, albo ja jestem prostym waryatem! Lecz czy to nie moralność, jaka się rozgrywa codzień w świecie? Twoje dzieło jest skończone — ciągnął po chwili — masz talent olbrzymi! Tak więc przybywasz do mojego punktu wyjścia. Trzeba teraz, ażebyś sam zrobił sobie powodzenie; to pewniejsze. Pójdziesz zawrzéć związki z koteryami, podbić kaznodziejów. Ja chcę należéć do połowy twéj sławy; będę jubilerem, który osadzi brylanty w twojéj koronie. Na początek — rzekł — bądź tu jutro wieczorem. Przedstawię cię w domu, gdzie bywa cały Paryż, nasz jedynie Paryż, Paryż pięknisiów, ludzi milionowych, znakomitości; wreszcie ludzi, którzy mówią złote słowa jak Chryzostom. Jeżeli ci ludzie uznają książkę, książka staje się modną;

jeżeli jest rzeczywiście dobrą, to widocznie wydali jakiś patent na gienialność, nie wiedząc o tém. Jeżeli masz głowę, moje dziecko drogie, zapewnisz sam los teoryi, pojmując lepiéj teoryę losu. Jutro wieczór zobaczysz piękną hrabinę Fedorę, kobietę będącą w modzie.

— Nigdy nie słyszałem o niéj.

— Jesteś Kafrem — zawołał Rastignac śmiejąc się. — Nie znać Fedory! Ależ-to kobieta na wydaniu, która posiada blizko osiemdziesiąt tysięcy franków dochodu, która nie chce nikogo, lub której nikt nie chce! Rodzaj zagadki kobiecéj: Paryżanka nawpół Rosyanka, Rosyanka nawpół Paryżanka! U niéj wydają się wszystkie utwory romantyczne, które nie wychodzą wcale; najpiękniejsza, najpowabniejsza kobieta w Paryżu! Nie jesteś nawet Kafrem; jesteś bydlęciem pośredniém, które łączy Kafra ze zwierzęciem. Do widzenia, do jutra!

Wykręcił się na pięcie i znikł, nie czekając na moję odpowiedź, gdyż nie przypuszczał, ażeby człowiek rozsądny mógł nie chcieć przedstawić się Fedorze. Ale jak wytłómaczyć urok imienia? *FEDORA* ścigała mnie jak zła myśl, z którą człowiek stara się pogodzić. Jakiś głos mówił mi: Pojdziesz do Fedory. Jakkolwiek walczyłem z tym głosem i krzyczałem doń, że kłamie, wszystkie moje rozumowania wniwecz obracał tém jedném słowem: Fedora. Lecz czy to imię i ta kobiéta nie były symbolem wszystkich moich pragnień, zadaniem mego życia? Imię obudzało poezye sztuczne świata, dodawało blasku uroczystościom arystokratycznego Paryża i świecidełkom próżności. Kobieta ukazywała mi się ze wszystkiemi zagadkami namiętności, któremi sobie zawróciłem głowę. A może nie była-to ani kobieta, ani imię, a tylko wszystkie moje wady, które podnosiły się do góry w mojéj duszy, aby mnie kusić na nowo. A przytém, czyż księżna Fedora, bogata i bez kochanka, opierająca się pokętom paryskim, nie była wcieleniem moich nadziei, moich wizyj? Stworzyłem sobie kobietę, odrysowałem ją w myśli, wymarzyłem. W nocy nie spałem, stałem się jéj kochankiem, wytrzymałem w kilku godzinach życie całe, życie miłości, raczyłem się w niém obfitemi, piekącemi rozkoszami. Nazajutrz, nie mając siły wytrzymać męczarni długiego czekania wieczoru, pożyczyłem sobie powieści, i przepędziłem dzień cały na czytaniu, stawiając się tym sposobem w niemożliwości myślenia i mierzenia czasu. W czasie czytania, imię Fedory brzmiało we mnie jak dźwięk, który słychać z oddalenia, który nas nie niepokoi, ale którego się słucha. Na szczęście posiadałem jeszcze czarne ubranie i białą kamizelkę w dosyć przyzwoitym stanie; pozatém, z całego majątku zostało mi się jakie trzydzieści franków, które porozsiewałem po manatkach, po szufladach, ażeby pomiędzy stusoldówką a mojemi fantazyami posta-

wić zaporę kolczastą z poszukiwania i przypadkowość podróżowania naokoło pokoju. W chwili ubierania się ścigałem mój skarb po przez ocean z papieru. Rzadkość monety brzęczącéj może ci dać pojąć, ile bogactw poszło na rękawiczki i dorożkę: zjadły mi one chleb za cały jeden miesiąc. Niestety! nigdy nam nie brak pieniędzy na nasze dziwactwa; dyskutujemy tylko cenę rzeczy użytecznych i potrzebnych. Rzucamy złoto bez troski baletnicom, a targujemy się z robotnikiem, którego rodzina zgłodniała czeka na zapłacenie rachunku. Ileż-to ludzi, mających frak za sto franków i dyament w gałce od laski, jé obiad za dwadzieścia pięć soldów! Zdaje się, że nie kupujemy nigdy dość drogo rozkoszy próżności.

Rastignac, wierny przyrzeczeniu, uśmiechnął się na widok mojéj metamorfozy i żartował sobie ze mnie; lecz, w drodze już do hrabiny, dał mi kilka łaskawych rad co do sposobu zachowywania się u niéj; odmalował mi jéj skąpstwo, próżność i podejrzliwość; ale skąpstwo z przepychem, próżność ze skromnością, podejrzliwość z dobrodusznością.

— Znasz moje zobowiązania — rzekł do mnie — i wiész, ilebym stracił zmieniając miłość. Obserwując Fedorę, byłem bezinteresowny, miałem zimną krew; moje uwagi więc powinny-by być słuszne. Myśląc o przedstawieniu cię jéj, pamiętałem o twym losie; miejże się więc na baczności ze wszystkiém, co jéj powiész, ponieważ posiada ona pamięć okrutną, zręczność mogącą przyprowadzić do rozpaczy dyplomatę: jest w stanie odgadnąć tę chwilę, kiedy on mówi prawdę; między nami zdaje mi się, że jéj małżeństwo nie jest uznane przez cesarza, gdyż ambasador rosyjski śmiał się, kiedy mówiłem mu o niéj. Nie przyjmuje jéj u siebie, i przy spotkaniu w Lasku, kłania się jéj bardzo z lekka. Niemniéj przeto, należy ona do towarzystwa pani de Sérizy, bywa u pani de Nucingen i de Restaud. We Francyi jéj dobre imię jest nietknięte; księżna de Carigliano, pani marszałkowa najbardziéj *wykrochmalona* z całéj koteryi bonapartystowskiéj, często przepędza z nią lato w swoim majątku. Wielu z młodych elegancików, między niemi syn para Francyi, ofiarowało jéj imię w zamian za majątek; wszystkich grzecznie wyprosiła za drzwi. A może jéj wrażliwość poczyna się dopiéro przy tytule hrabiego! Czyż nie jesteś margrabią? idź naprzód, jeżeli ci się podoba! Oto wskazówka, co mi się nazywa!

Ten żart jednak obudził we mnie myśl, że Rastignac chciał śmiać się i zaostrzyć moję ciekawość, tak, że moja namiętność zaimprowizowana doszła do paroksyzmu w chwili, kiedy zatrzymaliśmy się przed perystylem przybranym w kwiaty. Idąc po szerokich schodach pokrytych dywanami, gdzie zauważyłem staranie się o *komfort* angielski, serce mi biło; czerwieniłem się, zapierałem się

swojego charakteru, swoich uczuć, swojéj dumy, i byłem głupio filisterskim. Niestety! wychodziłem z poddasza po trzech całych latach biédy, nie umiejąc jeszcze umieścić po nad bagatelkami życia tych skarbów nabytych, tych olbrzymich kapitałów umysłowych, które nas zbogacają w jednéj chwili, kiedy władza dostaje się nam do rąk, nie przygniatając, ponieważ nauka urobiła nas zawczasu do walk politycznych. Ujrzałem kobietę mającą około dwudziestu dwu lat, średniego wzrostu, ubraną biało, otoczoną kołem mężczyzn, która leżała raczéj niż siedziała na kanapce, trzymając w ręku ekran piór. Na widok wchodzącego Rastignac'a podniosła się, podeszła ku nam, uśmiechnęła się z wdziękiem i powiedziała mi głosem melodyjnym komplement prawdopodobnie zawczasu przygotowany; nasz przyjaciel ogłosił mnie za człowieka z talentem, a jego zręczność, jego przesada gaskońska, wyjednały mi od razu przyjęcie pochlebne. Byłem przedmiotem uwagi szczególnéj, co mnie zmieszało; na szczęście, Rastignac mówił o mojéj skromości. Spotkałem się tam z uczonemi, z literatami, z byłemi ministrami, z parami Francyi. Rozmowa poszła swoim trybem w chwilę po mojém przyjściu; ja zaś czując, że wypadało mi podtrzymać dobrą opinię, usiłowałem nabrać otuchy; następnie, nie nadużywając głosu, kiedy mi go dano, starałem się streszczać dyskusye w słowach mniéj lub więcéj ciętych, głębokich lub dowcipnych. Wywarłem pewne wrażenie. Po tysiączny raz w życiu Rastignac był prorokiem. Kiedy było tylu już ludzi, że każdy mógł działać swobodnie, moj towarzysz podał mi ramię i zaczęliśmy się przechadzać po pokojach.

— Nie miéj-że miny człowieka zanadto oczarowanego przez księżnę — rzekł do mnie. — Mogłaby odgadnąć cel twojéj wizyty.

Salony były umeblowane ze smakiem wrawdziwie wytwornym. Widziałem tam obrazy wyborowe. Każdy pokój, jak u Anglików najbogatszych, miał swój charakter szczególny, a obicia jedwabne, ozdoby, kształt mebli i najdrobniejsze dekoracye zgadzały się z myślą pierwotną. W gotowalni gotyckiéj, któréj drzwi kryły się w firankach tkanych, oprawa materyi, zegar, rysunki tkanin, były w stylu gotyckim: sufit zrobiony z ciemnych belek rzeźbionych, przedstawiał na oko skrzynie pełne wdzięku i oryginalności; futrowania były artystycznie wypracowane: żaden szczegół nie psuł całości téj ładnéj dekoracyi, nawet okna, których szyby były kolorowane i drogocenne. Byłem zdumiony widokiem małego saloniku w stylu nowoczesnym, gdzie jakiś artysta zużył całą naukę naszéj dekoracyi, tak lekkiéj, świeżéj, wesołéj, bez blasku bez złoceń. Było-to romansowe i nieokreślone jak ballada niemiecka; prawdziwy zakątek zastosowany do namiętności z 1827-go roku, tchnący wonią

rzadkich kwiatów w żardynierkach. Po tym salonie zobaczyłem w amfiladzie pokój złocony, gdzie był wskrzeszony smak wieku Ludwika XIV-go, ktory z naszém malarstwem obecném tworzył kontrast dziwaczny, ale przyjemny.

— Wcale dobrze będziesz mieszkał — rzekł do mnie Rastignac z uśmiechem, w którym przebijała się lekka ironia. — Czyż-to nie ponętne? — dodał siadając.

Nagle podniósł się, wziął mnie za rękę i pokazał mi pod baldachimem z muślinu i białéj mory łóżko tchnące rozkoszą, słabo oświetlone, prawdziwe łóżko młodéj czarodziejki, narzeczonéj gieniusza.

— Czyż to — zawołał po cichu — nie bezwstyd, nie bezczelność, nie kokieterya nadmierna, pozwolić nam rozmyślać nad tym tronem miłości? Nie oddać się nikomu i przystać na to, ażeby cały świat składał tu swoje karty wizytowe! Gdybym był wolnym, chciałbym widzieć tę kobiétę pokorną i płaczącą u moich drzwi.

— Jesteś więc tak pewien jéj cnoty?

— Najzuchwalsi z naszych mistrzów, a nawet najzręczniejsi, przyznają się, że im się z nią nie udało, kochają ją jeszcze i są jéj przyjaciołmi życzliwemi. Czyż ta kobieta nie jest zagadką?

Te słowa obudziły we mnie rodzaj szału; moja zazdrość obawiała się już przeszłości. Drżąc z radości, wróciłem się nagle do salonu, gdziem był zostawił hrabinę, którą spotkałem w gotowalni gotyckiéj. Zatrzymała mnie uśmiéchem, kazała mi usiąść przy sobie, wypytywała się o moje prace i, jak się zdawało, interesowała się tém żywo, zwłaszcza kiedy tłomaczyłem jéj mój system w żartach, zamiast przemawiać językiem profesora, który-by rozwijał go po nauczycielsku. Miała minę, jakby ją to mocno bawiło, kiedy się dowiedziała, jakoby wola ludzka była tylko siłą materyalną, podobną do pary; że w świecie moralnym nic nie opiéra się téj potędze, kiedy człowiek przyzwyczaił się już koncentrować ją, używać jéj w masie, kierować stale na dusze rzuty téj cieczy; że taki człowiek mógłby dowolnie modyfikować wszystko odnośnie do ludzkości, a nawet same prawa bezwzględne natury. Zarzuty Fedory odsłoniły przede mną pewną wytworność jéj umysłu; robiło mi to przyjemność przyznawać jéj słuszność przez kilka chwil dla pochlebienia jéj, lecz wniwecz obracałem te rozumowania kobiece jedném słowem, zwracając jéj uwagę na fakt codzienny życia: sen, fakt pospolity napozór, lecz w gruncie rzeczy pełen zagadnień nierozwiązalnych dla uczonego, i zaostrzałem jéj ciekawość. Hrabina zamilkła na chwilę, kiedy jéj powiedziałem, że nasze ideje są istotami uorganizowanemi, zupełnemi, które żyją w świecie niewidzialnym i mają wpływ na nasze przeznaczenia, cytując jéj na dowód myśli Karte-

zyusza, Diderot'a, Napoleona, którzy prowadzili, którzy prowadzą jeszcze cały wiek. Ponieważ miałem zaszczyt ubawić kobietę tak wybredną, odeszła, prosząc mnie ażebym przyszedł ją odwiedzić; w stylu dworskim, otworzyła mi do siebie wielkie drzwi. Bądź-to, że, stosownie do mojego chwalebnego zwyczaju, przyjąłem formuły grzeczne za słowa serca, bądź-też, że Fedora widziała we mnie jakąś znakomitość w niedalekiéj przyszłości i chciała powiększyć swoję menażeryą uczonych, zdawało mi się, że się jéj podobałem. Przywołałem na pamięć wszystkie moje wiadomości fizyologiczne i studya uprzednie nad kobietą, chcąc zbadać szczegółowo podczas wieczoru tę szczególną osobę i jéj zachowanie się; ukryty we framudze okna, szpiegowałem jéj myśli, szukając ich w jéj postawie, studyując obroty gospodyni domu, która chodzi i przechodzi, siada i rozmawia, przywołuje mężczyznę, wypytuje go, i, słuchając, opiera się o futrynę drzwi. Zauważyłem w jéj chodzie ruch zmęczony tak łagodny, falowanie sukni tak wdzięczne, a ona sama wzbudzała pożądliwość tak potężnie, że zacząłem powątpiewać bardzo o jéj cnocie. Jeżeli Fedora nie przyznawała się dziś do miłości, to niegdyś jednak musiała być bardzo namiętną; lubieżność wyuczona malowała się nawet w sposobie jéj stawania przed człowiekiem, z którym mówiła: opierała się o odrzwia z kokieteryą, jak kobieta, która ma upaść, lecz zarazem jest gotową uciec, gdyby jakieś spojrzenie nazbyt żywe ją spłoszyło. Z rękami niedbale skrzyżowanemi, zdawało się, że oddycha słowami i słucha ich nawet wzrokiem, życzliwie, wyziewając z siebie uczucie. Jéj wargi świeże i czerwone rysowały się ostro na cerze żywéj białości. Włosy ciemne uwydatniały dosyć dobrze kolor pomarańczowy jéj oczu poprzecinanych żyłkami jak kamień florencki, których wyraz dodawał niejako finezyi jéj słowom. Wreszcie, pierś jéj była ubrana we wdzięki najbardziéj pociągające. Rywalka była-by może pomówiła o twardość gęste brwi, które jak gdyby stykały się, i potępiła nieuchwytny dla oka puszek, który zdobił kontury jéj twarzy, Widziałem namiętność wyciśniętą na wszystkiém. Miłość była wypisana na powiekach włoskich téj kobiety, na jéj pięknych ramionach godnych Wenery Milońskiéj, w rysach, na wardze niższéj nieco grubéj i lekko zasępionéj. Nie była-to kobieta, ale romans; tak, te okazałości kobiece, całość harmonijna linij, obietnice, jakiemi ta bogata budowa drażniła namiętność, były miarkowane przez uwagę ciągłą, przez skromność nadzwyczajną, które kontrastowały wyraźnie z całą jéj osobą. Potrzeba było obserwacyi tak bystréj jak moja, ażeby odkryć w téj naturze znaki przeznaczenia lubieżności. Dla jaśniejszego wytłómaczenia mojéj myśli, powiem, że w Fedorze były dwie kobiéty, rozdzielone, być może, przez biust; jedna była zimną, z głową tylko wido-

cznie kochliwą; zanim zatrzymała oczy na mężczyźnie, przygotowywała spojrzenie, jak gdyby zachodziło w niéj saméj coś tajemniczego, rzec-by można, coś konwulsyjnego w jéj oczach tak błyszczących. Ostatecznie, albo moja wiedza była niedoskonałą, i należało odkryć wiele jeszcze tajemnic w świecie moralnym, albo hrabina posiadała piękną duszę, któréj uczucia i emanacye dodawały jéj fizyonomii tego uroku, jaki nas podbija i oczarowywa, wpływ czysto moralny i tém potężniejszy jeszcze, że zgadza się z sympatyami pożądania. Wyszedłem zachwycony, uwiedziony przez tę kobiétę, upojony jéj przepychem, połechtany we wszystkiém, co moje serce miało szlachetnego, występnego, dobrego i złego. Czując się tak wzruszonym, tak żywym, tak pobudzonym, zrozumiałem ten pociąg, który sprowadzał tam tych artystów, tych dyplomatów, tych ludzi władzy, tych giełdowiczów podbitych blachą jak ich kasy; bezwątpienia przychodzili szukać przy niéj wzruszenia przyprowadzającego do szału, które wprawiało w drżenie wszystkie siły mojéj istoty, podcinało krew w najmniejszéj żyłce, podrażniało najdrobniejsze nerwy i drgało w mózgu. Nie oddała się żadnemu, ażeby zatrzymać ich wszystkich. Kobieta jest kobietą o tyle, o ile nie kocha.

— A przytém — mówię do Rastignac'a — została poślubioną lub sprzedaną jakiemu starcowi, i wspomnienie pierwszego małżeństwa przejmuje ją wstrętem do miłości.

Powróciłem pieszo z przedmieścia *Saint-Honoré*, gdzie Fedora mieszka. Pomiędzy jéj pałacem a ulicą *des Cordiers* jest cały prawie Paryż; lecz, jakkolwiek było zimno, droga wydała mi się krótką. Przedsięwziąć podbijanie serca podczas zimy, zimy twardéj, nie mając trzydziestu nawet franków w kieszeni, kiedy odległość, która nas rozdzielała, była tak wielką! Tylko młodzieniec biedny może wiedzieć, ile namiętność kosztuje w dorożkach, w rękawiczkach, we frakach, w bieliźnie, etc. Jeżeli miłość trwa nieco dłużéj platonicznie, staje się rujnującą. Istotnie, nie brak Lauzun'ów ze szkoły prawa, dla których niepodobieństwem jest zbliżyć się do namiętności mieszkającéj na pierwszém piętrze. I jakżeż ja, słaby, cienki, ubrany skromnie, blady, wynędzniały jak artysta przychodzący do zdrowia po swojém dziele, mogłem walczyć z ludźmi pięknie ufryzowanemi, ładnemi, wystrojonemi, wykrawatowanemi tak, że byliby w stanie przyprowadzić do rozpaczy całą Kroacyę, bogatemi, uzbrojonemi w tilbury i ubranemi w impertynencyę?

— Ba! Fedora albo śmierć! — zawołałem na zakręcie jakiegoś mostu. — Fedora, to los!

Piękna gotowalnia gotycka i salon w stylu Ludwika XVI-go przesunęły mi się przed oczami; widziałem na nowo hrabinę w białéj sukni, jéj wielkie rękawy pełne wdzięku, i jéj chód ujmu-

jący, i jéj pierś kusicielską. Kiedy przyszedłem na poddasze nagie, zimne, równie źle utrzymane jak peruka naturalisty, byłem jeszcze otoczony obrazami zbytku Fedory. Ten kontrast był złym doradcą; w ten sposób muszą powstawać zbrodnie. Wtenczas, drżąc z wściekłości, złorzeczyłem swojéj nędzy przyzwoitéj i uczciwéj, swojemu poddaszu płodnemu, gdzie tyle myśli się urodziło. Zażądałem rachunku od Boga, od dyabła, od stanu cywilnego, od mojego ojca, od świata całego, od mego losu, od mego nieszczęścia; położyłem się do łóżka całkiem głodny, mrucząc śmieszne przekleństwa, lecz zdecydowany podbić Fedorę. To serce kobiety było ostatnim losem na loteryę, obowiązanym zapewnić mi majątek. Daruję ci moje pierwsze wizyty u Fedory, ażeby dojść prędzéj do dramatu. Usiłując ciągle zwrócić się do duszy téj kobiety, probowałem pozyskać jéj umysł, mieć za sobą jéj próżność. Chcąc być napewno kochanym, dawałem jéj tysiące powodów do kochania bardziéj saméj siebie. Nie pozostawiłem jéj nigdy w stanie obojętności; bo kobiety chcą wzruszeń za jaką bądź cenę; to téż szafowałem niemi; wolałbym był widzieć ją raczéj rozgniewaną aniżeli niedbającą o mnie. Jeżeli z początku, ożywiony silną wolą i pragnieniem rozkochania jéj we mnie, cokolwiek wziąłem nad nią górę, to wkrótce namiętność moja tak spotężniała, że nie byłem już panem siebie, popadłem w prawdę, zgubiłem się i stałem się zakochanym do szaleństwa. Nie wiem dobrze, co w poezyi lub rozmowie nazywamy *miłością*; lecz uczucia, jakie nagle rozwinęło się we mnie, nie znalazłem odmalowanego nigdzie, ani we frazesach retorycznych i przyrządzonych J. J. Rousseau, po którym może zajmowałem mieszkanie, ani w zimnych pomysłach naszych dwu ostatnich wieków literackich, ani w obrazach włoskich. Widok jeziora Bienne, kilka motywów Rossini'ego, Madonna Murilla, jaką posiada marszałek Soult, listy pani Lescombat, niektóre zdania urywkowe w zbiorach anegdot, a zwłaszcza modlitwy ekstatyków i kilka ustępów z naszych średniowiecznych poematów, mogą jedynie przenieść mnie w boskie kraje mojéj pierwszéj miłości. Nic w języku ludzkim, żadne tłómaczenie myśli, wyrażone za pomocą kolorów, marmurów, słów lub dźwięków, nie było-by w stanie oddać nerwowości, prawdy, skończoności, nagłości uczucia w duszy! Tak! kto mówi sztuka, mówi kłamstwo. Miłość ulega przemianom nieskończonym, zanim się zmiesza z naszém życiem i zabarwi je na zawsze swoim kolorem płomiennym. Tajemnica tego nasiąkania niewidzialnego wymyka się z pod analizy artysty. Prawdziwa namiętność wyraża się w krzykach, w westchnieniach nudnych dla człowieka zimnego. Trzeba kochać naprawdę, ażeby przy czytaniu *Klarysy Harlowe* ryczéć wespół z Lowelasem. Miłość jest źródłem naiwném, które, wypłynąwszy ze swego łożyska z rzerzuchy, kwiatów i żwiru, zmienia

się jako potok, jako rzeka, pod względem natury i wyglądu, z każdą falą, i rzuca się w ocean bezmierny, gdzie umysły niepełne widzą jednostajność, gdzie dusze wielkie zaprzepaszczają się w ciągłych rozmyślaniach. Jakże tu śmieć opisać te barwy przejściowe uczucia, to nic, która ma tak wielką wartość, te słowa, których akcent wyczerpuje skarby języka, te spojrzenia bardziéj płodne aniżeli najbogatsze poematy? W każdéj ze scen tajemniczych, przez jakie rozszalewamy się nieznacznie w kobiecie, otwiera się przepaść mogąca pochłonąć wszystkie poezye ludzkie. Ech! jakże bylibyśmy w stanie odtworzyć glossami żywe i tajemnicze wstrząśnienia duszy, kiedy brak nam słów na odmalowanie tajemnic widzialnych piękności? Co za urok! Ileż-to godzin zostawałem pogrążony w uniesieniu niewypowiedzianém, zajęty *widzeniem jéj!* Szczęśliwy czém? nie wiem. W takich chwilach, jeżeli jéj twarz oblaną była światłem, dokonywało się tam jakieś zjawisko, które dodawało jéj blasku; puszek niedostrzeżony, złocący jéj skórę delikatną i wytworną, rysował miękko kontury z wdziękiem, jaki uwielbiamy w liniach odległych widnogręgu, kiedy się gubią w słońcu. Zdawało się, że światło pieściło ją, łącząc się z nią, albo, że z jéj promieniejącéj twarzy wyrywała się jasność żywsza od jasności saméj; potém, cień przesuwający się po téj twarzy łagodnéj wytwarzał rodzaj koloru, który urozmaicał ekspresyą, przemieniając w niéj barwy. Często zdawało się, że myśl malowała się na jéj czole z marmuru, że oko czerwieniło się, że powieki drgały, że jéj rysy, poruszane przez uśmiéch, falowały; koral wyraźny jéj warg ożywiał się, zwijał się i rozwijał; jakiś refleks jéj włosów rzucał tony ciemne na policzki świeże: przy każdém zdarzeniu mówiła. Każdy odcień jéj piękności przedstawiał nową uroczystość dla oczu, odsłaniał wdzięki nieznane przed mojém sercem. Chciałem doczytać się uczucia nadziei we wszystkich odmianach jéj twarzy. Te rozmowy nieme przenikały z duszy w duszę i dostarczały mi uciech przelotnych, które pozostawiały wrażenia głębokie. Głos jéj wprawiał mnie w szał, który z trudnością tylko mogłem powstrzymać. Naśladując jakiegoś księcia lotaryńskiego, mógłbym był nie czuć węgla rozpalonego w dłoni, przez czas kiedy ona przesuwałaby swoje palce łaskotliwe po moich włosach. To nie było już uwielbieniem, ani pożądaniem, ale urokiem, fatalnością. Często, wróciwszy pod swój dach, widziałem niewyraźnie Fedorę u niéj i w sposób nieokreślony dzieliłem z nią życie. Jeżeli cierpiała, ja cierpiałem także i mówiłem jéj nazajutrz: — Pani cierpiałaś! — Ileż razy przychodziła wśród ciszy nocnéj, wywołana potęgą mego uniesienia! To raz, nagle jak światło, ktore wytryskuje, poskramiała moje pióro, przestraszała Naukę i Pracę, które z rozpaczą uciekały; zmuszała mnie do uwiel-

biania jéj, stając w pozie ujmującéj, w jakiéj widziałem ją kiedyś. To znowu szedłem sam naprzeciw niéj w świat duchów i witałem ją jako nadzieję, prosząc, aby pozwoliła mi usłyszéć swój głos srebrny; poczém budziłem się płacząc. Pewnego dnia, przyrzekłszy, że pójdzie ze mną na widowisko, nagle postanowiła nie wyjść i prosiła mnie, ażebym pozostawił ją samę. Zrozpaczony przeciwieństwem, które mnie kosztowało cały dzień pracy i, mamże to powiedzieć? ostatniego talara, poszedłem tam, gdzie ona miała być, chcąc zobaczyć przynajmniéj sztukę, jaką ona pragnęła widzieć. Zaledwie usiadłem, dostałem cios elektryczny w serce. Jakiś głos odezwał się do mnie: Ona jest tam! Odwracam głowę, i spostrzegam hrabinę ukrytą w cieniu, w głębi loży na parterze. Moje spojrzenie nie zawahało się, oczy znalazły ją od razu w skutek jasnowidzenia bajecznego, a moja dusza uleciała ku jéj życiu jak owad, który leci w stronę swego kwiatka. Co uprzedziło moje zmysły? Są drżenia sympatyczne, które mogą zdumiewać ludzi powierzchownych; lecz te zjawiska naszéj natury wewnętrznéj są równie proste, jak zjawiska zwyczajne naszego widzenia zewnętrznego; to téż nie byłem zdziwiony, ale rozgniewany. Badania nad naszą potęgą moralną, tak mało znaną, dostarczały mi przynajmniéj w téj namiętności kilka żywych dowodów mojego systemu. To złączenie uczonego i kochanka, prawdziwego ubóstwienia i miłości naukowéj, miało w sobie coś dziwacznego. Nauka była często zadowoloną z tego, co przyprowadzało do rozpaczy kochanka, i kiedy tamten sądził, że tryumfuje, kochanek wypędzał daleko od siebie Naukę ze szczęściem.

Fedora widziała mnie i spoważniała; widocznie wprowadzałem ją w przykre położenie. Przy pierwszym antrakcie poszedłem jéj oddać wizytę. Ponieważ była samą, zostałem. Jakkolwiek nigdyśmy nie mówili o miłości, przeczuwałem tłómaczenie się. Nic jeszcze nie powiedziałem jéj o mojéj tajemnicy, a jednak pomiędzy nami istniał rodzaj wyczekiwania: zwierzała mi się ze swojemi projektami zabaw, i pytała mię się w wilię z rodzajem niepokoju pochlebnego dla mnie, czy przyjdę nazajutrz; badała mnie spojrzeniem, ile razy powiedziała jakie słowo dowcipne, jak gdyby mnie wyłącznie chciała się była podobać; jeżeli dąsałem się, stawała się pieszczotliwą; jeżeli udawała zagniewaną, miałem do pewnego stopnia prawo wypytywania się jéj; jeżeli byłem winien jakiegoś przekroczenia, długo pozwalała się błagać, zanim mi przebaczyła. Te sprzeczki, w których zasmakowaliśmy, były pełne miłości. Ona rozwijała tyle wdzięku i kokieteryi, a ja znajdowałem w nich tyle szczęścia! W téj chwili nasza zażyłość była całkiem zawieszoną, i pozostawaliśmy, jedno wobec drugiego, jak dwoje ludzi obcych. Hrabina była lodowatą; ja zaś obawiałem się nieszczęścia.

— Pan mnie odprowadzisz — odezwała się do mnie po skończeniu sztuki.

Pogoda zmieniła się nagle. Kiedyśmy wyszli, padał śnieg pomieszany z deszczem. Powóz Fedory nie mógł zajechać aż pod bramę teatru. Widząc, że kobieta dobrze ubrana była zmuszoną przejść przez bulwar, posłaniec otworzył parasol nad naszemi głowami, i zażądał wynagrodzenia za swoję usługę, kiedyśmy wsiedli do powozu. Nie miałem; byłbym wtedy sprzedał dziesięć lat życia, byle mieć dwa soldy. Wszystko, co stanowi człowieka i jego tysiączne próżności, zostało zgniecione we mnie przez boleść piekielną. Te słowa: Nie mam drobnych, mój drogi! były powiedziane tonem przykrym, który, zdawało się, że pochodził z mojéj namiętności doznającéj przeszkód, powiedziane przeze mnie, brata tego człowieka, przeze mnie, którym tak dobrze znał nędzę! przeze mnie, który kiedyś oddałem siedemkroć tysięcy franków z taką łatwością! Lokaj odepchął posłańca, i konie zaczęły pruć powietrze. Przyjechawszy do domu, Fedora roztargniona czy téż udająca zajęcie, odpowiadała na moje pytania pogardliwemi monosylabami. Zachowywałem milczenie. Była-to chwila okropna. Przybywszy do niéj, usiedliśmy przed kominkiem. Kiedy lokaj, roznieciwszy ogień, wycofał się z pokoju, hrabina zwróciła się do mnie z miną nieokreśloną i odezwała się z rodzajem uroczystości w głosie:

— Odkąd powróciłam do Francyi, mój majątek był pokusą dla kilku młodych ludzi: słuchałam oświadczeń się z miłością, które mogłyby były zadowolnić moję dumę; spotkałam ludzi, których przywiązanie było tak szczere i tak głębokie, że byli-by się ze mną ożenili jeszcze wtenczas nawet, kiedy-by znaleźli we mnie tylko biedną dziewczynę, jaką byłam kiedyś. Wreszcie dowiedz się pan, panie de Valentin, że nowe bogactwa i nowe tytuły ofiarowane mi niedawno; lecz musisz wiedzieć także, że nigdy nie chciałam widzieć więcéj ludzi tak źle usposobionych, że aż mówiły mi o miłości. Jeżeli moje uczucie dla pana było lekkomyślne, nie dam panu ostrzeżenia, w którémby nie było więcéj przyjaźni niż dumy. Kobieta wystawia się na rodzaj zniewagi, jeżeli, przypuszczając, że jest kochaną, nie pozwala zawczasu na uczucie zawsze dla niéj pochlebne. Znam sceny Arsynoi, Araminty, i dlatego zbratałam się z odpowiedziami, jakie mogłabym usłyszéć w podobnéj okoliczności, sądzę jednak dziś, że nie będę źle sądzoną przez człowieka wyższego za to, żem otwarcie pokazała mu duszę.

Wyrażała się z zimną krwią adwokata, notaryusza, objaśniającego klientom środki procesu lub artykuły umowy. Dźwięk jasny i ujmujący jéj głosu nie zdradzał najmniejszego wzruszenia; jéj twarz tylko i postawa zawsze szlachetne i przyzwoite, wydawały

mi się, jak gdyby były przejęte chłodem i oschłością dyplomatyczną. Musiała bezwątpienia obmyślać słowa i ułożyć program sceny! Och! mój drogi, kiedy pewne kobiety znajdują przyjemność w rozdzieraniu nam serca, kiedy założyły sobie zagłębić tam sztylet i zakręcić nim w ranie, — kobiety te są urocze, ponieważ kochają lub chcą być kochanemi! Pewnego dnia odpłacą się nam za nasze cierpienia, jak Bóg ma, stosownie do tego co mówią, wynagrodzić nas za dobre uczynki—stokroć zapłacą nam w rozkoszach za to złe, którego gwałtowność oceniają same, bo czyż złośliwość ich nie jest pełną namiętności? Ale być dręczonym przez kobietę, która nas zabija obojętnie, czyż to nie męka okrutna? W téj chwili Fedora stąpała, nie wiedząc o tém, po wszystkich moich nadziejach, łamała moje życie i niszczyła przyszłość z zimną beztroskliwością i niewinném okrucieństwem dziecka, które przez ciekawość obrywa skrzydła motylowi.

— Później — dodała Fedora — poznasz pan, jak sądzę, trwałość uczucia, jakie mam dla przyjaciół. Dla nich znajdziesz mnie pan zawsze dobrą i pełną poświęceń. Umiałabym oddać dla nich życie, lecz pogardzałbyś pan mną, gdybym uległa ich miłości, nie podzielając jéj. Nie idę daléj. Pan jesteś jedynym jeszcze człowiekiem, któremu powiedziałam te ostatnie słowa.

Z początku brakło mi wyrazów i z trudem tylko udało mi się pohamować burzę, która podniosła się we mnie; wkrótce jednak wparłem wrażenia w głąb' duszy i zacząłem się uśmiechać.

— Jeżeli powiem, że panią kocham — odpowiedziałem — wypędzisz mnie pani; jeżeli oskarżę się o obojętność, ukarzesz mnie za to. Księża, urzędnicy i kobiety nie pozbywają się nigdy swéj sukni całkowicie. Milczenie nie pozwala przesądzać o niczém, uważaj pani to za dobre, że milczę. Ażeby zwrócić się do mnie z tak przyjacielskiemi ostrzeżeniami, musiałaś pani obawiać się mnie zgubić, i ta myśl mogłaby zadowolnić moję dumę. Lecz pozostawmy zdala osobistość. Pani jesteś może jedyną kobietą, z którą mógłbym dyskutować, jako filozof, o rozwiązaniu tak sprzecznem z prawami natury. Odnośnie do innych osobników pani gatunku, jesteś pani zjawiskiem. A więc, szukajmy razem, w dobréj wierze, przyczyny téj anomalii psychologicznéj. Czy istnieje w pani, jak u wielu kobiet dumnych z siebie, zakochanych w swojéj doskonałości, uczucie egoizmu wyrafinowanego, wywołującego w pani wstręt do myśli należenia do jakiegoś mężczyzny, zrzeczenia się woli i poddania się wyższości konwencyonalnéj, która panią obraża? Wydałabyś mi się pani tysiąc razy piękniejszą. Byłażbyś pani źle traktowaną pierwszy raz przez miłość? Być może również, że wartość, jaką pani musisz przywiązywać do wytworności kibici, do swego łona rozkosz-

nego, wywołuje w pani obawę o skutki szkodliwe macierzyństwa: czyżby to nie był jeden z najlepszych powodów utajonych, dla którego nie chciałabyś pani być zanadto kochaną? Czy masz pani ułomności, które utrzymują panią w cnocie pomimo woli? Nie gniewaj się pani, roztrząsam, badam, jestem o tysiąc mil od namiętności. Natura, która tworzy ślepych od urodzenia, może także tworzyć kobiety głuche, nieme i ślepe w miłości. Istotnie, pani jesteś cennym osobnikiem dla obserwacyi medycznéj! Sama nie wiész, ile jesteś warta. Pani możesz mieć obrzydzenie zupełnie słuszne do mężczyzn: pochwalam to, gdyż wszyscy wydają mi się brzydkiemi i obrzydliwemi. Ale masz pani słuszność — dodałem, czując, że moje serce wzbiera — musisz nami pogardzać, ponieważ nie ma mężczyzny, który był-by godzien ciebie!

Nie powtorzyłbym wszystkich sarkazmów, jakie wypowiedziałem jéj śmiejąc się. Lecz słowo najbardziéj przykre, ironia najbardziéj ostra, nie wywołały w niéj ani wyrazu, ani oznaki złości. Słuchała mnie, zachowując na ustach, w oczach, uśmiech zwyczajny, ów uśmiech, którym się posługiwała jak odzieniem, zawsze ten sam, jednaki dla przyjaciół, dla prostych znajomości, dla obcych.

— Czyż nie muszę być bardzo dobrą, skoro pozwalam się tak rozkładać w prosektoryum? — rzekła, podchwytując chwilę, kiedy patrzyłem się na nią w milczeniu. — Widzisz pan — ciągnęła — że nie mam głupich drażliwości w przyjaźni! Wiele kobiet ukarałoby pańską obelgę, każąc zamknąć drzwi przed panem.

— Możesz pani wypędzić mnie od siebie, nie będąc obowiązaną zdawać sprawy z téj surowości.

Mówiąc to, czułem, że niewiele brakowało, ażebym ją zabił, gdyby mi była dała abszyt.

— Pan jesteś szaleńcem — zawoła uśmiechając się.

— Czy myślałaś pani kiedy — przerwałem — o skutkach miłości gwałtownéj? Mężczyzna w rozpaczy często zabijał swoję kochankę.

— Lepiéj nie żyć, aniżeli być nieszczęśliwą — odpowiedziała zimno. — Mężczyzna tak namiętny musi pewnego dnia opuścić żonę i zostawić ją w nędzy, zjadłszy jéj pierwéj cały majątek.

Ta arytmetyka ogłuszała mnie. Zobaczyłem wyraźnie przepaść pomiędzy tą kobietą a mną. Nie moglibyśmy nigdy się zrozumieć.

— Żegnam panią — rzekłem do niéj zimno.

— Żegnam pana — odpowiedziała, nachylając głowy z wyrazem przyjacielskim. — Do jutra.

Patrzyłem na nią przez chwilę, przebijając ją miłością, któréj się zrzekałem. Ona stała i rzuciła mi swój uśmiech powszedni,

szkaradny uśmiech posągu z marmuru mogący wyrazić miłość, ale zimną.

Czy pojmujesz teraz, mój drogi, całą boleść, jaka mnie napadła, kiedy powracałem do domu w deszcz i śnieg, kiedy szedłem po gołoledzi ulic przez ciąg jednéj mili, straciwszy wszystko? Och! wiedzieć, że nie myślała nawet o mojéj nędzy i sądziła, że jestem, jak ona, bogaty i choć trochę wypowozowany! Ileż tu ruin i rozczarowań! Nie chodziło mi już o pieniądze, ale o wszystkie majątki duszy. Szedłem na los szczęścia, roztrząsając sam z sobą słowa téj dziwnéj rozmowy i tak dalece błąkając się w komentarzach, że ostatecznie zacząłem powątpiewać o wartości nominalnéj słów i myśli! A kochałem ciągle, kochałem tę kobietę zimną, któréj serce chciało być podbijane w każdéj chwili, a która zmazując ciągle obietnice wczorajsze: ukazywała się nazajutrz jako nowa kochanka. Kiedy zakręcałem koło furtki Instytutu, porwał mnie jakiś ruch gorączkowy. Przypomniałem sobie wtedy, że byłem na czczo. Nie posiadałem ani denara. Na domiar nieszczęścia deszcz wykoszlawił mi kapelusz. Jakże tu można teraz zbliżyć się do kobiety eleganckiéj i przedstawić się w salonie bez kapelusza porządnego. Dzięki staraniom niesłychanym, i wciąż przeklinając modę nędzną i głupią, która skazuje nas na wystawianie podszewki naszych kapeluszy przy ustawicznem trzymaniu ich w ręku, zachowałem mój aż dotąd w stanie wątpliwym. Nie będąc ciekawie nowym ani sucho starym, pozbawionym włosa ani też bardzo jedwabistym, mógł on uchodzić za kapelusz człowieka starannego o siebie; lecz jego istnienie sztuczne doszło do ostatniego kresu: był potłuczony, pokrzywiony, skończony, prawdziwy łachman, godzien reprezentować swojego pana. Z braku trzydziestu soldów traciłem moję wytworność przemyślną. Ach! na ileż-to poświęceń zapomnianych zdobyłem się dla Fedory od trzech miesięcy! Często poświęcałem pieniądze nieodzowne na chleb za cały tydzień na to, ażeby ją widzieć przez chwilę. Porzucać pracę i pościć, było dla mnie niczém! Lecz przebyć ulice Paryża nie pochlapawszy się, biedz dla uniknięcia deszczu, przybyć do niéj równie dobrze ubranym jak modnisie, którzy ją otaczali, ach! to zadanie dla poety zakochanego i roztargnionego przedstawiało trudności niezliczone. Moje szczęście i moja miłość zależały od kropki błota na jedynéj kamizelce białéj. Wyrzec się możności widzenia jéj, kiedy byłem zabłocony, kiedy byłem zmoknięty! Nie posiadać pięciu soldów na to, ażeby kazać zetrzeć komisyonerowi najlżejszą plamkę na bucie! Namiętność moja zwiększyła się o te wszystkie udręczenia nieznane, olbrzymie w człowieku drażliwym. Nieszczęśliwi pełni są poświęceń, o których nie wypada im mówić kobietom, żyjącym w sferze zbytku i wytworności; widząc one świat

po-przez pryzmat, który zabarwia na złoto ludzi i przedmioty, optymistki przez egoizm, okrutne dla dobrego tonu, te kobiety uwalniają się od myślenia nad nazwą swoich uciech, rozgrzeszają się ze swojéj obojętności dla nieszczęścia przez zapał rozkoszy. Dla nich denar nie jest nigdy milionem, lecz milion wydaje się denarem. Jeżeli miłość ma bronić swojéj sprawy wielkiemi ofiarami, musi również pokrywać je delikatnie zasłoną, owijać je w milczenie; lecz ludzie bogaci, szafując majątkiem i życiem, poświęcając się, korzystają z przesądów światowych, które zawsze dodają blasku ich sercowym szaleństwom; dla nich milczenie mówi a zasłona jest wdziękiem, gdy tymczasem moje okrutne strapienie skazywało mnie na cierpienia straszne, w których nie wolno mi było zawołać: kocham! lub: umieram! Ale z tém wszystkiém byłoż-to aby poświęceniem? Czyż nie byłem sowicie wynagrodzony przez rozkosz, jakiéj doznawałem, przynosząc jéj wszystko w ofierze? Hrabina przywiązywała nadzwyczajną wagę i znajdywała niesłychaną przyjemność w wypadkach najpospolitszych mojego życia. Niegdyś obojętny w rzeczach odzienia, obecnie szanowałem ubranie, jak gdyby drugiego siebe. Pomiędzy raną, jaką mogłem otrzymać, a rozdarciem fraka, nie byłbym się nawet wahał! Musisz tedy zespolić się z mojém położeniem i zrozumieć wściekłość myśli, szaleństwo wciąż rosnące, jakie miotało mną w drodze, a które, być może, droga podbudzała jeszcze! Doznawałem jakiéjś piekielnéj przyjemności w tém, że byłem u szczytu nieszczęścia. Chciałem widzieć przepowiednię losu w tém ostatniém przesileniu; lecz złe ma skarby bezdenne. Drzwi mojego hotelu były nawpół otwarte. Przez wycięcia w formie serca, używane w okiennicach, zobaczyłem światło padające na ulicę. Paulina i jéj matka rozmawiały, czekając na mnie. Słyszałem, jak wymówiły moje imię, i zacząłem słuchać.

— Rafał — mówiła Paulina — jest przystojniejszy aniżeli student z pod siódmego numeru! Jego włosy jasne mają taki śliczny kolor! Czy nie słyszysz w jego głosie czegoś, ale czegoś, co do serca przemawia? A przytém, chociaż ma minę człowieka trochę dumnego, jest taki dobry, taki dystyngowany w obejściu się! Och! na prawdę bardzo grzeczny! Jestem pewna, że wszystkie kobiety muszą za nim szaleć.

— Tak mówisz, jak gdybyś go kochała — odparła pani Gaudin.

— Och! kocham go jak brata — odpowiedziała śmiejąc się. — Byłabym niewdzięczną, co się zowie, gdybym nie żywiła dla niego życzliwości. Czyż nie nauczył mnie grać na fortepianie, gramatyki, rysunku i wszystkiego zresztą, co umiem? Niewiele zwracasz uwagi, droga mamo, na moje postępy; ależ kształcę się tak wysoko,

że w niedługim czasie będę mogła już dawać lekcye, i wtenczas weźmiemy służącą.

Usunąłem się po cichu; następnie, zrobiwszy trochę hałasu, wszedłem do sali po lampę, którą Paulina chciała mi zapalić. Biédne dziecko przyłożyło balsam na moje rany. Ta pochwała naiwna dla mojéj osoby dodała mi cokolwiek ducha. Potrzebowałem nabrać wiary w siebie samego i wyrobić sobie sąd bezstronny o prawdziwéj wartości moich zalet. Moje nadzieje, w ten sposób ożywione, odbiły się prawdopodobnie na rzeczach, które widziałem. Być może również, że nie badałem jeszcze uważnie sceny dość często ukazującéj się przed mojemi oczyma z tych dwu kobiet na środku téj sali; lecz wtedy uwielbiałem w rzeczywistości najrozkoszniejszy obraz natury skromnéj, tak naiwnie odtwarzanéj przez malarzy flamandzkich. Matka, siedząca przy ognisku nawpół zgaszoném, robiła pończochę, i poczciwemu uśmiechowi pozwalała błąkać się na swoich ustach. Paulina kolorowała ekrany; jéj farby, jej pędzle, rozłożone na małym stoliku, przemawiały do oczu efektami ostremi; jéj biała twarz, kiedy powstała z miejsca i, stojąc, zapalała mi lampę, była oświecona całém światłem: trzeba było być opanowanym przez bardzo straszną namiętność, ażeby nie uwielbiać jéj rąk przezroczystych i różowych, ideału jéj głowy i jéj postawy dziewiczéj! Noc i cisza dodawały coś ze swego uroku temu pracowitemu czuwaniu, temu spokojnemu życiu domowemu. Praca ustawiczna i podejmowana wesoło dowodziła rezygnacyi religijnéj, pełnéj uczuć wzniosłych. Trudna do określenia harmonia panowała tam pomiędzy rzeczami i osobami. U Fedory przepych był suchy i budził we mnie złe myśli; tutaj, tymczasem, pokorna nędza i poczciwa prostota odświeżały mi duszę. Być może także, że wobec przepychu byłem upokorzony; przy tych dwu kobietach, wpośród téj sali ciemnéj, gdzie życie uproszczone zdawało się szukać ucieczki we wzruszeniach serca, godziłem się pewnie z samym sobą, mając możność zapewnienia opieki, którą mężczyzna tak lubi dawać uczuć. Kiedy byłem tuż przy Paulinie, rzuciła mi spojrzenie prawie macierzyńskie, i, stawiając żywo lampę rękoma drżącemi, zawołała:

— Boże! jak pan jesteś blady! Ależ on cały zmoknięty! Moja matka wytrze pana. Panie Rafale! — podjęła po chwili milczenia — pan lubisz mleko: mieliśmy dziś na kolacyę śmietankę; chcesz pan skosztować?

Rzuciła się jak kotek do garnuszka porcelanowego napełnionego mlekiem i podała mi go tak żywo, podstawiła mi go pod nos w sposób tak uprzejmy, żem się zawahał.

— Miałbyś mi pan odmówić? — zawołała głosem zmienionym.

Nasze dwie dumy rozumiały się: Paulina, wyglądała jak gdyby

cierpiała nad swojém ubóstwem i wyrzucała mi moję wyniosłość. Rozczuliłem się. Ta śmietanka była może całém jéj śniadaniem jutrzejszém, a jednak przyjąłem ją. Biedna dziewczyna starała się ukryć radość, która tymczasem iskrzyła się w jéj oczach.

— Tego mi było potrzeba — rzekłem do niéj, siadając. (Wyraz niepokoju przemknął się po jéj czole). Czy przypominasz sobie, panno Paulino, ten ustęp, w którym Bossuet maluje nam Boga wynagradzającego za szklankę wody sowicieji niż za zwycięstwo?

— Tak—odpowiedziała.—I pierś jéj wznosiła się i opadała, jak pierś małego ptaszka w rękach dziecka.

— A więc, skoro wkrótce mamy się opuścić — dodałem głosem niepewnym—niechże mi będzie wolno okazać wdzięczność za wszystkie starania, jakie pani i pani matka miałyście o mnie.

— Och! nie rachujmy się — zawołała, śmiejąc się.—W jéj śmiechu kryło się wzruszenie, które mi sprawiło przykrość.

— Mój fortepian — ciągnąłem daléj, jakbym nie słyszał jéj słów—jest jednym z najlepszych instrumentów Erard'a: przyjmij go pani, weź bez żadnego skrupułu, gdyż nie mógłbym, doprawdy, zabrać go z sobą w podróż, jaką mam zamiar przedsięwziąć.

Obiedwie kobiety uderzone akcentem melancholicznym, z jakim wymówiłem te słowa, miały minę, jak gdyby mnie zrozumiały i patrzyły się na mnie z ciekawością połączoną z przestrachem. Uczucie, jakiego szukałem wśród zimnych stref wielkiego świata, były zatém tu, prawdziwe, bez okazałości, ale rozczulające i może trwałe.

— Nie trzeba się tyle martwić — odpowiedziała mi matka.— Niech pan zostanie tu. Mój mąż w téj chwili jest w drodze — ciągnęła daléj. Dziś wieczór czytałam ewangielią świętego Jana, kiedy Paulina trzymała w górze pomiędzy palcami nasz klucz przywiązany do biblii; klucz obrócił się. Ten znak przepowiada, że Gaudin jest zdrów i dobrze mu się wiedzie. Paulina powtórzyła to samo dla pana i dla tego młodego człowieka z pod siódmego numeru, ale klucz obrócił się tylko dla pana. Będziemy wszyscy bogaci; Gaudin powróci milionerem. Widziałam go we śnie na statku pełnym wężów; na szczęście woda była mętna, a to znaczy złoto i drogie kamienie z za morza.

Te słowa przyjacielskie i puste, podobne do niejasnych piosneczek, jakiemi matka koi bóle swego dziecka, uspokoiły mnie do pewnego stopnia. Dźwięk głosu i spojrzenie poczciwéj kobiety wydawały ze siebie tę błogą serdeczność, która nie ściera wprawdzie smutku, ale go uspokaja, ale go kołysze i łagodzi. Bystrzejsza od matki Paulina patrzyła się na mnie z niepokojem, a w jéj oczach rozumnych widniało, jak gdyby odgadywała moje życie i moję przyszłość. Schyliwszy głowę, podziękowałem matce i córce, i następ-

nie uciekłem, bojąc się rozczulić. Kiedy znalazłem się sam pod moim dachem, położyłem się spać w nieszczęściu. Fatalna wyobraźnia rysowała przede mną tysiące projektów bez podstawy i dyktowała mi postanowienia niepodobne do wykonania. Kiedy człowiek wlecze się przez gruzy swego losu, spotyka tam jeszcze jakieś środki; ja zaś byłem w nicości. Ach! mój drogi, zanadto lekkomyślnie obwiniamy nędzę. Bądźmy pobłażliwemi dla skutków jednego z najsilniejszych odczynników społecznych. Tam, gdzie panuje nędza, nie ma ani wstydu, ani zbrodni, ani cnót, ani rozumu. Byłem wtedy bez myśli, bez siły, jak młoda dziewczyna, kiedy upadnie na kolana przed tygrysem. Człowiek bez namiętności i bez pieniędzy jest zawsze panem swojéj osoby; ale nieszczęśliwy, który kocha, nie należy do siebie i nie może się zabić. Miłość daje nam rodzaj religii dla nas samych; mamy uszanowanie dla innego jakiegoś życia w nas; lecz wtenczas staje się najstraszniejszém z nieszczęść, nieszczęściem z nadzieją, nadzieją, która zmusza do zgodzenia się na tortury. Zasnąłem z myślą, ażeby nazajutrz pójść do Rastignac'a i zwierzyć mu się ze szczególném postanowieniem Fedory.

— Ach! ach! — zawołał Rastignac, widząc, żem wchodził do niego o dziewiątéj rano—wiem, co cię tu sprowadza; Fedora musiała cię odprawić. Kilka poczciwych dusz, zazdrośnych o twoje panowanie nad hrabiną, rozgłosiło wasze małżeństwo. Sam Bóg tylko wié o szaleństwach, jakie rywale twoi ci przypisali, i o oszczerstwach, jakich byłeś przedmiotem!

— Wszystko się wyjaśnia!—zawołałem. — Przypomniałem sobie wszystkie niegrzeczności i nazwałem hrabinę wzniosłą. Z dobréj woli byłem nikczemnikiem, który nie dosyć jeszcze cierpiał, a w jéj pobłażaniu widziałem tylko cierpliwą łaskawość miłości.

— Nie idźmy tak szybko—rzekł do mnie roztropny gaskończyk. Fedora posiada przenikliwość właściwą kobietom głęboko egoistycznym, i prawdopodobnie osądziła cię w chwili, kiedyś nie widział w niéj nic więcéj nad majątek i przepych; pomimo twojéj zręczności, wyczytała ci to w duszy. A przytém dosyć jest skrytą, ażeby skrytość mogła znaleźć łaskę w jéj oczach. Sądzę nawet— dodał—że wprowadziłem cię na złą drogę. Pomimo bystrości umysłu i swojego ułożenia, zdaje mi się, że to stworzenie, jak wszystkie kobiety, które odczuwają przyjemności tylko głową, jest nakazująco dumném. Dla niéj szczęście tkwi w dobrobycie życia, w uciechach towarzyskich; uczucie u niéj jest rolą: przyniosłaby ci nieszczęście i zrobiłaby sobie z ciebie lokaja.

Rastignac przemawiał do głuchego. Przerwałem mu, przedstawiając z pozorną wesołością moje położenie finansowe.

— Wczoraj wieczorem — odpowiedział mi — los przeciwny zabrał mi wszystkie pieniądze, jakiemi mogłem rozporządzać. Gdyby nie to pospolite nieszczęście, chętniebym się podzielił z tobą moją kieską. Ale chodźmy na śniadanie do szynku; ostrygi może dadzą nam jakąś dobrą radę.

Ubrał się, kazał założyć do swojego tilbury, i następnie oba, podobni do dwu milionerów, pojechaliśmy do *Café de Paris* z impertynencyą tych śmiałych spekulantów, którzy żyją z kapitałów urojonych. Ten dyabelec gaskończyk wstydził mnie łatwością obejścia i bezczelnością niczém niezakłóconą. W chwili, kiedy piliśmy kawę, skończywszy śniadanie bardzo delikatne i bardzo dobrze pomyślane, Rastignac, który obdzielał ukłonami głowy tłum młodych ludzi również godnych szacunku z powodu wdzięku ich osobistości jako i wytworności ich ubrania, rzekł do mnie na widok wchodzącego jednego z tych *dandysów:* Oto twój interes. I dał znak paniczowi dobrze wykrawatowanemu, który, jak się zdawało, szukał sobie stołu według swojego gustu, ażeby przyszedł z nim pomówić.

— Ten łobuz — rzekł Rastignac do mnie po cichu — jest dekorowany za kilka dzieł wydanych, których nie rozumie: jest on chemikiem, historykiem, powieściopisarzem, publicystą; posiada prawa do czwartéj, do trzeciéj części, do połowy, w nie wiem już ilu sztukach teatralnych, będąc nieukiem jak mulica don Miquel'a. Nie jest to człowiek, ale nazwisko, etykieta znana publiczności. To też nie myślałby nawet wejść do tych czytelni, w których znajduje się napis: *Tu można pisać w samotności.* Jest dość zręcznym, aby okpić cały kongres. W dwu słowach, jest to metys w moralności; ani całkowicie uczciwy, ani zupełny oszust. Ale cicho! już się pojedynkował; świat nie pyta się o więcéj i mówi o nim: To człowiek szanowny.

— Ach! mój kochany przyjaciel, mój szanowny przyjaciel! jakże się ma wasza Inteligencya? — odezwał się do niego Rastignac, w chwili, kiedy nieznajomy siadał przy stole obok.

— Ani dobrze, ani źle. Jestem zawalony pracą. Mam w ręku wszystkie materyały potrzebne do napisania pamiętników historycznych bardzo ciekawych, i nie wiem komuby je przypisać. To mnie męczy; trzeba się śpieszyć, bo pamiętniki gotowe wyjść z mody.

— Czy to są pamiętniki współczesne, czy dawne, dworu czy czego?

— Sprawy naszyjnika.

— Ależ to cudownie — rzekł do mnie Rastignac, śmiejąc się. — Potém zwróciwszy się do spekulanta, ciągnął, wskazując na mnie: Pan de Valentin, mój przyjaciel, którego panu przedstawiam jako jednę z naszych przyszłych znakomitości literackich, miał kiedyś

ciotkę dobrze widzianą na dworze, margrabinę, i od dwu lat pracuje nad historyą rojalistyczną Rewolucyi.

Następnie nachylając się do ucha tego szczególniejszego negocyanta, rzekł:

— Jest-to człowiek z talentem, ale głupiec, który może napisać pańskie pamiętniki, pod imieniem swojéj ciotki, po sto talarów za tom.

— Przystaję na kupno — odpowiedział tamten, poprawiając sobie krawat. — Garson! moje ostrygi, co?

— Tak, ale dasz mi pan dwadzieścia pięć ludwików za moje pośrednictwo, a jemu zapłacisz za cały tom z góry — odparł Rastignac.

— Nie, nie. Nie dam więcéj nad pięćdziesiąt talarów, bo chcę być pewnym, że rękopism będzie mi dostarczony szybko.

Rastignac powtórzył mi tę rozmowę merkantylną po cichu. Potem, nie pytając się mnie: — Zgadzamy się — odpowiedział mu.

— Kiedy możemy się widzieć z panem dla ostatecznego zakończenia sprawy?

— Przyjdźcie na obiad, jutro wieczorem o siódméj godzinie.

Podnieśliśmy się; Rastignac rzucił pieniądze garsonowi, schował rachunek do kieszeni i wyszliśmy. Byłem zdumiony lekkomyślnością, obojętnością, z jaką sprzedał moję szanowną ciotkę, margrabinę de Montbauron.

— Wolałbym raczéj wsiąść na statek do Brazylii i tam uczyć Indyan algiebry, któréj nie umiem, aniżeli splamić imię rodziny!

Rastignac przerwał mi głośnym wybuchem śmiechu.

— Jakiś ty głupi! Weź przedewszystkiém pięćdziesiąt talarów i napisz pamiętniki. Kiedy wszystko będzie skończone, nie zgodzisz się, ośle, na to, ażeby wyszły pod imieniem twojéj ciotki. Pani Montbauron, jéj śmierć na szafocie, jéj robrony, jéj poważanie, jéj piękność, jéj róż i blansz, jéj ciżemki, warte są więcéj przecież jak sześćset franków. Jeżeli księgarz nie zechce wówczas zapłacić za twoję ciotkę tyle, co ona warta, to znajdzie jakiego starego oszusta, lub jakąś zaszarganą hrabinę, którzy podpiszą pamiętniki.

— Och! — zawołałem — dlaczegóż wyszedłem z mojego cnotliwego poddasza? Świat ma odwrotną stronę medalu haniebnie brudną.

— Dobryś! — odpowiedział Rastignac — otóż i poezya, kiedy idzie o interes. Jesteś dziecko. Słuchaj: co do pamiętników, to publiczność je osądzi; co zaś do mojego rajfura literackiego, to musisz wiedzieć, że zmarnował ośm lat życia i zapłacił za swoje stosunki z księgarzami okrutném doświadczeniem. Dzieląc się nierówno z nim pracą około książki, masz także większy udział w pieniądzach. Dwadzieścia pięć ludwików przedstawia większą sumę dla ciebie, aniżeli tysiąc franków dla niego. No! możesz pisać pa-

miętniki historyczne, dzieła sztuki, jeżeliby do tego kiedy doszło, skoro Diderot sporządził sześć kazań za sto talarów.

— Zresztą — odparłem wzruszony — jest-to dla mnie koniecznością; to też, mój drogi przyjacielu, winien ci jestem podziękowanie. Dwadzieścia pięć ludwików zbogaci mnie bardzo.

— Zbogaci więcéj, aniżeli myślisz — odpowiedział mi, śmiejąc się. — Jeżeli Finot da mi za pośrednictwo w sprawie, to czy nie zgadujesz, że to będzie dla ciebie? Chodźmy do lasku bulońskiego — dodał — zobaczymy tam hrabinę i pokażę ci śliczną wdówkę, z którą mam się żenić; osoba zachwycająca, Alzatka cokolwiek za tłusta. Czyta Kant'a, Schiller'a, Jean-Paul'a, i masę książek hidraulicznych. Ma manię pytania się mnie ciągle o moje zdanie, przez co muszę mieć minę, jak gdybym rozumiał całą tę czułostkowość niemiecką, jak gdybym znał stos ballad, i wszystkie lekarstwa zakazane mi przez lekarza. Nie mogłem jeszcze odzwyczaić jéj od tego entuzyazmu literackiego: płacze ulewnie przy czytaniu Goethe'go, a ja także muszę płakać trochę, przez grzeczność, gdyż posiada pięćdziesiąt tysięcy franków renty, i najśliczniejszą nóżkę, najładniejszą rączkę w świecie! Ach! i gdyby nie mówiła *mój aniol* i *zaklóczycz* zamiast *mój aniol* i *zakłócić*, była-by to kobieta doskonała.

Widzieliśmy hrabinę, świetniejącą w świetnym powozie. Kokietka ukłoniła się nam bardzo przyjaźnie, i przesłała mi uśmiech, który wydał mi się boskim, pełnym miłości. Ach! byłem wówczas szczęśliwy; zdawało mi się, że jestem kochany, że mam pieniądze i skarby namiętności, że nie jestem już w nędzy. Lekki, wesoły, zadowolony z siebie, przyznałem, że kochanka mojego przyjaciela jest czarującą. Drzewa, powietrze, niebo, cała natura powtarzała mi uśmiech Fedory. Powracając z Pól Elizejskich, weszliśmy do kapelusznika i do krawca Rastignac'a. Sprawa Naszyjnika pozwoliła mi porzucić moję nędzną stopę pokojową i wejść na straszną stopę wojenną. Odtąd, mogłem już bez obawy walczyć z wdziękami i wytwornością wszystkich młodych ludzi, którzy kręcili się koło Fedory. Powróciłem do siebie. Zamknąłem się, zachowując się spokojnie na pozór przy oknie, lecz w istocie żegnając, ciągle moje dachy, żyjąc w przyszłości, dramatyzując moje życie, eskontując miłość i jéj rozkosze. Ach! jakże byt może stać się burzliwym w czterech ścianach poddasza! Dusza ludzka jest czarodziejką, która przemienia słomę w dyamenty; z pod jéj laseczki pałace zaczarowane wyrastają jak kwiaty polne pod ciepłemi tchnieniami słońca. Nazajutrz około południa, Paulina zastukała lekko do drzwi i przyniosła mi, zgadnij co? list od Fedory. Hrabina prosiła, ażebym przyszedł po nią do Luxembourg'u, skąd pójdziemy razem zwiedzić Muzeum i Ogród Botaniczny.

— Posłaniec czeka na odpowiedź — rzekła do mnie po chwili milczenia.

Nabazgrałem szybko list z podziękowaniem, który Paulina zabrała ze sobą. Zacząłem się ubierać. W chwili, kiedy, dosyć zadowolony z siebie, kończyłem ubieranie się, dreszcz zimny przejął mnie na tę myśl: czy Fedora przyjechała w swoim powozie, czy też przyszła piechotą? czy będzie padało? czy będzie pogoda? A przytém — rzekłem do siebie — czy przyjechała, czy przyszła, jakże można być pewnym umysłu dziwacznego kobiety? Choćby była bez pieniędzy, będzie chciała dać sto soldów jakiemuś Sabaudczykowi za to, że jest w ślicznych łachmanach. Nie miałem złamanego szeląga, a pieniędzy nie mogłem dostać prędzéj jak wieczorem. Och! jakże drogo w tych przesileniach młodości-poeta opłaca potęgę umysłową, w jaką uzbraja go porządne życie i praca! W jednéj chwili tysiące myśli żywych i bolesnych ukłuło mnie niby tyleż sztyletów. Przypatrywałem się niebu przez otwór mojego dymnika; pogoda była bardzo niepewną. Na przypadek nieszczęścia, mógłbym wziąć dorożkę na cały dzień; lecz czy nie drżałbym również co chwila, wśród mojego szczęścia, na myśl, że nie spotkam Finot'a wieczorem? Nie czułem w sobie dość siły do wytrzymania tylu obaw w łonie mojéj radości. Pomimo pewności, że nic nie znajdę, przedsięwziąłem wielkie poszukiwania w pokoju; szukałem talarów urojonych aż w głębi siennika, przerzuciłem wszystko, wytrząsnąłem stare buty. Oddany na pastwę gorączki nerwowéj, patrzyłem na meble okiem dzikiém, poprzewracawszy je pierwéj wszystkie. Pojmiesz teraz szał, jaki mnie ożywił, kiedy otwierając po raz siódmy szufladę od stolika do pisania, którą oglądałem z tym rodzajem obojętności, w jaką nas pogrąża rozpacz, spostrzegłem tam przylepioną do deski bocznéj, przycupniętą zdradliwie, ale czystą, błyszczącą, jaśniejącą jak gwiazda przy wschodzeniu, piękną i szlachetną sztukę stusoldową? Nie żądając od niéj zdania mi sprawy za swoje milczenie i okrucieństwo, którego okazała się winną, trzymając się tak w ukryciu, całowałem ją jak przyjaciela wiernego w nieszczęściu i witałem ją krzykiem, który znalazł echo. Odwróciłem się nagle i zobaczyłem Paulinę, która była bladą.

— Myślałam — rzekła głosem wzruszonym — że pan-eś sobie co złego zrobił. Posłaniec.... Przerwała sobie, jakgdyby się dusiła. Ale moja matka zapłaciła mu — dodała. Potém uciekła, dziecinna i swawolna jak kaprys.

Biedna mała! życzyłem jéj, ażeby była szczęśliwą jak ja. W téj chwili zdawało mi się, że mam w duszy całe szczęście ziemi, i byłbym chciał zwrócić nieszczęśliwym część, jaką im, według mojego mniemania, ukradłem. Prawie zawsze mamy słuszność w naszych

przeczuciach o przeciwnościach; hrabina też odesłała powóz. Przez jakieś dziwactwo, z którego kobiety ładne nie tłomaczą się przed sobą samemi, okazała chęć pójścia do ogrodu Botanicznego przez bulwary na piechotę.

— Ależ będzie padać — rzekłem do niéj.

Podobało się jéj przeczyć mi. Na szczęście, było pięknie przez cały czas, dopóki szliśmy przez ogród luksemburski. Kiedyśmy wyszli stamtąd, wielka chmura, któréj posuwanie się podbudzało mój niepokój, upuściła kilka kropel deszczu, i wsiedliśmy do dorożki. Skorośmy się dostali na bulwary, deszcz ustał, a niebo odzyskało swój wyraz pogodny. Przyjechawszy do Muzeum, chciałem odprawić dorożkę, lecz Fedora prosiła mnie, ażebym ją zatrzymał. Co za męczarnia! Lecz rozmawiać z nią, tłumiąc szał tajemny, który niewątpliwie formułował się na mojéj twarzy w jakimś uśmiechu głupowatym i stałym; błądzić po ogrodzie Botanicznym, przebiegać aleje krzaczaste i czuć jéj ramię oparte na mojém, wszystko to miało w sobie coś fantastycznego: było to marzenie w jasny dzień. Jednakże jéj ruchy, czy to przy chodzeniu, czy też przy zatrzymaniu się, nie miały nic słodkiego, ani miłosnego, pomimo ich pozornéj lubieżności. Kiedy usiłowałem zespolić się do pewnego stopnia z akcyą jéj życia, znajdowałem w niéj wewnętrzną i tajemną żywość, coś szorstkiego i ekscentrycznego. Kobiety bez duszy mają miękkość w ruchach. To też nie byliśmy połączeni ani jedną i tą samą wolą, ani jednym i tym samym krokiem. Nie ma słów na oddanie téj niezgody materyalnéj dwu istot, gdyż nie jesteśmy jeszcze przyzwyczajeni do rozpoznawania myśli po ruchu.

To zjawisko naszéj natury daje się czuć instynktownie, ale nie wyrażać. Podczas tych paroksyzmów gwałtownych mojéj namiętności — ciągnął daléj Rafał, po chwili milczenia, i jakgdyby odpowiadając na zarzut, który sam sobie zrobił — nie rozbierałem moich uczuć, ani analizowałem moich przyjemności, nie brałem w rachubę bicia mego serca, jak skąpiec, który bada i waży swoje sztuki złota. Och! nie, doświadczenie rzuca dziś światło na wypadki minione, a wspomnienie przynosi mi te obrazy, jak fale morskie w czas pogodny przynoszą źdźbło po źdźble szczątki rozbitego okrętu na brzeg.

— Możesz mi pan oddać usługę dosyć znaczną — odezwała się do mnie hrabina, patrząc na mnie z miną zakłopotaną. — Zwierzywszy się panu z moim wstrętem do miłości, czuję się swobodniejszą w żądaniu od pana przysługi w imię przyjaźni. Czyż nie miałbyś pan — mówiła śmiejąc się — więcéj zasługi, zobowiązując mnie sobie dzisiaj?

Patrzyłem na nią z boleścią. Nie doznając niczego przy mnie, była przymilającą się, ale nie uczuciową; zdawało mi się, że grała

rolę, jak aktorka skończona; następnie jednak, dźwięk jéj głosu, spojrzenie, słowo, budziły we mnie nagle nadzieję; lecz, jeżeli miłość ożywiona malowała się w moich oczach, ona wytrzymywała jéj promienie tak, że jasność jéj oczu nie ulegała żadnéj zmianie, gdyż zdawało się, jak gdyby jéj oczy, podobne do ślepiów tygrysa, były podbite blachą metalową. W podobnych razach nienawidziłem ją.

— Wpływ księcia de Navarreins — mówiła daléj z dźwiękiem głosu pełnym pieszczotliwości — byłby mi bardzo użytecznym u jednéj z niezmiernie potężnych osobistości w Rosyi, a któréj interwencya jest konieczną do wyjednania mi sprawiedliwości w sprawie tyczącéj się mojego majątku i zarazem mojego stanowiska towarzyskiego, w sprawie uznania mojego małżeństwa przez cesarza. Wszakże książę de Navarreins jest pańskim kuzynem? Jeden jego list stanowiłby o wszystkiém.

— Należę do pani — odpowiedziałem — i słucham rozkazów.

— Jak pan jesteś dobrym — mówiła, ściskając mnie za rękę. — Przyjdź pan do mnie na obiad, a opowiem panu wszystko jak na spowiedzi.

Ta kobieta, tak niedowierzająca, tak przezorna, od któréj nikt nie usłyszał słowa w kwestyi jéj interesów, miała zatém mnie się radzić!

— Och! jakże kocham teraz to milczenie, któreś mi pani nakazała! — zawołałem.

Lecz byłbym przystał na prośbę jeszcze twardszą. W téj chwili przyjęła dobrze szał mojego spojrzenia i nie wzbroniła mi uwielbiać się; a więc kochała mnie! Przyjechaliśmy do niéj. Na szczęście, dno mojéj kieski mogło zadowolnić dorożkarza. Przepędziłem rozkosznie cały dzień, sam z nią, u niéj. Po raz-to pierwszy mogłem ją tak widzieć. Aż do tego dnia, goście, jéj grzeczność wyszukana i postępowanie chłodne, zawsze nas rozdzielały, nawet podczas jéj obiadów wystawnych; lecz tym razem byłem u niéj, jak gdybym był żył pod jéj dachem, posiadałem ją, jeżeli można się tak wyrazić. Moja wyobraźnia włóczęgoska pozrywała wszelkie pęta, urządzała wypadki życia według mojego upodobania i pogrążała mnie w rozkoszach miłości szczęśliwéj. Sądząc, że jestem jéj mężem, uwielbiałem ją, kiedy zajmowała się drobnemi szczegółami; doznawałem nawet szczególnéj przyjemności, widząc, jak zdejmowała z siebie szal i kapelusz. Pozostawiła mnie na chwilę samego, i powróciła z włosami poprawionemi, czarująca. To śliczne przeczesanie się było zrobione dla mnie! W czasie obiadu zaszczycała mnie swojemi względami i rozwinęła wdzięk nieskończony w tysiącu rzeczy, które napozór wydają się niczém, a w rzeczywistości są połową życia. Kiedy byliśmy oboje przed ogniem sypiącym iskry, siedząc na je-

dwabiu, otoczeni najwykwintniejszemi wytworami przepychu wschodniego; kiedy widziałem tak blizko siebie tę kobietę, której piękność rozgłośna wywoływała drżenia w tylu sercach, tę kobietę, tak trudną do podbicia, a jednak mówiącą ze mną, wybierającą mnie za przedmiot swoich kokieteryj, moje lubieżne uszczęśliwienie stało się prawie cierpieniem. Na nieszczęście, przypomniałem sobie o ważnéj sprawie, którą miałem załatwić, i chciałem się udać na umówione miejsce, jakie mi wskazano w wilię.

— Jakto! już! — zawołała, widząc, że biorę za kapelusz.

Kochała mnie! Tak sądziłem przynajmniéj, słysząc, jak wymawiała te dwa słowa głosem pieszczotliwym. Dla przedłużenia zachwytu byłbym chętnie oddał dwa lata życia za każdą godzinę, jaką się jéj podobało mnie poświęcić. Moje szczęście powiększało się o te wszystkie pieniądze, jakie traciłem! Kiedy pozwoliła mi odejść, była już północ. Niemniéj przeto, nazajutrz, moje bohaterstwo kosztowało mnie wiele wyrzutów sumienia i obawiałem się, ażeby sprawa pamiętników, tak ważna dla mnie, nie spełzła na niczém; pobiegłem więc do Rastignac'a, i poszliśmy napaść przy wstawaniu na człowieka dającego tytuł moim przyszłym pracom. Finot przeczytał mi maleńki akt, w którym nie było wcale mowy o mojéj ciotce, i po podpisaniu takowego wyliczył mi pięćdziesięt talarów. Poszliśmy na śniadanie we trzech. Kiedy zapłaciłem za nowy kapelusz, za sześćdziesiąt biletów na obiad po trzydzieści soldów, i długi, pozostało mi się trzydzieści franków; wszystkie jednak trudności życia wyrównały się na pewien czas. Gdybym był chciał słuchać Rastignac'a, byłbym mógł dojść do skarbów, przyjmując otwarcie *system angielski*. Chciał koniecznie otworzyć mi kredyt i wyrobić pożyczki, dowodząc, że pożyczki podtrzymują kredyt. Według niego, przyszłość jest najpoważniejszym i najtrwalszym ze wszystkich kapitałów w świecie. Tak więc hipotekując moje długi na przyszłych udziałach, oddał mnie w opiekę swojemu krawcowi-artyście, który rozumiał *młodego człowieka* i który miał mnie zostawić w spokoju, aż do czasu mojego ożenienia. Odtąd zerwałem z życiem klasztornem i pracowitém, jakie prowadziłem przez trzy lata. Chodziłem bardzo gorliwie do Fedory, gdzie starałem się przewyższać pozornie impertynentów, czyli bohaterów koteryi, która się tam znajdowała. Sądząc, że uniknąłem nędzy nazawsze, odzyskałem swobodę umysłu, pobijałem moich rywali i uchodziłem za człowieka pełnego powabów, uroczego, nieprzezwyciężonego. Tymczasem, ludzie zręczni, mówili, rozmawiając o mnie: — „Chłopiec tak inteligentny powinien mieć namiętność tylko w głowie!" Chwalili łaskawie mój umysł kosztem mojéj wrażliwości. „Jakże on jest szczęśliwy, że nie kocha! — wołali. Gdyby kochał, czyżby

miał tyle wesołości, tyle werwy!“ A jednak byłem bardzo miłośnie głupi w obecności Fedory! Sam na sam z nią, albo nie umiałem nic jéj powiedzieć, albo, jeżeli mówiłem, to tylko oczerniałem miłość; byłem smutnie wesoły, jak dworak, ktory chce ukryć złość okrutną. Ostatecznie, usiłowałem stać się nieodzownym dla jéj życia, dla jéj szczęścia, dla jéj próżności: co dzień przy niéj byłem niewolnikiem, zabawką bezustannie na jéj rozkazy. Marnując w ten sposób dnie całe, powracałem do siebie pracować po nocach, sypiając nie więcéj nad dwie albo trzy godziny nad ranem. Nie przyzwyczajony jednak, jak Rastignac, do systemu angielskiego, wkrótce zobaczyłem się bez solda w kieszeni. Odtąd, mój drogi przyjacielu, jako piękniś bez przygód sercowych, elegant bez pieniędzy, kochanek bezimienny, popadłem w życie zależne, w to zimne i głębokie nieszczęście, starannie tajone pod ułudnemi pozorami przepychu. Wtedy poczułem na nowo pierwsze cierpienia, lecz mniéj bolesne: widocznie zbratałem się z ich strasznemi przesileniami. Często ciastka i herbata, tak skąpo rozdawane po salonach, były jedyném mojém pożywieniem. Nierzadko, wystawne obiady hrabiny wystarczały mi na kilka dni. Cały mój czas, usiłowania i naukę obserwacyi zużytkowałem na wniknięcie głębiéj w nieprzenikniony charakter Fedory. Aż dotąd, nadzieja lub rozpacz wpływały na moj sąd; widziałem w niéj kobietę jak można najbardziéj kochającą, lub najbardziéj nieczułą; ale te alternatywy radości lub smutku stały się nieznośnemi: chciałem znaléźć rozwiązanie dla téj walki strasznéj, zabijając w sobie miłość. Złowrogie światła błyszczały częstokroć w mojéj duszy i pokazywały mi przepaść pomiędzy nami. Hrabina usprawiedliwiała wszystkie moje obawy; nie spostrzegłem jeszcze łez w jéj oczach. W teatrze w czasie sceny rozrzewniającéj była zimną i uśmiechniętą. Całą przenikliwość zachowywała dla siebie, a nie odgadywała ani nieszczęścia, ani szczęścia w kim innym. Nakoniec zażartowała sobie ze mnie! Szczęśliwy, że mogłem jéj oddać usługę, spodliłem się prawie dla niéj, idąc do mojego kuzyna, księcia de Navarreins, człowieka samolubnego, ktory wstydził się mojéj nędzy i ktory zawiele zawinił względem mnie, aby nie miał mnie nienawidzić; przyjął mnie zatém z tą zimną grzecznością, ktora giestom i słowom daje pozór zniewagi, a jego wzrok niespokojny pobudzał mnie do litości. Wstydziłem się za niego z powodu jego małości wśród tylu wielkości, jego ubóstwa wśród takiego zbytku. Mówił mi o znacznych stratach, które spowodowały trzy od sta, i wtedy powiedziałem mu, jaki był cel moich odwiedzin. Zmiana jego obejścia się, które z lodowatego stało się nieznacznie przyjaznem, sprawiła mi obrzydzenie. Ech! mój kochany, przyszedł do hrabiny, i zdruzgotał mnie. Fedora wynalazła dla niego czary i uroki nie-

znane; ujęła go i zaczęła traktować beze mnietę sprawę tajemniczą, o której nie dowiedziałem się ani słowa: byłem dla niéj środkiem!... Udawała, że mnie nie spostrzega, kiedy mój kuzyn był u niéj, i przyjmowała mnie w takich razach może z mniejszą jeszcze przyjemnością, aniżeli w dniu, kiedy zostałem jéj przedstawiony. Pewnego wieczoru upokorzyła mnie w obecności księcia jednym z tych ruchów i jedném z tych spojrzeń, których żadne słowo odmalować nie byłoby w stanie. Wyszedłem płacząc, tworząc tysiące projektów zemsty, obmyślając straszne gwałty. Często szedłem z nią do teatru *Bouffons;* tam, obok niéj całkowicie oddany miłości, wpatrywałem się w nią, poddając się czarowi słyszanéj muzyki, wyczerpując duszę w podwójnéj rozkoszy: żem kochał i odnajdywał ruchy mego serca dobrze oddane przez frazy muzyka. Moja namiętność była w powietrzu, na scenie; tryumfowała wszędzie, z wyjątkiem mojéj kochanki. I brałem wtenczas rękę Fedory, badałem jéj rysy i oczy, oczekując zlania się naszych uczuć, jednéj z tych nagłych harmonij, które obudzone przez nuty, wywołują w duszach dźwięki brzmiące unisono; ale jéj ręka była niemą, a oczy nie mówiły nic. Kiedy ogień serca wydzielając się ze wszystkich moich rysów, zanadto silnie bił ją w twarz, zwracała się do mnie z tym uśmiechem wyszukanym, z tym frazesem konwencyonalnym, jakie się malują w salonie na ustach wszystkich portretów. Nie słuchała wcale muzyki. Boskie kartki Rossini'ego, Cimarosy, Zingarelli'ego, nie przypominały jéj żadnego uczucia, nie tłomaczyły jéj zadnéj poezyi jéj życia, jéj dusza była oschłą. Fedora przedstawiała się tam jako widowisko na widowisku. Jéj lornetka podróżowała bezustanku od loży do loży: zaniepokojona, jakkolwiek spokojna, była ofiarą mody: jéj loża, jéj czepek, jéj powóz, jéj osoba, były dla niéj wszystkiém. Spotyka się często ludzi kolosalnéj powierzchowności, u których w ciele z bronzu znajduje się serce czułe i delikatne: ona zaś kryła serce z bronzu pod wiotką i wdzięczną powłoką. Fatalna nauka rozdzierała dla mnie wiele zasłon. Jeżeli dobry ton polega na zapominaniu się dla drugich, na zaprawianiu swojego głosu i swoich ruchów ustawiczną słodyczą, na podobaniu się innym, tak ażeby byli zadowoleni sami z siebie, Fedora, pomimo całéj zręczności, nie starła w zupełności śladów swojego gminnego pochodzenia: jéj obejście się, zamiast być wrodzoném, było pracowicie osiągniętém; jéj grzeczność czuć było poddaństwem. Nie mniéj przeto, jéj słowa nasycone miodem, dla ulubieńców były wyrazem dobroci, jéj przesada pretensyonalna szlachetnym entuzyazmem. Ja tylko wybadałem jéj grymasy, odarłem jéj istotę wewnętrzną z cienkiéj powłoki, która wystarczała ludziom, i nie dałem się oszukiwać jéj małpiarstwom; znałem do gruntu jéj duszę kocicy. Kiedy jaki głupiec komplemen-

towała ją, pochlebiał jéj, wstydziłem się za nią. A kochałem ją ciągle! Miałem nadzieję stopić jéj lody pod skrzydłami miłości poety. Gdybym był mógł choć raz otworzyć jéj serce na czułości kobiety, wtajemniczyć ją w szczytność poświęceń się, byłbym widział w niéj kobietę skończoną; stałaby się aniołem. Kochałem ją jako człowiek, jako kochanek, jako artysta, kiedy tymczasem dla dostania jéj nie trzeba było jéj kochać; piękniś dobrze wysztyftowany, kalkulator zimny, byłby może odniósł nad nią zwycięstwo. Próżna, sztuczna, byłaby zrozumiała język próżności i pozwoliła się oplątać w sidłach intrygi; byłaby uległa człowiekowi suchemu i zlodowaciałemu. Bóle cierpkie przejmowały do żywego moję duszę, kiedy odsłaniała mi naiwnie swój egoizm. Z boleścią widziałem ją pewnego dnia samą w życiu, nie wiedzącą, do kogoby wyciągnąć rękę, nie spotykającą spojrzeń przyjaznych, na którychby mogła zatrzymać swoje. Pewnego wieczoru, odważyłem się odmalować przed nią w kolorach żywych jéj starość odosobnioną, pustą i smutną. Na myśl téj strasznéj zemsty natury oszukanéj, wyrzekła słowo okrutne:

— Będę zawsze miała majątek — odpowiedziała mi. — A za złoto możemy zawsze stworzyć sobie naokoło nas uczucia, jakie są konieczne dla naszego dobrobytu.

Wyszedłem zabity logiką tego przepychu, téj kobiety, tego świata, gromiąc się za to, że byłem ich głupim bałwochwalcą. Nie kochałem Pauliny biednéj; czyż więc Fedora bogata nie miała prawa odrzucić Rafała? Nasze sumienie jest sędzią nieomylnym, kiedyśmy go jeszcze nie zamordowali. „Fedora — wołał za mną głos sofistyczny — ani kocha, ani też nie odpycha nikogo; jest wolną, ale kiedyś oddała się za złoto. Jako kochanek, czy jako mąż, hrabia rosyjski ją posiadał. Będzie jeszcze miała pokusę w swojém życiu. Czekaj na nią!“ Ani cnotliwa, ani występna, ta kobieta żyła zdala od ludzkości, w sferze własnéj, w piekle lub raju. Ta tajemnica samicza, odziana w kaszmir i koronki, wprowadzała w grę wszystkie uczucia ludzkie w mojém sercu: dumę, ambicyę, miłość, ciekawość. Kaprys mody, czy też chęć okazania się oryginalnym, która prześladuje nas wszystkich, wywołała manię chwalenia drobnego widowiska na bulwarze. Hrabina okazała pragnienie zobaczenia twarzy umęczonéj aktora, który przejmował rozkoszą kilku ludzi inteligentnych, i pozwoliła mi towarzyszyć sobie na pierwsze przedstawienie jakiéjś nędznéj farsy. Loża kosztowała zaledwie sto soldów, ale ja nie posiadałem ani złamanego szeląga. Mając jeszcze pół tomu pamiętników do napisania, nie śmiałem pójść żebrać o pomoc do Finot'a, a Rastignac, moja opatrzność, był nieobecny. Ten ustawiczny brak pieniędzy urzekł mi życie. Pewnego razu, przy wyjściu z teatru Bouffons w straszny deszcz, Fedora kazała

podjechać dorożce tak, że nie mogłem wymówić się od jéj grzeczności na pokaz: nie przystała na żadną z moich wymówek, ani na mój gust do deszczu, ani na moję chęć pójścia do domu gry. Nie odgadywała nędzy ani w kłopotliwém zachowaniu się, ani w słowach smutnie żartobliwych. Oczy moje czerwieniły się, ale czyż ona rozumiała spojrzenie? Życie młodych ludzi zależne jest od szczególnych kaprysów! W drodze, każdy obrót koła budził we mnie myśli, które paliły serce; usiłowałem oderwać deskę w dnie dorożki, w nadziei, że zsunę się na bruk; lecz napotkawszy przeszkody nieprzezwyciężone, zacząłem się śmiać konwulsyjnie i siedziałem w spokoju ponurym, ogłupiałym, jak człowiek pod pręgierzem. Przyjechawszy do siebie, po pierwszych słowach, jakie wybełkotałem, Paulina przerwała mi mówiąc:

— Jeżeli pan nie masz drobnych....

Ach! Muzyka Rossiniego była niczém przy tych słowach. Lecz powróćmy do linoskoków. Ażebym mógł zaprowadzić tam hrabinę, myślałem o zastawieniu oblamki złotéj, która otaczała portret mojéj matki. Jakkolwiek Mont-de-Piété rysował się zawsze w mojéj myśli jako jedna z bram od galer, lepiéj jeszcze było zanieść tam samemu łóżko, aniżeli prosić o jałmużnę. Wzrok człowieka, od którego żądacie pieniędzy, sprawia tyle przykrości! Pewne pożyczki kosztują nas szczęście całe, jak pewne odmowy, wypowiedziane przez usta przyjacielskie, odbierają nam ostatnią iluzyę. Paulina pracowała, matka jéj leżała w łóżku. Rzuciwszy przelotném okiem na łóżko, ktorego kotary były lekko uchylone, przekonałem się, że pani Gaudin śpi snem głębokim, gdyż spostrzegłem w cieniu jéj profil spokojny i żółty wyciśnięty na poduszce.

— Pan masz zmartwienia — rzekła do mnie Paulina, kładąc pędzel na pudełku z farbami.

— Moje biedne dziecko, możesz mi oddać wielką usługę — odpowiedziałem.

Patrzyła na mnie z miną tak uszczęśliwioną, że zadrżałem.

— Czyżby mnie kochała? pomyślałem. — Paulino? — podjąłem na nowo, i usiadłem obok niéj, ażeby ją lepiéj wybadać. Odgadła mnie, tak mój akcent był pytający; spuściła oczy, i badałem ją, widząc, że mogę czytać w jéj sercu jak w mojém, tak jéj fizyognomia była naiwną i czystą.

— Czy kochasz mnie? — rzekłem do niéj.

— Trochę, szalenie, wcale — zawołała.

Nie kochała mnie. Jej akcent żartobliwy i wdzięk ruchu, z jakim się zdradziła, malowały tylko swawolną wdzięczność młodéj dziewczyny. Wyznałem więc jéj moje zmartwienie, kłopotliwe położenie, w jakiém się znajdowałem, i prosiłem ją o pomoc.

— Jakto, panie Rafale — rzekła — nie chcesz pan iść do lombardu, a mnie tam posyłasz!

Zaczerwieniłem się, zmieszany logiką dziecka. Wtedy ujęła mnie za rękę, jak gdyby chciała pieszczotą wynagrodzić prawdę swojego wykrzyku.

— Och! poszłabym jak najchętniéj — zawołała — ale zachód-to nie potrzebny. Dziś rano znalazłam za fortepianem dwie sztuki stusoldowe, które bez pańskiéj wiedzy wsunęły się pomiędzy mur a listwę, i położyłam je na stole.

— Niedługo pan dostanie pieniądze, panie Rafale — rzekła do mnie poczciwa matka, pokazując głowę z za kotary; mogę nawet tymczasem pożyczyć panu kilka talarów.

— Och! Paulino — zawołałem, ściskając ją za rękę — chciałbym być bogatym.

— Ba! a dlaczego? — rzekła z miną figlarną. — Jéj ręka, drżąc w mojéj, odpowiadała na każde uderzenie mojego serca; cofnęła żywo swoje palce, spojrzała na moje i zawołała:

— Ożenisz się pan z kobietą bogatą, ale będziesz pan miał wiele zmartwień! Ach! Boże! ona pana zabija. Jestem tego pewną.

W tym krzyku czuć było do pewnego stopnia wiarę jéj matki w bezrozumne przesądy.

— Jesteś zbyt łatwowierną, Paulino!

— Och! z pewnością — mówiła patrząc na mnie z trwogą — kobieta, którą będziasz pan kochał, zabije pana. Ujęła za pędzel, umoczyła go w farbie, okazując żywe wzruszenie, i nie spojrzała na mnie już więcéj. W téj chwili, byłbym bardzo chciał wierzyć w urojenia. Człowiek nie jest jeszcze w zupełności nędznikiem, jeżeli jest przesądnym. Przesąd jest nadzieją. Wszedłszy do mojego pokoju, zobaczyłem w istocie dwa szlachetne talary, których obecność wydała mi się niepodobną do wytłomaczenia. Wśród myśli bezładnych pierwszego snu, starałem się sprawdzić moje wydatki, ażeby usprawiedliwić to znalezienie niespodziewane; lecz zasnąłem, gubiąc się w rachunkach bezużytecznych. Nazajutrz, Paulina przyszła mnie odwiedzić w chwili, kiedy wychodziłem kupić lożę.

— Może panu nie dosyć dziesięciu franków — rzekła do mnie, czerwieniąc się, ta poczciwa i przyjacielska dziewczyna — więc mama kazała mi przynieść panu te oto pieniądze. Weź pan! weź pan! Rzuciła na stół trzy talary i chciała uciec; ale przytrzymałem ją. Uwielbienie wysuszyło łzy, które kołowały mi się w oczach.

— Paulino — rzekłem do niéj — jesteś aniołem! Ta pożyczka wzrusza mnie znakomicie mniéj, aniżeli skromność uczucia, z jaką mi ją ofiarujesz. Pożądałem kobiety bogatéj, wykwintnéj, z tytułem; niestety! obecnie chciałbym posiadać miliony i spotkać młodą

dziewczynę biedną jak ty, i jak ty bogatą sercem. Cofnę się przed namiętnością fatalną, która mnie zabije. Będziesz może miała słuszność.

— Dosyć — zawołała. — Uciekła, głos jéj słowiczy, jéj rulady świeże odezwały się na schodach.

— Jakże jest szczęśliwą, nie kochając jeszcze! — rzekłem sam do siebie, myśląc o męczarniach, jakie cierpiałem od kilku miesięcy. Piętnaście franków Pauliny były dla mnie nieoszacowanemi. Fedora, myśląc o wyziewach ludowych sali, gdzie mieliśmy zostać przez kilka godzin, żałowała, że nie ma bukietu; poszedłem dla niéj po kwiaty; przyniosłem jéj moje życie i mój majątek. Doznawałem zarazem wyrzutów sumienia i przyjemności, oddając jéj bukiet, którego cena odsłoniła mi wszystko, co galanterya powierzchowna używana w świecie, miała w sobie kosztownego. Wkrótce zaczęła się skarżyć na zapach nieco zasilny jaśminu meksykańskiego, doznała nieznośnego obrzydzenia na widok sali, siedząc na twardych ławkach, i robiła mi wyrzuty, że-m ją tam przyprowadził. Jakkolwiek była przy mnie, chciała odejść; odeszła. Narzucić sobie noce bezsenne, zmarnować dwa miesiące istnienia, i nie podobać się jéj! Nigdy ten szatan nie był bardziéj powabnym, ani bardziéj nieczułym. W drodze, siedząc przy niéj w wązkim powozie, oddychałem jéj oddechem, dotykałem się jéj rękawiczki pachnącéj, widziałem wyraźnie skarby jéj piękności, czułem parę miłą jak kosaciec: całą kobietę, a wcale kobiety. W téj chwili, promień światła pozwolił mi zobaczyć głębie tego życia tajemniczego. Zwróciłem się nagle myślą do książki niedawno wydanéj przez pewnego poetę, do prawdziwego pomysłu artysty wyciosanego w rzeźbie Polikleta. Zdawało mi się, że widzę tego potwora, który już-to, jako rycerz, hamuje konia rozhukanego, już-to jako młoda dziewczyna, zabiera się do ubierania się i rozpacza po swoich kochankach, już-też, jako kochanek, rozpacza po dziewicy miłéj i skromnéj. Nie mogąc inaczéj określić Fedory, opowiedziałem jéj tę historyę fantastyczną; lecz nic nie odkryło jéj podobieństwa z tą poezyą niepodobieństwa, i bawiła się nią w dobréj wierze, jak dziecko bajką wyjętą z *Tysiąca i jednéj Nocy*.

Ażeby bronić się przeciwko miłości człowieka w moim wieku, przeciwko zapałowi udzielającemu się téj pięknéj zaraźliwości duszy, Fedora musi być strzeżoną przez coś tajemniczego — rzekłem do siebie, powróciwszy do domu. Może, podobnie do lady Delacour, jest toczoną przez raka? Bezwątpienia, jéj życie jest życiem sztucznem. Na tę myśl zrobiło mi się zimno. Następnie stworzyłem projekt najdziwaczniejszy i zarazem najracyonalniejszy, o jakim tylko kochanek pomyśléć może. Dla wybadania téj kobiety pod względem

cielesnym tak, jak ją wystudyowałem pod względem umysłowym, dla poznania jéj w całości, postanowiłem przepędzić noc u niéj, w jéj pokoju, bez jéj wiedzy. Oto jak wykonałem to przedsięwzięcie, które mi pożerało duszę, jak chęć zemsty gryzie serce mnicha korsykańskiego:

W dzień przyjęć, Fedora zgromadzała towarzystwo tak liczne, że niepodobieństwem było dla odźwiernego ustanowić równowagę ścisłą pomiędzy wejściami i wyjściami. Pewien, że będę mógł zostać w jéj domu, bez wywołania skandalu, czekałem z niecierpliwością na następny wieczór u hrabiny. Ubierając się, w braku sztyletu, włożyłem do kieszeni od kamizelki mały scyzoryk angielski. Ten przyrząd literacki, choćby znaleziono go przy mnie, nie miał w sobie nic podejrzanego; nie wiedząc zaś, dokąd zawiedzie mnie moje postanowienie romansowe, chciałem być uzbrojonym. Skoro salony zaczęły się napełniać, poszedłem do sypialni zbadać rzecz; pierwszém dla mnie szczęściem było to, że zastałem persyeny i okiennice zamknięte; ponieważ pokojówka mogłaby przyjść rozpuścić kotary udrapowane przy oknach, odwiązałem taśmy; narażałem się bardzo tém zajęciem się przygotowania sypialni przed czasem, lecz poddałem się niebezpieczeństwom położenia i obliczyłem je na zimno. Koło północy, przyszedłem ukryć się we framudze okna. Ażeby nie pokazać nóg, usiłowałem wdrapać się na plintę futrowania, oparty plecami o mur, trzymając się antaby. Zbadawszy równowagę, punkty podpory, wymierzywszy przestrzeń, jaka mnie dzieliła od kotary, zdołałem się oswoić z trudnościami mojego położenia do tego stopnia, że mógłbym pozostać tam niepostrzeżony, jeżeli-by kurcze, kaszel i kichanie dały mi pokój. Nie chcąc się męczyć nadaremnie, stałem sobie prosto, oczekując chwili krytycznéj, kiedy będę musiał być zawieszonym w górze, jak pająk w swojéj pajęczynie. Mora biała i muślin kotar tworzyły przede mną grube fałdy, podobne do rur organowych, w których porobiłem dziury scyzorykiem, chcąc widzieć wszystko przez te rodzaje strzelnic. Słyszałem niewyraźnie hałas salonów, śmiechy rozmawiających, wybuchy głosów. Ta wrzawa przymglona, ten głuchy ruch zmniejszał się stopniowo. Kilku mężczyzn przyszło po kapelusze leżące tuż przy mnie, na komodzie hrabiny. Kiedy ocierali się o kotary, drżałem na myśl o niespodziankach i przypadkowościach tych poszukiwań dokonywanych przez ludzi, którym pilno odejść, i którzy w takich razach plądrują wszędzie. Wróżyłem sobie dobrze o przedsięwzięciu, ponieważ mnie żadne z tych nieszczęść nie spotkało. Ostatni kapelusz znikł razem ze starym wielbicielem Fedory, który, sądząc, że jest sam, popatrzył na łóżko i westchnął głęboko, wyrzuciwszy z piersi przekleństwo dosyć energiczne. Hrabina, która mia-

ła przy sobie, w buduarze, przylegającym do sypialni, jakie pięć albo sześć tylko osób zażyłych, zaproponowała im tam herbatę. Oszczerstwa, dla których społeczeństwo obecne zawarowało sobie trochę wiary, jaka się mu została, mieszały się wtenczas z przycinkami, z sądami dowcipnemi, ze szczękiem filiżanek i łyżeczek. Bez litości dla moich rywali, Rastignac pobudzał do szalonego śmiechu półsłówkami uszczypliwemi.

— Pan de Rastignac jest człowiekiem, z którym nie należy się różnić — rzekła hrabina, śmiejąc się.

— I ja tak sądzę — odpowiedział naiwnie. — Miałem zawsze słuszność w moich nienawiściach. I w moich przyjaźniach — dodał. Moi nieprzyjaciele oddają mi tak samo usługi, jak i przyjaciele. Zrobiłem studyum dosyć specyalne nad idyomem nowoczesnym i sztuczkami naturalnemi, jakiemi się ludzie posługują dla napadania na wszystko lub dla bronienia wszystkiego. Wymowa ministeryalna jest udoskonaleniem społecznem. Jeżeli jeden z waszych przyjaciół jest bez talentu, mówicie o jego uczciwości, o jego otwartości. Jeżeli dzieło innego jest ciężkie, przedstawiacie je jako pracę sumienną. Jeżeli książka jest źle napisaną, chwalicie w niej myśli. Jeżeli dany człowiek jest bez przekonań, niestały, wymyka się wam co chwila, ba! jest powabny, pełen uroku, czaruje. Jeżeli chodzi o waszych nieprzyjaciół, rzucacie im na głowę żywych i umarłych; przekręcacie dla nich znaczenie waszego języka i jesteście o tyle przenikliwi w odkrywaniu ich błędów, o ile byliście zręczni w uwydatnianiu cnót waszych przyjaciół. To zastosowanie lornetki do wzroku moralnego, jest tajemnicą naszych rozmów i całą sztuką dworactwa. Nie używać tego, byłoby to samo co chcieć zwalczać bez broni ludzi okrytych żelazem, jak rycerze feudalni. I używam tego! nawet często nadużywam. To też szanują mnie i moich przyjaciół, gdyż, zresztą, moja szabla warta jest mojego języka.

Jeden z najzapaleńszych wielbicieli Fedory, młody człowiek, sławny ze swojej impertynencyi, z której nawet zrobił sobie środek do dopięcia czegoś w świecie, podjął rękawicę, tak lekceważąco rzuconą przez Rastignac'a. Mówiąc o mnie, zaczął chwalić nadmiernie mój talent i moję osobistość. Rastignac zapomniał o tym sposobie czernienia kogoś. Ta pochwała sardoniczna omyliła hrabinę, która zabiła mnie w ofierze bez litości; dla ubawienia przyjaciół, nadużyła moich tajemnic, moich pretensyj, moich nadziei.

— Ma przyszłość przed sobą — zawołał Rastignac. — Może nawet pewnego dnia zostanie człowiekiem, który będzie mógł pomścić się okrutnie: jego talenta wyrównywają przynajmniej jego odwadze; to też uważam za niezmiernie śmiałych tych, którzy nań napadają, gdyż ma pamięć.....

— I pisze pamiętniki — rzekła hrabina, której, widać, nie podobało się milczenie, jakie zapanowało.

— Pamiętniki fałszywej hrabiny, pani — odparł Rastignac. — Do napisania ich potrzeba innego rodzaju odwagi.

— Uważam go za bardzo odważnego — ciągnęła daléj — jest mi wiernym.

Wzięła mnie wielka ochota pokazać się nagle żartownisiem, jak cień Banka w Makbecie. Traciłem kochankę, lecz miałem przyjaciela! Miłość jednak poszepnęła mi nagle jeden z tych nikczemnych i subtelnych paradoksów, jakiemi umie usypiać wszystkie nasze bóle. Jeżeli Fedora mnie kocha — pomyślałem — jakżeż-by nie miała ukrywać swego uczucia pod żartem złośliwym? Ileż-bo to razy serce nie zaprzeczało kłamstwom ust?

Nakoniec mój impertynencki rywal, zostawszy się w krótce sam z hrabiną, chciał odejść.

— Jakto! już? — odezwała się do niego z dźwiękiem w głosie pełnym pieszczotliwości, od którego serce zabiło mi głośniéj. Nie poświęcisz mi pan jeszcze chwili? Nie masz pan już nic do powiedzenia mi, i nie poświęcisz pan dla mnie kilku ze swoich przyjemności?

Odszedł.

— Ach! — zawołała ziewając — jakże oni wszyscy są nudni!

I kiedy pociągnęła silnie za sznurek, dźwięk dzwonka rozległ się po pokojach. Hrabina weszła do swego pokoju nucąc frazes: *Pria che spunti.* Nigdy nikt nie słyszał jéj śpiewającéj, i to oniemienie było powodem dziwacznych objaśnień. Przyrzekła, jak mówiono, pierwszemu swojemu kochankowi, oczarowanemu jéj talentem i zazdrosnemu aż z po za grobu, że nie da nikomu skosztować szczęścia, jakie chciał mieć dla siebie jedynie. Wytężyłem siły mojéj duszy, ażeby lepiéj wciągnąć w siebie dźwięki. Nuta po nucie, głos się wznosił, Fedora widocznie się ożywiała, bogactwa jéj gardła się rozwijały, i ta melodya stała się czemś boskiém. Hrabina w swoim śpiewie miała jasność żywą, czystość tonu, coś harmonijnego i drgającego, co przejmowało, poruszało i łechtało serce. Kobiety muzykalne są prawie zawsze zakochane. Ta, która tak śpiewała, musiała umieć bardzo kochać. Piękność tego głosu, była jedną tajemnicą więcéj w kobiecie i tak już tajemniczéj. Widziałem ją wtedy jak ciebie widzę; zdawało się, że sama siebie słucha i odczuwa rozkosz, sobie tylko właściwą; doznawała jak gdyby zadowolenia miłości. Przyszła przed kominek, dokończając motywu głównego tego ronda; lecz kiedy zamilkła, fizyognomia jéj zmieniła się, rysy się przeistoczyły, a twarz jéj wyrażała zmęczenie. Zdjęła maskę; aktorka skończyła swoję rolę. Jednakże ten rodzaj zwiędnięcia, wyci-

śniętego na jéj piękności w skutek pracy artystki lub zmęczenia po wieczorze, nie był bez uroku. — Teraz jest prawdziwą — rzekłem do siebie. Postawiła, jakgdyby dla ogrzania się, jednę nogę na sztabie bronzowéj która górowała nad przyrządem do zasłaniania ognia, zrzuciła rękawiczki, odpięła bransoletki i zdjęła przez głowę łańcuch złoty, na końcu którego był zawieszony medalion wysadzany drogiemi kamieniami. Doznawałem przyjemności niewypowiedzianéj, patrząc na jéj ruchy nacechowane wdziękiem, którego kotki dają przykład, kiedy się myją na słońcu. Przejrzała się w lustrze, i zawołała nagłos z odcieniem złego humoru:

— Nie byłam ładną dziś wieczór, moja cera więdnie z przerażającą szybkością. Powinnabym może kłaść się spać wcześniéj i porzucić to życie rozproszone. Czy Justyna żartuje sobie ze mnie?

Zadzwoniła na nowo i pokojówka przybiegła. Gdzie śpi? nie wiem. Przyszła przez schody ukryte. Byłem ciekawy przypatrzéć się jéj. Moja wyobraźnia poety często obwiniała tę niewidzialną służącą, wielką dziewkę, brunetkę, dobrze zbudowaną.

— Czy pani dzwoniła?

— Dwa razy — odpowiedziała Fedora. — Ogłuchłaś dziś czy co?

— Właśnie przygotowywałam mleko migdałowe dla pani.

Justyna uklękła, odwiązała koturnę bucików, zdjęła obuwie z nóg pani, która niedbale wyciągnięta na fotelu sprężynowym, przy kominku, ziewała drapiąc się w głowę. Wszystko było niezmiernie naturalne w jéj ruchach, i żaden objaw nie zdradzał ani cierpień ukrytych, ani namiętności, o jakie ją posądzałem.

— Jerzy się kocha — rzekła — odprawię go. Jeszcze nie zapuścił dziś firanek? o czém-że myśli?

Na tę uwagę, wszystka krew spłynęła mi do serca; lecz nie było więcéj już mowy o firankach.

— Życie jest bardzo puste — ciągnęła hrabina. — Ach! tak! uważaj, żebyś mnie nie podrapała jak wczoraj. Widzisz przecie — mówiła, pokazując jéj maleńkie kolano gładkie jak atłas — że noszę jeszcze znak po twoich paznogciach. Włożyła bose nogi w pantofle aksamitne, podbite futrem łabędziém i zdejmowała suknię przez czas, kiedy Justyna, wziąwszy grzebień, zaczesywała jéj włosy.

— Trzeba-by pani pójść za mąż, mieć dzieci.

— Dzieci? tego-by tylko brakowało, ażeby już było po mnie — zawołała. — Za mąż! Któż-to jest tym człowiekiem, któremu mogłabym się..... Czy byłam dobrze uczesana dziś wieczór?

— Nie, nie bardzo.

— Głupia jesteś.

— Nigdy pani nie jest tak źle do twarzy, jak kiedy pani ma

włosy pokędzierzawione — odparła Justyna. — Lepiéj pani z wielkiemi puklami, dobrze przygładzonemi.....

— Czy na prawdę?

— Ależ tak, pani; z włosami pokędzierzawionemi przezroczyście dobrze tylko blondynkom.

— Wyjść za mąż? nie, nie! Małżeństwo jest frymarkiem, do którego się nie urodziłam.

Co za straszna scena dla kochanka! Ta kobieta samotna, bez krewnych, bez przyjaciół, bezbożna w miłości, nie wierząca w żadne uczucie, i jakkolwiek słabą tylko byłaby w niéj potrzeba wylewania się serdecznego, naturalnego w każdém stworzeniu ludzkiém, zmuszona do zadawalniania się rozmową z pokojówką, do wypowiadania frazesów suchych lub błahostek! Ta kobieta wzbudzała we mnie litość. Justyna ją rozsznurowała. Przypatrywałem się jéj z ciekawością w chwili, kiedy ostatnia zasłona spadała. Miała łono dziewicy, które mnie olśniło; po przez koszule i przy blasku świec, jéj ciało białe i różowe iskrzyło się jak statua ze srebra, która błyszczy się pod swoją osłoną z gazy. Nie, żadna ułomność nie mogła zmuszać jéj, ażeby się miała na baczności przed wzrokiem ukradkowym miłości. Niestety! piękne ciało odnosić będzie zawsze zwycięstwo nad postanowieniami choćby wojennemi. Pani siedziała przed kominkiem, milcząca i zamyślona, kiedy służąca zapalała świecę w lampie alabastrowéj, zawieszonéj nad łóżkiem. Justyna przyniosła szkandelę, rozebrała łóżko, pomogła pani położyć się; następnie, po długim czasie użytym na drobiazgowe obsługi, które zdradzały głęboką cześć Fedory dla siebie saméj, pokojówka odeszła. Hrabina przewróciła się po kilkakroć, była niespokojną, wzdychała; z ust jéj wyrywał się lekki szmer, dający się pochwycić słuchem, a znamionujący ruchy niecierpliwości; wyciągnęła rękę do stolika, wzięła flakonik i wlała do mleka, zanim je wypiła, kilka kropel płynu brunatnego; nareszcie po kilku westchnieniach ciężkich, zawołała: Mój Boże! Ten krzyk, a zwłaszcza akcent, jakim go naznaczyła, rozdarł mi serce. Strach mnie wziął, ale nie zadługo usłyszałem rozleganie się oddechu równego i mocnego osoby uśpionéj; odchyliłem jedwab' trzeszczący firanek, porzuciłem stanowisko i przyszedłem usadowić się w nogach jéj łóżka, przypatrując się jéj z uczuciem nie dającém się określić. Była zachwycającą w tém położeniu. Trzymała głowę pod pachą, jak dziecko, twarz spokojna i śliczna, otoczona koronkami, wyrażała słodycz, do któréj się rozpaliłem. Za nadto wierząc w siebie, nie pojąłem męczarni: być tak blizko i tak daleko od niéj. Byłem zmuszony wycierpieć wszystkie męczarnie, jakie sobie zgotowałem. *Mój Boże!* ten obrywek myśli nieznanéj, jaki miałem zyskać za całe światło, zmienił nagle mój sąd o Fedo-

rze. To słowo nic nieznaczące albo głębokie, bezprzedmiotowe albo pełne rzeczywistości, mogło równie dobrze tłomaczyć się przez szczęście jak przez cierpienie, przez ból cielesny jak przez utrapienia. Było-ż to przekleństwem czy prośbą, wspomnieniem czy przyszłością, żałością czy smutkiem? W tém słowie zawierało się życie, życie nędzy lub bogactwa; była tam nawet zbrodnia! Zagadka ukryta w téj pięknéj podobiźnie kobiety na nowo wychodziła na jaw, i Fedora mogła być rozumianą na tyle sposobów, że stawała się niezrozumiałą. Fantazye tchu przesuwającego się pomiędzy jéj zębami, już-to słabego, już téż wyraźnego, ciężkiego lub lekkiego, tworzyły rodzaj języka, któremu nadawałem myśli i uczucia. Marzyłem razem z nią, spodziewałem się odgadnąć jéj tajemnice, wnikając w jéj sen; wahałem się pomiędzy tysiącami zdań sprzecznych, pomiędzy tysiącami sądów. Widząc tę twarz spokojną i czystą, niepodobna mi było odmówić serca téj kobiecie. Postanowiłem odważyć się na jeden jeszcze krok. Opowiadając jéj swoje życie, swoję miłość, swoje poświęcenia, mógłbym może wzbudzić w niéj litość, wymusić łzę u téj, która nie płakała nigdy. Zawarłem wszystkie nadzieje w téj ostatniéj próbie, kiedy hałas na ulicy uprzedził mnie, że dzień już nastał. Była chwila, kiedy wyobrażałem sobie Fedorę, jak się budziła w moich ramionach. Mogłem położyć się po cichu przy jéj boku, wślizgnąć się tam i uścisnąć ją w swoich objęciach. Ta myśl gnębiła mnie tak okrutnie, że chcąc się przed nią obronić, uciekłem do salonu, nie pomyślawszy nawet o uniknięciu hałasu; ale na szczęście, trafiłem na drzwi ukryte, które prowadziły na schody od tyłu. Jak to przewidywałem, klucz znajdował się w zamku; otworzyłem drzwi siłą, zszedłem śmiało na podwórze, i nie patrząc, czy kto widzi, wybiegłem na ulicę w trzech susach. W dwa dni potém, jakiś autor miał czytać komedyę u hrabiny; poszedłem tam z zamiarem zostania się do końca i zaniesienia do niéj prośby dosyć dziwnéj. Chciałem ją prosić, ażeby mi pozwoliła przyjść nazajutrz wieczór i poświęciła mi go zupełnie, rozkazując zamknąć drzwi dla wszystkich. Kiedy znalazłem się z nią sam na sam, zbrakło mi odwagi. Każde uderzenie zegara przerażało mnie. Było trzy kwadranse na dwunastą. Jeżeli nie powiem jéj — rzekłem sam do siebie — trzeba będzie roztrzaskać sobie czaszkę o róg komiuka. Dałem sobie jeszcze trzy minuty czasu; trzy minuty jednak przeszły, a ja nie strzaskałem sobie czaszki, jakkolwiek serce mi nabrało jak gąbka w wodzie.

— Jesteś pan niezwykle przyjemny — odezwała się do mnie.

— Ach! pani — odpowiedziałem — gdybyś mogła mnie zrozumieć!

— Co panu jest? — przerwała — bledniesz pan.

— Boję się prosić panią o łaskę.

Dodała mi odwagi giestem; poprosiłem ją o *rendez-vous*.

— Jak najchętniéj — odpowiedziała. — Lecz dlaczego nie miałbyś pan mówić w téj chwili?

— Nie chcąc pani oszukiwać, muszę pani pokazać zakres tego zobowiązania: pragnę przepędzić ten wieczór z panią, jak gdybyśmy byli bratem i siostrą. Nie obawiaj się pani, znam pani antypatye; mogłaś pani ocenić mnie już dostatecznie, ażeby być pewną, że nie będę żądał nic, coby mogło się pani nie podobać; zresztą śmiałkowie nie postępują w ten sposób. Pani okazałaś mi przyjaźń, byłaś dla mnie dobrą, pełną pobłażliwości. A więc, dowiedz się pani, że mam cię jutro pożegnać. Nie odwołuj pani swego słowa! — zawołałem, widząc, że chciała mówić, i zniknąłem.

W maju przeszłego roku, około ósméj godziny wieczór, znajdowałem się sam z Fedorą, w buduarze gotyckim. Nie drżałem już wówczas, ponieważ byłem pewien, że będę szczęśliwy. Moja kochanka miała do mnie należéć, albo ucieknę się w objęcia śmierci. Potępiłem swoję miłość tchórzliwą. Człowiek jest silnym wtenczas, kiedy przyznaje się do swojéj słabości.

Ubrana w suknię z kaszmiru niebieskiego, hrabina leżała jak długa na sofie, z nogami na poduszce. Czapeczka wschodnia, ubranie głowy, jakie malarze przypisują pierwszym Hebrajczykom, dodawała jakiegoś wyrazu dziwnie pociągającego jéj powabom. Na twarzy malował się urok przelotny, który dowodził niejako, że jesteśmy istotami co chwila nowemi, jedynemi, bez żadnego podobieństwa z *nami* w przyszłości i z *nami* w przeszłości. Nie widziałem jéj nigdy tak świetną.

— Wiesz pan — rzekła do mnie, śmiejąc się — żeś zaostrzył moję ciekawość?

— I nie zawiodę jéj — odpowiedziałem zimno, siadając przy niéj i biorąc ją za rękę, którą mi oddała. Pani masz bardzo ładny głos!

— Nigdyś mnie pan nie słyszał — zawołała, nie umiejąc zapanować nad wyrazem zdziwienia.

— Dowiodę pani rzeczy wprost przeciwnéj, kiedy tego będzie potrzeba. Ale czyż rozkoszny śpiew pani byłby także tajemnicą? Bądź pani spokojną, nie chcę jéj dociekać.

Pozostaliśmy blizko przez godzinę na rozmowie poufnéj. Jeżeli przyjąłem ton, sposób zachowania się i ruchy człowieka, któremu Fedora nie powinna była nic odmówić, to miałem również cały szacunek kochanka. Tym sposobem działając dostąpiłem łaski, żem mógł pocałować ją w rękę; zdjęła rękawiczkę prześlicznym ruchem, i wtedy byłem tak lubieżnie pogrążony w złudzeniu, w które stara-

łem się uwierzyć, że dusza moja rozpłynęła się i wylała w tym pocałunku. Fedora pozwalała się głaskać, pieścić z trudnem do uwierzenia zapomnieniem się. Ale nie oskarżaj mnie o głupotę; gdybym był chciał pójść o krok dalej po za te pieszczoty braterskie, byłbym poczuł pazury kotki. Pogrążeni w milczeniu głębokiem, pozostaliśmy tak około dziesięciu minut. Uwielbiałem ją, przypisując jej powaby, którym zadawała kłam. W tej chwili była moją, moją tylko. Posiadałem to czarujące stworzenie, jak tylko wolno było posiadać je intuicyjnie; owijałem ją w moje pożądanie, trzymałem, ściskałem, a moja wyobraźnia poślubiała ją. Zwyciężyłem wtedy hrabinę potęgą uroku magnetycznego. To też zawsze żałowałem, żem nie podbił sobie tej kobiety całkowicie; lecz w tej chwili, nie miałem pretensyi do jej ciała; życzyłem sobie duszy, życia, szczęścia idealnego i zupełnego, marzenia pięknego, w jakie nie wierzymy długo.

— Pani — mówię do niej nareszcie, czując, że ostatnia godzina mojego szału nadeszła — posłuchaj mnie. Kocham cię, wiesz o tém, powiedziałem ci to po tysiąc razy, powinnaś mnie była pojąć. Nie chcąc zawdzięczać twojéj miłości ani wdziękom pięknisia, ani pochlebstwom lub natręctwu głupca, nie zostałem zrozumianym. Ileż przykrości wycierpiałem dla ciebie, pani, choć temu nie byłaś winną! Ale za kilka chwil osądzisz mnie. Dwa są rodzaje nędzy, pani: nędza, która chodzi po ulicach bezczelnie w łachmanach, która bezwiednie zaczyna to samo, co Dyogenes, żywiąc się odrobiną, redukując życie do prostoty; szczęśliwsza może niż bogactwo, żyjąc bez trosk przynajmniej, bierze świat tam, gdzieby potężni nie chcieli. Następnie nędza zbytku, nędza hiszpańska, ukrywająca żebractwo pod tytułem; dumna, ustrojona w pióra, ta nędza w białej kamizelce, w żółtych rękawiczkach, ma karety i traci majątek z braku jednego centyma. Pierwsza jest nędza ludu; druga oszustów, królów i ludzi talentu. Nie jestem ani ludem, ani królem, ani oszustem; może nie mam nawet talentu: jestem wyjątkiem. Moje nazwisko nakazuje mi raczéj umrzéć, aniżeli żebrać. Bądź pani spokojną, jestem dziś bogaty, posiadam tyle ziemi, ile mi potrzeba — powiedziałem, widząc, że jéj fizyognomia przybiera zimny wyraz, jaki się maluje w naszych rysach, kiedy jesteśmy zaskoczeni przez kwestarki z dobrego towarzystwa. Czy przypominasz sobie, pani, dzień, w którym chciałaś pójść do teatru *Gymnase* beze mnie, sądząc, że się tam nie znajdę?

Kiwnęła głową na znak potwierdzenia.

— Wydałem ostatniego talara na to, ażeby pójść tam zobaczyć cię. Czy przypominasz pani sobie wycieczkę, jakąśmy zrobili do ogrodu Botanicznego? Pani, dorożka kosztowała mnie cały mój majątek.

Opowiedziałem jéj moje poświęcenia, odmalowałem życie, nie jak ci je opowiadam dzisiaj w szale wina, ale w szale szlachetnym serca. Namiętność moja wylewała się w słowach płomienistych, w rysach uczucia zapomnianych potém, a których ani sztuka, ani przypomnienie oddać nie byłyby w stanie. Nie było-to opowiadanie bez żaru miłości nienawidzonéj, gdyż miłość moja w swojéj sile i w piękności swoich nadziei natchnęła mnie temi słowami, które zarysowywują całe jedno życie, powtarzając krzyki duszy rozdartéj. Dźwięk mojego głosu był dźwiękiem ostatnich modlitw mówionych przez umierającego na polu bitwy. Płakała. Zatrzymałem się. Wielki Boże! jéj łzy były następstwem tego wzruszenia sztucznego, jakie się kupuje za sto soldów przy drzwiach teatru; miałem powodzenie dobrego aktora.

— Gdybym była wiedziała — rzekła.

— Nie kończ, pani — zawołałem. — Dosyć kocham cię jeszcze w téj chwili, ażeby cię zabić....

Chciała schwycić za sznurek od dzwonka. Wybuchnąłem głośnym śmiechem.

— Nie wołaj pani nikogo — podjąłem. — Pozwolę ci dokończyć spokojnie życia. Zabić cię, byłoby złém zrozumieniem nienawiści! Nie obawiaj się pani żadnego gwałtu; przepędziłem całą jednę noc w nogach twojego łóżka, a jednak....

— Panie... — zawołała, rumieniąc się; lecz po tym pierwszym ruchu wywołanym przez wstydliwość, jaką posiadać musi każda kobieta, nawet najbardziéj nieczuła, rzuciła mi spojrzenie pogardliwe i rzekła:

— Musiało panu być bardzo zimno?

— Sądzisz pani, że twoja piękność jest dla mnie tak cenną? — odpowiedziałem, zgadując myśli, które ją niepokoiły.—Pani twarz jest dla mnie zapowiedzią duszy piękniejszéj jeszcze niż piękność pani. Ech! ludzie, którzy widzą w kobiecie tylko kobietę, mogą sobie kupować co wieczór odaliski godne seraju, i uszczęśliwiać się za nizką cenę! Ale ja byłem ambitnym, chciałem żyć z panią sercem za serce, z panią, która nie miałaś serca. Wiem to już teraz. Gdybyś miała należéć do jakiego człowieka, zabiłbym go. Lecz nie; pani-byś go kochała, i jego śmierć sprawiłaby ci może przykrość. Jakżeż cierpię! — zawołałem.

— Jeżeli ta obietnica może pana pocieszyć — odpowiedziała mi śmiejąc się — mogę pana zapewnić, że nie będę należéć do nikogo.

— A zatém — podjąłem przerywając jéj — pani znieważasz Boga samego, i będziesz za to ukaraną. Pewnego dnia, leżąc na sofie, nie mogąc znieść ani hałasu, ani światła, skazana na pędzenie życia w rodzaju grobu, będziesz cierpiéć męczarnie niesłychane.

Szukając powodu tych powolnych i mściwych bólów, wspomnij pani wtedy na nieszczęścia, jakieś tak hojnie rozrzuciła na swojéj drodze! Posiawszy wszędzie przekleństwa, za powrotem znajdziesz nienawiść. Jesteśmy naszemi własnemi sędziami, katami sprawiedliwości, która panuje tu na ziemi i kroczy po nad sprawiedliwością ludzi, a po-pod sprawiedliwością Boga.

— Ach! — rzekła, śmiejąc się — bezwątpienia, jestem wielką zbrodniarką, ponieważ pana nie pokochałam! Ale czy to moja wina? Nie, nie kocham pana; jesteś pan mężczyzną, a to wystarczy. Czuję się szczęśliwą, że jestem sama; po cóż więc miałabym zamieniać moje życie, egoistyczne, jeżeli pan chcesz, na kaprysy jakiegoś pana? Małżeństwo jest sakramentem, na mocy którego obdzielamy się nawzajem tylko zmartwieniami. Zresztą dzieci nudzą mnie. Czyż nie uprzedziłam pana uczciwie o swoim charakterze? Dlaczegóż-eś nie zadowolnił się przyjaźnią? Chciałabym módz pocieszyć pana w strapieniach, jakich byłam powodem, nie zgadując rachunku pańskich talarów, gdyż umiem ocenić rozległość pańskich ofiar; lecz miłość tylko może zapłacić za pańskie poświęcenie się, pańskie grzeczności, a ja kocham pana tak mało, że ta scena sprawia mi przykrość.

— Czuję, jak jestem śmiesznym, przebacz mi pani — powiedziałem łagodnie, nie mogąc powstrzymać się od łez. Kocham panią do tyla — podjąłem napowrót — że mogę słuchać z rozkoszą słów okrutnych, jakie pani wymawiasz. Och! jakżebym chciał podpisać miłość wszystką krwią moją!

— Wszyscy mężczyźni mówią nam mniéj lub więcéj dobrze te frazesy klasyczne — odparła, śmiejąc się. — Zdaje się jednak, że umrzéć u naszych stóp jest rzeczą bardzo trudną, gdyż z temi umarłemi spotykam się wszędzie. Ale już północ, pozwól mi pan pójść spać.

— I za dwie godziny zawołasz pani: *mój Boże!* — powiedziałem.

— Przedwczoraj! Tak — rzekła, śmiejąc się — myślałam o moim agencie bankowym; zapomniałam kazać mu dokonać konwersyi moich rent z *pięciu* na *trzy* i tego dnia *trzy* spadły.

Patrzyłem na nią okiem iskrzącém się z wściekłości. Ach! częstokroć zbrodnia musi być całym jednym poematem; zrozumiałem go. Oswojona bezwątpienia z oświadczeniami się najbardziéj namiętnemi, zapomniała już o moich łzach i moich słowach.

— Czy pani-byś poślubiła para Francyi? — spytałem się jéj zimno.

— Może, gdyby był księciem.

Wziąłem za kapelusz i ukłoniłem się jéj.

— Pozwól mi pan odprowadzić się aż do drzwi mojego mieszkania — rzekła z odcieniem ironii dojmującéj w ruchu ręki, w pozie głowy, w dźwięku głosu.

— Pani!

— Panie!

— Nie zobaczę pani już nigdy.

— Spodziewam się tego — odpowiedziała nachylając głowę z wyrazem impertynenckim.

— Pani chcesz być księżną — podjąłem na nowo, będąc ożywiony rodzajem szału, jaki ruch jéj ręki rozpalił w mojém sercu. Przepadasz pani za tytułami i zaszczytami? A więc pozwól tylko kochać się przeze mnie, powiedz do mojego pióra, ażeby mówiło, do mojego głosu, ażeby odzywał się tylko dla ciebie, bądź zasadą tajemną mojego życia, bądź moją gwiazdą! Następnie, nie przyjmij mnie za małżonka pierwéj, nim będę ministrem, parem Francyi, księciem, zostanę wszystkiém, czém pani chcesz, żebym był.

— Dosyć dobrze — rzekła uśmiechając się — używałeś pan swojego czasu u adwokata; pańskim obronom nie brak zapału.

— Ty masz teraźniejszość — zawołałem — a ja przyszłość. Ja tracę jednę tylko kobietę, a ty tracisz imię, rodzinę. Czas napojony moją zemstą, przyniesie ci brzydotę i śmierć w samotności, mnie zaś sławę!

— Dosyć przemowy — rzekła, wstrzymując się od ziewania i okazując mi postawą pragnienie niewidzenia mnie.

Te słowa nakazały mi milczenie. Rzuciłem jéj całą moję nienawiść w jednem spojrzeniu i uciekłem. Trzeba było zapomnieć o Fedorze, leczyć się z szału, powrócić do pracowitéj samotności lub umrzéć. Nałożyłem na siebie prace nadmierne, chciałem pokończyć dzieła rozpoczęte. Przez piętnaście dni nie wyszedłem z mojego poddasza, trawiąc noce na bladych studyach. Pomimo zapału i natchnienia rozpaczy, pracowałem z trudnością i z przerwami. Muza mnie odbiegła. Nie mogłem odpędzić od siebie widma jaśniejącego i szyderczego Fedory. Z każdéj z moich myśli wykluwała się inna myśl chorobliwa, jakieś pożądanie straszne jak wyrzut sumienia. Naśladowałem anachoretów z Tebajdy. Nie modląc się jak oni, jak oni żyłem na pustyni, wydrążając sobie duszę zamiast wydrążać skały. W potrzebie byłbym sobie ścisnął biodra pasem nabitym kolcami, byle poskromić ból moralny przez ból fizyczny. Pewnego wieczoru, Paulina wdarła się do mojego pokoju.

— Pan się zabijasz — odezwała się do mnie głosem błagającym — pan-byś powinien wyjść, pójść zobaczyć się z przyjaciołmi.

— Ach! Paulino! twoja przepowiednia sprawdziła się. Fedora zabija mnie, chcę umrzéć. Życie stało się dla mnie nieznośném.

— Czyż nie ma więcéj nad jednę kobietę na świecie? — rzekła, uśmiechając się. Dlaczego nakładasz pan tyle cierpień bezgranicznych na życie tak krótkie?

Wpatrywałem się w Paulinę ze zdumieniem. Pozostawiła mnie samego. Nie spostrzegłem, jak się wycofała, słyszałem głos, nie rozumiejąc znaczenia jéj słów. Wkrótce byłem zmuszony odnieść rękopism pamiętników mojemu przedsiębiorcy literackiemu. Zajęty jedynie namiętnością, nie wiedziałem, jak mogłem żyć bez pieniędzy, wiedziałem tylko, że czterysta pięćdziesiąt franków, jakie mi się należały, wystarczą na zapłacenie długów; szedłem więc po zapłatę i spotkałem się z Rastignac'iem, który zauważył, że zmieniłem się, schudłem.

— Z jakiego szpitala wychodzisz? — spytał mnie.

— Ta kobieta zabija mnie — odpowiedziałem. — Nie mogę ani pogardzać nią ani jéj zapomnieć.

— Lepiéj byłoby zabić ją; nie zaprzątałbyś sobie już tém głowy — zawołał śmiejąc się.

— Myślałem o tém — odpowiedziałem. — Ale jeżeli czasem odświeżam sobie duszę przez myśl zbrodni, gwałtu lub morderstwa, i obydwu razem, to następnie nie jestem zdolny do popełnienia jéj w rzeczywistości. Hrabina jest cudownym potworem, który wzywałby łaski, a nie ma Otella, któryby chciał!

— Kobieta-to jak wszystkie, których nie możemy mieć — rzekł Rastignac, przerywając mi.

— Jestem szaleńcem — wykrzyknąłem. — Czuję, jak szaleństwo ryczy mi chwilami w mózgu. Moje myśli są jakoby widma; tańczą przede mną, a nie mogę ich uchwycić. Przekładam śmierć nad to życie. To też szukam sumiennie najlepszego sposobu na położenie końca téj walce. Nie chodzi tu już o Fedorę żywą, o Fedorę z przedmieścia *Saint-Honoré*, ale o moję Fedorę, o tę, która jest tu — rzekłem, uderzając się w czoło. — Co sądzisz o opium?

— Ba! cierpienia straszne — odpowiedział Rastignac.

— Zaczadzenie?

— Motłoch!

— Sekwana?

— Sieci Morgui są bardzo brudne.

— Strzał z pistoletu?

— Jeżeli się chybisz, będziesz oszpecony. Posłuchaj — odparł — jak wszyscy młodzi ludzie, myślałem nad samobójstwami. Kto z nas, w trzydziestym roku życia, nie zabił się dwa albo trzy razy? Nie znalazłem nic lepszego nad zmarnowanie życia przez przyjemność. Pogrąż w rozpuście głębokiéj namiętność lub siebie, a zginiecie tam razem. Niepowściągliwość, mój drogi, jest królową

wszystkich śmierci. Czyż nie panuje ona nad apopleksyą piorunującą? Apopleksya jest wystrzałem z pistoletu, który nie chybia nigdy. Orgie dostarczają nam wszelkich przyjemności fizycznych; a czyż to nie opium w monecie zdawkowéj? Zmuszając nas do picia na zabój, rozpusta rzuca śmiertelne wyzwania winu. Czy beczka małmazyi księcia de Clarence nie ma lepszego smaku niż muł Sekwany? Kiedy padamy szlachetnie pod stół, czyż to nie małe duszenie się peryodyczne? Jeżeli patrol podejmie nas z ziemi, czyż leżąc rozciągnięci na łóżkach zimnych odwachu, nie używamy przyjemności *Morgui*, bez brzuchów wzdętych, sinych, zielonych, a ze świadomością przesilenia w dodatku? Ach! — podjął na nowo — to długie samobójstwo nie jest śmiercią kupca korzennego, który zbankrutował. Kupcy zhańbili rzekę; rzucają się do wody dla rozczulenia wierzycieli. Na twojém miejscu starałbym się umrzéć z wdziękiem. Jeżeli chcesz stworzyć nowy rodzaj śmierci, broniąc się tym sposobem od życia, jestem twoim sekundantem. Nudzę się, zawiodłem się. Alzatka, którą mi proponowano za żonę, ma sześć palców u lewéj nogi; nie mogę żyć z kobietą, która ma sześć palców! toby się rozniosło i stałbym się śmiesznym. Zresztą ma tylko osiemnaście tysięcy franków renty; majątek jéj więc maleje, a palce wzrastają liczebnie. Do dyabła! Pędząc życie wściekłe, może znajdziemy szczęście przypadkiem.

Rastignac porwał mnie. Ten projekt jaśniał za nadto silnemi powabami, rozpalał zawiele nadziei, i nakoniec miał barwę zanadto poetyczną, ażeby nie miał się podobać poecie.

— A pieniądze? — mówię do niego.

— Czyż nie masz czterystu pięćdziesięciu franków?

— Tak, ale winienem krawcowi, gospodyni.

— Płacisz krawcowi? Nie będziesz nigdy niczém, nawet ministrem.

— Ale cóż my możemy z dwudziestoma ludwikami?

— Pójść do domu gry.

Zadrżałem.

— Ach! — podjął Rastignac, spostrzegając moję udaną skromność — chcesz puścić się na to, co nazywam *systemem rozpraszalnym*, a boisz się zielonego sukna!

— Słuchaj — odpowiadam mu — przyrzekłem ojcu nie postawić nigdy nogi w domu gry. To przyrzeczenie nie tylko jest dla mnie świętém, ale nadto jeszcze doznaję wstrętu nieprzezwyciężonego, ile razy przechodzę koło szulerni: weź ode mnie sto talarów, i idź sam. Przez ten czas, kiedy będziesz ryzykował nasz majątek, pójdę uporządkować moje interesa i przyjdę czekać na ciebie w twojém mieszkaniu.

— Oto, mój drogi, jak-em się zgubił. Dosyć jest dla młodego człowieka spotkać kobietę, ktora go nie kocha, lub kobietę, która go kocha zanadto, ażeby do jego życia wkradł się nieład. Szczęście pochłania nasze siły, tak samo jak nieszczęście gasi nasze cnoty. Powróciwszy do hotelu *Saint-Quentin*, przypatrywałem się długo poddaszu, gdzie pędziłem życie uczonego, życie, które byłoby może zaszczytném i długiém, a którego nie powinienem był porzucać dla życia namiętnego, prowadzącego nad przepaść. Paulina zaskoczyła mnie w postawie melancholijnéj.

— Ach! co panu jest? — spytała.

Podniosłem się zimno i wyliczyłem pieniądze, jakie byłem winien jéj matce z doliczeniem należności za sześć miesięcy. Patrzyła na mnie z rodzajem przerażenia.

— Porzucam was, moja droga Paulino.

— Domyśliłam się tego — zawołała.

— Słuchaj, moje dziecko, nie wyrzekam się myśli powrócenia tu jeszcze. Zatrzymajcie dla mnie izdebkę przez pół roku. Jeżeli nie będę z powrotem około piętnastego listopada, weźmiecie po mnie spadek. Ten rękopism opieczętowany — rzekłem, pokazując jéj zwój papierów — jest kopią wielkiego dzieła o *Woli*, które złożycie w Bibliotece Królewskiéj. Co zaś do tego, co tu zostawiam, to zrobicie z tém, co będziecie chcieli.

Rzucała na mnie spojrzenia, które ciężyły mi na sercu. Paulina była tu jak gdyby sumieniem żyjącém.

— Nie będę już miała lekcyj — rzekła, wskazując na fortepian.

Nic nie odpowiedziałem.

— Czy będziesz pan do mnie pisał?.....

— Bądź zdrowa, Paulino. Przyciągnąłem ją lekko do siebie i następnie na jéj czole miłości, dziewiczém jak śnieg, który nie dotknął się ziemi, złożyłem pocałunek braterski, pocałunek starca. Uciekła.

Nie chciałem widzieć się z panią Gaudin. Położyłem klucz na właściwém miejscu i odszedłem. Wychodząc z ulicy *de Cluny*, usłyszałem za sobą lekki krok kobiety.

— Wyhaftowałam dla pana ten woreczek, czy go także nie przyjmiesz? — odezwała się do mnie Paulina.

Zdawało mi się, że-m w oczach Pauliny dostrzegł przy świetle latarni łzę, i westchnąłem. Popchnięci oboje przez tę samę myśl może, rozłączyliśmy się z pośpiechem ludzi, którzyby chcieli uciec przed zarazą.

Życie rozpraszania się, jakiemu miałem się oddać, okazało się przede mną dziwacznie wyrażone przez pokój, w którym oczekiwałem z poważną obojętnością na powrót Rastignac'a. Na środku

kominka stał zegar, nad którym wznosiła się Wenera przykucnięta na żółwiu, trzymająca w ręku cygaro nawpół wypalone. Meble wytworne, podarki miłości, były porozrzucane. Stare skarpetki leżały na rozkosznéj sofie. Wygodny fotel na sprężynach, w którym byłem pogrążony, nosił blizny jak stary żołnierz, przedstawiał oczom poręcze poobrywane i pokazywał inkrustacye z pomady i olejku na oparciu, zostawione tam przez wszystkie głowy przyjaciół. Dostatek i nędza łączyły się naiwnie w łóżku, na murach, wszędzie. Możnaby powiedzieć: pałace neapolitańskie otoczone lazaronami. Było pokój gracza lub osobistości podejrzanéj, która żyje wrażeniami, a bezładu nie spostrzega wcale. Temu obrazowi nie brakowało zresztą poezyi. Życie powstawało tam ze swojemi szychami i łachmanami, niespodziewane, niepełne, jak jest w rzeczywistości, ale żywe, ale dziwaczne, jak na popasie, gdzie włóczęga obozowy złupił wszystko, co mu tylko przyjemność sprawiało. Dzieło Byrona z powydzieranemi kartkami zapaliło wiązkę drzewa młodemu człowiekowi, który ryzykuje w grze tysiąc franków, a nie ma na drzazgi, który pędzi w tylbury, nie posiadając jednéj koszuli zdrowéj i całéj. Nazajutrz, jakaś hrabina, aktorka lub *ekarte* dają mu wyprawę królewską. Tu świeca była zatknięta w futerał zielony krzesiwa fosforycznego; tam leżał portret kobiety pozbawiony ramy ze złota cyzelowanego. Jak-żeby młodzieniec, naturalnie chciwy wrażeń, mógł zrzec się ponęty życia równie bogatego w sprzeczności, które mu daje przyjemności wojny w czasie pokoju? Drzemałem już prawie, kiedy Rastignac wysadził drzwi do swojego pokoju, kopnąwszy w nie nogą, i zawołał:

— Zwycięstwo! możemy umrzéć swobodnie.

Pokazał mi kapelusz pełen złota, postawił go na stole, i zaczęliśmy tańczyć naokoło, jak dwaj ludożercy, którzy mają łup do zjedzenia, wyjąc, tupiąc nogami, skacząc, okładając się pięściami, mogącemi zabić nosorożca, i śpiewając na widok wszystkich przyjemności świata zawartych dla nas w tym kapeluszu.

— Dwadzieścia siedem tysięcy — powtarzał Rastignac, dorzucając kilka biletów bankowych do stosu złota. Innym te pieniądze wystarczyłyby do życia, ale czy wystarczą dla nas na to, ażeby umrzéć? Och! tak, wyzioniemy ducha w kąpieli ze złota. Hurra!

I zaczęliśmy podskakiwać na nowo. Podzieliliśmy pomiędzy siebie, jak spadkobiercy, sztukę po sztuce, zaczynając od podwójnych napoleonów, przechodząc od wielkich sztuk do małych, pojąc się naszą radością, gdyśmy mówili ciągle: dla mnie; dla ciebie.

— Nie będziemy spać wcale — zawołał Rastignac. — Józef, ponczu! Rzucił złoto wiernemu służącemu: To twoja część — zawołał — każ się pogrzebać, jeżeli możesz.

Nazajutrz kupiłem sobie meble u Lesage'a, wynająłem mieszkanie, gdzieś mnie poznał, przy ulicy Taitbout, i kazałem najlepszemu tapicerowi ozdobić je. Trzymałem konie. Rzuciłem się w wir przyjemności pustych i zarazem rzeczywistych. Grałem, wygrywałem i przegrywałem z kolei olbrzymie sumy, ale na balu u naszych przyjaciół; nigdy zaś w domach gry, do których zachowałem święty, pierwotny wstręt. Nieznacznie porobiłem sobie przyjaciół. Ich przywiązanie winien byłem sprzeczkom lub téj poufałości, z jaką powierzamy sobie nasze tajemnice, upodlając się w towarzystwie; lecz kto wie, czy nie przywiązujemy się do siebie dobrze tylko za pomocą naszych wad? Odważyłem się na kilka prac literackich, za które otrzymałem pochwały. Wielcy ludzie literatury kupieckiéj, nie widząc we mnie rywala, któregoby należało obawiać się, wychwalali mnie, bezwątpienia mniéj za moje zasługi osobiste, aniżeli przez chęć zasmucenia swoich towarzyszów. Stałem się *hulaką*, jeżeli mam użyć wyrażenia malowniczego, uświęconego przez wasz język orgii. Miłość własna nakazywała mi zabić się szybko, zgnieść najweselszych towarzyszów moją werwą i moją potęgą. Byłem zawsze świeżo, wytwornie ubrany. Uchodziłem za dowcipnego. Nic nie zdradzało we mnie tego strasznego życia, które przemienia człowieka w lejek, w przyrząd do chylu, w konia cugowego. Wkrótce rozpusta ukazała mi się w całym majestacie swojéj grozy, i wtedy zrozumiałem ją! Z pewnością ludzie rozsądni i porządni, którzy kładą etykiety na butelkach dla swoich spadkobierców, nie mogą wcale pojąć ani teoryi tego życia szerokiego, ani jego stanu normalnego. Czy wbilibyście w pamięć poezyę ludziom z prowincyi, dla których opium i herbata, tak pełne rozkoszy, są tylko dwoma środkami leczniczemi? W Paryżu samym, w téj stolicy myśli, czyż nie spotyka się sybarytów niezupełnych? Niezdolni znieść nadużycia przyjemności, czyż nie odchodzą zmęczeni po orgii, jak ci poczciwi mieszczanie, którzy wysłuchawszy jakiéjś nowéj opery Rossini'ego, potępiają muzykę? Czyż nie wyrzekają się tego życia, jak człowiek wstrzemięźliwy, który nie chce już jeść pasztetów od Ruffec'a, ponieważ pierwszego nie mogli strawić? Rozpusta z pewnością jest taką samą sztuką jak poezya i potrzebuje dusz silnych. Dla pojęcia jéj tajemnic, dla zasmakowania w jéj pięknościach, człowiek powinien do pewnego stopnia oddać się sumiennym studyom. Jak wszystkie nauki jest ona z początku odstręczającą, ciernistą. Wielkie przyjemności człowieka są otoczone olbrzymiemi trudnościami, nie te uciechy jednak drobiazgowe, ale systematy, które zamieniają w zwyczaj jego wrażenia najrzadsze, streszczają je, użyźniają mu je, stwarzając życie dramatyczne w jego życiu, wywołując z konieczności rozpraszanie się siły nadmierne i szybkie. Wojna,

Władza, Sztuki, są skażeniami stojącemi daleko po za pojęciem ludzkiém, i równie głębokiemi jak Rozpusta, a do wszystkich przystęp jest trudny. Lecz kiedy człowiek raz wziął szturmem te wielkie tajemnice, czyż wtedy nie obraca się w świecie nowym? Wszyscy gienerałowie, ministrowie, artyści mniéj lub więcéj skłaniają się ku rozluźnieniu obyczajów przez potrzebę przeciwstawiania rozrywek gwałtownych swojemu bytowi tak silnemu po za życiem powszedniém. Ostatecznie wojna jest rozpustą krwi, tak samo jak polityka jest rozpustą interesów. Wszystkie nadużycia są braćmi. Te potworności społeczne posiadają moc otchłani; pociągają nas, jak Swięta Helena przyzywała Napoleona; wywołują w naszych głowach zawroty, rzucają na nas urok, a my chcemy dojrzeć w nich dna, nie wiedząc sami dlaczego. Może myśl o nieskończoności istnieje w tych przepaściach, a może one zawierają jakie wielkie pochlebstwo dla człowieka; bo czyż wtenczas nie wzbudza zajęcia we wszystkiém dla siebie samego? Dla kontrastu z rajem swoich godzin pracy, z rozkoszami poczęcia, artysta zmęczony, żąda, bądź-to jak Bóg, odpoczynku niedzielnego, bądź też jak Dyabeł, uciech piekielnych, byle pracę zmysłów przeciwstawić pracy władz umysłowych. Wytchnieniem lorda Byrona nie mógł być boston gadatliwy, który zachwyca rentyera: poeta do grania przeciwko Machmudowi chciał Grecyi. Czyż na wojnie człowiek nie staje się aniołem-zagładzicielem, rodzajem kata, ale olbrzymiego? Czyż nie potrzeba powabów istotnie nadzwyczajnych, ażeby zgodzić się na te bóle straszne, nieprzyjazne dla naszéj wątłéj powłoki, jakiemi, niby pasem ciernistym, otoczone są namiętności? Czyż palacz, który się tarza w konwulsyach i cierpi rodzaj męczarni konania, nadużywszy tytoniu, nie był obecnym na ucztach rozkosznych w jakichś tam sferach? Czyż Europa, nie dając sobie saméj czasu do otarcia nóg zanurzonych we krwi po kostki, nie rozpoczyna wojny bezustannie? Czy człowiek w masie ma tak samo swój szał, jak natura swoje napady miłości? Dla człowieka prywatnego, dla Mirabeau, wegietującego pod panowaniem pokojowém i marzącego o burzach, rozpusta zamyka w sobie wszystko: jest ona nieustannym uściskiem całego życia, albo lepiéj, pojedynkiem z potęgą nieznaną, z potworem: z początku potwór przeraża, trzeba go wziąć za rogi, a to są trudy niesłychane: natura wam dała jakiś żołądek ciasny i leniwy? opanowujecie go, rozszerzacie, przyzwyczajacie do znoszenia wina, przyswajacie sobie pijaństwo, przepędzacie noce bezsenne, wyrabiacie w sobie nareszcie temperament pułkownika od kirasyerów, stwarzając samych siebie jeszcze raz, jak gdyby dla przyganienia Bogu! Kiedy człowiek w ten sposób się przemienił, kiedy stary żołnierz, neofita urobił sobie duszę do artyleryi, nogi do marszu, nie należąc

jeszcze do potwora, lecz nie wiedząc, który z pomiędzy nich jest mistrzem, wtedy rzucają się jeden na drugiego, już-to zwycięzcy, już-też zwyciężeni, w sferze, gdzie wszystko jest cudownem, gdzie bóle duszy zasypiają, gdzie tylko widma myśli powracają do życia. Już ta walka okrutna stała się konieczną. Realizując te osobistości bajeczne, które według legend zaprzedały duszę Dyabłu celem otrzymania mocy robienia źle, marnotrawca pomieniał się ze swoją śmiercią na wszystkie uciechy życia, ale obfite, ale płodne! Zamiast płynąć długo pomiędzy dwoma brzegami jednostajnemi, za kantorem lub w biurze, życie faluje i mknie jak potok. Wreszcie rozpusta niewątpliwie jest tém w stosunku do ciała, czém przyjemności mistyczne do duszy. Upicie się pogrąża was w marzeniach, których fantasmagorye są tak samo ciekawe, jak niemi mogą być fantasmagorye zachwytu umysłowego. Macie godziny czarujące, jak kaprysy młodéj dziewczyny, gawędki rozkoszne z przyjaciołmi, słowa malujące życie całe, radości prawdziwe i bez restrykcyj, podróże bez znużenia, poematy rozwinięte w kilku zdaniach. Po brutalném zadowoleniu zwierzęcia, na dnie którego nauka chciała doszukać się duszy, następują odrętwienia zaczarowane, do jakich ludzie, znudzeni swoim rozumem, wzdychają. Czyż nie czują całéj konieczności odpoczynku zupełnego i czyż rozpusta nie jest rodzajem podatku, jaki gieniusz płaci złemu? Patrz na wszystkich wielkich ludzi: jeżeli nie są rozpustni, to natura tworzy ich wątłemi. Jakaś potęga szydercza czy zazdrosna psuje im duszę albo ciało dla zneutralizowania wysiłków ich talentu. Podczas tych godzin upojenia winem, ludzie i przedmioty stają przed wami, odziani w wasze liberye. Jako król stworzenia, człowiek przemienia je stosownie do swoich życzeń. Po przez to upojenie wieczne, zabawa, za waszą zgodą, leje wam w żyły swój ołów roztopiony. Pewnego dnia należycie do potwora, i wtedy macie, jak ja je miałem, przebudzenie się wściekłe: niemoc siedzi u waszego węzgłowia. Starzy wojownicy! suchoty was pożerają; dyplomaci! anewryzm unosi w waszém sercu życie na włosku; co do mnie, to może choroba płuc powié mi: „Odjeżdżajmy!“ jak powiedziała niegdyś do Rafała z Urbino, zabitego nadmiarem miłości. Tak właśnie żyłem! Przybywałem albo zawcześnie albo zapóźno do życia w świecie; bezwątpienia moja siła byłaby się stała niebezpieczną, gdybym nie był jéj zobojętnił w ten sposób; czyż wszechświat nie został wyleczony z Aleksandra przez czarę Herkulesa, przy końcu orgii! Ostatecznie do pewnych przeznaczeń zawiedzionych potrzeba nieba albo piekła, rozpusty albo klasztoru z góry ś-go Bernarda. Przed chwilą nie miałem odwagi moralizować tych dwu stworzeń — rzekł pokazując na Eufrazyę i Aquilinę. Czyż nie były moją historyą uosobioną, obrazem mojego życia! Nie

mogłem ich wcale obwiniać, ponieważ zjawiały się przede mną jako sędziowie. Wśród tego poematu żyjącego, w łonie téj choroby ogłuszającéj, miałem tymczasem dwa przesilenia bardzo obfite w przykre bóle. Najpierw, w kilka dni po rzuceniu się, jak Sardanapal, na mój stos, spotkałem Fedorę w krużganku teatru *Bouffons*. Czekaliśmy na nasze powozy.

— Ach! widzę pana jeszcze przy życiu!

To słowo było tłomaczeniem jéj uśmiechu, wyrazów uszczypliwych i niewyraźnych, jakie powiedziała do swojego kawalera, opowiadając mu niewątpliwie moję historyę, i sądząc moję miłość jak miłość pospolitą. Przyklaskiwała swojéj fałszywéj przezorności. Och! umierać dla niéj, uwielbiać ją jeszcze, widzieć ją w moich nadużyciach, w moich szałach, w łóżku zalotnic, i czuć się ofiarą jéj żartu! Nie módz rozerwać piersi, poszukać tam miłości i rzucić jéj pod nogi! Nakoniec przebrałem łatwo mój skarb; ale trzy lata takiego postępowania dały mi zdrowie najsilniejsze ze wszystkich, i w dniu, kiedy znalazłem się bez pieniędzy, miałem się jak najlepiéj. Celem umierania daléj podpisywałem weksle z krótkim terminem, i dzień wypłaty nadszedł. Okrutne wzruszenia! a jak one ożywiają młode serca! Nie byłem urobiony do tego, aby się zestarzéć jeszcze, moja dusza wciąż była młoda, żywa, jara. Pierwszy dług wskrzesił wszystkie moje cnoty, które przyszły wolnym krokiem i ukazały mi się zrozpaczone. Zdołałem wejść z niemi w układy, jak z temi ciotkami staremi, które zaczynają od łajania nas, a kończą na daniu nam łez i pieniędzy. Wyobraźnia surowsza od innych, pokazała mi moje nazwisko podróżujące od miasta do miasta, na placach Europy. *Nasze imię, to my sami* — powiedział Euzebiusz Salverte. Po wycieczkach włóczęgoskich, miałem, jak duplikat Niemca, powrócić do mieszkania, z którego nie byłem wyszedł, ażeby sam wyskoczyć ze snu równemi nogami. Na tych ludzi z banku, na te wyrzuty sumienia handlowe, patrzyłem niegdyś obojętnie, kiedy szli przez ulice Paryża: lecz dzisiaj nienawidziłem ich z góry. Pewnego poranku, czyż jeden z nich nie przyjdzie zażądać ode mnie zdania sprawy z jedenastu weksli, jakie nabazgrałem? Mój podpis wart był trzy tysiące franków, których sam nie byłem wart! Woźni o twarzach obojętnych na wszystkie rozpacze, nawet na śmierć, stawali przede mną, jak kaci, którzy mówią do skazanego:

— Otóż bije w pół do czwartéj.

Ich dependenci mieli prawo owładnąć mną, bazgrać moje imię, zbrukać je, drwić sobie z niego. *BYŁEM WINIEN!* Być winnym, czyż to należéć do siebie? Czyż inni ludzie nie mogliby zażądać odemnie rachunku z mojego życia? dlaczego jadłem pudyngi *à la Chipolata?* dlaczego piłem wina mrożone? dlaczego spałem, chodzi-

łem, myślałem, bawiłem się, nie płacąc za to? Wśród poezyi na łonie myśli, lub przy śniadaniu, otoczony przyjaciołmi, wesołością, przyjemnemi drwinkami, mógłbym zobaczyć, jak wchodzi jakiś pan w ubraniu kasztanowatém, trzymając w ręku kapelusz wyszarzany. Ten pan będzie moim długiem, to będzie mój weksel, widmo, które zbezcześci moję zabawę, zmusi mnie do opuszczenia stołu, ażeby z nim mówić; zabierze mi wesołość, kochankę, wszystko aż do łóżka. Zgryzota sumienia jest znośniejsza: nie wyrzuca nas na ulicę, ani wsadza do ś-téj Pelagii; nie pogrąża nas w tym ohydnym steku występków i ciska nas tylko na szafot, gdzie kat uszlachetnia: w chwili wykonywania kary, wszyscy ludzie wierzą w naszę niewinność, kiedy społeczeństwo tymczasem nie zostawia rozpustnikowi bez pieniędzy ani jednéj cnoty. A przytém te długi na dwu łapach, ubrane w sukno zielone, noszące okulary niebieskie lub parasole różnokolorowe; te długi wcielone, z któremi spotykamy się twarz w twarz na rogu jakiéjś ulicy, w chwili kiedyśmy się uśmiechali, ci ludzie będą mieli obmierzły przywiléj mówienia:

— „Pan de Valentin winien mi i nie płaci. Mam go w ręku. Ach! niech nie pokazuje, że się krzywi na mnie!“

Trzeba się kłaniać naszym wierzycielom, kłaniać się z wdziękiem. „Kiedy mi pan zapłaci?“ mówią. I jesteśmy obowiązani kłamać, błagać innego człowieka o pieniądze, zginać się przed głupcem siedzącym na kufrze, przyjmować jego spojrzenie zimne, spojrzenie pijawki, wstrętniejsze niż policzek, znosić jego moralność Barême'a i jego nieokrzesaną głupotę. Dług jest dziełem wyobraźni, któréj oni nie rozumieją. Uniesienia duszy porywają, często opanowywają zaciągającego pożyczkę, kiedy tymczasem nic wielkiego nie opanowywa, nic szlachetnego nie kieruje temi, którzy żyją w pieniądzach i tylko pieniądze znają. Miałem wstręt do pieniędzy. Ostatecznie weksel może przemienić się w starca obarczonego rodziną, obrzuconego cnotami. Mógłbym być winien może żyjącemu obrazowi Greuze'a, paralitykowi otoczonemu dziećmi, wdowie po żołnierzu, którzy wszyscy wyciągną do mnie błagalne ręce. Straszni wierzyciele, z któremi trzeba płakać, a kiedyśmy im zapłacili, winniśmy im jeszcze pomoc. W przeddzień terminu zapłaty, położyłem się do łóżka z tym spokojem fałszywym ludzi, którzy śpią przed egzekucyą, przed pojedynkiem, ponieważ pozwalają się kołysać nadziei kłamliwéj. Lecz przebudzając się, kiedy odzyskałem zimną krew, kiedy poczułem, że dusza moja jest uwięziona w tece bankiera, umieszczona na wykazie, wypisana czerwonym atramentem, wtenczas moje długi wytrysnęły zewsząd jak szarańcza; były w moim zegarze, na moich fotelach, lub wyinkrustowane na meblach, których używałem z największą przyjemnością. Stawszy się pastwą

harpij z *Châtelet*, ci mili niewolnicy materyalni mieli zatem być wyniesionemi przez świadków komornika, i wyrzuconemi po grubijańsku na plac. Ach! spuścizną po sobie ja sam byłem jeszcze. Dzwonek mojego mieszkania brzmiał mi w sercu, uderzał mnie tam, gdzie należałoby uderzać królów — w głowę. Było-to męczeństwo bez nieba w nagrodę. Tak, dla człowieka wspaniałomyślnego dług jest piekłem, ale piekłem z woźnemi i komisantami. Dług niezapłacony jest nikczemnością, początkiem oszustwa, i gorzéj niż to wszystko, kłamstwem, zarysem zbrodni, układającym belki w szafocie. Weksle zostały zaprotestowane. W trzy dni potém zapłaciłem je; oto jak. Jakiś spekulant zażądał ode mnie, ażebym mu sprzedał wyspę, jaką posiadałem na Ligerze, gdzie był grób mojéj matki. Zgodziłem się. Podpisując kontrakt u notaryusza mojego nabywcy, poczułem w głębi kancelaryi ciemnéj świeżość taką jak w piwnicy. Zadrżałem, poznając to samo zimno wilgotne, jakie mnie przejęło nad brzegiem grobu, gdzie leżał mój ojciec. Wziąłem ten przypadek za przepowiednię złowróżbną. Zdawało mi się, jakgdybym słyszał głos matki i widział jéj cień; sam nie wiem co za moc zadzwoniła mi w uszach mojém własném imieniem, wśród hałasu dzwonów! Z ceny za moję wyspę, po zapłaceniu wszystkich długów, pozostało mi się dwa tysiące franków. Zapewne, mógłbym był rozpocząć na nowo spokojne życie uczonego, powrócić na poddasze, doświadczywszy życia, wejść tam z głową pełną obserwacyj olbrzymich i ciesząc się już rodzajem rozgłosu. Ale Fedora nie puściła swego łupu. Znajdowaliśmy się często wobec siebie. Kazałem trąbić jéj w uszy moje imię przez jéj kochanków, zdumionych moim umysłem, mojemi końmi, mojém powodzeniem, mojemi powozami. Była zimną i nieczułą na wszystko, nawet na ten straszny frazes: „On się zabija dla pani!“ powiedziany przez Rastignac'a. Obarczałem świat cały moją zemstą, lecz nie byłem szczęśliwy! Wydrążając tym sposobem życie aż do kału, czułem zawsze silniéj rozkosze miłości podzielonéj, ścigałem jéj widma po-przez przypadki moich rozrywek, wśród orgii. Na moje nieszczęście, byłem zawodzony w pięknych nadziejach, byłem karany za dobrodziejstwa przez niewdzięczność, a nagradzany za błędy, tysiącami przyjemności. Zgubna filozofia, ale prawdziwa dla rozpustnika! Ostatecznie Fedora przekazała mi trąd próżności. Sondując swoję duszę, znalazłem w niéj gangrenę, zgniliznę. Szatan wycisnął mi swoję ostrogę na czole. Niepodobna już było odtąd obejść się bez drżeń ustawicznych życia w każdéj chwili ryzykownego, bez obmierzłych wymyślności bogactwa. Bogaty na miliony, byłbym ciągle grał, jadł, hulał. Nie chciałem już zostawać sam na sam z sobą. Potrzeba mi było ladasznic, fałszywych przyjaciół, wina, dobréj strawy do ogłuszenia się. Węzły wiążące czło-

wieka z rodziną były zerwane we mnie nazawsze. Jako galernik przyjemności, musiałem spełnić przeznaczenie samobójstwa. W czasie ostatnich dni mojego majątku, dopuszczałem się co wieczór nadużyć niepodobnych do uwierzenia; ale co rano śmierć odrzucała mnie do życia. Podobnie jak rentyer dożywotni, mogłem przejść przez pożar. Nakoniec znalazłem się sam z jedną sztuką dwudziestofrankową i wspomniałem sobie wtedy na szczęście Rastignac'a...

— He! he! — zawołał, wspomniawszy nagle o swoim talizmanie, który wyjął z kieszeni.

Bądź, że znużony walkami tego dnia długiego, nie miał już siły sterować swoim umysłem po falach wina i ponczu; bądź też, że doprowadzony do rozpaczy przez obraz swojego życia, nieznacznie upił się potokiem własnych słów, Rafał zapalił się, uniósł jak człowiek zupełnie pozbawiony rozumu.

— Do dyabła ze śmiercią! — zawołał trzęsąc w górze skórą. — Chcę żyć teraz! jestem bogaty, mam wszystkie cnoty! Nic mi się nie oprze. Któż nie byłby dobrym, kiedy może wszystko? He! he! Oho! Życzyłem sobie dwustu tysięcy franków renty, i będę je miał. Kłaniajcie mi się, wieprze tarzające się po tych dywanach, niby na gnoju! Ty należysz do mnie, słynna własności! Jestem bogaty, mogę was kupić wszystkich, nawet deputowanego, który tam chrapie. Nuże! motłochu wyższego towarzystwa, błogosław mnie! Jestem papieżem.

W téj chwili, krzyki Rafała, aż dotąd pokryte basem ciągłym chrapania, zostały nagle usłyszane. Większa część śpiących obudziła się krzycząc, i spostrzegłszy, że przeszkadzający nie pewno stoi na nogach, zaczęła złorzeczyć jego hałaśliwemu pijaństwu koncertem przekleństw.

— Milczcie! — podjął Rafał. — Psy do budy! Emilu, mam skarby, dam ci cygar hawańskich.

— Rozumiem cię — odpowiedział poeta — *Fedora albo śmierć!* Idź swoją drogą! Ta miła Fedora oszukała cię. Wszystkie kobiety są córkami Ewy. Twoja historya nie jest wcale dramatyczną.

— Ach! i ty spałeś, podstępniku?

— Nie! Fedora albo śmierć; już wiem.

— Obudź się — krzyknął Rafał, uderzając Emila Jaszczurem, jak gdyby chciał z niego wydostać płyn elektryczny.

— Do pioruna! — rzekł Emil, wstając i chwytając Rafała wpół — mój drogi, pomyśl tylko, że jesteś z kobietami złego życia.

— Jestem milionerem.

— Jeżeli nie jesteś milionerem, to jesteś z pewnością pijany.

— Pijany mocą. Mogę cię zabić! Cicho! jestem Neronem! jestem Nabuchodonozorem.

— Ależ, Rafale, jesteśmy w lichém towarzystwie, powinien-byś być cicho przez poczucie godności.

— Moje życie było jedném zadługiém milczeniem. Teraz chcę się zemścić za cały świat. Nie będę się bawił trwonieniem nędznych talarów, ale pójdę w ślady mojéj epoki, streszczę ją, pochłaniając życia ludzkie i umysły, dusze. Oto mi przepych, który nie jest marnym; alboż to nie dostatek morowéj zarazy! Będę walczył z febrą żółtą, niebieską, zieloną, z armiami, z szafotami! Mogę mieć Fedorę. Ale nie, nie chcę Fedory, to moja choroba, umieram na Fedorę! Chcę zapomnieć o Fedorze.

— Jeżeli nie przestaniesz krzyczéć, wyniosę cię do jadalnego pokoju.

— Czy widzisz tę skórę? to testament Salomona. Salomon, ten żak a nie król, należy do mnie. Mam Arabią, Persyą, a w dodatku Wszechświat należy do mnie. Ty będziesz należał do mnie, jeżeli zechcę. Ach! jeżeli zechcę, miéj się na baczności! Mogę kupić cały kram dziennikarski, i zostaniesz moim lokajem. Będziesz dla mnie robił kuplety, będziesz liniował mi papier. Lokaj! *Valet*, co znaczy: Ma się dobrze, ponieważ nie myśli o niczém.

Po tém słowie Emil wyniósł Rafała do sypialnego pokoju.

— No dobrze! tak, mój kochany — rzekł do niego — jestem twoim lokajem. Ale zostaniesz redaktorem naczelnym dziennika, milcz! bądź przyzwoity przez wzgląd na mnie! Czy kochasz mnie?

— Czy cię kocham! Będziesz miał cygara hawańskie przy téj skórze. Ciągle skóra, mój przyjacielu, skóra wszechwładna! Wyborny środek leczniczy, mogę leczyć odciski. Czy masz odciski? wyjmę ci je.

— Nigdy jeszcze nie widziałem cię tak głupim.

— Głupim, mój przyjacielu? Nie. Ta skóra kurczy się ile razy pożądam.... jest-to antyfraza. Bramin — pod spodem znajduje się bramin. A więc bramin był sobie żartownisiem, ponieważ pożądania, widzisz, powinnyby rozciągać.....

— Ależ tak.....

— Mówię ci....

— Tak, to najzupełniejsza prawda, tak samo myślę, jak i ty... Pożądanie rozcią.....

— Mówię ci, skóra!

— Tak.

— Nie wierzysz mi. Znam cię, mój kochany; jesteś kłamcą, jak nowy król.

— Jakże chcesz, ażebym adoptował bzdurstwa twego pijaństwa?

— Zakładam się z tobą, mogę ci tego dowieść. Weźmy miarę.

— Dobryś, nie uśnie dziś — zawołał Emil, widząc, że Rafał jest zajęty plądrowaniem po sali jadalnéj.

Valentin ożywiony zręcznością małpy, dzięki temu jasnowidzeniu szczególnemu, którego zjawiska tworzą u pijaków częstokroć kontrast z przytępioném widzeniem pijaństwa, umiał znaléźć kałamarz i serwetę, powtarzając ciągle:

— Weźmy miarę! Weźmy miarę!

— No dobrze, tak — odparł Emil — weźmy miarę.

Dwaj przyjaciele rozciągnęli serwetę, położyli na niéj Jaszczur, i kiedy Emil, którego ręka, jak się zdawało, była pewniejszą niż Rafała, nakreślał piórem, umaczaném w atramencie, kontury talizmanu, jego przyjaciel mówił:

— Pragnąłem dwustu tysięcy franków renty, nieprawda? A więc, kiedy będę je miał, zobaczysz zmniejszenie się całéj mojéj skóry.

— Tak, a teraz śpij. Chcesz, żebym cię położył na téj kanapie? No, czy ci dobrze?

— Tak, mój wychowanku prasy. Będziesz mnie bawił, będziesz z much opędzał. Przyjaciel nieszczęścia ma prawo być przyjacielem władzy. To też dam ci cy...gar... hawan.....

— Daléj! wysiaduj swoje złoto, milionerze.

— A ty wysiaduj swoje artykuły. Dobra noc. Powiedz także dobra noc Nabuchodonozorowi. Miłości! Pić! Francya... sława... bogaty... Bogaty.....

Wkrótce obydwa przyjaciele połączyli swoje chrapania z muzyką rozlegającą się po salonach. Koncert niepotrzebny! Świéce pogasły jedna po drugiéj przy pękających profitkach kryształowych. Noc pokryła kirem tę długą orgię, w któréj opowiadanie Rafała było jak gdyby orgią słów, wyrazów bez myśli, i myśli, którym często brakowało wyrazu.

Nazajutrz, około południa, Aquilina wstała, ziewając, zmęczona, z policzkami wymarmurkowanemi od wyciśnień taboretu z aksamitu kolorowego, na którym jéj głowa spoczywała. Eufrazya przebudzona ruchem towarzyszki, wyprostowała się nagle, wyrzucając z piersi krzyk ochrypły; jéj śliczna twarz tak biała, tak świeża w wilią, była żółtą i bladą jak twarz dziewczyny idącéj do szpitala. Pomału współbiesiadnicy zaczęli się ruszać, wydając jęki złowrogie; czuli zesztywnienie w rękach i w nogach, a tysiące zmęczeń różnych przygniatało ich przy budzeniu się. Lokaj przyszedł otworzyć okiennice i okna salonów. Zgromadzenie znalazło się na nogach, przywołane do życia ciepłemi promieniami słońca, które się iskrzyło na głowach śpiochów. Ponieważ poruszenia w czasie snu poniszczyły wytworne gmachy uczesania głowy i zmięły suknie, kobiety więc zaskoczone blaskiem dnia, przedstawiały widok odrażający: wło

sy wisiały bez wdzięku, twarze zmieniły wyraz, oczy, tak błyszczące, były zamglone znużeniem. Cera żółciowa, która rozrzuca taki blask przy świecach, przejmowała wstrętem; twarze limfatyczne, tak białe, tak miękkie, kiedy są wypoczęte, stały się zielonemi; usta niedawno rozkoszne i czerwone, a obecnie suche i białe, nosiły na sobie bezwstydne piętna pijaństwa. Mężczyźni wypierali się swoich kochanek nocnych, widząc je tak blademi, strupiałemi, jak kwiaty pogniecione na ulicy po przejściu procesyi. Ci ludzie wynioślі byli jeszcze potworniejszemi. Bylibyście zadrżeli na widok tych postaci ludzkich, o oczach zapadniętych i podbitych, które, zdawało się, że nic nie widziały, odrętwiałych od wina, ogłupionych snem niewygodnym, bardziéj nużącym niż pokrzepiającym! Te twarze wynędzniałe, gdzie pokazywały się w całéj nagości pożądania fizyczne, bez poezyi, w jaką je stroi dusza, miały coś dzikiego i nazimno zwierzęcego. To przebudzenie się występku bez ubioru i różu; ten szkielet zła w łachmanach, zimnego, pustego i pozbawionego sofizmatów umysłu lub powabów przepychu, przeraził tych atletów nieustraszonych pomimo przyzwyczajenia do walki z rozpustą. Artyści i ladasznice zachowywali się cicho, badając okiem chciwém nieporządek apartamentu, gdzie wszystko było spustoszone, zniszczone ogniem namiętności. Śmiech szatański podniósł się nagle, kiedy Taillefer, słysząc chrapanie głuche swoich gości, starał się pozdrowić ich jakimś grymasem; jego twarz spocona i przekrwiona unosiła się nad tą sceną piekielną, jak widmo zbrodni bez wyrzutu sumienia. (Patrz w *Oberży czerwonéj*). Obraz był zupełny. Było to życie skalane wśród zbytku, okropna mieszanina wystawności i nędzy ludzkiéj, przebudzenie się Rozpusty, kiedy w swych rękach silnych cisnęła owoce życia, zostawiając wokoło siebie tylko szczątki haniebne lub kłamstwa, w które nie wierzy. Możnaby powiedzieć: Śmierć uśmiechająca się wśród rodziny zadżumionéj: ani zapachu, ani świateł ogłuszających, ani wesołości, ani pragnień; ale za to niesmak ze swojemi wyziewami sprawiającemi nudności i ze swoją filozofią bolesną, ale słońce jaśniejące jak prawda, ale powietrze czyste jak cnota, kontrastowały z atmosferą ciepłą, przejętą miazmatami, miazmatami orgii! Pomimo nawyknienia do występku, wiele z tych młodych dziewczyn myślało o swojém przebudzeniu się z dawniejszych czasów, kiedy niewinne i czyste spostrzegały przez okna wiejskiego domu, ozdobione powojem i różami, krajobraz świeży, przy uroku wesołych rulad skowronka, mglisto oświetlony blaskami jutrzenki i przystrojony w fantazye rosy. Inne malowały przed sobą śniadanie na łonie rodziny, stół, przy którym śmiały się niewinne dzieci i ojciec, gdzie wszystko oddychało czarem niedającym się określić, gdzie potrawy były proste jak serca.

Jakiś artysta myślał o spokoju swojéj pracowni, o swojéj niepokalanéj rzeźbie, o wdzięcznym modelu, który na niego czekał. Młody człowiek przypominając sobie o procesie, od którego zależał los rodziny, roztrząsał w myśli ważne układy, wymagające jego obecności. Uczony żałował gabinetu, do którego wzywało go szlachetne dzieło. Prawie wszyscy skarżyli się na siebie samych. Emil, świeży i rumiany, jak najładniejszy z subjektów handlowych jakiegoś sklepu w modzie, ukazał się, śmiejąc.

— Jesteście brzydsi, aniżeli świadkowie od komornika — zawołał. Nic-byście już dziś robić nie mogli; dzień stracony, i mojém zdaniem jest: zjeść śniadanie.

Po tych słowach Taillefer poszedł wydać rozkazy. Kobiety wyszły krokiem omdlałym poprawić nieład swoich strojów przed lustrami. Każdy się otrząsał. Najwystępniejsi strofowali najrozsądniejszych. Zalotnice drwiły sobie z tych, którzy, jak się zdawało, nie czuli się na siłach wytrzymania dłużéj téj trudnéj uczty. W jednéj chwili widma się ożywiły, uformowały kółka, zaczęły zadawać sobie pytania i uśmiechać się. Kilku lokai zręcznych i żwawych ustawiło szybko meble i każdą rzecz na swojém miejscu. Śniadanie wspaniałe zostało zastawione. Biesiadnicy rzucili się wtedy do sali jadalnéj. Tam, jeżeli wszystko nosiło znamię niezatarte nadużyć wczorajszych, to jednak widać było ślad bytu i myśli jak w ostatnich konwulsyach umierającego. Podobnie jak orszak z tłustego wtorku, saturnalia była pogrzebaną przez maski znużone tańcami, pijane pijaństwem, pragnące przekonać zabawę o jéj niemocy, ażeby się nie przyznać do swojéj. Z chwilą, kiedy to nieustraszone zgromadzenie okoliło stół kapitalisty, Cardot, co w wilię znikł roztropnie po obiedzie, ażeby dokończyć orgii na łożu małżeńskiém, pokazał swoję twarz urzędową, na któréj błąkał się uśmiech słodki. Zdawało się, że odgadł jakąś spuściznę do skosztowania, do podziału, do zaregiestrowania, do spisania, spuściznę z mnóztwem aktów do zrobienia, brzemienną honoraryami, tak soczystą jak polędwica drżąca, w któréj amfitryon pogrążał nóż.

— Och! och! będziemy jeść śniadanie w obecności notaryusza — zawołał de Cursy.

— Przychodzisz pan w samę porę, jak gdyby dla ocenienia oparafowania wszystkich tych sztuk — rzekł do niego bankier, pokazując na ucztę.

— Nie ma testamentu do zrobienia, ale może w porę do intercyz ślubnych! — odezwał się uczony, który po raz pierwszy od roku ożenił się w wyższy sposób.

— Och! och!

— Ach! ach!

— Chwileczkę — odparł Cardot, ogłuszony chórem złośliwych żartów — przychodzę tu w sprawie poważnéj. Przynoszę sześć milionów jednemu z was. (Głębokie milczenie). Panie — rzekł, zwracając się do Rafała, który w téj chwili zajęty był bez ceremonii ocieraniem sobie oczu końcem serwety — czy pańska matka nie była z domu O'Flaharty?

— Tak — odpowiedział Rafał dosyć machinalnie — *Barbara-Marya.*

— Czy masz pan tu — podjął na nowo Cardot — metrykę swojego urodzenia i urodzenia pani de Valentin?

— Tak sądzę.

— A więc, panie, jesteś pan jedynym spadkobiercą majora O'Flaharty, zmarłego w sierpniu 1828 roku, w Kalkucie.

— Ależ to majątek *niewykalkutakulowany!* — wykrzyknął rozstrzygacz.

— Ponieważ major rozporządził w testamencie wieloma sumami na rzecz kilku zakładów publicznych, rząd francuski więc zgłosił się do kompanii Indyjskiéj o spadek — ciągnął daléj notaryusz. — Jest on czysty i wyraźny. Od piętnastu dni szukałem bezowocnie mających sprawę z panną Barbarą-Maryą O'Flaharty, kiedy wczoraj przy stole.....

W téj chwili Rafał podniósł się nagle, zdradzając wstrząśnienie gwałtowne człowieka, który otrzymuje ranę. Powstał rodzaj oklasku milczącego, a pierwsze uczucie współbiesiadników było podyktowane przez zazdrość głuchą, wskutek czego wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, niby tyleż płomieni. Następnie, szmer podobny do szmeru parteru sierdzącego się, wrzawa rozruchu rozpoczęła się, urosła, i każdy powiedział słowo na powitanie téj sumy olbrzymiéj, przyniesionéj przez notaryusza. Przyszedłszy do przytomności zupełnéj w skutek tego nagłego posłuszeństwa losu, Rafał rozciągnął szybko na stole serwetę, widząc małą odległość pomiędzy konturem zarysowanym na płótnie a konturem skóry.

— Ależ co jemu jest? — wykrzyknął Taillefer — ma przecież majątek tanim kosztem.

— *Podtrzymaj go, Chatillon* — odezwał się Bixiou do Emila — radość go zabije.

Straszna bladość naznaczyła wszystkie mięśnie na zwiędłéj twarzy i zadrżał gwałtownie, spadkobierca; jego rysy ściągnęły się, miejsca wydatne zbielały, wklęsłości pociemniały, maska stała się siną, a oczy stanęły kołem. Widział *ŚMIERĆ.* Ten bankiet wspaniały, otoczony zalotnicami zwiędniętemi i twarzami nasyconemi, to konanie radości było żywym obrazem jego życia. Rafał spojrzał po trzykroć na talizman, mieszczący się wygodnie w niezbłaganych liniach, naznaczonych

na serwecie, i starał się wątpić; lecz jasne przeczucie unicestwiało jego niewiarę. Świat należał do niego; mógł wszystko, a nie chciał już niczego. Jak podróżny wśród pustyni, miał trochę wody dla ugaszenia pragnienia i musiał mierzyć swoje życie ilością haustów. Widział, ile dni kosztować go miało każde pożądanie. Następnie, uwierzywszy w Jaszczur, zaczął słuchać, jak oddycha, czuł się już chorym, pytał się samego siebie: Czy nie jestem chory na płuca? Czyż moja matka nie umarła na piersi?

— Ach! ach! panie Rafale, będziesz się pan dobrze bawił! Co mi pan dasz? — mówiła Aquilina.

— Pijemy na śmierć jego wuja, majora Marcina O'Flaharty? To mi człowiek!

— Będziesz parem Francyi.

— Ba! cóż-to takiego par Francyi po Lipcu? — rzekł rozstrzygacz.

— Czy będziesz miał lożę w teatrze Bouffons?

— Spodziewam się, że uraczysz nas wszystkich — powiedział Bixiou.

— Taki człowiek jak on zna się na rzeczy wspaniale — odrzekł Emil.

Okrzyk tego zgromadzenia śmiejącego się brzmiał w uszach de Valentin'a, który nie mógł schwycić jednego słowa; myślał ogólnikowo o bycie mechanicznym i bez pragnień jak chłop bretoński, obarczony dziećmi, pracujący w polu, jedzący grykę, pijący *glinianke* cydru do siebie, wierzący w Dziewicę i w króla, spowiadający się na Wielkanoc, tańczący co niedziela na trawniku zielonym i nie rozumiejący kazania swojego proboszcza. To widowisko, jakie się przedstawiło w téj chwili jego oczom, te gzymsy złocone, te zalotnice, to śniadanie, ten przepych, wszystko-to chwytało go za gardło i wywoływało w nim kaszel.

— Czemu pan nie żądasz szparagów? — wołał do niego bankier.

— *Nic pożądam niczego!* — odpowiedział mu Rafał głosem grzmiącym.

— Brawo! — odparł Taillefer. — Rozumiesz pan majątek, który jest patentem na niegrzeczność. Jesteś pan z naszych! Panowie, pijmy na potęgę złota. Pan de Valentin, zostawszy sześćkroć milionerem, przychodzi do władzy. Jest królem, może wszystko, jest po-nad wszystkiém, jak wszyscy bogacze. Dla niego odtąd *FRANCUZI SĄ RÓWNI PRZED PRAWEM* jest kłamstwem wypisaném w nagłówku konstytucyi. Nie on będzie posłuszny prawom, ale prawa będą jemu posłuszne. Nie ma szafotów, nie ma katów dla milionerów.

— Tak — odpowiedział Rafał — sami są dla siebie katami!

— Jeszcze jeden przesąd! — krzyknął bankier.

— Pijmy! — zawołał Rafał, chowając talizman do kieszeni.

— Co robisz? — rzekł Emil, chwytając go za rękę. — Panowie — dodał, zwracając się do zgromadzenia, dosyć zresztą zdziwionego zachowaniem się Rafała — dowiedzcie się, że nasz przyjaciel de Valentin, co mówię? *PAN MARKIZ DE VALENTIN*, posiada tajemnicę robienia majątku. Jego życzenia spełniają się w téj samej chwili, kiedy je formułuje. Zbogaci nas wszystkich, chyba żeby chciał uchodzić za lokaja, za człowieka bez serca.

— Ach! mój mały Rafałku, daj mi naszyjnik z pereł — zawołała Eufrazya.

— Jeżeli umié być wdzięcznym, da mi dwa powozy zaprzężone w piękne konie, któreby chodziły ostro! — rzekła Aquilina.

— Życz mi stu tysięcy franków renty.

— Kaszmiru!

— Zapłać za mnie długi!

— Poślij apopleksyę mojemu wujowi, suchemu drylbasowi!

— Rafał! kwituję cię za dziesięć tysięcy franków renty.

— Co tu darowizn — krzyknął notaryusz.

— Powinienby wyleczyć mnie z podagry.

— Wpłyń na zniżkę renty! — zawołał bankier.

Wszystkie te zdania wyleciały w powietrze, jak snopy bukietu, którym się kończą ognie sztuczne. W tych szalonych pragnieniach więcéj może jednak było prawdy niż żartu.

— Mój drogi przyjacielu — odezwał się Emil z miną poważną — zadowolnię się dwustu tysiącami franków renty; wypłać się dobrowolnie.

— Emilu — rzekł Rafał — czyż nie wiesz za jaką cenę?

— Śliczna wymówka! — zawołał poeta. — Czyż nie powinniśmy poświęcać się dla naszych przyjaciół?

— Przychodzi mi prawie ochota życzyć śmierci wam wszystkim — odpowiedział de Valentin, rzucając na współbiesiadników spojrzenie ponure i głębokie.

— Umierający są szalenie okrutni — rzekł Emil, śmiejąc się. — Jesteś bogaty — dodał poważnie — a więc, nie daję ci dwu miesięcy na to, ażebyś stał się brudnym egoistą. Jesteś już głupcem, nie rozumiejącym się na żartach. Pozostaje ci tylko uwierzyć w swój Jaszczur.

Rafał obawiając się szyderstw tego zgromadzenia, zachowywał milczenie, pił nad miarę i odurzył się tak, że zapomniał na chwilę o swéj zgubnéj potędze.

Konanie.

W pierwszych dniach grudnia, starzec siedemdziesięcio-letni szedł, pomimo deszczu, przez ulicę *de Varennes*, podnosząc nos przed bramą każdego pałacu i szukając adresu pana markiza Rafała de Valentin z naiwnością dziecka i z miną zamyśloną filozofów. Znamię smutku gwałtownego w walce z charakterem despotycznym widniało na téj twarzy otoczonéj długiemi, siwemi włosami w nieporządku, wysuszonéj jak stary pergamin, wijący się w ogniu. Gdyby jaki malarz był spotkał tę osobistość szczególną, ubraną czarno, chudą i kościstą, niezawodnie byłby za powrotem do pracowni przekształcił ją w swoim albumie, podpisując u spodu portretu: *Poeta klasyczny po kweście za rymem.* Po sprawdzeniu numeru, jaki jéj wskazano, ta żyjąca palingienezya Rollin'a zastukała lekko do drzwi wspaniałego pałacu.

— Czy pan Rafał w domu? — spytał człowieczyna szwajcara w liberyi.

— Pan margrabia nie przyjmuje nikogo — odpowiedział lokaj, połykając kawał chleba wyjętego z filiżanki kawy.

— Jego powóz jest tam — odrzekł nieznajomy starzec, wskazując na świetny ekwipaż, stojący pod baldachimem z drzewa, który naśladował namiot z płótna, osłaniając przytém stopnie ganku. Pewnie wyjdzie, zaczekam na niego.

— Ach! mój stary, mógłbyś doskonale zostać tu aż do jutra rana — odparł szwajcar. — Powóz stoi zawsze gotów dla pana. Ale odejdź, proszę cię, bo straciłbym sześćset franków renty dożywotniéj, gdybym choć raz jeden wpuścił bez rozkazu obcą osobę do pałacu.

W téj chwili wysoki starzec, ubrany podobnie jak kamerdyner ministeryalny, wyszedł z krużganku i zbiegł szybko po schodach, wpatrując się w starego interesanta zdumionego.

— Zresztą, jest pan Jonathas — rzekł szwajcar. — Pomów pan z nim.

Obydwa starcy pociągnięci ku sobie sympatyą, czy też ciekawością wzajemną, spotkali się na środku dziedzińca, w miejscu, gdzie rosło kilka kępek trawy pomiędzy brukowcami. Cisza przerażająca panowała w pałacu. Widząc Jonathas'a, chciałoby się było przeniknąć tajemnicę, malującą się na jego twarzy, tajemnicę, o któréj mówiły najmniejsze szczegóły tego domu ponurego. Rafał, odebrawszy olbrzymi spadek po wuju, przedewszystkiém postarał się wykryć, gdzie żył stary sługa tak mu oddany, że na jego przywiązanie

mógł liczyć. Jonathas płakał z radości, widząc swojego młodego pana, którego, jak mu się zdawało, pożegnał już na wieki; ale nic nie równało się jego szczęściu, odkąd margrabia wyniósł go na wysoką godność intendenta. Stary Jonathas stał się potęgą pośrednią, umieszczoną pomiędzy Rafałem i całym światem. Zawiadowca najwyższy majątku swojego pana, wykonawca ślepy myśli sobie nieznanéj, był niejako szóstym zmysłem, po-przez który wrażenia życia przychodziły do Rafała.

— Panie, pragnąłbym mówić z panem Rafałem — rzekł starzec do Jonathasa, wstępując na stopnie ganku, dla schronienia się przed deszczem.

— Mówić z panem margrabią! — wykrzyknął intendent. — Ależ on zaledwie do mnie się odzywa, do mnie swojego piastuna....

— Ależ ja także jestem jego piastunem — zawołał stary człowiek. — Jeżeli bowiem pańska żona karmiła go niegdyś swojém mlekiem, to ja dawałem mu sam ssać pierś Muz. Jest on moim wychowankiem, mojém dzieckiem, *carus alumnus!* Ukształtowałem jego mózg, wychowałem jego pojęcie, rozwinąłem jego gieniusz, i śmiem to powiedzieć, na mój honor i sławę. Czyż nie jest jednym z najwydatniejszych ludzi naszéj epoki? Miałem go pod sobą w szóstéj, w trzeciéj i w retoryce. Jestem jego profesorem.

— Ach! to pan jest panem Porriquet?

— W saméj rzeczy. Ale panie.....

— Pst! pst! — odezwał się Jonathas do dwu kuchcików, których głosy przerwały milczenie klasztorne, w jakiém dom był zakopany.

— Ależ, panie — podjął nanowo profesor — czyżby pan margrabia był chory?

— Mój drogi panie — odpowiedział Jonathas — Bóg jeden tylko wié, co się dzieje z moim panem. Widzisz pan, w Paryżu nie ma dwu domów podobnych do naszego. Rozumiesz pan? dwu domów!..... Dalibóg, nie. Pan margrabia kupił ten pałac, który należał przedtém do pewnego księcia i para. Wydał trzykroć sto tysięcy na umeblowanie go. Widzisz pan, trzykroć sto tysięcy, to już suma! Lecz każdy pokój w naszym domu jest prawdziwym cudem. Dobrze! — rzekłem do siebie, widząc tę okazałość — to tak samo jak u nieboszczyka pana, jego dziadka! Młody margrabia będzie przyjmował miasto i dwór! Gdzież tam! Pan nie chce widzieć nikogo. Prowadzi życie dziwne, panie Porriquet, rozumiesz pan? życie nieodwołalne. Wstaje codzień o jednéj i téj saméj godzinie. I ja, ja tylko jeden, widzisz pan, mogę wejść do jego pokoju. Otwieram o siódméj rano, latem i zimą. To już umówione. Wszedłszy, mówię do niego: Panie margrabio, trzeba się obudzić i ubrać. On budzi

się i ubiera. Muszę mu podać szlafrok, zrobiony zawsze jednakowym krojem i z jednakowego materyału. Dla oszczędzenia mu przykrości żądania nowego szlafroka, jestem obowiązany sam zastąpić mu stary, kiedy jest już niezdatny. Taka imaginacya! W istocie ma tysiąc franków dziennie do przejadania i robi co chce, to kochane dziecko. Zresztą, tak go kocham, że gdyby mnie uderzył w prawy policzek, nadstawiłbym mu lewy! Kazałby mi zrobić rzeczy najtrudniejsze? to i tak-bym je zrobił, rozumiesz pan? A przytém obarczył mnie takiém mnóztwem drobiazgów, że mam czém się zajmować. Czyta dzienniki, nie prawda? Mam rozkaz kłaść je w tém samém miejscu, na tym samym stole. Przychodzę także, o téj saméj godzinie, golić mu brodę i nie drżę wcale. Kucharz straciłby tysiąc talarów pensyi dożywotniéj po śmierci pana, gdyby śniadanie nie było postawione nieodwołalnie przed panem o dziesiątéj rano, a obiad punkt o piątéj po południu. Wykaz potraw sporządzony jest na cały rok, dzień po dniu. Pan margrabia nie potrzebuje niczego sobie życzyć. Ma poziomki, kiedy czas na poziomki, je piérwszą makrelę, jaka przychodzi do Paryża. Program jest drukowany, i umié on swój obiad już rano na pamięć. Wtedy, ubiera się o téj saméj godzinie, w te same rzeczy, w tę samę bieliznę, jakie mu kładę, rozumiesz pan? na tym samym fotelu. Powinienem jeszcze czuwać nad tém, ażeby ubranie było z tego samego kortu; w razie potrzeby, jeżeli tużurek się drze, przypuszczam, muszę przynieść inny, nie powiedziawszy mu o tém ani słowa. Jeżeli na dworze jest pogoda, wchodzę i mówię do pana: Czy pan potrzebuje wyjść? On odpowiada tak, lub nie. Jeżeli przychodzi mu na myśl przejść się, nie czeka nigdy na konie, ponieważ są zawsze zaprzężone; stangret siedzi nieodwołalnie, z biczem w ręku, jak go pan tam widzisz. Wieczorem, po obiedzie, pan idzie jednego dnia do Opery, a drugiego do teatru Włos..... ale nie, jeszcze nie był we Włoskim; wczoraj dopiéro wystarałem się o lożę. Następnie, przychodzi punkt o jedenastéj do domu spać. W różnych chwilach dnia, kiedy nic nie ma do roboty, to czyta, czyta ciągle, widzisz pan, i to jest jego urojenie. Kazał mi czytać, wpierw niż on, Dziennik księgarski, ażebym mu kupował książki nowe, bo chce miéć je na kominku tego samego dnia, kiedy wychodzą. Mam rozkaz wchodzić do jego pokoju co godzina, miéć pieczę nad ogniem, nad wszystkiém, widzieć czego mu brak; dał mi, panie, małą książeczkę do nauczenia się na pamięć, w któréj są napisane moje obowiązki, prawdziwy katechizm. Latem, powinienem za pomocą stosu lodu utrzymywać temperaturę w tym samym stopniu świeżości, i o każdym czasie rozstawiać wszędzie nowe kwiaty. Bogaty! ma tysiąc franków dziennie do przejadania, może sobie pozwalać fantazyi. Biedne dziecko, dosyć długo

było pozbawione niezbędnych potrzeb życia. Nikomu się nie naprzykrza, dobry jest jak dobry chleb, nigdy nie mówi słowa, ale za to, naprzykład, milczenie zupełne w pałacu i w ogrodzie! Wreszcie, mój pan nie ma żadnego pragnienia do wypowiedzenia, wszystko idzie jak na skinienie i *akuratnie*. I ma racyę, bo jeżeli się służących nie trzyma krótko, wszystko idzie w nieład. Mówię mu, co ma robić, i słucha mnie. Nie uwierzyłbyś pan, do jakiego punktu posunął rzecz. Jego pokoje są w an... w czémże? ach! w anfiladzie. Jeżeli otwiera, przypuszczam, drzwi od swego pokoju, lub od gabinetu, krok! wszystkie drzwi otwierają się same mechanicznie. Wtedy może przechadzać się po domu od końca do końca, nie spotkawszy ani jednych drzwi zamkniętych. To ślicznie, wygodnie i przyjemnie dla nas reszty! To nas, na ten przykład, kosztowało grubo! Nakoniec, ostatecznie, panie Porriquet, powiedział do mnie: „Jonathas, będziesz miał pieczę nade mną, jak nad dzieckiem w majtkach.“ W majtkach, tak panie, w majtkach, powiedział. „Będziesz myślał za mnie o moich potrzebach.“ Jestem panem, rozumiesz pan? a on jest niby służącym. Czemu? Ach! na ten przykład, nikt tego nie wié, tylko on i dobry Bóg. To nieodwołalne!

— Pisze poemat! — zawołał profesor.

— Pan sądzisz, że pisze poemat? To rzecz bardzo uciążliwa! Ale, widzisz pan, ja nie sądzę. Powtarza często, że chce żyć jak wegietacya, wegietując. I nie później jak wczoraj, przypatrywał się tulipanowi i powiedział do mnie, ubierając się: „Oto moje życie. Wegietuję, mój biedny Jonathas'ie!“ Tymczasem inni przypuszczają, że jest *monomanem*. To nieodwołalne.

— Wszystko dowodzi, mój panie Jonathas — podjął profesor z powagą urzędową, która wzbudziła głęboki szacunek w starym kamerdynerze — że wasz pan zajęty jest wielkiém dziełem. Pogrążywszy się w obszernych rozmyślaniach, nie chce oddawać się troskom życia powszedniego. Człowiek gienialny, wśród prac umysłowych, zapomina o wszystkiém. Pewnego dnia sławny Newton...

— Ach! Newton, dobrze — rzekł Jonathas. — Nie znam go wcale.

— Newton, wielki gieometra — ciągnął daléj Porriquet — przepędził dwadzieścia cztery godziny z łokciem opartym o stół; kiedy wyszedł ze swojego marzenia, zdawało mu się nazajutrz, że to było jeszcze wczoraj, jak gdyby był spał. Pójdę je zobaczyć, to kochane dziecko; mogę mu być pomocnym.

— Chwileczkę! — wykrzyknął Jonathas. — Gdybyś pan był królem Francyi, dawnym rozumié się! jeszcze-byś pan nie wszedł, chyba wysadzając drzwi i stąpając po moim trupie. Ale, panie Porriquet, biegnę powiedzieć mu, że pan tu jesteś i zapytam go się

tak: Czy mam pozwolić mu wejść? On odpowie *tak* lub *nie*. Nigdy nie mówię mu: *Czy pan życzy sobie? czy pan chce? czy pan pragnie?* Te słowa są wymazane z rozmowy. Raz mi się takie wyrwało. „Chcesz mnie życia pozbawić!“ — krzyknął gniewnie.

Jonathas zostawił starego profesora w krużganku, dając mu znak, ażeby się nie ruszał z miejsca; lecz powrócił szybko z odpowiedzią przychylną i przeprowadził starego emeryta przez wspaniałe pokoje, do których wszystkie drzwi były otwarte. Porriquet spostrzegł zdaleka swojego ucznia przed kominkiem. Odziany w szlafrok w wielkie kraty i pogrążony w fotelu sprężynowym, Rafał czytał dziennik. Najwyższa melancholia, jakiéj, jak się zdawało, był pastwą, rysowała się w postawie chorobliwéj jego ciała osłabionego, malowała się na czole, na twarzy bladéj, jak kwiat zwiędnięty. Rodzaj wdzięku zniewieściałego i dziwactwa, właściwy bogatym chorym, zwracał uwagę na jego osobę. Ręce, podobnie jak u ładnéj kobiety, posiadały białość miękką i delikatną. Włosy jasne, przerzedzone, wiły się około skroni z kokieteryą wyszukaną. Czapka grecka, ściągnięta kutasem, za ciężkim na lekki kaszmir, z jakiego była zrobioną, wisiała mu z boku głowy. Nóż malachitowy, wysadzany złotem, którym się posługiwał do przecinania kartek książki, spadł mu był na nogi. Na kolanach miał munsztuk bursztynowy od wspaniałéj huki indyjskiéj, któréj zwoje emaliowane leżały, jak wąż, w jego pokoju, a on zapomniał ssać z niéj zapachów świeżych. Osłabieniu jednak ogólnemu jego młodego ciała zaprzeczały oczy niebieskie, do których całe życie cofało się niejako, w których błyszczało uczucie nadzwyczajne, przejmujące odrazu. Niedobrze się robiło, patrząc na ten wzrok. Jedni mogliby tam wyczytać rozpacz, inni odgadnąć walkę wewnętrzną, tak straszną, jak wyrzut sumienia. Było-to patrzenie głębokie człowieka bezsilnego, który spycha swoje pragnienia na dno serca, lub skąpca, rozkoszującego się w myśli wszystkiemi przyjemnościami, jakichby mu jego pieniądze dostarczyć mogły, gdyby ich sobie nie odmawiał, nie chcąc zmniejszyć swojego skarbu, lub też spojrzenie Prometeusza w łańcuchach, Napoleona w upadku, kiedy dowiadaje się w pałacu Elizejskim, w 1815-ym roku, o błędzie strategicznym, popełnionym przez swoich nieprzyjaciół, kiedy żąda dowództwa na dwadzieścia cztery godziny i nie otrzymuje go. Prawdziwe spojrzenie zdobywcy i potępieńca! lepiéj jeszcze, spojrzenie, które, kilka miesięcy temu, Rafał rzucił na Sekwanę lub na ostatnią sztukę złota, puszczoną w grę. Poddawał swoję wolę, swój umysł pod władzę nieokrzesanego zdrowego zmysłu starego chłopa, zaledwie wycywilizowanego przez domownictwo pięćdziesięcio-letnie. Prawie rad temu, że stał się rodzajem automatu, zrzekał się życia, ażeby żyć, i odzierał duszę z całéj poezyi pragnienia. Dla

tém pewniejszéj walki z potęgą okrutną, od któréj przyjął wyzwanie, stał się czystym na sposób Orygienesa, kastrując swoję wyobraźnię. Nazajutrz po dniu, w którym, zbogacony nagle przez zapis, zobaczył jak Jaszczur się skurczył, znalazł się u swojego notaryusza. Tam, lekarz dość rozgłośny, opowiadał z całą powagą przy deserze o sposobie, w jaki pewien Szwajcar, dotknięty chorobą płuc, wyleczył się. Ten człowiek nie wyrzekł słowa przez dziesięć lat i postanowił oddychać sześć tylko razy na minutę gęstém powietrzem obory, zachowując przytém dyetę w pożywieniu niezmiernie ścisłą. „Będę tym człowiekiem!“ — rzekł sam do siebie Rafał, pragnąc żyć za jakąkolwiekbądź cenę. Wśród przepychu wiódł życie maszyny parowéj.

Stary profesor, spojrzawszy w twarz tego młodego trupa, zadrżał; wszystko w tém ciele wybujałém i wątłém wydawało mu się sztucznem. Widząc margrabiego z okiem palącém, z czołem przeładowaném myślami, nie mógł w nim poznać swego ucznia o cerze świeżéj i różowéj, o członkach młodzieńczych, których zachował wspomnienie. Gdyby klasyczny człowieczyna, krytyk bystry i zachowujący dobry smak, był czytał lorda Byrona, byłby uwierzył, że widzi Manfreda tam, gdzie chciał widzieć Childe Harolda.

— Dzień dobry, ojcze Porriquet — rzekł Rafał do swojego profesora, ściskając palce lodowate starca w dłoni rozpalonéj i wilgotnéj. — Jakże się pan masz?

— Ależ ja jestem zdrów zupełnie — odpowiedział starzec, przerażony dotknięciem téj ręki w gorączce. — A pan?

— Och! mam nadzieję, że utrzymam się w dobrém zdrowiu.

— Niewątpliwie pracujesz pan nad jakiémś piekném dziełem?

— Nie — odpowiedział Rafał. — *Exegi monumentum*, ojcze Porriquet, dokończyłem wielkiéj kartki i pożegnałem Naukę nazawsze. Zaledwie że wiem, gdzie się znajduje mój rękopism.

— Bezwątpienia styl w nim jest czysty? — spytał profesor. — Spodziewam się, żeś pan nie przyswoił sobie języka barbarzyńskiego téj nowéj szkoły, któréj zdaje się, że robi cuda, naśladując Ronsard'a.

— Moja praca jest dziełem czysto fizyologiczném.

— Och! to rzecz wiadoma — przerwał profesor. — W naukach gramatyka powinna się naginać do wymagań odkryć. Nie mniéj przeto, moje dziecko, styl jasny, harmonijny, język Massillon'a, pana de Buffon, wielkiego Racine'a, styl klasyczny wreszcie nie psuje nic. Ale, mój kochany — podjął profesor, przerywając sobie — zapomniałem o celu téj wizyty. Jest to wizyta z interesem.

Przypominając sobie zapóźno o rozwlekłéj elegancyi i krasomówczych omówieniach, do jakich jego nauczyciel przywykł był w sku-

tek długiego życia profesorskiego, Rafał żałował prawie, że go przyjął; lecz w chwili, kiedy miał życzyć sobie, ażeby tamten wyszedł, stłumił szybko swoje pragnienie tajemne, rzucając spojrzenie ukradkowe na Jaszczur, zawieszony nad nim i przystosowany do materyi białéj, gdzie jego kontury, ogłaszające wyroki, były starannie obrysowane linią czerwoną, która go jakby w ramy ujmowała dokładnie. Od czasu fatalnéj orgii, Rafał poskramiał swoje najlżejsze nawet zachcianki i żył tak, aby nie spowodować najmniejszego drżenia w tym strasznym talizmanie. Jaszczur był dla niego jak tygrys, z którym należało żyć, nie budząc jego krwiożerczości. Słuchał więc cierpliwie rozwlekłości starego profesora. Ojciec Porriquet opowiadał mu przez całą godzinę o prześladowaniach, jakich stał się przedmiotem od czasu rewolucyi lipcowéj. Poczciwina, pragnąc rządu silnego, wyraził życzenie patryotyczne, ażeby zostawiono kupców korzennych za kontuarami, mężów stanu przy sprawowaniu urzędów publicznych, adwokatów w trybunale, parów Francyi w Luksemburgu; lecz jeden z ministrów popularnych króla-obywatela, oskarżając go o karlizm, odebrał mu katedrę. Starzec znalazł się bez miejsca, bez emerytury i bez chleba. Będąc opatrznością dla biednego siostrzeńca, którego oddał na pensyę do seminaryum S-go Sulpicyusza, przyszedł więcéj w interesie swojego syna przybranego, niż w swoim, prosić, ażeby jego dawny uczeń wymógł na nowym ministrze, już nie przyjęcie go na katedrę, ale urząd inspektora w jakiémkolwiek kolegium na prowincyi. Senność nieprzezwyciężona ogarnęła Rafała, kiedy głos starego poczciwiny przestał brzmieć w jego uszach. Zmuszony przez grzeczność do patrzenia się w oczy białe i prawie nieruchome tego starca o wysłowieniu trudném i ciężkiém, był wprawiony w osłupienie, zamagnetyzowany przez jakąś, niepodobną do wytłómaczenia, siłę bezwładności.

— Ach! mój poczciwy ojcze Porriquet — odparł, nie wiedząc właściwie, na jakie pytanie odpowiada — nic na to poradzić nie mogę, zupełnie nic. Pragnę jednak szczerze, ażeby ci się powiodło.....

W téj chwili, nie spostrzegłszy nawet znaków wrażenia, jakie te słowa powszednie, pełne egoizmu i obojętności, wywołały na czole żółtém i pomarszczoném starca, Rafał wyprostował się, jak młody jeleń spłoszony. Zobaczył lekką linię białą pomiędzy brzegiem Jaszczuru a rysunkiem czerwonym, i krzyknął tak strasznie, że aż biedny profesor się przeraził.

— Dobrze, już dobrze, stare bydlę! — zawołał — będziesz zamianowany inspektorem! Ale czy nie mogłeś żądać ode mnie raczéj tysiąca talarów pensyi dożywotniéj, aniżeli życzenia samobójczego! Wizyta nic nie byłaby mnie kosztowała. We Francyi jest sto

tysięcy urzędów, a ja mam jedno tylko życie! Życie człowieka warto więcej, aniżeli wszystkie urzędy na świecie... Jonathas!

Jonathas ukazał się.

— Oto twoje dzieło, potrójny głupcze! dlaczego chciałeś, ażebym przyjął tego pana? — zawołał, wskazując na starca osłupiałego. — Czyż złożyłem duszę w twoje ręce na to, ażebyś ją rozdarł? W tej chwili wyrwałeś mi dziesięć lat życia! Jeszcze jeden błąd podobny do tego, a zaprowadzisz mnie do miejsca, gdzie zaprowadziłem mojego ojca. Czyż nie byłbym wolał posiadać raczej piękną Fedorę, niż zobowiązywać sobie ten stary szkielet, rodzaj łachmana ludzkiego. Mam dla niego złoto. A zresztą choćby wszyscy Porriquet'owie na świecie umarli z głodu, cóż to mogłoby mnie obchodzić?

Twarz Rafała zbielała od gniewu; lekka piana znaczyła się na ustach drżących, a wyraz jego oczu był krwawy. Na ten widok, obadwaj starcy dostali dreszczu konwulsyjnego, jak dwoje dzieci wobec węża. Młody człowiek upadł na fotel; w duszy jego nastąpił rodzaj reakcyi; łzy rzęsiste zaczęły mu płynąć z oczu płomieniejących.

— Och! moje życie! moje piękne życie! — zawołał. — Teraz już ani myśli dobroczynnych, ani miłości, ani niczego!—Potém, zwracając się do profesora: Złe się już stało, mój stary przyjacielu — ciągnął głosem słodkim. — Byłbym ci sowicie wynagrodził za twoje starania. A moje nieszczęście byłoby przynajmniéj wyświadczyło dobrodziejstwo człowiekowi dobremu i godnemu.

Tyle było serca w akcencie, modulującym te słowa prawie niezrozumiałe, że dwaj starcy płakali, jak się płacze, słuchając aryi rozczulającéj, śpiewanéj w obcym języku.

— Cierpi na wielką chorobę — rzekł Porriquet po cichu.

— Jestem ci wdzięczny za twoję dobroć, mój kochany przyjacielu! — podjął na nowo Rafał łagodnie — chcesz mnie usprawiedliwić. Choroba jest przypadkiem, nieludzkość zaś byłaby występkiem. Zostaw mnie teraz samego — dodał. — Jutro, albo pojutrze, a może nawet dziś w wieczór, otrzymasz nominacyę, gdyż *opór* odniósł zwycięstwo nad *ruchem*. Żegnam cię.

Starzec się wycofał, przejęty zgrozą i trawiony żywym niepokojem co do zdrowia moralnego pana de Valentin. Ta scena dla niego miała w sobie coś nadnaturalnego. Wątpił o sobie samym i badał się, jak gdyby obudził się ze snu przykrego.

— Słuchaj, Jonathas — podjął młody człowiek, zwracając się do starego sługi. — Staraj się zrozumieć misyę, jaką ci powierzyłem.

— Tak, panie margrabio.

— Jestem człowiekiem stojącym niejako po za prawem powszechném.

— Tak, panie margrabio.

— Wszystkie rozkosze życia rozgrywają się przy mojém łożu śmierci i tańcują przede mną, niby piękne kobiety; jeżeli przyzwę je, umrę. Zawsze śmierć! Ty powinieneś być przegrodą pomiędzy światem a mną.

— Tak, panie margrabio — rzekł stary lokaj, ocierając krople potu, występującego mu na czoło, poorane zmarszczkami. — Ale jeżeli pan nie chce widzieć pięknych kobiet, to co z dzisiejszym wieczorem w teatrze Włoskim? Pewna rodzina angielska, która wyjeżdża do Londynu, odstąpiła mi resztę abonamentu, i tym sposobem pan ma piękną lożę. Och! lożę wspaniałą, na pierwszém piętrze.

Pogrążony w głębokiém marzeniu, Rafał nie słuchał wcale.

Czy widzicie tę karetę okazałą, ten powóz skromny na zewnątrz, koloru brunatnego, z herbem starożytnéj i szlachetnéj rodziny, błyszczącym na drzwiczkach? Kiedy powóz ten pędzi szybko, gryzetki go uwielbiają, łakomiąc się na atłas żółty, na gobeliny, na galony świeże, jak słoma ryżowa, na miękkie poduszki i szyby mleczne. Dwu lokai w liberyi stało z tyłu tego powozu arystokratycznego; a w głębi, na jedwabiu, leżała głowa rozpalona z oczami podbitemi, głowa Rafała, smutna i zamyślona. Fatalny obraz bogactwa! Pędzi on przez Paryż, jak raca, zajeżdża pod kolumny teatru Favart, stopień od powozu się odkłada, dwu lokai podtrzymuje go, tłum zazdrosny przypatruje mu się.

— Cóż ten zrobił takiego, ażeby być tak bogatym? — rzekł biedny student prawa, nie mogący, dla braku talara, usłyszéć magicznych akordów Rossini'ego.

Rafał szedł wolno przez korytarze sali; nie obiecywał sobie żadnéj z rozkoszy, tak silnie dawniéj pożądanych. Czekając na drugi akt *Semiramidy*, przechadzał się po *foyer*, błądził w galeryach, nie troszcząc się o lożę, do któréj jeszcze nie był wszedł. Poczucie własności nie istniało już na dnie jego serca. Podobny w tém do wszystkich chorych, myślał tylko o swojém nieszczęściu. Oparłszy się o krawędź kominka, wokoło którego stali tłumnie na środku foyer młodzi i starzy eleganci, dawni i nowi ministrowie, parowie bez parowstwa i parowstwa bez parów, tak jak ich natworzyła rewolucya lipcowa. Rafał zobaczył o kilka kroków od siebie, pomiędzy wszystkiemi uroczystościami, twarz dziwną i nadnaturalną. Przymrużywszy oczu niezmiernie zuchwale, zbliżył się ku téj istocie dziwnéj, chcąc przyjrzéć się jéj zblizka. Co za cudowne malowidło! zawołał do siebie. Brwi, włosy i muszczka à la Mazarin, jakiemi się pysznił nieznajomy, były ufarbowane na czarno; lecz kosmetyk, położony na włosach niewątpliwie zbyt białych, wytworzył kolor fioletowawy i fałszywy, którego ton zmieniał się stosownie do re-

fleksów światła, mniéj albo więcéj żywych. Jego twarz wąska i płaska, ze zmarszczkami, wyrównanemi za pomocą grubych warstw różu i blanszu, wyrażała jednocześnie chytrość i niepokój. Tego umalowania nie dostawało w kilku miejscach twarzy, i to uwydatniało w szczególny sposób jéj zgrzybiałość i cerę jakby ołowianą; to téż nie można było wstrzymać się od śmiechu, widząc tę głowę z brodą śpiczastą, z czołem wyskakującém, dosyć podobną do zabawnych figur z drzewa, rzeźbionych w Niemczech przez pasterzy owiec w czasie wolnym od zajęć. Badając kolejno tego Adonisa i Rafała, obserwator byłby dopatrzył się w margrabi oczu młodzieńca pod maską starca, a w nieznajomym — oczu zgaśniętych starca pod maską młodzieńca. Valentin starał się przypomnieć sobie, w jakich okolicznościach widział tego staruszka suchego, pięknie wykrawatowanego, w bucikach młodzieniaszka, który pobrzękiwał ostrogami i krzyżował na piersiach ręce, jak gdyby miał do rozporządzenia wszystkie siły młodości swawolącéj. Jego chód nie zdradzał żadnego przymusu ani sztuczności. Wytworne ubranie, starannie zapięte na wszystkie guziki, podrabiało starożytną i silną budowę, nadając mu postać starego pięknisia, który trzyma się mody. Ten rodzaj lalki, pełnéj życia, tyle miał dla Rafała powabów widma, że przypatrywał mu się, jak staremu Rembrandtowi zakopconemu, świeżo wyrestaurowanemu, odwerniksowanemu, wstawionemu w nowe ramy. To porównanie naprowadziło go na ślad prawdy w bezładnych wspomnieniach: poznał w nim kupca osobliwości, człowieka, któremu był winien swoje nieszczęście. W téj chwili śmiech cichy wyrwał się téj osobistości fantastycznéj i zarysował się na jéj ustach zimnych, podtrzymywanych przez sztuczne zęby. Na ten śmiech, żywa wyobraźnia Rafała pokazała mu w tym człowieku uderzające podobieństwo z głową idealną, jaką malarze dali Mefistofelesowi Goethe'go. Tysiące przesądów owładnęło duszą silną Rafała, który uwierzył wtedy w moc szatana, we wszystkie czary, wypowiedziane w legendach średniowiecznych, a zebrane w dziełach przez poetów. Cofając się ze wstrętem przed losem Fausta, odwołał się nagle do nieba, mając, jak wszyscy umierający, wiarę gorącą w Boga, w dziewicę Maryę. Światło promieniejące i świeże pozwoliło mu zobaczyć niebo Michała-Anioła i Sanzia z Urbino: obłoki, starca z białą brodą, głowę ze skrzydłami, piękną kobietę, siedzącą w aureoli. Obecnie rozumiał, przystawał na te cudowne twory, których fantazye, prawie ludzkie, tłómaczyły mu jego przygodę i pozwalały mu mieć nadzieję jeszcze. Lecz kiedy jego oczy padły na foyer teatru Włoskiego, zamiast Dziewicy zobaczył tam zachwycającą ladasznicę, nieznośną Eufrazyę, tę tancerkę o ciele zwinném i lekkiém, która, ubrana w suknię szkarłatową, pokryta perłami wschodniemi,

podchodziła z niecierpliwością do starca zniecierpliwionego i pokazywała się bezczelnie, z czołem śmiałém, z oczami iskrzącemi się, temu światu zawistnemu i spekulującemu, jak gdyby dla zaświadczenia o bogactwie bezgranicznem kupca, o jego skarbach, przez nią rozrzucanych. Rafał przypomniał sobie życzenie szydercze, jakiém odpowiedział na podarunek fatalny starego człowieka, i rozkoszował się wszystkiemi przyjemnościami zemsty, patrząc na upokorzenie głębokie téj mądrości najwyższéj, któréj upadek niedawno jeszcze wydawał mu się niepodobieństwem. Pogrzebowy uśmiech starca stuletniego był zwrócony do Eufrazyi, która odpowiedziała nań słowem miłości; on podał jéj rękę wyschniętą, przeszedł się dwa albo trzy razy wokoło foyer, podjął z rozkoszą spojrzenia namiętne i komplementy, rzucone przez tłum jego kochance, nie widząc uśmiechów pogardliwych, nie słysząc żartów uszczypliwych, których sam był przedmiotem.

— Na jakim cmentarzu ten młody upiór wygrzebał tego trupa? — zawołał najwytworniejszy ze wszystkich romantyków.

Eufrazya jęła się śmiać. Szydercą był młody człowiek o blond włosach, z oczami niebieskiemi, wysmukły, noszący wąsy, mający frak ucięty krótko, kapelusz na uchu, odpowiedź zawsze gotową.

— Iluż-to starców — rzekł do siebie Rafał — nie koronuje życia uczciwości, pracy i cnoty szaleństwem! Ten oto ma nogi zimne i bawi się w miłostki.

— No i cóż, panie! — zawołał Valentin, zatrzymując kupca i oczekując na Eufrazyę — czyż nie przypominasz już sobie surowych zasad własnéj swojéj filozofii?

— Ach! — odparł kupiec głosem już złamanym — jestem obecnie szczęśliwy, jak młodzieniec. Wziąłem życie na wywrót. W godzinie miłości jest całe jedno życie.

W téj chwili widzowie usłyszeli dzwonek na antrakt, i opuściwszy foyer, udali się na swoje miejsca. Starzec i Rafał rozłączyli się. Wchodząc do loży, margrabia spostrzegł Fedorę, siedzącą po drugiéj stronie sali, wprost naprzeciwko niego. Hrabina bezwątpienia dopiéro co przybyła, gdyż odrzucała szarfę w tył, odsłaniała szyję, wykonywała drobne ruchy, trudne do opisania, jak kokietka, zajęta znalezieniem dla siebie pozy: wszystkie spojrzenia na nią były zwrócone. Towarzyszył jéj młody par Francyi; poprosiła go o lornetkę, którą mu dała do trzymania. Po jéj ruchach, po sposobie, w jaki patrzyła na tego nowego partnera, Rafał odgadł tyranię, jakiéj był poddany jego następca. Oczarowany bezwątpienia, jak on niegdyś, oszukiwany jak on, młody człowiek, walcząc jak on całą potęgą miłości przeciwko zimnym rachubom téj kobiety, musiał cierpieć męczarnie, przed któremi Valentin cofnął się szczęśliwie. Niewypo-

wiedziana radość zapłonęła na twarzy Fedory, kiedy, nastawiwszy lornetkę na wszystkie loże i szybko obejrzawszy stroje, przekonała się napewno, że swojém ubraniem i pięknością zaćmiła najładniejsze, najwytworniejsze kobiety Paryża; i wtedy zaczęła się śmiać dla pokazania białych zębów, poruszała głową przybraną w kwiaty, ażeby ją uwielbiano, wodziła okiem od loży do loży, żartowała z czepeczka niezręcznie leżącego na głowie jakiéjś księżnéj rosyjskiéj, lub z kapelusza nieudanego, w którym było okropnie nie do twarzy córce jakiegoś bankiera. Nagle, spotykając się z oczami nieruchomemi Rafała, zbladła; kochanek wzgardzony poraził ją nieznośném spojrzeniem lekceważenia, jakby piorunem. Kiedy żaden z kochanków odegnanych nie zaprzeczał jéj potęgi, jeden tylko w świecie Valentin był zabezpieczony przed jéj powabami. Władza, bezkarnie wyzywana, zbliża się do ruiny. Ta zasada głębiéj jest wyrytą w sercu kobiety, aniżeli w głowie królów. To téż Fedora widziała w Rafale śmierć swoich uroków i kokieteryi. Słówko, wyrzeczone przez niego w wigilię tego dnia w Operze, stało się już sławném w salonach Paryża. Ostrze tego przycinka strasznego zadało hrabinie ranę nieuleczalną. We Francyi umiemy wypalać rany, ale nie znamy jeszcze środka na ból, sprawiony słowem. W chwili, kiedy wszystkie kobiety patrzyły kolejno na margrabiego i hrabinę, Fedora byłaby chciała zaprzepaścić go w ciemnościach jakiéjś bastylii, gdyż, pomimo całego jéj talentu w udawaniu, jego rywale odgadli, ile cierpieć musiała. Nakoniec, ostatnia pociecha ominęła ją. Te słowa rozkoszne: Jestem najpiękniejszą! ten frazes, wiecznie uśmierzający wszystkie strapienia jéj próżności, stał się kłamstwem. Przy rozpoczęciu drugiego aktu, jakaś kobieta usiadła przy Rafale, w loży aż dotąd niezajętéj. Z ust parteru całego wyrwał się szmer uwielbienia. To morze twarzy ludzkich poruszyło swemi falami, obdarzonemi umysłem, i wszystkie oczy patrzyły na nieznajomą. Młodzi i starzy podnieśli wrzawę tak przeciągłą, że podczas podnoszenia kurtyny, muzycy z orkiestry odwrócili głowy, żądając z początku uciszenia się; lecz przyłączywszy się do oklasków, powiększyli jeszcze to hałaśliwe zamieszanie. Rozmowy ożywione zawiązały się w każdéj loży. Wszystkie kobiety zaopatrzyły się w lornetki, starcy odmłodzeni czyścili szkła skórką od rękawiczek. Zapał uspokoił się powoli, śpiewy zabrzmiały na scenie, i wszystko powróciło do porządku. Dobrze wychowane towarzystwo, zawstydzone tém, że dało się unieść popędowi naturalnemu, przybrało napowrót ton chłodu arystokratycznego w swojém grzeczném zachowaniu się. Bogaci, nie chcąc dziwić się niczemu, muszą od pierwszego spojrzenia na dzieło piękne zobaczyć błąd, któryby ich uwolnił od uwielbienia, tego uczucia pospolitego. Niektórzy mężczyzni jednak, nieruchomi,

nie słuchając muzyki, pozostali zatraceni w zachwycie naiwnym, zajęci przypatrywaniem się sąsiadce Rafała. Valentin spostrzegł w loży parterowéj, tuż obok Aquiliny, haniebną i przekrwioną twarz Taillefer'a, który zwracał się do niego z uśmiechem pochwalnym. Potém zobaczył Emila, który, stojąc przy orkiestrze, mówił niejako do niego: Ależ patrz na to piękne stworzenie, które jest tak blisko ciebie! Wreszcie Rastignac, siedzący przy jakiéjś młodéj kobiecie, wdowie zapewne, miął rękawiczki, jak człowiek w rozpaczy, że jest przykuty łańcuchami tam, i nie może pobiedz ku boskiéj nieznajoméj. Życie Rafała zależało od umowy, dotąd jeszcze niepogwałconéj, jaką zrobił z samym sobą; przyrzekł więc sobie, że nie spojrzy nigdy uważnie na żadną kobietę; ażeby się zabezpieszyć przed pokusą, nosił okulary, których szkła mikroskopowe, artystycznie urządzone, niszczyły harmonię najpiękniejszych rysów, dając im pozór odrażający. Trawiony jeszcze zgrozą, jaka go przejęła rano, kiedy dla prostego życzenia przez grzeczność talizman skurczył się tak szybko, Rafał postanowił sobie silnie nie spojrzéć na swoję sąsiadkę. Siedząc niby księżniczka, odwrócił się plecami do kąta loży i zasłaniał niegrzecznie pół sceny nieznajoméj, udając, jakoby lekceważył sobie, jakoby nie wiedział nawet, że ładna kobieta znajduje się za nim. Sąsiadka naśladowała doskonale ułożenie de Valentin'a. Oparła się łokciem o brzeg loży i trzymała głowę w trzech czwartych twarzy, patrząc na śpiewaków, jak gdyby pozowała przed malarzem. Te dwie osoby były podobne do dwojga kochanków porożnionych, którzy dąsają się, odwracają się do siebie tyłem, a pocałują się po pierwszém słowie miłości. Chwilami, lekkie pióra albo włosy nieznajoméj muskały Rafała po głowie i wywoływały w nim uczucie lubieżne, przeciwko któremu walczył śmiało; wkrótce uczuł błogie dotknięcie koronek jedwabnych, garnirujących suknię wokoło, a suknia sama wydawała szmer zniewieściały swojemi fałdami, drżenie pełne czarów miękkich; wreszcie ruch niodostrzegalny, nadany przez oddychanie piersiom, plecom, sukni téj ślicznéj kobiety, i całe jéj życie rozkoszne, udzieliły się nagle Rafałowi, jak iskra elektryczna; tiul i koronki przesyłały wiernie ciepło czarujące tych pleców białych i nagich jego ramieniu wciąż łechtanemu. Przez dziwny jakiś kaprys natury, te dwie istoty, rozłączone dla dobrego tonu, oddzielone od siebie przepaściami śmierci, oddychały razem i myślały może jedno o drugiém. Przejmująca woń aloesu upoiła ostatecznie Rafała. Jego wyobraźnia, podrażniona przeszkodą, któréj hamulce dodawały więcéj jeszcze fantastyczności, zarysowała przed nim szybko kobietę w rysach ognistych. Odwrócił się raptownie. Urażona nieprzyjemnie pewno, że znajdowała się w zetknięciu z czło-

wiekiem obcym, nieznajoma wykonała taki sam ruch; ich twarze, ożywione tą samą myślą, pozostały jedna na przeciwko drugiéj.

— Paulina!

— Pan Rafał!

Osłupieni jednakowo, patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu. Rafał spostrzegł, że Paulina była ubrana skromnie i z gustem. Po przez gazę, osłaniającą niepokalanie jéj pierś, oko wytrawne mogło dopatrzyć się białości lilii i domyślić się form, jakie kobieta nawet byłaby uwielbiała. Zresztą była-to zawsze ta sama skromność dziewicza, ta sama słodycz niebiańska, ta sama postawa, pełna wdzięku.

— Och! przyjdź pan jutro — rzekła — przyjdź do hotelu Saint-Quentin po swoje papiery. Będę tam o dwunastéj w południe. Staw się pan na czas.

Podniosła się szybko i znikła. Rafał chciał iść za Pauliną, lecz, bojąc się skompromitować ją, został i patrzył na Fedorę, która mu się wydała brzydką; nie mogąc jednak zrozumieć ani jednéj frazy z muzyki, dusząc się w téj sali, wyszedł z sercem przepełnioném i powrócił do siebie.

— Jonathas — rzekł do starego sługi w chwili, kiedy był już w łóżku — daj mi pół kropli laudanum na kawałku cukru i obudź mnie jutro o dwadzieścia minut przed dwunastą.

— Chcę być kochany przez Paulinę — zawołał nazajutrz, patrząc na talizman ze smutkiem nieskończonym.

Skóra nie poruszyła się wcale; zdawało się, że straciła siłę kurczliwości, lub nie mogła urzeczywistnić pragnienia już spełnionego.

— Ach! — wykrzyknął Rafał, czując, że pozbył się jak gdyby płaszcza z ołowiu, jaki nosił na sobie od dnia, kiedy mu dano talizman — ty kłamiesz, nie słuchasz mnie, umowa zerwana! Jestem wolny, będę żył! Był-to więc tylko niewczesny żart.

Wymawiając te słowa, nie chciał wierzyć w swoję własną myśl. Ubrał się tak skromnie, jak niegdyś i postanowił pójść pieszo na dawne mieszkanie, probując przenieść się myślą w te dni szczęśliwe, kiedy bez żadnego niebezpieczeństwa oddawał się szałowi pragnień, kiedy nie wydał jeszcze sądu o wszystkich uciechach ludzkich. Szedł, widząc już nie Paulinę z hotelu Saint-Quentin, ale Paulinę wczorajszą, tę kochankę skończoną, o jakiéj marzył tak często, młodą dziewczynę z umysłem otwartym, kochającą, artystkę, rozumiejącą poetów, rozumiejącą poezyę i żyjącą wśród przepychu, jedném słowem: Fedorę, obdarzoną piękną duszą, lub Paulinę hrabiną i po dwakroć milionerką, jak nią była Fedora. Kiedy znalazł się na progu zużytym, na tafli pękniętéj w tych drzwiach, gdzie tyle razy przy-

chodziły na niego myśli rozpaczy, jakaś stara kobieta wyszła z sali i spytała:

— Czy to nie pan Rafał de Valentin?

— Tak, moja matko — odpowiedział.

— Pan zna zapewne swoje dawne mieszkanie — mówiła daléj — ktoś czeka tam na pana.

— Czy ten hotel zawsze trzyma pani Gaudin? — spytał.

— Och! nie, panie. Pani Gaudin jest obecnie baronową. Mieszka w pięknym domu własnym, z tamtéj strony rzeki. Mąż jéj powrócił. Tam do licha! przywiózł tysiące i setki. Mówią, że mogłaby kupić całą dzielnicę Saint-Jacques, gdyby chciała. Oddała mi *gratis* swój interes i resztę dzierżawy. Ach! z tém wszystkiém to dobra kobieta! Ani trochę nie jest dumniejsza dziś, niż wczoraj.

Rafał pobiegł żywo na poddasze, i kiedy dostał się na ostatnie stopnie schodów, usłyszał dźwięki fortepianu. Paulina była już tam, skromnie ubrana w suknię perkalową; ale krój sukni, rękawiczki, kapelusz, szal, niedbale rzucone na łóżko, świadczyły o wielkim majątku.

— Ach, jesteś pan nareszcie! — zawołała, odrzucając głowę i podnosząc się z naiwnym wyrazem radości.

Rafał usiadł przy niéj, zarumieniony, zawstydzony, szczęśliwy; patrzył się na nią, nic nie mówiąc.

— Dlaczegoś pan nas opuścił? — podjęła na nowo, spuszczając oczy w chwili, kiedy twarz jéj pokraśniała. — Co się z panem stało?

— Ach! Paulino, byłem, jestem jeszcze bardzo nieszczęśliwy!

— Ach! — zawołała z rozczuleniem. — Domyśliłam się wczoraj pańskiego losu, widząc pana dobrze ubranym, bogatym na pozór, ale w rzeczywistości.... cóż, panie Rafale? czy zawsze jak to wtedy?

Valentin nie mógł powstrzymać się od łez, które mu się zakręciły w oczach, i zawołał:

— Paulino!... ja cię... Nie dokończył; jego oczy skrzyły się miłością, a serce wylewało się w spojrzeniu.

— Och! kocha mnie, kocha! — krzyknęła Paulina.

Rafał potwierdził skinieniem głowy, gdyż nie czuł się w możności wymówienia choćby jednego słowa. Na ten znak, młoda dziewczyna wzięła go za rękę, uścisnęła i mówiła to śmiejąc się, to szlochając:

— Bogaci! bogaci! szczęśliwi! bogaci! twoja Paulina bogata. Lecz ja powinnabym być bardzo biedną dzisiaj. Powiedziałam tysiąc razy, że to słowo: *Kocha mnie* opłacę wszystkiemi skarbami ziemi. O, mój Rafale! mam miliony. Ty lubisz przepych, będziesz więc zadowolony; ale powinieneś także lubić moje serce; tyle miłości dla ciebie w tém sercu! Czy wiesz? mój ojciec powrócił. Jestem

bogatą spadkobierczynią. Matka i on pozwolili mi być panią swojego losu; jestem swobodna, rozumiesz?

Porwany rodzajem szału, Rafał trzymał ręce Pauliny i całował je tak gorąco, tak chciwie, że jego pocałunki były jak gdyby rodzajem konwulsyi. Paulina oswobodziła sobie ręce, zarzuciła je na ramiona Rafała i uchwyciła go; wtedy objęli się, przytulili do siebie i zaczęli się całować z tym świętym i rozkosznym żarem, wolnym od wszelkiéj złéj myśli, jakim jest nacechowany jeden tylko pocałunek, pierwszy pocałunek, przez który dwie dusze biorą się nawzajem w posiadanie.

— Ach! — zawołała Paulina, padając na krzesło — nie chcę cię już opuścić. Sama nie wiem, skąd mi się wzięło tyle śmiałości — rzekła, rumieniąc się.

— Śmiałości, moja Paulino! Och! nie obawiaj się niczego! to miłość, miłość prawdziwa, głęboka, wieczna jak moja, nie prawdaż?

— Och! mów, mów, mów! — rzekła. — Twoje usta tak długo milczały dla mnie!

— Więc tyś kochała mnie?

— Och, Boże! czy-m cię kochała! ileż-to razy płakałam tam, patrz, sprzątając pokój, narzekając na twoję i swoję nędzę. Byłabym się sprzedała szatanowi, byle ci oszczędzić zmartwień! Dziś *mój* Rafał, bo ty już należysz do mnie; do mnie należy ta piękna głowa, do mnie to serce! Co to ja chciałam powiedzieć? — podjęła po chwili milczenia. — Ach! już wiem: mamy trzy, cztery, pięć milionów, jak mi się zdaje. Gdybym była biedną, zależałoby mi na tém, ażebym nosiła twoje nazwisko, nazywała się twoją żoną; lecz w téj chwili chciałabym ci poświęcić świat cały, chciałabym jeszcze i nazawsze być twoją służącą. Bądź spokojny, Rafale! oddając ci serce, osobę moję i majątek, nie dam ci bynajmniéj więcéj dziś, aniżeli w owym dniu, kiedy włożyłam tam — powiedziała, wskazując na szufladę od stolika — jakąś sztukę stusoldową. Och! jakże mnie wówczas twoja radość bolała.

— Dlaczegóż jesteś bogatą? — wykrzyknął Rafał. — Dlaczegóż nie jesteś próżną? nic dla ciebie zrobić nie mogę.

Wykręcał sobie ręce ze zbytku szczęścia, rozpaczy, miłości.

— Kiedy zostaniesz panią margrabiną de Valentin, znam cię, duszo niebiańska, ten tytuł i mój majątek nie będą warte....

— Jednego włosa twojego — zawołała.

— Ja także mam miliony; lecz czémże są teraz bogactwa dla nas? Ach! mam to życie, mogę ci je oddać, weź je.

— Och! twoja miłość, Rafale, twoja miłość warta jest więcéj, niż świat cały. Jakto! twoja myśl będzie należéć do mnie? Ależ jestem najszczęśliwszą ze szczęśliwych!

— Może nas kto usłyszeć — rzekł Rafał.

— E! nie ma nikogo — odpowiedziała z miną zawadyacką.

— To pójdź! — zawołał Valentin, wyciągając do niéj ręce.

Ona skoczyła mu na kolana i objęła go rękoma za szyję.

— Niech mnie pan pocałuje — rzekła — za wszystkie zmartwienia, jakicheś mi pan narobił, dla zatarcia bólu, jaki mi pańska radość sprawiła, za wszystkie noce, jakie spędzałam na malowaniu ekranów.

— Ekranów?

— Ponieważ jesteśmy bogaci, mój skarbie, mogę ci więc powiedzieć wszystko. Biedne dziecko! Jakże łatwo jest oszukiwać ludzi, zajmujących się nauką! Alboż to mogłeś mieć białe kamizelki i czyste koszule dwa razy na tydzień za trzy franki, któreś płacił praczce na miesiąc? Ależ piłeś dwa razy więcéj mleka, niż ci się należało za twoje pieniądze. Łapałam cię na wszystkiém: ogień, światło, a pieniądze skąd? O mój Rafale, nie bierz mnie za żonę — zawołała, śmiejąc się — jestem osobą zanadto przebiegłą.

— Ale jakżeś ty to robiła?

— Pracowałam aż do drugiéj w nocy — odpowiedziała — i połowę zarobku za ekrany oddawałam matce, a drugą tobie.

Patrzyli się na siebie przez chwilę, oboje ogłupieni radością i miłością.

— Och! — zawołał Rafał — pewnego dnia niewątpliwie zapłacimy za to szczęście jakiémś strasznem zmartwieniem.

— Czyż byłbyś żonaty? — krzyknęła Paulina. — Ach! nie ustąpię cię żadnéj kobiecie.

— Jestem wolny, moja najdroższa.

— Wolny — powtórzyła. — Wolny i mój!

Osunęła się na kolana, złożyła ręce i wpatrywała się w Rafała z nabożnym żarem.

— Boję się oszaléć. Jaki ty jesteś śliczny! — zaczęła na nowo, przesuwając ręką po jasnych włosach kochanka. — Czyż ona nie głupia, ta twoja hrabina Fedora! Jakiéj-że przyjemności doznałam wczoraj, widząc, że mnie witali wszyscy ci panowie! Jéj nie oklaskiwano nigdy! Wiesz, mój drogi, kiedy dotknęłam się plecami twojego ramienia, słyszałam w sobie jakiś głos, który wołał do mnie: On jest tu. Odwróciłam się i zobaczyłam ciebie. Och! musiałam uciekać, taką miałam chęć skoczyć ci na szyję wobec wszystkich ludzi.

— Jak ty jesteś szczęśliwą, że możesz mówić — zawołał Rafał. — Mnie serce się ściska. Chciałbym płakać, a nie mogę. Nie cofaj ręki. Zdaje mi się, że zostałbym tak, patrząc na ciebie, przez całe życie, szczęśliwy, zadowolony.

— Och! powtórz to jeszcze raz, mój miły!

— I czém-że to są słowa! — odparł Valentin, pozwalając łzie gorącéj upaść na ręce Pauliny. — Późniéj, sprobuję wypowiedzieć się przed tobą z moją miłością; w téj chwili mogę tylko ją czuć....

— Och! — zawołała — ta piękna dusza, ten piękny gieniusz, to serce, które znam tak dobrze, wszystko-to należy do mnie, jak ja należę do ciebie.

— Na zawsze, moja droga istoto — rzekł Rafał głosem wzruszonym. — Będziesz moją żoną, moją dobrą gwiazdą. Twoja obecność zawsze rozpraszała smutki i odświeżała mi duszę; w téj chwili twój uśmiech anielski oczyścił mnie, że tak powiem. Zdaje mi się, że rozpocznę nowe życie. Przeszłość okrutna i smutne szaleństwa wydają mi się już jak gdyby brzydkie sny. Przy tobie jestem czysty. Czuję powietrze szczęścia. Och! bądź tu zawsze — dodał, cisnąc ją ze świętém uczuciem do serca bijącego żywo.

— Niech śmierć przyjdzie, kiedy jéj się podoba — zawołała Paulina w upojeniu — ja już żyłam.

Szczęśliwy, kto odgadnie ich uciechy, ponieważ-by je znać już musiał.

— Och! mój Rafale — rzekła Paulina po kilku chwilach milczenia — jakże-bym chciała, ażeby na przyszłość nikt nie wchodził na to drogie poddasze.

— Trzeba zamurować drzwi, wstawić kratę w okno i kupić dom — odpowiedział margrabia.

— Tak, tak — przywtórzyła ona. Następnie po chwili milczenia dodała: — Zapomnieliśmy chyba szukać rękopismów?

Zaczęli się śmiać ze słodką niewinnością.

— Ba! kpię sobie ze wszystkich nauk — zawołał Rafał.

— Ach! panie, a sława?

— Ty jesteś moją jedyną sławą!

— Byłeś bardzo nieszczęśliwy, kiedyś zajmował się temi gryzmołami! — odezwała się, przerzucając papiery.

— Moja Paulino.....

— Och! tak, jestem twoją Pauliną. A więc?

— Gdzie mieszkasz?

— Przy ulicy *Saint-Lazare*. A ty?

— Przy ulicy *de Varennes*.

— Jakże będziemy daleko od siebie, aż dotąd, kiedy.....

Zatrzymała się, patrząc na kochanka okiem zalotném i figlarném.

— Ależ — odpowiedział Rafał — będziemy rozdzieleni przez jakie piętnaście dni co najwyżéj.

— Czy być może! za piętnaście dni będziemy więc już po ślubie! I skakała jak dziecko.

— Och! jestem córką wyrodną — ciągnęła daléj — nie myślę

już ani o ojcu, ani o matce, ani o niczém na świecie! Czy wiesz, mój drogi? mój ojciec jest bardzo chory. Już z Indyj powrócił cierpiący. O mało-co nie umarł w Hawrze, dokąd pojechałyśmy po niego. Ach! mój Boże — wykrzyknęła, patrząc na zegarek — już trzecia godzina. Muszę być przy nim, jak się obudzi o czwartéj godzinie. Jestem panią w domu: matka spełnia wszystkie moje życzenia, ojciec uwielbia mnie, ale nie chcę nadużywać ich dobroci; to byłoby niełądnie! Biedny ojciec posłał mnie wczoraj do teatru Włoskiego. Przyjdziesz zobaczyć się z nim jutro? nie prawdaż?

— Czy pani margrabina de Valentin chce mi zrobić zaszczyt, przyjmując moje ramię?

— Ach! zabiorę z sobą klucz od tego pokoju — przerwała mu. — Czyż to nie pałac, nie skarb nasz?

— Paulino, jeszcze jeden pocałunek!

— Tysiąc! Mój Boże — zawołała, patrząc na Rafała — czyż to będzie tak zawsze? zdaje mi się, że marzę!

Zeszli powoli ze schodów; następnie, zrównawszy się, idąc jednakowym krokiem, drżąc razem pod brzemieniem tego samego szczęścia, przytulając się do siebie, jak dwa gołąbki, przyszli na plac Sorbony, gdzie na Paulinę czekał powóz.

— Pójdę do ciebie — zawołała. — Chcę widzieć twój pokój, twój gabinet, i usiąść przy stole, na którym piszesz. To będzie jak niegdyś — dodała, rumieniąc się.

— Józefie — odezwała się do lokaja — pojedziemy na ulicę *de Varennes* zamiast do domu. Jest kwadrans na czwartą, a muszę być z powrotem o czwartéj. Niech Jerzy popędzi konie.

I oboje kochankowie w kilka minut zajechali przed pałac Valentin'a.

— Och! jakże jestem zadowolona, żem rozpatrzyła się w tém wszystkiém — zawołała Paulina, gniotąc jedwab' firanek, któremi było przybrane łóżko Rafała. — Kiedy zasnę, myślą będę tutaj, wyobrażając sobie, że twoja głowa leży na téj poduszce. Powiedz mi, Rafale, czyś nie radził się nikogo co do umeblowania pałacu?

— Nikogo.

— Naprawdę? Więc to nie kobieta....

— Paulino!

— Och! czuję okrutną zazdrość. Masz dobry gust. Muszę mieć jutro łóżko, podobne do twojego.

Rafał, upojony szczęściem, objął wpół Paulinę.

— Och! mój ojciec, mój ociec! — zawołała.

— Odprowadzę cię, gdyż chciałbym jak można najmniéj rozłączać się z tobą — wykrzyknął Valentin.

— Jak ty jesteś uprzejmy! nie śmiałam ci zaproponować.....

— Czyż nie jesteś mojém życiem?

Byłoby rzeczą zbyt nużącą zapisywać wiernie te rozkoszne paplania miłości, którym akcent, spojrzenie, ruch, niepodobny do wypowiedzenia, nadają jedynie wartość. Valentin odprowadził Paulinę aż do domu i powrócił z sercem o tyle przepełnioném rozkoszą, o ile człowiek może ją odczuć i znieść tu na ziemi. Kiedy już siedział w fotelu przed kominkiem, myśląc o nagłém i zupełném urzeczywistnieniu wszystkich swoich nadziei, myśl zimna przeszła mu przez duszę, jak ostrze sztyletu przeszywającego pierś, i spojrzał na Jaszczur, który się cokolwiek skurczył. Wymówił wielkie zaklęcie francuskie, bez jezuickich ogródek przełożonéj klasztoru z Andouillettes, pochylił głowę na fotel i pozostał nieruchomie z oczami utkwionemi w rozetę od firanki, nie widząc jéj jednak.

— Wielki Boże! — wykrzyknął. — Jakto! więc wszystkie pragnienia, wszystkie! Biedna Paulina!

Wziął cyrkiel i wymierzył, ile go życia kosztował poranek. Nie mam nawet na dwa miesiące — rzekł do siebie.

Pot zimny jak lód wychodził mu przez pory; nagle, posłuszny trudnemu do wyrażenia popędowi wściekłości, schwycił Jaszczur, wołając: — Jestem zupełny głupiec. — Następnie wyszedł, biegnąc minął ogrody, i rzucił talizman w studnię: — Niech się stanie co chce — krzyknął. — Do dyabła z temi wszystkiemi głupstwami!

Rafał dał się owładnąć szczęściu kochania i żył całém sercem z Pauliną. Ich ślub, opóźniony w skutek przeszkód, mało interesujących do opowiedzenia, miał się odbyć w pierwszych dniach marca. Mieli o sobie dobre przeświadczenie, nie obawiali się siebie wcale, a szczęście tak przed niemi odsłoniło potęgę ich przywiązania, że nigdy jeszcze dwie dusze, dwa charaktery, nie zjednoczyły się równie doskonale, jak oni przez swoję namiętność; badając się nawzajem, kochali się jeszcze więcéj: z jednéj strony i z drugiéj ta sama czułość, ta sama wstydliwość, ta sama lubieżność najrozkoszniejsza ze wszystkich lubieżności, bo lubieżność aniołów; ani jednéj chmurki na jéj niebie; kolejno pragnienie jednego z nich było prawem dla drugiego. Bogaci oboje, nie znali takich zachcianek, którymby uczynić zadość nie mogli, i tym sposobem zachcianek nie mieli wcale. Smak wytworny, poczucie piękna, prawdziwa poezya, ożywiały duszę małżonki, lekceważącéj sobie fraszki, jakie dać może majątek; jeden uśmiech przyjaciela wydawał się jej piękniejszym, aniżeli wszystkie perły z Ormus, a muślin i kwiaty były dla niéj najbogatszemi strojami. Paulina i Rafał unikali zresztą świata, tak samotność była dla nich piękną, płodną! Próżniacy widywali co wieczór to śliczne małżeństwo przemycane w teatrze Włoskim lub w Operze. Jeżeli z początku salony bawiły się jakiemiś oszczerstwami, to

wkrótce jednak potok wypadków, który przebiegł przez Paryż, pozwolił im zapomnieć o dwojgu kochanków nieszkodliwych; wreszcie, co stanowi zawsze usprawiedliwienie w oczach skromnisiów, małżeństwo to było zapowiedziane, a ludzie ich, przypadkiem, dochowywali sekretu; stąd żadna złośliwość nie ukarała ich za ich szczęście.

Pod koniec miesiąca lutego, w epoce, kiedy dosyć piękne dnie przywodziły na pamięć uciechy wiosny, Paulina i Rafał jedli śniadanie razem pewnego rana w małéj cieplarni, która była rodzajem salonu, przepełnionego kwiatami i leżącego na równi z ogrodem. Zimowe słońce, miłe i blade, którego promienie załamywały się w krzewach rzadkich, słabo ogrzewało temperaturę. Silne kontrasty pomiędzy liśćmi rozmaitemi, kolory roślin kwitnących i wszelkie fantazye światła i cienia rozweselały oko. Kiedy cały Paryż wygrzewał się jeszcze przed smutnemi kominkami, oboje młodzi małżonkowie śmieli się pod altaną kamelij bzów i krzewów. Ich głowy wesołe wznosiły się ponad narcyzy, konwalie i róże z Bengalu. W téj cieplarni lubieżnéj i bogatéj nogi stąpały po matach afrykańskich, ubarwionych jak dywan. Na ścianach, wybitych cwelichem zielonym, nie widać było śladu nawet wilgoci. Umeblowanie było zrobione z drzewa, napozór nieociosanego, a jednak jego kora błyszczała czystością. Młody kociak, przykucnąwszy na stole, dokąd go przywabił zapach mleka, pozwalał się Paulinie mazać kawą; swawoliła z nim, odbierała śmietankę, którą pozwalała mu zaledwie powąchać, chcąc tym sposobem wyrobić w nim cierpliwość i podtrzymać walkę; wybuchała na głos śmiechem za każdym jego grymasem i płatała tysiące figlów, chcąc przeszkodzić Rafałowi czytać dziennik, który z dziesięć razy już wypadł mu z ręki. W téj scenie porannéj malowało się szczęście trudne do opowiedzenia, jak wszystko, co jest naturalne i prawdziwe. Rafał wciąż udawał, że czyta dziennik, a ukradkiem przypatrywał się zapasom Pauliny z kotem, swojéj Pauliny, okrytéj długim szlafroczkiem, który mu ją zasłaniał niezupełnie, swojéj Pauliny z włosami roztarganemi, pokazującéj nóżkę białą, poprzerzynaną żyłkami niebieskiemi, w pantofelku z aksamitu czarnego. Czarująca, kiedy można ją było widzieć rozebraną, rozkoszna jak fantastyczne figury Westphall'a, wydawała się młodą dziewczyną i kobietą zarazem; więcéj może jeszcze młoda dziewczyna, niż kobieta, używała szczęśliwości bez domieszki, a z miłości znała tylko jéj piérwsze uciechy. W chwili, kiedy Rafał, zatopiony zupełnie w błogiém marzeniu, zapomniał o dzienniku, Paulina porwała go, zmięła, zrobiła z niego kulę, rzuciła do ogrodu; kot pobiegł za polityką, która, jak zawsze, kręciła się naokoło siebie saméj. Kiedy Rafał, wyrwany z marzenia przez tę scenę dziecinną, chciał czytać daléj i poruszył się, jak gdyby dla

podniesienia dziennika, którego już nie było, wybuchnęły śmiechy swobodne, wesołe, odradzające się z siebie samych, jak śpiewy ptaka.

— Jestem zazdrosną o dziennik — zawołała, ocierając sobie łzy, jakie od śmiechu dziecinnego popłynęły jéj z oczu. — Czyż to nie wiarołomstwo — ciągnęła daléj, stając się nagle kobietą — czytać proklamacye rosyjskie w mojéj obecności i przekładać prozę cesarza Mikołaja nad słowa, nad spojrzenia miłosne!

— Nie czytałem, mój aniele luby, lecz patrzyłem na ciebie.

W téj chwili odgłos kroków ciężkich ogrodnika, pod którego butami podkutemi trzeszczał piasek w alejach, rozległ się w cieplarni.

— Z przeproszeniem pana margrabiego, jeżeli przeszkadzam, jako téż i pani, ale przynoszę osobliwość, jakiéj nie widziałem nigdy. Wyciągając przed chwilą, za pozwoleniem państwa, kubeł wody, znalazłem tę szczególną roślinę morską, którą przynoszę! Musi to być dobrze przyzwyczajone do wody, gdyż nie było ani zmoczone, ani wilgotne. Suche-to, jak drzewo, a wcale nie tłuste. Jako pan margrabia jest bardziéj uczony z pewnością, niżeli ja, myślałem, więc że trzeba było mu ją przynieść, bo to będzie go interesowało.

I ogrodnik pokazał Rafałowi nieubłagany Jaszczur, który nie miał więcéj nad sześć cali kwadratowych powierzchni.

— Dziękuję ci, Vanière — odpowiedział Rafał. — Ta rzecz jest bardzo ciekawą.

— Co tobie jest, mój aniele? zbladłeś! — wykrzyknęła Paulina.

— Zostaw nas samych, Vanière.

— Twój głos przestrasza mnie — podjęła nanowo młoda dziewczyna — jego dźwięk jest dziwnie zmieniony. Co tobie jest? Jak się czujesz? Gdzie cię boli? Ty jesteś chory! doktora! — krzyczała. — Jonathas, na pomoc!

— Moja Paulino, bądź cicho — odpowiedział Rafał, odzyskując zimną krew. — Wyjdźmy stąd! Koło mnie był kwiat, którego zapach drażnił mnie. Być może, że to woń koszyska.

Paulina poskoczyła ku niewinnemu krzewowi, schwyciła go za łodygę i wyrzuciła na ogród.

— Och! mój aniele — wykrzyknęła, ściskając Rafała w objęciu tak silném, jak ich miłość, i podstawiając mu z kokieteryą omdlewającą usta koralowe do pocałowania — widząc, jak-eś zbladł, myślałam, że nie przeżyję cię. Twoje życie jest mojém życiem, Rafale, połóż mi rękę na plecach. Czuję jeszcze *ciarki*, tak mi tam zimno. Twoje usta są rozpalone. A twoja ręka?... zimna jak lód — dodała.

— Jesteś szalona! — zawołał Rafał.

— Skąd ta łza? — spytała. — Pozwól mi ją wypić.

— Och! Paulino, Paulino, ty mnie kochasz zanadto.

— W tobie dzieje się coś nadzwyczajnego, Rafale! Mów prawdę, wkrótce i tak dowiem się tajemnicy. Daj mi to — rzekła, biorąc Jaszczur.

— Jesteś moim katem! — krzyczał młody człowiek, rzucając spojrzenie zgrozy na talizman.

— Co za zmiana w głosie! — odpowiedziała Paulina, upuszczając fatalny symbol przeznaczenia.

— Czy kochasz mnie? — spytał.

— Czy cię kocham! cóż to za pytanie?

— A więc zostaw mnie, odejdź stąd.

Biedna mała wyszła.

— Jakto! — zawołał Rafał, kiedy był już sam — w wieku światła, gdzieśmy się dowiedzieli, że dyamenty są kryształami węgla; w epoce, w której wszystko się tłómaczy, w której policya zaprowadziłaby nowego Mesyasza przed kratki trybunału i przedstawiła jego cuda pod rozpatrzenie Akademii nauk; w czasie, kiedy wierzy się tylko w podpisy notaryuszów, ja miałbym wierzyć w rodzaj *Mane, Thekel, Phares?* Nie, na Boga! nie chcę wierzyć, ażeby Istota najwyższa mogła znajdować przyjemność w znęcaniu się nad uczciwém stworzeniem. Pójdźmy zobaczyć uczonych.

Wkrótce pomiędzy halami na wino, tém olbrzymiém skupieniem beczek, a *la Salpêtrière*, tém olbrzymiém seminaryum pijaństwa, stanął przed bagnem, gdzie radowały się kaczki, odznaczające się rzadkością gatunków, których falujące kolory, podobnie jak szyby jakiéjś katedry, iskrzyły się na słońcu. Wszystkie kaczki z całego świata były tam, krzycząc, brzechcząc się, pluskocząc, i tworząc rodzaj parlamentu kaczego, zgromadzonego wbrew swéj woli, lecz na szczęście bez karty konstytucyjnéj i bez zasad politycznych, a żyjąc, nie spotkawszy myśliwych, pod okiem naturalistów, którzy na nie patrzyli przypadkowo.

— Oto pan Lavrille — rzekł odźwierny do Rafała, który się pytał o tego wielkiego kapłana zoologii.

Margrabia zobaczył małego człowieczka, głęboko zatopionego w jakichś mądrych rozmyślaniach na widok dwu kaczek. Ten uczony, ani młody, ani stary, miał wyraz twarzy łagodny i złagodzony jeszcze przez minę ugrzecznioną; w całéj jednak osobie panowało roztargnienie uczonego: drapiąc się bezustanku w perukę i fantastycznie ją podgarniając, pokazywał linię białych włosów i zdradzał zajadłość do odkryć, która, podobnie jak wszystkie namiętności, odrywa nas tak potężnie od spraw tego świata, że tracimy świadomość naszego *ja*. Rafał, jako człowiek nauki i studyów, za-

chwycał się tym naturalistą, którego noce bezsenne poświęcone były powiększeniu wiadomości ludzkich, którego błędy stanowiły jeszcze sławę Francyi; ale niejedna kochanka bezwątpienia byłaby się śmiała z przerwy, jaka znajdowała się pomiędzy spodniami a kamizelką w kratki uczonego, z przestworu zresztą, przez poczucie czystości wypełnionego koszulą, którą aż nadto pomiął, schylając się i podnosząc kolejno, w miarę swoich obserwacyj zoologicznych.

Po kilku pierwszych frazesach, zamienionych przez grzeczność, Rafał uważał za stosowne zwrócić się do pana Lavrille z komplementem wytartym w rzeczy jego kaczek.

— Och! jesteśmy bogaci w kaczki — odpowiedział naturalista.— Ten rodzaj zresztą, jak pan wiesz zapewne, jest najpłodniejszy z rzędu pletwonogich. Zaczynają się od *łabędzia*, a kończą na *kaczce-zinzin*, sto trzydzieści siedm odmian osobników zupełnie różnych, mających swoje nazwiska, swoje obyczaje, swoję ojczyznę, swoję fizyonomię, a które nie są podobne do siebie więcéj, aniżeli człowiek biały do murzyna. Co prawda, panie, kiedy jemy kaczkę, po największéj części ani przypuszczamy nawet, że rozległość...

Tu przerwał sobie na widok ślicznéj kaczuszki, która wspinała się na spadzisty brzeg bagna.

— Widzisz pan tam łabędzia w krawacie, biedne dziecko z Kanady, które przyszło z tak daleka pokazać nam swoje upierzenie brunatne i szare, swój mały krawacik czarny! Patrz pan, drapie się. Tam znowuż sławna gęś z puchem, czyli kaczka *Eider*, pod któréj edredonem sypiają nasze kochanki; śliczna! któżby nie zachwycał się tym małym brzuszkiem różowawo-białym, tym dziobem zielonym? Byłem, panie, dopiero-co świadkiem — mówił daléj — sparzenia się, o którém już zwątpiłem. Małżeństwo skojarzyło się dosyć szczęśliwie, i z niecierpliwością czekam rezultatu. Pochlebiam sobie, żem wytworzył sto trzydziesty ósmy gatunek, któremu może będzie dane moje imię! Otóż i młodzi małżonkowie — rzekł, wskazując na dwie kaczki. — Z jednéj strony jest-to kaczka-śmieszka (*anas albifrons*), z drugiéj zaś wielka kaczka-świstacz (*anas rufina* Buffon'a). Przez długi czas wahałem się pomiędzy kaczką-świstaczem, kaczką o brwiach białych i kaczką-szuwarem (*anas clypeata*); patrz pan, to szuwar, ten wielki zbrodniarz brunatno-czarny, o szyi zielonawéj, z takim wdziękiem mieniącéj się kolorami tęczy. Ale, panie, kaczka-świstacz była z czubem; pojmujesz pan tedy, że nie namyślałem się dłużéj. Brakuje nam tylko tutaj kaczki różnobarwnéj w czapce czarnéj. Ci panowie utrzymują jednozgodnie, że ta kaczka jest tylko odmianą kaczki-ceranki z dziobem zakrzywionym. Co do mnie... Tu zrobił poruszenie ręką cudowne, w którém malowała się zarazem skromność i duma uczonych, duma, pełna uporu,

a skromność, pełna zarozumiałości. Ale ja tak nie sądzę — dodał. — Widzisz pan więc, że nie bawimy się tu wcale. Zajmuję się w téj chwili monografią gatunku kaczkowatych. Lecz jestem na pańskie rozkazy.

Idąc w stronę dosyć ładnego domu przy ulicy *Buffon'a*, Rafał oddał Jaszczur pod roztrząśnienie pana Lavrille.

— Znam ten produkt — odpowiedział uczony, nastawiwszy lupę na talizman — musiał on służyć za wierzch do jakiegoś pudełka. Jaszczur jest bardzo starożytny! Dziś fabrykanci futerałów wolą posługiwać się skórą z ryb. Skóra ta, jak pan wiesz, bezwątpienia pochodzi z *raja sephen*, ryby z morza Czerwonego.....

— Ale to, panie, ponieważ jesteś pan tak łaskaw...

— To — podjął nanowo uczony, przerywając mu — jest całkiem co innego: pomiędzy skórą rybią a jaszczurem jest, panie, taka sama różnica, jak pomiędzy oceanem a ziemią, rybą a zwierzęciem czworonożném. Tymczasem skóra rybia jest twardszą, aniżeli skóra ze zwierzęcia lądowego. To — rzekł, wskazując na talizman — jest, jak pan wiesz bezwątpienia, jednym z najciekawszych produktów zoologii.

— Proszę! — zawołał Rafał.

— Panie — odpowiedział uczony, zagłębiając się w fotelu — jest-to skóra z osła.

— Wiem o tém — rzekł młody człowiek.

— W Persyi istnieje — ciągnął naturalista — osioł niesłychanie rzadki, dziki osioł starożytnych, *equus asinus*, a *kulan* Tatarów. Pallas poszedł go obserwować i podał go nauce. W istocie, zwierzę-to długo uchodziło za coś bajecznego. Jest on, jak panu wiadomo, sławny w Piśmie Świętém; Mojżesz zabronił parzyć go z innemi z tego rodzaju. Lecz dziki osioł jest jeszcze sławniejszy w skutek sprośności, jakich był przedmiotem, a o których mówią często prorocy biblijni. Pallas, jak pan wiesz bezwątpienia, oświadcza w swoich *Act. Petrop.*, w tomie II, że te nadużycia dziwaczne są jeszcze religijnie uznane u Persów i Nogajców za środek powszechny przeciwko bólom krzyża i podagrze w biodrach. My biedni Paryżanie ani-byśmy przypuszczali nawet. Muzeum nie posiada dzikiego osła. Co za wspaniałe zwierzę! — ciągnął daléj uczony. — Jest on pełen tajemnic: jego oko opatrzone jest rodzajem pokrycia, odbijającego światło, któremu ludzie Wschodu przypisują moc rzucania uroku; jego skóra jest wytworniejsza i bardziéj lśniąca, aniżeli u naszych najpiękniejszych koni; pocięta w pasy mniéj albo więcéj płowe, podobna jest bardzo do skóry zebry. Jego sierć ma w sobie coś miękkiego, mieniącego się w kolorze, coś tłustego w dotknięciu; jego wzrok co do wierności i doskonałości dorównywa wzrokowi

człowieka; cokolwiek wyższy od naszych najpiękniejszych osłów domowych, odznacza się niezmierną odwagą. Jeżeli przypadkiem napadnięty jest znienacka, broni się z niepospolitą wyższością przeciwko zwierzętom najdzikszym; co do szybkości jego chodu, to możnaby ją tylko porównać z lotem ptaków; dziki osioł, panie, pobiłby na wyścigach najlepsze konie arabskie, lub perskie. Według ojca sumiennego doktora Niebuhr'a, którego stratę, jak pan wiész niewątpliwie, opłakujemy od niedawna, przeciętna granica biegu zwyczajnego tych stworzeń cudownych wynosi siedem tysięcy kroków gieometrycznych na godzinę. Nasze osły, wyrodzone, nie byłyby w stanie dać nam pojęcia o tym ośle niezależnym i dumnym. Ma on chód lekki, żywy, minę rozumną, bystrą, fizyonomię wdzięczną, ruchy pełne zalotności. Jest-to król zoologiczny Wschodu. Przesądy tureckie i perskie mówią nawet o jego pochodzeniu tajemniczém, a imię Salomona miesza się ze słowami, jakie opowiadacze z Tybetu i Tartaryi przytaczają na dowód bohaterstwa, przypisywanego tym szlachetnym zwierzętom. Ostatecznie, dziki osioł, przyswojony, wart jest sum olbrzymich; prawie niepodobna go schwycić w górach, po których skacze, jak sarna, lub lata, oniemal jak ptak. Bajka o koniach skrzydlatych, o naszym Pegazie, musiała bezwątpienia urodzić się w tych krajach, gdzie pasterze mogli często widzieć dzikiego osła, przeskakującego z jednéj skały na drugą. Osły wierzchowe, otrzymywane w Persyi drogą parzenia oślicy z dzikim osłem oswojonym, są malowane na czerwono, stosownie do tradycyi od niepamiętnych czasów. Ten zwyczaj dał może miejsce naszemu przysłowiu: Zły jak osioł czerwony. W epoce, kiedy historya naturalna była bardzo zaniedbaną we Francyi, jakiś podróżnik, jak mi się zdaje, sprowadził jedno z tych zwierząt ciekawych, które niewoli nie znoszą nazbyt cierpliwie. Stąd przysłowie. Skóra, jaką mi pan przedstawiłeś — ciągnął daléj uczony — jest skórą z dzikiego osła. Pochodzenie tego nazwiska wyprowadzamy rozmaicie. Jedni utrzymują, że *Chagri* jest wyrazem tureckim, inni mówią, że *Chagri* jest miastem, gdzie ten łup zoologiczny podany jest preparacyi chemicznéj, dosyć dobrze opisanéj przez Pallas'a, a która mu nadaje ów groszek szczególny, tak uwielbiany przez nas; pan Martellens pisał do mnie, że *Châagri* jest strumieniem.

— Dziękuję panu za udzielone mi objaśnienia, któreby dostarczyły cudownéj wskazówki dla jakiegoś dom Calmet'a, gdyby benedyktyni istnieli jeszcze; lecz miałem zaszczyt zwrócić pańską uwagę na to, że ten kawałek pierwotnie równał się, co do objętości... téj karcie geograficznéj — rzekł Rafał, pokazując panu Lavrille atlas otwarty: otóż, od trzech miesięcy skóra ta znacznie się skurczyła.....

— Dobrze — odpowiedział uczony — rozumiem. Wszystkie skóry, panie, z istot pierwotnie organicznych ulegają niszczeniu naturalnemu, łatwemu do pojęcia, a którego postępy zależą od wpływów atmosferycznych. Metale nawet rozszerzają się lub kurczą w sposób tak widoczny, że inżynierowie dostrzegli odstępy dość znaczne pomiędzy wielkiemi kamieniami, pierwotnie podtrzymywanemi przez sztaby żelazne.

— Panie — podjął nanowo Rafał, prawie zmieszany — proszę przebaczyć mi pytanie, jakie panu zadam. Czy pan jesteś pewny, że ta skóra jest poddaną pod prawa zwykłe zoologii, że mogłaby się dać rozciągnąć?

— Och! z pewnością... Tam do dyabła — rzekł pan Lavrille, usiłując ciągnąć talizman. — Ale, panie — odezwał się — gdybyś pan chciał pójść do Planchette'a, sławnego profesora mechaniki, to on z pewnością znalazłby sposób oddziaływania na tę skórę, zmiękczenia jéj, rozciągnięcia.

— Och! panie, pan mi życie ocalasz.

Rafał ukłonił się uczonemu naturaliście i pobiegł do Planchette'a, pozostawiając poczciwego Lavrille'a w gabinecie, zawalonym słojami i roślinami zasuszonemi. Wynosił z téj wizyty, nie wiedząc o tém, całą naukę ludzką: nomenklaturę! Ten poczciwina był podobny do Sanszo-Panszy, opowiadającego don Quichottowi historyę kóz; bawił się wyliczaniem zwierząt i numerowaniem ich. Przyszedłszy nad sam brzeg już grobu, znał zaledwie maleńki ułamek z niezmierzonych liczb wielkiego stada, rzuconego po-przez ocean światów w niewiadomym celu. Rafał był zadowolony.

— Wezmę mojego osła na uzdę — zawołał. Sterne powiedział już przed nim: „Szanujmy naszego osła, jeżeli chcemy dożyć starości.“ Ale zwierzę jest tak dziwaczne!

Planchette był-to wysoki mężczyzna, suchy, prawdziwy poeta, zatopiony w ustawicznem rozmyślaniu, zajęty ciągle wpatrywaniem się w przepaść bez dna, w *RUCH*. Pospólstwo pomawia o szaleństwo te umysły szczytne, tych ludzi zapoznanych, którzy żyją z godną uwielbienia obojętnością na przepych i świat, paląc przez całe dnie cygaro zgaśnięte, lub przychodząc do salonu, nie zawsze dokładnie pożeniwszy guziki ubrania z dziurkami. Pewnego dnia, długo namierzywszy się próżni, lub nagromadziwszy *X-ów* pod *Aa—Gg*, zanalizowali oni jakieś prawo naturalne i rozłożyli najprostszą z zasad; i nagle tłum zachwyca się nową maszyną lub jakimś wozem, którego łatwa budowa nas zadziwia i miesza! Skromny uczony uśmiecha się, mówiąc do swoich wielbicieli:

— Cóż-em takiego stworzył? Nic. Człowiek nie wynajduje siły, ale nią kieruje, nauka zaś polega na naśladowaniu natury.

Rafał zszedł mechanika, osadzonego na swoich dwu nogach, niby wisielec, który upadł prosto pod szubienicą. Planchette badał kulę agatową, która kręciła się po kompasie, czekając, aż się zatrzyma. Biedny człowiek nie był ani dekorowany, ani pensyonowany, gdyż nie umiał dodać blasku swoim obliczeniom. Szczęśliwy, że mógł żyć, czatując na odkrycie, nie myślał ani o sławie, ani o świecie, ani o sobie samym, i żył w nauce dla nauki.

— To nie do opisania! — zawołał. — Ach! panie — zaczął, spostrzegając Rafała — jestem na pańskie usługi. Jakże się miewa mama? Idź pan zobaczyć się z moją żoną.

— Mógłbym przecie żyć w ten sposób! — pomyślał Rafał, wyrywając uczonego z marzenia tém, że spytał go o sposób oddziaływania na talizman, jaki mu przedstawił. — Choćbyś pan miał śmiać się z mojéj łatwowierności — rzekł margrabia na zakończenie — nie będę przed panem nic ukrywać. Zdaje mi się, że ta skóra posiada siłę wytrzymałości, któréj przemódz nic nie jest w stanie.

— Panie — odpowiedział tamten — ludzie światowi traktują zawsze Naukę dosyć z lekka; wszyscy mówią nam mniéj więcéj to, co jakiś niedowiarek powiedział do Lalande'a, przyprowadzając mu damy po zaćmieniu słońca: „Bądź pan łaskaw rozpocząć nanowo.“ Jaki skutek chcesz pan wywołać? Mechanika ma za cel stosowanie lub neutralizowanie praw ruchu. Co do ruchu samego w sobie, to oświadczam ze wstydem, że nie jesteśmy w stanie określić go. To zastrzegłszy, zauważyliśmy kilka zjawisk pewnych, zrządzonych działaniem ciał stałych i cieczy. Odtwarzając przyczyny, które dały początek tym zjawiskom, możemy przenosić ciała, przekazywać im siłę lokomocyjną w stosunku do szybkości oznaczonéj, rzucać je, dzielić po prostu lub do nieskończoności, bądź-to czy je łamiemy, czy też zmiażdżamy na proszek; następnie możemy je wykręcać, nadawać im obrót, modyfikować je, ściskać, rozszerzać, rozciągać. Ta nauka, panie, oparta jest na jednym tylko fakcie. Czy widzisz pan tę kulę? — spytał. — Jest ona na tym kamieniu. A teraz znowu tam. Jakim wyrazem nazwiemy ten akt, fizycznie tak naturalny, a moralnie tak nadzwyczajny? Ruchem, lokomocyą, zmianą miejsca? Co za olbrzymia próżność ukryta w słowach! Czyż wyraz jest rozwiązaniem zadania? A jednak to cała nauka. Nasze maszyny przyswajają sobie lub rozkładają ten akt, ten fakt. To lekkie zjawisko, zastosowane do mas, jęst w stanie wysadzić Paryż w powietrze. Możemy powiększać szybkość kosztem siły, a siłę kosztem szybkości. Co to jest siła i szybkość? Nasza nauka nie umie powiedzieć nam tego, tak samo jak nie umie stworzyć ruchu. Wszelki ruch jest olbrzymią władzą, a władzy człowiek nie może wymyślić. Władza jest jedna, jak ruch, ta istota sama władzy

Wszystko jest ruchem. Natura opiera się na ruchu. Myśl jest ruchem. Śmierć jest ruchem, którego cele mało nam są znane. Jeżeli Bóg jest wieczny, to bądź pewien, że jest ciągle w ruchu; Bóg jest ruchem może. I dlatego-to ruch jest niepojęty, jak on, jak on głęboki, bezgraniczny, niezrozumiały, niedotykalny. Któż-to kiedykolwiek dotknął się, zrozumiał, wymierzył ruch? Czujemy jego skutki, nie widząc ich. Możemy nawet zaprzeczać go, jak zaprzeczamy Boga. Gdzie on jest? gdzie on nie jest? Skąd wychodzi? Gdzie jest jego zasada? Gdzie jest jego kres? On nas otacza, ciśnie na nas, wymyka się nam. On jest widoczny, jak fakt, ciemny jak abstrakcya, zarazem skutek i przyczyna. Dla niego, tak samo, jak dla nas, potrzeba przestrzeni, a cóż to jest przestrzeń? Ruch tylko nam ją objawia; bez ruchu jest ona tylko czczym wyrazem bez sensu. Zagadka niepodobna do rozwiązania, ruch, podobny do próżni, podobny do stworzenia świata, do nieskończoności, wikła myśl ludzką i wszystko, co dozwoloném jest człowiekowi pojąć, a czego nie pojmie nigdy. Pomiędzy każdym z punktów kolejno zajmowanych przez tę kulę w przestrzeni — ciągnął daléj uczony — znajduje się przepaść dla umysłu ludzkiego, przepać, w którą wpadł Pascal. Ażeby działać na substancyę nieznaną, którą chce się poddać sile nieznanéj, musimy najpierw zbadać tę substancyę; stosownie do swojéj natury, albo się skruszy pod uderzeniem, albo mu się oprze; jeżeli się rozdwoi, kiedy podzielić ją nie było naszym zamiarem, w takim razie nie osiągamy założonego celu. Chcesz pan ją ścisnąć? Trzeba przekazywać ruch jednakowy na wszystkie części substancyi w ten sposób, ażeby zmniejszać jednostajnie przerwę, jaka je rozdziela. Pragniesz pan ją rozciągnąć? powinniśmy starać się wycisnąć na każdéj cząsteczce jednakową siłę różnośrodkową; gdyż, nie przestrzegając doskonale tego prawa, wywołamy przerwy.

— Panie — rzekł Rafał zniecierpliwiony — proszę pana o ciśnienie jakiekolwiek, ale dość silne, na rozciągnięcie téj skóry do nieskończoności...

— Substancya skończona — odpowiedział matematyk — nie może być rozciągniętą do nieskończoności; lecz ciśnienie powiększy z konieczności rozległość powierzchni kosztem miąższości; i tym sposobem będzie się ścieńczać aż dotąd, dopókąd materyału nie zbraknie.....

— Osiągnij pan ten rezultat — zawołał Rafał — a zarobisz miliony.

— Ukradłbym panu pieniądze — odpowiedział profesor z flegmą Holendra. — Objaśnię panu w dwu słowach istotę maszyny, pod którą Bóg sam mógłby być zgnieciony, jak mucha. Zamieniłaby

ona człowieka w rodzaj bibuły, człowieka w butach, z ostrogami, w krawacie, w kapeluszu, ze złotem, klejnotami, ze wszystkiem...

— Cóż za straszna maszyna!

— Zamiast rzucać dzieci do wody, Chińczycy powinniby zużytkowywać je w ten sposób — odparł uczony, nie myśląc o uszanowaniu człowieka dla swojego potomstwa.

Całkiem oddany swojéj myśli, Planchette wziął pustą doniczkę od kwiatów, z dziurą w dnie, i postawił ją na tafli kamiennéj kompasu; następnie poszedł po trochę gliny do ogrodu. Rafał był zachwycony, jak dziecko, któremu piastunka opowiada historyę czarodziejską. Planchette, położywszy glinę na tafli, wyjął kozik z kieszeni, wziął dwie gałązki bzu, i wydrążając je, zaczął gwizdać, jakgdyby tam nie było Rafała.

— Oto elementy maszyny — rzekł.

Za pomocą kabłąka z gliny przyczepił jednę z tych rurek z drzewa do dna doniczki w ten sposób, ażeby dziurka bzu komunikowała się z dziurką doniczki. Możnaby powiedzieć, że to była fajka ogromna. Rozłożył na tafli kamiennéj warstwę gliny, nadając jéj formę szufli, umieścił doniczkę od kwiatów w części szerszéj, gałąź zaś bzu przymocował do części, przedstawiającéj trzonek. Następnie nałożył gliny na koniec rurki z bzu, postawił na niéj prosto drugą gałąź wydrążoną, łącząc ją z gałęzią poziomą za pomocą nowego kabłąka w ten sposób, ażeby powietrze, lub jaki inny płyn dany, mógł krążyć po téj maszynie zaimprowizowanéj i przebiegać od otworu rurki pionowéj, po-przez kanał pośredni, aż do wielkiéj doniczki od kwiatów pustéj.

— Panie, ten przyrząd — rzekł do Rafała z powagą akademika, mającego mowę na otwarciu akademii — jest jedną z zasług Pascala, najbardziéj godnych pańskiego uwielbienia.

— Nic nie rozumiem.

Uczony uśmiechnął się. Następnie zdjął z drzewa owocowego małą flaszeczkę, w którą na płyn, przysłany mu przez aptekarza, brały się mrówki; rozbił dno, zrobił sobie z niéj lejek, przystosował go starannie do dziurki, w gałęzi wydrążonéj, umieszczonéj pionowo w glinie, przeciwlegle do wielkiego zbiornika, jaki przedstawiała doniczka od kwiatów; następnie wlał do niéj konewką taką ilość wody, ażeby znajdowała się jednakowo po brzegi i w wielkiém naczyniu i w małym otworze okrągłym bzu. Rafał pomyślał o swoim Jaszczurze.

— Panie — rzekł mechanik — woda dziś jeszcze uchodzi za ciało nieściśliwe, i niech pan nie zapomina o téj zasadzie głównéj; nie mniéj przeto można ją ściskać, lecz tak słabo, że własność jéj ściśliwości musimy uważać za żadną. Czy widzisz pan powierzch-

nię, jaką przedstawia woda, odkąd wydostała się na wierzch doniczki od kwiatów?

— Tak, panie.

— A więc, przypuść pan, że ta powierzchnia jest tysiąc razy rozleglejsza, aniżeli otwór kija z bzu, przez który wlałem płyn. Patrz pan, odejmuję lejek.

— Zgoda.

— A więc, panie, jeżeli w jakikolwiekbądź sposób powiększę objętość téj masy, wprowadzając jeszcze wodę przez otwór małéj rurki, płyn, zmuszony zejść na dół, będzie podnosić się w zbiorniku, przedstawionym przez doniczkę od kwiatów, dopóty, dopóki nie dojdzie do tego samego poziomu w jednym i w drugim.

— To widoczna — zawołał Rafał.

— Lecz ta tylko zachodzi różnica — podjął nanowo uczony — że jeżeli cienka kolumna wody, dodanéj do małéj rurki pionowéj, przedstawia siłę równą ciężarowi jednego funta, naprzykład, to ponieważ jéj ruch przeniesie się wiernie na całą masę płynu i będzie oddziaływał na wszystkie punkta powierzchni, jaką ona przedstawia w doniczce od kwiatów, w takim razie więc znajdzie się tam tysiąc kolumn wody, które, dążąc do podniesienia się, jak gdyby były pchane przez siłę, równą téj, jaka zepchnęła na dół płyn w rurce z bzu pionowéj, wytworzą z konieczności tu — rzekł Planchette, pokazując Rafałowi otwór w doniczce od kwiatów — potęgę tysiąc razy znaczniejszą od potęgi wprowadzonéj tam.

I uczony wskazywał margrabiemu palcem na rurkę z drzewa wstawioną prosto w glinę.

— To zupełnie proste — rzekł Rafał.

Planchette uśmiechnął się.

— Innemi słowy — podjął nanowo z wytrwałością logiczną, właściwą matematykom — dla odparcia wkroczenia wody, należałoby na każdéj części wielkiéj powierzchni rozwinąć siłę, równą sile, działającéj w rurze pionowéj; z tą jednak małą różnicą, że jeżeli kolumna płynna jest na jednę stopę wysoka, to tysiąc małych kolumn wielkiéj powierzchni będzie bardzo słabo tylko wzniesionych. Teraz — rzekł Planchette, dając prztyczka w kije — zastąpmy ten mały przyrząd śmieszny rurami metalicznemi, o sile i rozmiarach jak się należy; jeżeli pokryjesz pan silnym blatem ruchomym powierzchnię płynną wielkiego zbiornika, i jeżeli temu blatowi przeciwstawisz pan inny, którego wytrzymałość i moc byłyby wypróbowane; co więcéj, jeżeli pozwolisz mi pan dolewać bezustannie wody przez małą rurkę pionową do całéj masy płynu: przedmiot, wzięty pomiędzy dwa blaty silne, musi z konieczności ustąpić przed olbrzymiem działaniem ściskającém go do nieskończoności. Sposób wprowadzania

ustawicznego wody przez małą rurkę jest głupstwem w mechanice, tak samo, jak sposób przenoszenia siły z masy płynnéj na blat. Dwa stęple i kilka klap wystarczy. Łatwo pojąć wtedy, mój drogi panie — rzekł, biorąc Valentin'a za ramię — że nie ma takiéj substancyi, którąby, umieszczona pomiędzy temi dwoma oporami bez końca, nie została zmuszoną do rozciągnięcia się.

— Jakto! autor *Listów do prowincyała* wynalazł... — zawołał Rafał.

— On sam, panie. Mechanika nie zna nic prostszego, ani też nic piękniejszego. Zasada przeciwna: rozszerzalność wody, stworzyła maszynę parową. Lecz woda jest rozszerzalną tylko do pewnego stopnia, kiedy tymczasem jéj nieściśliwość, będąca pewnego rodzaju siłą ujemną, z konieczności jest nieskończoną.

— Jeżeli ta skóra rozszerzy się — rzekł Rafał — przyrzekam panu, że wystawię pomnik olbrzymi Błażejowi Pascalowi, ustanowię nagrodę stu tysięcy franków za najpiękniejsze zadanie z mechaniki, rozwiązane w okresie czasu dziesięcioletnim, wyposażę pańskie kuzynki i wnuczki, i nakoniec wybuduję szpital, przeznaczony dla matematyków, którzyby zostali waryatami lub biednemi.

— To byłaby rzecz bardzo użyteczna — rzekł Planchette. — Panie — podjął nanowo ze spokojem człowieka, żyjącego w sferze całkiem umysłowéj — pojdziemy jutro do Spieghalter'a. Ten mechanik znakomity zbudował niedawno, według mojego planu, maszynę udoskonaloną, przy któréj pomocy dziecko będzie mogło trzymać tysiąc wiązek siana w swoim kapeluszu.

— Do jutra, panie!

— Do jutra.

— Ależ mówcie mi o mechanice! — zawołał Rafał. — Czyż-to nie najpiękniejsza ze wszystkich nauk? Tamten ze swemi dzikiemi osłami, gatunkowaniami, kaczkami, rodzajami i słojami pełnemi potworów, jest, co najwyżéj, dobry do markowania punktów na bilardzie publicznym.

Nazajutrz Rafał, zupełnie wesół, przyszedł po Planchette'a i udali się razem na ulicę *de la Santé*, pomyślnie wróżącą swojém nazwiskiem. U Spieghalter'a młody człowiek znalazł się w zakładzie olbrzymim, a jego spojrzenia padały na mnóstwo pieców, czerwonych i ryczących. Był to deszcz ognia, potop gwoździ, ocean stępli, szrub, lewarów, poprzecznic, pilników, szrubsztaków, morze żelaza lanego, drzewa, klap i stali w sztabach. Opiłki chwytały za gardło. Żelazo było w temperaturze, ludzie byli pokryci żelazem, wszystko śmierdziało żelazem, żelazo miało życie, organizm, przechodziło w stan płynny, chodziło, myślało, przybierając wszelkie formy, ulegając wszelkim zachciankom. Wśród wycia miechów, *crescendo* mło-

tów, świstu kół, pod któremi warczało żelazo, Rafał doszedł do wielkiego warsztatu, czystego i dobrze przewietrzonego, gdzie mógł przypatrzyć się swobodnie prasie olbrzymiéj, o któréj mówił mu Planchette. Zachwycał się rodzajem tarcic z lanego żelaza i rurami żelaznemi, połączonemi za pomocą węzła, nieulegającego zniszczeniu.

— Gdybyś pan obrócił szybko siedem razy tą korbą — odezwał się do niego Spieghalter, wskazując na wahadło z żelaza polerowanego — rozbiłbyś pan deskę stalową na tysiące kawałków, któreby panu weszły w nogi jak szpilki.

— Tam do dyabła! — krzyknął Rafał.

Planchette sam wsunął Jaszczur pomiędzy dwa blaty prasy wszechpotężnéj, i pełen téj pewności, jaką dają przekonania naukowe, poruszył żywo wahadłem.

— Kładźcie się wszyscy, bo zginiemy — krzyknął Spieghalter głosem grzmiącym, padając sam pierwszy na ziemię.

Świst straszny rozległ się w warsztatach. Woda, zawarta w maszynie, rozsadziła żelazo, wytworzyła strumień niezmiernie potężny, i skierowała się, na szczęście, w stronę staréj kuźni, którą przewróciła, rozbiła, skręciła, jak kiedy trąba powietrzna zakręci się w domu i uniesie go z sobą.

— Och! — rzekł spokojnie Planchette. — Groszek jest cały jak moje oko! Panie Spieghalter musiała być skaza na pańskim odlewie, lub jakaś przerwa w wielkiéj rurze.

— Nie, nie, znam mój odlew. Ten pan może zabrać z sobą swój przyrząd; dyabeł w nim mieszka.

Niemiec porwał za młot kowalski, rzucił skórę na kowadło, i z całéj siły, jaką daje gniew, poczęstował talizman razem najstraszniejszym, jaki kiedykolwiek zaryczał w jego warsztatach.

— Nawet śladu nie widać — zawołał Planchette, pieszcząc się ze skórą niesforną.

Robotnicy zbiegli się. Werkmajster wziął skórę i zanurzył ją w węglu ziemnym na kuźni. Wszyscy, stanąwszy w półkole przed ogniem, oczekiwali z niecierpliwością na grę olbrzymiego miecha. Rafał, Spieghalter i profesor Planchette zajmowali środek tego tłumu czarnego, wytężającego uwagę. Widząc te oczy białe, te głowy wypudrowane żelazem, te odzienia czarne i lśniące się, te piersi obrośnięte włosem, Rafałowi zdawało się, że jest przeniesiony w świat nocny i fantastyczny ballad niemieckich. Werkmajster, pozostawiwszy skórę przez dziesięć minut w ognisku, wyjął ją cęgami.

— Proszę mi ją dać — rzekł Rafał.

Werkmajster podał ją Rafałowi przez żart. Margrabia skórę

zimną i giętką obracał z łatwością w palcach. Krzyk zgrozy podniósł się, robotnicy uciekli, a Rafał został sam z Planchette'm w pustym warsztacie.

— Ostatecznie musi w tém być coś dyabelskiego — wykrzyknął Rafał w rozpaczy. — Żadnaż więc moc ludzka nie będzie w stanie dać mi jednego dnia więcéj!

— Panie, byłem w błędzie — odpowiedział matematyk ze skruchą — powinniśmy byli poddać tę skórę szczególną działaniu maszyny do ciągnienia metalu w blachy. Gdzież miałem oczy, kiedy proponowałem panu ciśnienie?

— Ależ to ja go żądałem — odparł Rafał.

Uczony odetchnął, jak winowajca, uwolniony przez dwunastu przysięgłych. Zaciekawiony jednakże zagadką dziwną, jaką przedstawiała skóra, zastanowił się przez chwilę i rzekł:

— Trzeba traktować tę substancyę nieznaną za pomocą odczynników. Chodźmy do Japhet'a, a może Chemia będzie szczęśliwszą, aniżeli Mechanika.

Valentin puścił konia wielkim kłusem, w nadziei, że zastanie sławnego chemika Japhet'a w laboratoryum.

— No i cóż, mój stary przyjacielu — rzekł Planchete, spostrzegając Japhet'a, siedzącego w fotelu i zamyślonego nad osadem — jakże się ma chemia?

— Zdrzemnęła się. Nic nowego. Akademia jednak uznała istnienie salicyny. Ale salicyna, asparagina, vokelina i digitalina nie należą do odkryć.

— Z braku możności wynajdywania rzeczy — powiedział Rafał — przyszliście, jak się zdaje, do tego, że wynajdujecie wyrazy.

— Tam do dyabła, to prawda, młodzieńcze.

— Słuchaj — rzekł professor Planchette do chemika — spróbuj rozłożyć tę substancyę; jeżeli wydostaniesz z niéj jakąkolwiek zasadę, nazwę ją z góry *dyabolíną*, gdyż chcąc ją ścisnąć, rozbiliśmy dopiero-co prasę hidrauliczną.

— Zobaczymy! zobaczymy! — zawołał wesoło chemik — może to będzie nowe ciało pojedyńcze.

— Panie — rzekł Rafał — jest-to po prostu kawałek oślej skóry.

— Panie? — podjął poważnie znakomity chemik.

— Nie żartuję wcale — odparł margrabia, podając mu Jaszczur.

Baron Japhet dotknął się skóry brodawkami nerwowemi swojego języka, tak wprawnego w smakowaniu soli, kwasów, alkaljów, gazów, i rzekł po kilku próbach:

— Żadnego smaku! Dobrze, damy się jéj napić trochę kwasu fluorycznego.

Skóra poddana działaniu téj zasady, tak szybko rozkładającéj włókna organiczne, nie uległa żadnéj zmianie.

— To nie jest Groszek — zawołał chemik. — Będziemy traktowali tego tajemniczego nieznajomego, jak minerał, i damy mu po nosie, wstawiając go w tygielek do topienia metalów, gdzie właśnie mam potaż czerwony.

Japhet wyszedł i wrócił po chwili.

— Panie — rzekł do Rafała — pozwól mi wziąć kawałek téj dziwnéj substancyi, która jest tak nadzwyczajnie.....

— Kawałek — wykrzyknął Rafał — ani nawet na grubość włosa! Wreszcie, spróbuj pan — rzekł z miną zarazem smutną i drwiącą.

Uczony złamał brzytwę, chcąc napocząć skóry; starał się rozbić ją za pomocą silnego prądu elektryczności; następnie poddał ją pod działanie stosu Wolty: lecz wszystkie pioruny jego nauki nie udały się na strasznym talizmanie. Była siódma godzina wieczorem. Planchette, Japhet i Rafał, nie zważając, że czas ucieka, czekali na skutek ostatniéj próby. Groszek wyszedł zwycięsko z pod strasznego razu, jakiemu był poddany, w postaci przyzwoitéj ilości chlorku azotu.

— Jestem zgubiony! — zawołał Rafał. — Bóg jest w tém. Muszę umrzeć.

Opuścił obudwu uczonych w milczeniu.

— Nie trzeba nic mówić o téj przygodzie w Akademii; nasi koledzy śmieliby się z nas — rzekł Planchette do chemika po długiém milczeniu, podczas którego patrzyli się na siebie, nie śmiejąc podzielić się myślami.

Obadwaj uczeni byli, jak owi chrześcijanie, którzy, wychodząc z grobów, nie znaleźli Boga w niebie. Nauka? bezsilna! Kwasy? czysta woda! Potaż czerwony? zhańbiony! Stos Wolty i piorun? dwa bilbokiety!

— Prasa hidrauliczna rozłupana jak sucharek! — dodał Planchette.

— Sądzę, że tam jest dyabeł — rzekł Japhet po chwili milczenia.

— A ja, że tam jest Bóg — odpowiedział Planchette.

Obydwa byli w swoich rolach. Dla mechanika wszechświat jest maszyną, która potrzebuje robotnika; dla chemii, tego dzieła szatana, ktory nieustannie rozkłada wszystko, świat jest gazem, obdarzonym własnościami ruchu.

— Nie możemy zaprzeczyć faktu — podjął chemik.

— Ba! dla pocieszenia nas, panowie doktrynerzy stworzyli tę mglistą prawdę: „Głupi jak fakt.“

— Co do mnie — odparł chemik — to zdaje mi się, że twój pewnik jest zrobiony tak samo, jak zwierzę.

Zaczęli się śmiać i poszli na obiad, jak ludzie, którzy w cudzie widzieli tylko zjawisko.

Rafał, trawiony wściekłością zimna, powrócił do siebie; w nic już nie wierzył, a myśli mu się wikłały w mózgu, kołowały i chwiały, jak u każdego człowieka, znajdującego się wobec faktu niemożliwego. Uwierzył chętnie w jakąś wadę ukrytą maszyny Spieghalter'a, gdyż bezsilność nauki i ognia nie dziwiła go wcale; lecz giętkość skóry, kiedy nią obracał, lecz twardość jéj, kiedy środki zniszczenia, jakiemi człowiek rozporządza, zostały skierowane przeciwko niéj, przerażały go. Od tego faktu niezaprzeczonego dostał zawrotu głowy.

— Jestem waryatem — rzekł sam do siebie. — Jakkolwiek od rana jestem naczczo, nie chcę mi się ani jeść, ani pić, i czuję w piersi ognisko, które mnie pali.

Wstawił napowrót Jaszczur w ramy, w jakich przedtém był zamknięty, i zakreśliwszy linią z czerwonego atramentu kontur obecny talizmanu, usiadł w fotelu.

— Już ósma — zawołał. — Dzień ten zszedł jak sen.

Oparł się łokciem o poręcz fotelu, opuścił głowę na lewą rękę, i został tak, zatopiony w jedném z tych rozmyślań ponurych, w tych myślach pożerających, których tajemnicę unoszą ze sobą skazani na śmierć.

— Ach! Paulina — zawołał — biedne dziecko! są przepaści, których miłość nie jest w stanie przeskoczyć, pomimo siły swych skrzydeł. W téj chwili usłyszał wyraźnie westchnienie przytłumione i przez jeden z najbardziéj rozrzewniających przywilejów namiętności poznał w niém oddech swojéj Pauliny: Och! — rzekł do siebie — to mój wyrok. Gdyby tu była, chciałbym umrzéć w jéj ramionach.

Na odgłos śmiechu swobodnego, śmiechu wesołego, obrócił głowę w stronę łóżka, i po-przez firanki przezroczyste zobaczył twarz Pauliny, śmiejącéj się, jak dziecko szczęśliwe z figla, który mu się udał; jéj piękne włosy układały się w tysiące zwojów na ramionach; była podobną do róży z Bengalu na stosie róż białych.

— Oszukałam Jonathas'a — rzekła. — Lecz czyż to łóżko nie należy do mnie, do mnie, twojéj żony? Nie gniewaj się na mnie, najdroższy, chciałam tylko spać przy tobie, podejść cię. Przebacz mi to szaleństwo. Wyskoczyła z łóżka, jak kotka, ukazała się promieniejąca w muślinach i usiadła na kolanach Rafała: — O jakiéj przepaści-to mówiłeś, mój luby? — rzekła, pozwalając dojrzéć na swojém czole wyrazu troski.

— O śmierci.

— Och! jak to boli! — odpowiedziała. — Są pewne myśli, nad któremi my biedne kobiety nie możemy się zastanawiać, bo nas zabijają. Jest-li to zbytek miłości, czy też brak odwagi? nie wiem. Śmierć mnie nie przestrasza — mówiła daléj, śmiejąc się. — Umrzéć z tobą jutro rano, razem, w ostatnim pocałunku, było-by szczęściem. Zdaje mi się, że i tak jeszcze żyłabym była więcéj, niż sto lat. Cóż znaczy liczba dni, jeżeli w jednéj nocy, w jednéj godzinie przebiera się całe życie spokoju i miłości?

— Masz słuszność. Niebo mówi przez twoje śliczne usta. Daj, niech je pocałuję, i umierajmy — rzekł Rafał.

— Umierajmy! — odpowiedziała, śmiejąc się.

Koło dziewiątéj rano światło przemykało się pomiędzy szczelinami żaluzyj; zmniejszone muślinem firanek, pozwalało jednak widzieć bogate kolory dywanów i mebli atłasowych w pokoju, w którym spali kochankowie. Niektóre złocenia iskrzyły się. Promień słońca umierał na miękkim edredonie, przez swawole miłości zrzuconym na ziemię. Suknia Pauliny, zawieszona na wielkiém lustrze, rysowała się jak zjawisko mgliste. Trzewiki maleńkie leżały daleko od łóżka. Słowik usiadł na framudze okna, a świergot ustawiczny i szelest jego skrzydeł, nagle rozwiniętych, kiedy odlatywał, obudziły Rafała.

— Chcąc umrzéć — mówił, kończąc myśl rozpoczętą we śnie — potrzeba, ażeby mój organizm, ten mechanizm z ciała i kości, ożywiony przez wolę, która tworzy we mnie osobnika *człowieka*, przedstawiał nadwerężenie znaczne. Lekarze powinniby poznać objawy żywotności uszkodzonéj i mogliby mi powiedzieć, czy jestem zdrów lub chory.

Wpatrywał się w żonę uśpioną, która trzymała mu głowę, wyrażając tym sposobem i w czasie snu czułe pragnienia miłości. Wdzięcznie rozciągnięta jak dziecko i z twarzą zwróconą ku niemu, zdawało się, że Paulina patrzyła na niego jeszcze, wyciągając śliczne usta nawpół otwarte oddechem równym i czystym. Małe zęby porcelanowe podnosiły barwę czerwoności jéj ust świeżych, po których błąkał się uśmiech; szkarłat jéj cery był żywszy, a białość, jeżeli tak powiedzieć można, była bielszą w téj chwili, aniżeli w godzinach dnia najbardziéj tchnących miłością. Jéj zaniedbanie się wdzięczne i tak pełne ufności dodawało cudownych powabów dziecka uśpionego do czaru miłości. Kobiety, najbardziéj nawet naturalne, słuchają podczas dnia pewnych konwenansów towarzyskich, pętających naiwne wylewy duszy; lecz sen, jak się zdaje, przywraca im niejako porywczość życia, która zdobi wiek dzieciństwa. Paulina nie rumieniła się na nic, jak jedno z tych drogich i niebiańskich stworzeń, u których rozum nie rzucił ani myśli w ruchy, ani taje-

mnic w spojrzenie. Profil jéj rysował się żywo na cienkim batyście poduszek; wielkie falbany koronek pomieszanych z jéj włosami w nieładzie dodawały jéj miny zawadyackiéj; ale zasnęła w rozkoszy; długie rzęsy leżały na policzkach, jak gdyby dla chronienia wzroku przed blaskiem zasilnym, lub dla dopomożenia temu skupieniu się duszy, kiedy ona chce zatrzymać rozkosz doskonałą a przelotną; uszko maleńkie, białe i czerwone, oprawione w pęk włosów i narysowane w kokonie z jedwabiu, mogłoby przyprowadzić do szaleństwa artystę, malarza, starca, lub przywieść do rozumu jakiegoś szaleńca. Widzieć kochankę uśpioną, śmiejącą się przez sen, spokojną pod waszą opieką, kochającą was nawet we śnie, w chwili, kiedy stworzenie przestaje prawie istnieć, i wyciągającą do was usta milczące, które podczas snu mówią wam o pocałunku ostatnim; widzieć kobietę ufającą wam, nawpół nagą, lecz owiniętą w miłość niby płaszczem i nieskażoną wśród nieładu; zachwycać się ubraniem porozrzucaném, pończochą jedwabną, nagle zdjętą z nogi, byle się wam podobać, przepaską odpiętą, która zdradza wiarę nieograniczoną, — czyż to nie rozkosz bez nazwy? Ta przepaska, to cały poemat; kobieta, któréj ona strzegła, nie istnieje już, należy do was, stała się *wami;* odtąd zdradzić ją, to zadać ranę sobie samemu. Rafał rozczulony przypatrywał się temu pokojowi, przejętemu miłością, pełnemu wspomnień, w którym światło przybierało znamiona lubieżności, i zwrócił się do téj kobiety o kształtach czystych, młodych, kochającéj jeszcze, któréj uczucia zwłaszcza należały do niego bezpodzielnie. Pragnął żyć ciągle. Kiedy jego spojrzenie padło na Paulinę, ona otworzyła oczy odrazu, jak gdyby promień słońca padł na nią.

— Dzień dobry, przyjacielu — rzekła, uśmiechając się. — Jak ty jesteś piękny, niegodziwcze!

Te dwie głowy, naznaczone wdziękiem, właściwym miłości, młodości, pół-światła i ciszy, tworzyły jednę z tych boskich scen, których urok przemijający należy tylko do pierwszych dni namiętności, tak samo jak naiwność i prostota są przymiotami tylko wieku dziecinnego. Niestety! te uciechy wiośniane miłości, tak samo jak śmiechy naszego młodocianego wieku, muszą odbiegnąć i żyć tylko w naszych wspomnieniach, przywodząc nas do rozpaczy lub zostawiając nam jakąś woń pociechy, stosownie do kaprysów naszych rozmyślań tajemnych.

— Dlaczegoś się przebudziła? — spytał Rafał. — Tak mi było przyjemnie widzieć cię uśpioną, że płakałem.

— I ja także — odpowiedziała — płakałam téj nocy, przypatrując się tobie, kiedyś spał, ale nie z radości. Słuchaj, mój Rafale, słuchaj mnie! Skoro śpisz, twój oddech nie jest swobodny; w pier-

siach masz coś, co dźwięczy, co mnie strachem przejmuje. W czasie snu masz kaszel suchy, tak samo zupełnie jak mój ojciec, który umiera na suchoty. W szmerze twoich płuc rozpoznałam kilka cech dziwnych téj choroby. Następnie miałeś gorączkę, jestem tego pewna, gdyż twoja ręka była wilgotna i rozpalona. Najdroższy! jesteś młody — zawołała, wstrząsając się dreszczem — możesz wyleczyć się jeszcze, choćbyś przypadkiem... Ale nie — wykrzyknęła wesoło—niéma nieszczęścia! choroby się dostaje, jak mówią lekarze.

Obydwoma rękami objęła Rafała i, chwytając jego oddech jednym z tych pocałunków, do których dusza się dostaje, zawołała:

— Nie pragnę doczekać się starości! Umierajmy młodo oboje i chodźmy do nieba z rękoma pełnemi kwiatów!

— Te zamiary wypowiadają się wtenczas, kiedy jesteśmy w dobrém zdrowiu — odpowiedział Rafał, zatapiając ręce we włosach Pauliny.

Wtém napadł go straszny kaszel, jeden z tych kaszlów ciężkich i głośnych, które, zdaje się, jak gdyby wychodziły z trumny, które wywołują bladość na czoła chorych, dreszcz w całém ciele i poty, poruszywszy ich nerwami, wstrząsnąwszy żebrami, zmęczywszy mlecz pacierzowy i wycisnąwszy jakąś ociężałość na ich żyłach. Rafał pognębiony, blady, położył się zwolna, padając jak człowiek, którego cała siła rozproszyła się w ostatnim wysiłku. Paulina patrzyła na niego okiem wlepioném, powiększoném od strachu, i pozostała na miejscu nieruchoma, blada, milcząca.

— Nie róbmy już więcéj szaleństw, mój aniele — rzekła, chcąc ukryć przed Rafałem okrutne przeczucia, jakie nią miotały.

Zakryła sobie twarz rękoma, gdyż widziała odrażający szkielet *ŚMIERCI*. Głowa Rafała stała się siną i wklęsłą, jak czaszka wydarta głębiom cmentarza, która ma służyć do studyów jakiemuś uczonemu. Paulina przypomniała sobie wykrzyk, jaki się wyrwał z piersi Valentin'a w wilią tego dnia, i rzekła sama do siebie:

— Tak, są przepaście, których miłość przebyć nie może, ale powinna się w nich zagrzebać!

W kilka dni po téj scenie rozpaczy Rafał pewnego marcowego poranku siedział w fotelu, otoczony czterema lekarzami, którzy umieścili go w świetle przed oknem w jego pokoju i po kolei badali mu puls, macali go i wypytywali ze wszystkiemi pozorami zainteresowania się. Chory śledził za ich myślami, zdając sobie sprawę i z ich ruchów i z najmniejszych fałd, tworzących się na ich czołach. Ta konsultacya była jego ostatnią nadzieją. Ci sędziowie najwyżsi mieli mu ogłosić wyrok życia lub śmierci. To téż, chcąc z nauki ludzkiéj wyrwać ostatnie słowo, Valentin wezwał wyrocznie medycyny nowożytnéj. Dzięki jego majątkowi i nazwisku, trzy syste-

maty, pomiędzy któremi pływają wiadomości ludzkie, były przed nim. Trzech z tych lekarzy nosiło za sobą całą filozofią lekarską, nosabiając walkę, wypowiedzianą sobie nawzajem przez spirytualizm, analizę i jakiś eklektyzm szyderczy. Czwartym lekarzem był Horacy Bianchon, człowiek pełen przyszłości i nauki, najbardziéj wyróżniający się może ze wszystkich nowych lekarzy, rozsądny i skromny poseł uczącéj się młodzieży, która gotuje się do odebrania spadku skarbów, nagromadzonych od pięćdziesięciu lat w Szkole Paryskiéj, i postawi może pomnik, na jaki wieki poprzednie zniosły tyle materyału różnorodnego. Jako przyjaciel margrabiego i Rastignac'a, otaczał go swojemi staraniami od kilku dni i dopomagał mu w odpowiadaniu na pytania trzech profesorów, którym objaśniał często, z rodzajem nastawania, dyagnozę, odsłaniającą jakoby suchoty płucne.

— Zapewne dopuszczałeś się pan wielu nadużyć, prowadziłeś życie światowe, oddawałeś się wielkim pracom umysłowym?—rzekł do Rafała ten z trzech sławnych lekarzy, którego głowa kwadratowa, twarz szeroka i budowa ciała silna znamionowały niejako gieniusz wyższy, niż w dwu innych jego antagonistach.

— Chciałem zabić się przez rozpustę, kiedym po trzech latach przestał pracować nad obszernem dziełem, którém pewnego dnia będziecie się może panowie zajmowali — odpowiedział Rafał.

Wielki lekarz potrząsnął głową na znak zadowolnienia i jak gdyby mówiąc sam do siebie:

— Byłem tego pewny.

Tym lekarzem był sławny Brisset, przywódca organologistów, następca Cabanisów i Bichatów, lekarz umysłów pozytywnych i materyalistycznych, widzących w człowieku istotę skończoną, zależną jedynie od praw własnéj swojéj organizacyi, któréj stan normalny lub anomalie, sprowadzające śmierć, dają się wytłómaczyć przez przyczyny widoczne.

Po téj odpowiedzi Brisset spojrzał w milczeniu na człowieka średniego wzrostu, który miał twarz czerwoną i oko płonące żarem, jak gdyby u Satyra starożytnego, a który, plecami oparty o róg framugi, przypatrywał się uważnie Rafałowi, nie mówiąc słowa. Człowiek egzaltowany i pełen wiary, doktór Caméristus, przywódca witalistów, obrońca poetyczny doktryn oderwanych Van Helmonta, widział w życiu ludzkiém zasadę podniosłą, tajemnicę, zjawisko niewytłómaczone, które żartuje sobie z lancetów, oszukuje chirurgią, wymyka się zpod lekarstw farmaceutyki, zpod *iksów* algiebry, zpod demonstracyi anatomii i śmieje się z naszych wysiłków; widział w niém rodzaj płomienia niedotykalnego, niewidzialnego, zależnego od jakiegoś prawa boskiego, który często zostaje w ciele skazaném

przez nasze wyroki, jako też i ucieka z organizmów najbardziéj żywotnych.

Uśmiech złośliwy błąkał się na ustach trzeciego, doktora Maugredie, o umyśle dystyngowanym, ale pirrońskim i szyderczym, który wierzył tylko w skalpel, zgadzał się z Brissetem na śmierć człowieka, mającego się wybornie, i przyznawał Caméristusowi, że człowiek może żyć jeszcze po śmierci. Widział dobre strony we wszystkich teoryach, nie stosował żadnéj, utrzymywał, że najlepszym systemem w medycynie jest — nie mieć żadnego i trzymać się faktów. Przeciwnik szkoły, król obserwacyj, ten wielki badacz, ten wielki szyderca, człowiek usiłowań rozpacznych, przypatrywał się jaszczurowi.

— Chciałbym bardzo być świadkiem spółrzędności, istniejącéj pomiędzy pańskiemi pragnieniami a kurczeniem się téj skóry—rzekł do margrabiego.

— A to poco? — zawołał Brisset.

— A to naco? — powtórzył Caméristus.

— Ach! zgadzacie się z sobą, panowie — odpowiedział Maugredie.

— To kurczenie się jest zupełnie prostém — dodał Brisset.

— Dla mnie jest ono nadnaturalném — rzekł Caméristus.

— W istocie — odparł Maugredie, udając powagę i wręczając Rafałowi jaszczur — stężenie skóry jest faktem niewytłómaczonym, a jednak naturalnym, który od początku świata przyprowadza do rozpaczy medycynę i ładne kobiety.

Pomimo usilnego badania trzech lekarzy, Valentin nie dopatrzył się w nich żadnéj sympatyi dla swojéj choroby. Wszyscy trzej, po każdéj odpowiedzi milczący, mierzyli go od stóp do głów obojętnie i zadawali mu pytania, nie żałując go wcale. Lekceważenie przebijało się poprzez ich grzeczność. Czy to w skutek pewności, czy też namyślania się, odzywali się tak mało i tak niedbale, że Rafałowi zdawało się chwilami, jakoby byli roztargnieni. Brisset tylko od czasu do czasu odpowiadał: „Dobrze! dobrze!“ na wszystkie objawy rozpaczne, których istnienie wykazywał Bianchon. Caméristus był wciąż pogrążony w marzeniu głębokiém, a Maugredie był podobny do jakiegoś autora komicznego, który studyuje dwu oryginałów, chcąc ich następnie przenieść wiernie na scenę. Twarz Horacego zdradzała zmartwienie głębokie, rozczulenie pełne smutku. Zajmował się leczeniem zanadto od niedawna, ażeby miał być nieczułym na boleści i obojętnym przy łożu śmierci; nie umiał w oczach zdusić łez przyjacielskich, które nie pozwalają człowiekowi widzieć jasno i chwytać, jak gienerałowi armii, chwili właściwéj do zwycięstwa, nie zważając na krzyki umierających. Bawiąc tu już od pół go-

dziny blisko i biorąc do pewnego stopnia miarę choroby z chorego, jak krawiec, biorący miarę na frak z młodzieńca, który sobie obstalował ubranie na wesele, powiedzieli kilka frazesów powszednich, mówili nawet o sprawach publicznych i następnie postanowili przejść do gabinetu Rafała, dla zakomunikowania sobie myśli i wydania sądu.

— Panowie — rzekł do nich Valentin — czy nie mógłbym być obecnym przy rozprawach?

Na te słowa Brisset i Maugredie zaoponowali żywo i pomimo nalegań chorego nie chcieli naradzać się w jego obecności. Rafał poddał się zwyczajowi, sądząc, że uda mu się zakraść do korytarza, skąd będzie mógł słyszeć z łatwością narady, jakim trzej lekarze mieli się oddać.

— Panowie — rzekł Brisset, wchodząc — pozwólcie wypowiedzieć mi się szybko ze zdaniem. Nie chcę ani wam go narzucać, ani widzieć, że mogłoby stać się przedmiotem sporów: przedewszystkiem jest ono jasne, wyraźne i wynika z podobieństwa zupełnego pomiędzy jednym z moich chorych a osobą, do zbadania której zostaliśmy wezwani; a przytém czekają na mnie w szpitalu. Ważność faktu, jaka wymaga mojéj obecności tam, będzie usprawiedliwieniem, dlaczego pierwszy zabieram głos. *Osoba*, która nas zajmuje, jest zarówno zmęczona pracami umysłowemi... Co on napisał, Horacy?— rzekł, zwracając się do młodego lekarza.

— „Teoryą woli".

— Ach! do dyabła! to przedmiot obszerny. Zmęczony jest, jak mówię, wysiłkami myśli, zaniedbywaniem przepisów porządnego życia, używaniem częstém nazbyt energicznych środków podniecających. Działalność gwałtowna ciała i mózgu zepsuła zatém ruch w całym organizmie. Łatwo, panowie, poznać po symptomatach twarzy i ciała rozdrażnienie nadzwyczajne żołądka, newrozę wielkiego nerwu sympatycznego, wrażliwość żywą dołka podsercowego i skurczenie się hipochondryi. Zauważyliście, panowie, wielkość i wydatność wątroby. Wreszcie pan Bianchon obserwował stale trawienie swojego chorego i powiedział nam, że było trudne, pracowite. Właściwie mówiąc, żołądek nie istnieje już wcale; człowiek znikł, umysł wysechł, ponieważ człowiek nie trawi. Psucie się stopniowe dołka podsercowego, tego środka życia, naruszyło cały system. Stąd wszędzie irradyacye stałe i widoczne; nieład dostał się do mózgu przez siatkę nerwową, skąd rozdrażnienie nadzwyczajne tego organu. Mamy tu monomanią. Chory jest pod brzemieniem jednéj wyłącznéj myśli. Dla niego ten jaszczur kurczy się rzeczywiście, choć może był zawsze takim, jak go widzieliśmy; ale czy się kurczy czy nie, ten jaszczur jest dla niego ową muchą, którą pewien wielki we-

zyr miał na nosie. Postawcie, panowie, zaraz pijawki na dołku podsercowym, uspokójcie rozdrażnienie w tym organie, gdzie cały człowiek przebywa, weźcie chorego na dyetę, a monomania ustanie. Nie powiem nic nad to doktorowi Bianchon; powinien on objąć całość i szczegóły kuracyi. Być może, iż jest tam komplikacya choroby, może kanały oddechowe są również podrażnione, uważam jednak leczenie przyrządu trzewiowego za ważniejsze, konieczniejsze, naglejsze, aniżeli płuc. Studya wytrwałe nad rzeczami abstrakcyjnemi i jakieś namiętności gwałtowne wytworzyły ważne nieporządki w tym mechanizmie życiowym; można jeszcze jednak naprawić sprężyny, ponieważ nic nie jest nazbyt silnie nadwerężoném. Możesz pan więc z łatwością ocalić życie przyjacielowi — rzekł do Bianchon'a.

— Nasz uczony kolega bierze skutek za przyczynę — odpowiedział Caméristus. — Istotnie zaburzenia, tak dobrze zaobserwowane przez niego, istnieją u chorego, ale żołądek nie zaprowadził stopniowo irradyacyj w organizmie i w stronę mózgu, niby pęknięcie, które roztacza naokoło siebie promienie na szybie. Potrzeba było jakiegoś uderzenia na przedziurawienie szyby; lecz od kogo poszło to uderzenie? czy wiemy co o tém? czy obserwowaliśmy dostatecznie chorego? czy znamy wszystkie przypadłości jego życia? Panowie, pierwiastek życiowy, *archeusz* Van Helmonta, jest w nim naruszony, życiowość sama jest nadwerężona w swojéj istocie, iskra boska, inteligencya przejściowa, służąca za węzeł maszynie i wytwarzająca wolę, naukę życia, przestała regulować zjawiska codzienne mechanizmu i czynności każdego organu; stąd pochodzą nieporządki, tak dobrze ocenione przez mojego uczonego kolegę. Ruch nie przeszedł od dołka podsercowego do mózgu, ale od mózgu w stronę dołka podsercowego. Nie! — zawołał, silnie uderzając się w piersi — nie, nie jestem żołądkiem, co się stał człowiekiem! Nie, w tém nie mieści się wszystko! Nie czuję w sobie dość odwagi do powiedzenia, że jeżeli mam dobry dołek podsercowy, to reszta jest tylko dla formy. Nie możemy — zaczął mówić łagodniéj — wyprowadzać z jednéj i téj saméj przyczyny fizycznéj i oddawać pod jednakową kuracyą ważnych zamieszek, jakie zdarzają się u różnych osób, mniéj lub więcéj ciężko dotkniętych. Żaden człowiek nie jest podobny do drugiego. Wszyscy mamy organy nam tylko właściwe, w różny sposób dotknięte, w różny sposób odżywiane, odpowiednie do spełniania posłannictw różnorodnych i do rozwijania zadań, niezbędnych dla dokonania porządku rzeczy nam nieznanych. Część wielkiéj całości, która na skutek wysokiéj woli przychodzi działać, utrzymywać w nas zjawisko życia, formułuje się w sposób odrębny w każdym człowieku i tworzy z niego istotę napozór skończoną, ale któ-

ra w jednym punkcie współistnieje z przyczyną nieskończoną. To też powinniśmy badać każdego klienta oddzielnie, przenikać go, rozpoznawać, na czém polega jego życie, co jest jego siłą. Począwszy od miękkości gąbki zmoczonéj, a skończywszy na twardości pumeksu, mamy odcieni bez liku. Oto człowiek. Pomiędzy organizacyami gąbczastemi limfatyków a siłą metaliczną mięśni niektórych ludzi, przeznaczonych do długiego życia, iluż-to błędów nie popełnia system jedyny, nieubłagany leczenia przez osłabianie, pozbawianie sił ludzkich, które, według waszego przypuszczenia, są zawsze podrażnione! Tutaj zatém chciałbym kuracyi całkiem moralnéj, zbadania głębokiego istoty wewnętrznéj. Chodźmy szukać przyczyny złego we wnętrznościach duszy, ale nie we wnętrznościach ciała! Lekarz jest istotą natchnioną, obdarzoną gieniuszem odrębnym, któremu Bóg udzielił władzy czytania w życiowości, jak dał prorokowi oczy do patrzenia w przyszłość, poecie zdolność wywoływania natury, a muzykowi dar szykowania tonów w porządku harmonijnym, którego typ jest u góry może !..

— Zawsze ta sama medycyna bezwzględna, monarchiczna i religijna — zamruczał Brisset.

— Panowie — podjął szybko Maugredie dla pokrycia wybuchu Brisseta — nie traćmy z oczu chorego...

— Otóż-to gdzie jesteśmy z nauką! — zawołał smutnie Rafał. — Moja kuracya waha się pomiędzy różańcem a szkaplerzem pijawek, pomiędzy lancetem Dupuytrena a modlitwą księcia de Hohenlohe! Na linii, oddzielającéj czyn od słowa, materyą od ducha, stoi Maugredie, który wątpi. Ludzkie *tak* i *nie* ściga mnie wszędzie. Zawsze *Carimary*, *Carymara* Rabelais'go: jestem chory duchowo, carimary! albo chory fizycznie, carymara! Czy będę żył? nie wiedzą. Planchette przynajmniéj był bardziéj otwarty, kiedy mi mówił: Nie wiem.

W téj chwili Valentin usłyszał głos doktora Maugredie.

— Chory jest monomanem zgoła — zawołał — ale ma dwakroć sto tysięcy franków renty; tacy monomani zdarzają się nie często i należy się im od nas rada przynajmniéj. Co zaś do tego, czy dołek podsercowy oddziałał na mózg, czy też mózg na dołek podsercowy, to będziemy mogli sprawdzić fakt może wtedy, gdy umrze. Streśćmy więc nasze słowa. Jest on chory, to fakt niezaprzeczony. Potrzeba go leczyć w jakikolwiek sposób. Zostawmy doktryny na stronie. Postawmy mu pijawki dla uśmierzenia podrażnionych trzewiów i newrozy, co do istnienia których zgadzamy się, i następnie wyślijmy go do wód: w ten sposób będziemy działać według dwu systemów naraz. Jeżeli jest chory na płuca, nie możemy uratować go wcale, i tak...

Rafał opuścił szybko korytarz i poszedł usiąść w fotelu. Wkrótce czterej lekarze wyszli z gabinetu. Horacy, przemawiając w imieniu wszystkich, rzekł:

— Ci panowie uznali jednogłośnie potrzebę przystawienia natychmiastowego pijawek na żołądek i nagłość kuracyi zarazem fizycznéj i moralnéj. Przedewszystkiém przepisują dyetę, chcąc uspokoić rozdrażnienie pańskiego organizmu.

Tu Brisset ruszył głową na znak potwierdzenia.

— Następnie życie higieniczne celem oddziałania na stronę moralną. Tak więc jednogłośnie radzimy panu pojechać do wód w Aix w Sabaudyi, lub do Mont-Dore w Owernii, jeżeli pan wolisz. Powietrze i położenie są przyjemniejsze w Sabaudyi, aniżeli w Cantal, ale pan możesz kierować się swoim gustem.

Tu doktór Caméristus dał znak przyzwolenia.

— Ci panowie — mówił daléj Bianchon — spostrzegłszy lekkie zaburzenia w kanale oddechowym, uznali moje przepisy poprzednie za użyteczne. Sądzą przytém, że wyleczenie jest łatwe i że zależéć będzie od rozsądnego zastosowania tych różnych środków z kolei... I...

— I oto dlaczego pańska córka jest niemą — dokończył Rafał, uśmiechając się i pociągając Horacego do swojego gabinetu, celem wręczenia mu honoraryum za tę bezużyteczną konsultacyą.

— Oni są logiczni — odpowiedział mu młody lekarz. — Caméristus czuje, Brisset bada, Maugredie wątpi. Czyż to człowiek nie ma duszy, ciała i rozumu? Jedna z tych trzech przyczyn pierwiastkowych działa w nas w sposób mniéj lub więcéj silny, a człowiek znajdzie się zawsze w nauce ludzkiéj. Wierz mi, Rafale, my nie leczymy, ale pomagamy do wyleczenia się. Pomiędzy medycyną Brisseta a medycyną Caméristusa jest jeszcze medycyna wyczekiwania; lecz dla stosowania jéj z powodzeniem należałoby znać chorego od dziesięciu lat. Na dnie medycyny znajduje się przeczenie, jak we wszystkich naukach. Staraj się więc żyć rozsądnie, spróbuj wycieczki do Sabaudyi; zawsze jest i będzie najlepszą rzeczą powierzać się naturze.

W miesiąc późniéj, po powrocie z przechadzki w piękny wieczór letni, kilka osób, przybyłych do wód w Aix, znajdowało się razem w salonach resursy. Rafał, siedząc przy oknie, obrócony plecami do towarzystwa, pozostawał długo sam, pogrążony w jedném z tych marzeń mimowolnych, podczas których nasze myśli rodzą się, wiążą jedne z drugiemi, znikają, nie odziawszy się w kształty, i przechodzą w nas jak lekkie obłoki, zaledwie zabarwione. Wtedy smutek jest miły, wesołość mglista, a dusza prawie uśpiona. Pozwalając się unieść temu życiu zmysłowemu, Valentin kąpał się w ciepłéj at-

mosferze wieczoru i rozkoszował się powietrzem czystém i wonném gór, szczęśliwy, że nie czuł żadnego bólu i że przyprowadził nareszcie do milczenia swój groźny jaszczur. W chwili, kiedy barwy czerwone zachodzącego słońca gasły na szczytach, a powietrze się ochłodziło, opuścił swoje miejsce, zamykając okno.

— Panie — odezwała się do niego jakaś stara pani — czy nie byłbyś pan łaskaw nie zamykać okna? Dusimy się.

Te wyrazy rozdarły bębenek w uszach Rafała dysonansem dziwnéj cierpkości; były one jak słowo, powiedziane nierozważnie przez człowieka, w którego przyjaźń chcieliśmy wierzyć, a którą w niwecz obraca jakieś błogie złudzenie uczucia, zdradzając się z przepaścią egoizmu. Margrabia rzucił na starą kobietę zimne spojrzenie dyplomaty niewzruszonego, zawołał na lokaja i rzekł do niego sucho, kiedy przyszedł:

— Otwórz to okno!

Na te słowa zdziwienie niezwykłe zajaśniało na wszystkich twarzach. Towarzystwo zaczęło szemrać, patrząc na chorego z miną mniéj lub więcéj pełną wyrazu, jak gdyby popełnił jakąś grubą niegrzeczność. Rafał, nie pozbywszy się dotąd całkowicie nieśmiałości młodzieńca, w pierwszéj chwili zawstydził się; następnie jednak otrząsnął się ze swojéj odrętwiałości, zdobył się na energią i zaczął sam sobie zdawać sprawę z téj dziwnéj sceny. Nagle wstrząśnienie szybkie ożywiło jego mózg; przeszłość ukazała się przed nim w widzeniu wyraźném, gdzie przyczyny uczucia, jakie wzbudzał, zarysowały się tak wydatnie, jak żyły trupa, których najdrobniejsze rozgałęzienia naturaliści zabarwiają przez zręczne zastrzykiwanie; poznał się sam w tym obrazie przelotnym, śledził w nim swoje życie, dzień po dniu, myśl po myśli; widział się, nie bez pewnego zdumienia, ponurym i roztargnionym wśród tego świata śmiejącego się, ciągle myślącym o swojém przeznaczeniu, zajętym jedynie swoją chorobą, pogardzającym napozór rozmową najbardziéj nawet błahą, uciekającym przed temi stosunkami znikomemi, które podróżni zawierają tak szybko pomiędzy sobą, ponieważ liczą zapewne, że nie spotkają się nigdy; mało troszczącym się wreszcie o innych i podobnym do tych skał nieczułych zarówno na pieszczoty, jak i na wściekłość bałwanów. Następnie, przez szczególny dar intuicyi, czytał we wszystkich duszach: odnajdując przy blasku świecy żółtą czaszkę i profil złośliwy jakiegoś starca, przypomniał sobie, że wygrał od niego pieniądze, nie zaproponowawszy mu następnie odwetu; daléj zobaczył ładną kobietę, na któréj umizgi pozostał zimnym; każda z twarzy wyrzucała mu jednę z tych win niewytłómaczonych napozór, których zbrodnia jednak leży zawsze w niewidzialnéj ranie, zadanéj miłości własnéj. Pomimowolnie obraził wszystkie te małe

próżnostki, które kupiły się koło niego. Współbiesiadnicy jego uczt lub ci, którym pożyczył koni, gniewali się na jego przepych. Zdziwiony ich niewdzięcznością, postanowił oszczędzić im tych upokorzeń; odtąd jednak uważali się za wzgardzonych i pomawiali go o arystokracyą. Dobierając się w ten sposób do dna serc, mógł czytać w nich myśli najtajniejsze; doznał odrazy do towarzystwa, do jego grzeczności, do jego poloru. Ponieważ był bogaty i z wyższym umysłem, zazdroszczono mu, nienawidzono go; jego milczenie oszukiwało ciekawość, a jego skromność dla tych ludzi drobnostkowych i powierzchownych była wyniosłością. Odgadł zbrodnię ukrytą, nie do przebaczenia, jakiéj się dopuścił względem nich: wybiegał poza obręb sądu ich mierności. Zbuntowawszy się przeciwko despotyzmowi inkwizytorskiemu, umiał się obejść bez nich; chcąc się jednak zemścić za tę pokątną królewskość, wszyscy połączyli się instynktownie, ażeby mu dać uczuć swoję władzę, skazać go na ostracyzm i pokazać, że oni także mogą się obejść bez niego. Zdjęty najpierw litością na widok tego świata, zadrżał wkrótce, myśląc o zręcznéj potędze, która podniosła przed nim zasłonę z ciała, przykrywającą naturę chorą, i zamknął oczy, jak gdyby chcąc nie widzieć już nic więcéj. Nagle zasłona czarna została rzucona na tę złowrogą fantasmagoryą prawdy; lecz znalazł się w tém okropném osamotnieniu, jakie czeka władze i panowania. W téj chwili właśnie porwał go kaszel gwałtowny. Zamiast uchwycić jedno choćby z tych słów obojętnych napozór, ale udających przynajmniéj rodzaj współczucia grzecznego u osób dobrego towarzystwa, zgromadzonych przez przypadek, usłyszał wykrzykniki nieprzyjazne i skargi szemrane pocichu. Towarzystwo nie raczyło nawet przywdziać maski dla niego, ponieważ je odgadł może.

— Jego choroba jest zaraźliwą.

— Prezes resursy powinienby mu wzbronić wejścia do salonu.

— Przy dobréj policyi naprawdę nie wolno kaszlać w ten sposób.

— Kiedy kto tak jest chory, to nie powinien przyjeżdżać do wód.

— On mnie stąd wypędzi.

Rafał podniosł się, chcąc uciec przed złorzeczeniem powszechném, i zaczął przechadzać się po pokojach. Dla znalezienia sobie protekcyi, stanął przy jakiéjś młodéj kobiecie niezajętéj, do któréj postanowił zwrócić się ze słówkami pochlebnemi; skoro się tylko zbliżył, ona odwróciła się do niego plecami i udawała, że patrzy na tańczących. Rafał obawiał się, czy już podczas tego wieczoru nie posługiwał się talizmanem; nie czując więc w sobie ani woli, ani odwagi do zawiązania rozmowy, opuścił salon i schronił się do sali bilardowéj. Tam nikt do niego nie przemówił, nikt mu się nie ukło-

nił, nikt na niego nie rzucił najlżejszego nawet spojrzenia życzliwości. Jego umysł, z natury rozmyślający, odsłonił przed nim, drogą wewnętrznego poczęcia, przyczynę powszechną i racyonalną wstrętu, jaki obudzał. Ten mały światek, nie wiedząc może nawet o tém, był posłuszny wielkiemu prawu, rządzącemu wyższém towarzystwem, którego moralność niezbłagana rozwinęła się w całości przed oczyma Rafała. Spojrzenie poza siebie pokazało mu typ zupełny w Fedorze. Nie więcéj sympatyi miał spotkać u niego dla swoich dolegliwości, aniżeli u niéj dla nieszczęść swojego serca. Piękny świat wypędza ze swego łona nieszczęśliwych, jak człowiek silnego zdrowia wyrzuca ze swego ciała pierwiastek choroby. Świat nie cierpi bólów i niedoli, boi się ich na równi z zarazą, nie waha się nigdy pomiędzy niemi a występkami: występek jest zbytkiem. Pomimo całéj wspaniałości, jaką mogłoby mieć nieszczęście, społeczeństwo umie zmniejszyć je, ośmieszyć słowem uszczypliwém; rysuje karykatury, ażeby rzucić na głowę królów, strąconych z tronu, zniewagi, jakich, według swego mniemania, samo doznało od nich: podobnie jak młodzi Rzymianie w cyrku, nie przebacza nigdy gladyatorowi upadającemu; żyje złotem i naigrawaniem się; *śmierć słabym!* jest życzeniem tego rodzaju stanu rycerskiego, ustanowionego u wszystkich narodów na ziemi, ponieważ wszędzie bogaci podnoszą się do góry i ta sentencya wypisana jest na dnie serc, urabianych przez dostatek lub żywionych przez arystokracyą. Zgromadzicie dzieci w szkole—ten obraz w skróceniu społeczeństwa, ale obraz o tyle prawdziwszy, że bardziéj naiwny i otwarty, przedstawia wam zawsze biednych helotów, istoty cierpienia i bólu, bezustannie stawiane pomiędzy wzgardą a litością: ewangielia obiecuje im niebo. Zejdziecie na niższy szczebel istot organicznych — jeżeli jakiś ptak jest obolały na podwórzu, to inne prześladują go dziobami, oskubują i zabijają. Świat, wierny temu przywilejowi egoizmu, nie szczędzi swojéj surowości nędzom tak odważnym, że przychodzą przypatrywać się jego zabawom, zasmucać jego uciechy. Ktokolwiek cierpi ciałem lub duszą, komu brakuje pieniędzy lub mocy, ten jest paryą. Niech zostanie się w swojéj pustyni; jeżeli bowiem wyjdzie z jéj granic, znajdzie wszędzie zimę: chłód spojrzeń, chłód w obejściu się, w słowach, w sercu; szczęśliwy, że nie doznał zniewagi tam, gdzie powinno było dla niego zakwitnąć politowanie. Umierający, zostańcie na waszych łóżkach opuszczonych od wszystkich. Starcy, bądźcie sami przy waszych ogniskach zimnych. Biedne dziewczyny bez posagu, marznijcie i palcie się na waszych strychach samotnych. Jeżeli świat toleruje nieszczęście, to czyż nie dlatego tylko, ażeby je przerobić na swój użytek, wyciągnąć z niego korzyść, osiodłać je, okiełznać, włożyć na nie czaprak, dosiąść go, robić sobie z niego zabawę?

Panny do towarzystwa kaszlące, ułóżcie sobie twarze do wesołości! wytrzymujcie wyziewy téj, która się uważa za waszę dobrodziejkę; noście jéj psy; rywalki jéj pinczerów angielskich, bawcie ją, zgadujcie jéj myśli i następnie milczcie! A ty, królu lokajów bez liberyi, pasorzycie bezczelny, pozostaw swój charakter w domu; staraj się trawić jak trawi twój amfitryon, płacz jego płaczem, śmiéj się jego śmiechem, uważaj jego przycinki za słowa przyjemne; a jeżeli chcesz go zato oczernić, to czekaj na jego upadek. W ten sposób świat czci nieszczęście: zabija je lub wypędza, upadla lub karci.

Te uwagi napływały do serca Rafała z szybkością natchnienia poetycznego; patrzył naokoło siebie i czuł to zimno złowrogie, jakie społeczeństwo pędzi z siebie dla oddalenia nędz, a które owiewa żywiéj duszę, aniżeli wiatr grudniowy ciało. Skrzyżował ręce na piersiach, oparł się plecami o mur i popadł w melancholią głęboką. Myślał o téj niewielkiéj ilości szczęścia, jakiéj ten porządek straszny dostarcza światu. Czémże to było? zabawami bez przyjemności, wesołością bez radości, ucztami bez rozkoszy, upojeniem bez lubieżności, drzewem nareszcie lub popiołem w ognisku, ale bez iskry płomienia. Kiedy podniósł głowę, zobaczył, że jest sam; gracze uciekli.

— Gdybym chciał zmusić ich do zachwycania się moim kaszlem, dosyć byłoby mi odsłonić przed niemi moję władzę! — rzekł sam do siebie.

Na tę myśl rzucił pogardę, niby płaszcz, pomiędzy świat i siebie.

Nazajutrz lekarz zakładu przyszedł go odwiedzić z miną serdeczną, zaniepokojony jego zdrowiem. Rafał doznał rodzaju pociechy, słysząc słowa przyjacielsko do siebie zwrócone. Wyraz twarzy lekarza nacechowany był, według niego, słodyczą i dobrocią, kędziory jego peruki jasnéj oddychały filantropią, krój fraka ściętego, fałdy spodni, buty szerokie jak u *kwakiera*, wszystko aż do pudru, rozsianego wokoło warkoczyka na plecach, lekko wygiętych, zdradzało charakter apostolski, wyrażało miłosierdzie chrześcijańskie i poświęcenie się człowieka, który przez gorliwość dla chorych grywa z musu w wista i tryktraka, o tyle jednak dobrze, że zawsze wygrywa od nich pieniądze.

— Panie margrabio — rzekł po długiéj gawędce z Rafałem — z pewnością rozproszę pański smutek. Ponieważ znam już dostatecznie pańską kompleksyą, mogę więc twierdzić, że lekarze paryscy, których wielkie talenty są mi znane, omylili się co do natury pańskiéj choroby. Jeżeli nie wypadek, panie margrabio, to możesz pan żyć lata Matuzala. Pańskie płuca są tak silne jak miechy kowalskie, a pański żołądek mógłby zawstydzić strusia; jeżeli pan jednak zostaniesz się przy temperaturze podniesionéj, to narazisz się

na to, że możesz być bardzo czyściutko i pręciutko włożony do świętéj ziemi. Pan margrabia zrozumie mnie w dwu słowach. Chemia dowiodła, że oddychanie stanowi u człowieka prawdziwe palenie się, którego większe lub mniejsze natężenie zależy od obfitości lub niedostateczności pierwiastków flogistycznych, nagromadzonych przez organizm właściwy każdemu osobnikowi. U pana flogistyk znajduje się w obfitości; pan jesteś, jeżeli tak wyrazić się wolno, nadtleniowy w skutek kompleksyi gorącéj ludzi, przeznaczonych do wielkich namiętności. Oddychając powietrzem chłodném i czystém, które przyśpiesza życie u ludzi o włóknach miękkich, dopomagasz pan jeszcze paleniu się i tak już zbyt szybkiemu. Jednym z warunków pańskiego istnienia jest zatém atmosfera gęsta obory, dolin. Tak, powietrze właściwe dla życia człowieka, trawionego przez gieniusz, znajduje się na tłustych pastwiskach Niemiec, w Baden-Baden, w Toeplitz. Jeżeli pan nie masz wstrętu do Anglii, to jéj klimat mglisty uspokoiłby pańskie gorzenie; lecz nasze wody, wzniesione na tysiąc stóp ponad poziom morza Śródziemnego, są dla pana zgubne. Takie jest moje zdanie — rzekł, udając skromność. — Udzielam je wbrew naszym interesom, gdyż jeżeli pan usłuchasz mojéj rady, to będziemy mieli nieszczęście stracić pana.

Gdyby nie ostatnie słowa, Rafał byłby się dał uwieść fałszywéj poczciwości miodoustego lekarza; lecz jako głęboki obserwator, po akcencie, po ruchach i po spojrzeniu, jakie towarzyszyły tym słowom słodko-szyderczym, domyślił się misyi, niewątpliwie powierzonéj małemu człowieczkowi przez towarzystwo jego wesołych chorych. Ci próżniacy o cerze świeżéj, te stare kobiety nudzące się, ci Anglicy koczujący, te elegantki, które, wyrwawszy się od mężów, przyjechały do wód ze swojemi kochankami, wszyscy więc uwzięli się wypędzić stąd człowieka nieszczęśliwego, wątłego, osłabionego, umierającego, napozór niezdolnego do stawienia oporu prześladowaniom codziennym. Rafał przystał na walkę, widząc w téj intrydze zabawkę dla siebie.

— Ponieważ mój wyjazd zmartwiłby pana — odpowiedział lekarzowi — a zatém postaram się skorzystać z pańskiéj dobréj rady, zostając się jednak tutaj. Od jutra zaraz każę zacząć budować dom, w którym będziemy mogli zaprowadzać zmiany w powietrzu, stosownie do pańskich przepisów.

Zrozumiawszy uśmiech gorzko-żartobliwy, jaki zarysował się na ustach Rafała, lekarz ukłonił mu się, nie znalazłszy słowa odpowiedzi.

Jezioro Bourget znajduje się w szerokiém wycięciu gór, ze wszystkich stron powyszczerbianém, gdzie na siedem albo osiem stóp ponad poziomem morza Śródziemnego błyszczy się kropla wody tak

błękitnéj, jak żadna inna woda na świecie. To jezioro, widziane ze szczytu góry *la Dent-du-Chat*, wygląda jak turkus tam zgubiony. Ta śliczna kropla wody ma dziewięć mil obwodu, a w pewnych miejscach pięćset stóp głębokości. Być tam w łódce, na środku tego zwierciadła, przy pogodném niebie, słyszéć tylko plusk wioseł, widzieć na horyzoncie góry zamglone, uwielbiać śnieg iskrzący się *Maurienne'y francuskiéj*, przechodzić kolejno od blasków z granitu, ubranych w aksamit przez paproć lub krzewy karłowate, do śmiejących się dolin! z jednéj strony pustynią, a z drugiéj naturę bogatą: biednego, który siedzi przy obiedzie bogacza; a te harmonie i te niezgodności składają się na widowisko, gdzie wszystko jest wielkie, gdzie wszystko jest małe. Widok gór zmienia warunki optyki i perspektywy; jodła, sto stóp wysoka, wydaje się jak trzcina, a doliny szerokie przedstawiają się jak wąskie ścieżyny. Jest-to jedyne jezioro, gdzie można zwierzyć się sercem sercu. Myśli się tam i kocha. W żadném inném miejscu nie można spotkać piękniejszego porozumienia się pomiędzy wodą, niebem, górami i ziemią. Są tam balsamy na wszystkie nieszczęścia życia. To miejsce przechowuje tajemnicę bolów, pociesza je i uśmierza, a do miłości wrzuca coś tak poważnego i skupiającego myśli, że namiętność staje się głębszą, czystszą. Pocałunek tam powiększa się. Jest-to jednak nadewszystko jezioro wspomnień; ma dla nich tyle względów, że daje im barwę swoich fal, zwierciadło, w ktorém wszystko się odbija. Rafał znosił swoje brzemię tylko wśród tego pięknego krajobrazu, ponieważ mógł tam pozostawać w odrętwieniu, w zamyśleniu, a bez pragnień. Po wizycie lekarza poszedł na przechadzkę i kazał wysadzić się na cyplu opuszczonym ładnego pagórka, na którym leżała wioska *Saint-Innocent*. Z tego niejako przylądka widok obejmuje góry Bugey, u stóp których płynie Rodan i leży spód jeziora; ale Rafał lubił stamtąd przypatrywać się po przeciwnéj stronie opactwu melancholicznemu *Haute-Combe*, grobom królów Sardynii, padających na twarz przed górami, jak pielgrzymi, stojący u kresu podróży. Drżenie równe i miarowe wioseł zakłócało ciszę krajobrazu i dodawało mu głosu monotonnego, podobnego do psalmodyi mnichów. Margrabia, zdziwiony spotkaniem przejeżdżających się w téj stronie jeziora, zazwyczaj osamotnionego, zaczął przypatrywać się, nie wychodząc z zamyślenia, osobom siedzącym w łódce i poznał na tyle starą damę, która się do niego w wilią tego dnia tak szorstko odezwała. Kiedy bacik przesunął się przed Rafałem, ukłoniła mu się tylko panna do towarzystwa owéj pani, biedna kobieta szlacheckiego pochodzenia, którą, jak mu się zdawało przynajmniéj, widział po raz pierwszy. Od kilku chwil zapomniał już o używających przejażdżki, którzy szybko znikli za przylądkiem, gdy nagle usły-

szał obok siebie szelest sukni i odgłos lekkich kroków. Odwracając się, spostrzegł pannę do towarzystwa; poznawszy po jéj minie wymuszonéj, że chciała z nim mówić, podszedł ku niéj. W wieku około trzydziestu sześciu lat, wysoka i szczupła, sucha i zimna, była ona, jak wszystkie stare panny, zakłopotana jego spojrzeniem, które nie harmonizowało z chodem niepewnym, chwiejnym, nieelastycznym. Zarazem stara i żółta, przez pewną godność w postawie wyrażała wysoką wartość, jaką przywiązywała do swoich skarbów i doskonałości. Miała przytém ruchy skromne i klasztorne kobiet, przyzwyczajonych do cenienia siebie, pewnie dlatego, ażeby nie chybić przeznaczenia miłości.

— Panie! pańskie życie jest w niebezpieczeństwie; niech pan nie przychodzi do resursy — rzekła do Rafała, cofając się kilka kroków w tył, jak gdyby jéj cnota już była skompromitowaną.

— Ależ na litość — odpowiedział Valentin, uśmiechając się — zechciéj pani wytłómaczyć się jaśniéj, skoroś raczyła przyjść aż tutaj...

— Ach! — podjęła nanowo — bez ważnego powodu, który mnie tu przyprowadził, nigdy nie byłabym chciała narażać się na niełaskę pani hrabiny, gdyż jeżeliby dowiedziała się kiedykolwiek, żem pana ostrzegła...

— I któżby jéj o tém powiedział? — zawołał Rafał.

— To prawda — odpowiedziała stara panna, rzucając nań spojrzenie drżące sowy wystawionéj na słońce. — Lecz niech pan myśli o sobie — ciągnęła daléj. — Kilku młodych ludzi, chcąc pana wypędzić z wód, przyrzekło sobie napaść na pana i zmusić do pojedynku...

Głos staréj damy rozległ się w dali.

— Pani — rzekł margrabia — dzięki serdeczne...

Jego protektorka uciekła, słysząc głos swojéj pani, która nanowo piszczała na skałach.

— Biedna dziewczyna! Nieszczęścia zawsze rozumieją się i wzajemnie wspomagają! — pomyślał Rafał, siadając u stóp drzewa.

Głową wszystkich nauk jest bez zaprzeczenia znak zapytania; większą część naszych odkryć winniśmy ciągłemu: Jak? a mądrość życia polega może na ustawicznem pytaniu się: Dlaczego? Lecz ta sztuczna wiedza przyszłości w niwecz obraca nasze złudzenia. To téż Valentin, wziąwszy bez namysłu filozoficznego dobry uczynek staréj panny za tekst swoich myśli włóczęgoskich, uznał go za pełen żółci.

— Że jestem kochany przez starą pannę — rzekł do siebie — niéma w tém nic dziwnego: mam dwadzieścia siedem lat, tytuł i dwakroć sto tysięcy franków renty! ale że jéj pani, która walczy

o palmę wodowstrętu z kocicami, przewiozła ją w łódce koło mnie, czyż-to nie dziwne, nie cudowne? Te dwie kobiety, które przyjechały do Sabaudyi spać jak świerszcze i które w południe pytają się, czy już dzień, wstały przed ósmą dziś rano, ażeby puszczając się za mną w pogoń, znaleźć mnie przypadkiem.

Wkrótce jednak ta stara panna i jéj naiwność czterdziestoletnia były tylko w jego oczach nową przemianą tego świata sztucznego i nieznośnego, chytrością marną, spiskiem niezręcznym, złośliwością księdza lub kobiety. Pojedynek był bajką, albo postrachem. Zuchwałe i naprzykrzające się jak muchy, te dusze mizerne, umiały zadrasnąć jego próżność, obudzić dumę, podrażnić ciekawość. Nie chcąc jednak dać się podejść, ani też uchodzić za tchórza, a może też i dlatego, że ten mały dramat bawił go, poszedł do resursy tego samego jeszcze wieczoru. Oparty łokciem o marmur kominka, stał spokojnie w salonie głównym, usiłując nie narazić się niczém; lecz przypatrywał się uważnie twarzom i do pewnego stopnia wyzywał towarzystwo przez swoję baczność. Jak brytan, pewien swojéj siły, czekał na walkę u siebie, nie szczekając bezpotrzebnie. Pod koniec wieczoru, przechadzał się po salonie do gry, chodząc od drzwi wchodowych do drzwi bilardu, gdzie od czasu do czasu spoglądał na młodych ludzi grających partyę. Po kilku takich obrotach usłyszał swoje nazwisko. Jakkolwiek mówili po cichu, Rafał odgadł z łatwością, że był przedmiotem rozprawy, i uchwycił ostatecznie kilka zdań powiedzianych głośno.

— Ty?

— Tak, ja!

— Mówię ci, że nie!

— Załóżmy się!

— Och! on stanie.

W chwili, kiedy Valentin, ciekaw dowiedzieć się, co jest przedmiotem zakładu, zatrzymał się, chcąc uważnie słuchać rozmowy, jakiś młodzieniec wysoki i silny, przyjemnéj powierzchowności, ale mający wzrok nieruchomy i wyzywający ludzi, ufnych w jakąś siłę materyalną, wyszedł z bilardu.

— Panie — rzekł głosem spokojnym, zwracając się do Rafała — podjąłem się powiedzieć panu coś, o czém, jak się zdaje, pan nie wiesz; pańska twarz i pańska osoba nie podobają się tu wszystkim, a mnie w szczególności; jesteś pan zanadto grzeczny, ażebyś nie miał się poświęcić dla dobra ogólnego; proszę więc pana nie pokazywać się więcéj w resursie.

— Panie, ten żart miał już miejsce za cesarstwa w kilku garnizonach, a teraz jest w złym tonie — odpowiedział Rafał zimno.

— Nie żartuję wcale — podjął młody człowiek — powtarzam

to panu: pobyt dłuższy tutaj zaszkodziłby pańskiemu zdrowiu; gorąco, światło, powietrze salonu, towarzystwo, źle wpływają na pańską chorobę.

— Gdzieś pan się uczył medycyny? — spytał Rafał.

— Panie, jako magister zostałem przyjęty w strzelnicy Lepage'a w Paryżu, a jako doktor u Cérisier'a, króla floretu.

— Pozostaje panu ostatni jeszcze stopień do zyskania — odparł Valentin. — Przestudyuj pan Kodeks grzeczności, a będziesz młodzieńcem skończonym.

W téj chwili, młodzież, uśmiechająca się lub milcząca, wyszła z bilardu. Inni gracze, zaciekawieni, położyli karty i przyszli słuchać kłótni, zadawalniającéj ich namiętności. Sam tylko Rafał, wśród tego świata nieprzyjacielskiego, starał się zachować zimną krew i nie dawać najmniejszego powodu do zaczepki. Kiedy jednak jego przeciwnik pozwolił sobie sarkazmu, w którym obelga kryła się pod formą niezmiernie dojmującą, a dowcipną, odpowiedział mu poważnie:

— Panie, nie wolno już dziś dać policzka człowiekowi, lecz sam nie wiem, jakiém słowem zbezcześcić postępowanie, tak nikczemne, jak pańskie!

— Dosyć! dosyć! rozprawicie się panowie jutro — zawołali młodzi ludzie, rzucając się pomiędzy obydwu zapaśników.

Rafał wyszedł z salonu, ogłoszony za obrażającego, przystawszy na spotkanie niedaleko od zamku *Bordeau*, na małéj łączce spadzistéj, tuż przy drodze świeżo przerżniętéj, po któréj zwycięsca mógł się dostać do Lyonu. Rafał z konieczności musiał położyć się do łóżka, albo opuścić wody w Aix. Towarzystwo odniosło zwycięstwo. Nazajutrz, około ósméj rano, przeciwnik Rafała przybył piérwszy na plac w towarzystwie dwu świadków i chirurga.

— Będzie nam tu dobrze; czas wyborny do bicia się — zawołał wesoło, przyglądając się sklepieniu błękitnemu nieba, wodom jeziora i skałom, bez najmniejszéj oznaki powątpiewania, bez żalu. — Jeżeli go trafię w ramię — mówił daléj — czy położy się do łóżka na jaki miesiąc, hę! doktorze?

— Co najmniéj — odpowiedział chirurg. — Ale zostaw pan w spokoju tę małą wierzbę; inaczéj zmęczysz pan sobie rękę i nie będziesz pewnym strzału. Zamiast zranić, mógłbyś pan zabić swojego zucha.

Dał się słyszéć turkot powozu.

— Jedzie — zawołali świadkowie, spostrzegłszy wkrótce potém na drodze powóz podróżny, zaprzężony w cztery konie i powożony przez dwu pocztylionów.

— Co za szczególny rodzaj! — wykrzyknął przeciwnik Valentin'a — żeby się dać zabić w ekstrapoczcie.

Przy pojedynku, jak w grze, najlżejsze wypadki wpływają na wyobraźnię działaczów silnie zainteresowanych powodzeniem strzału; to też młody człowiek oczekiwał z rodzajem niepokoju na przybycie powozu, który został na drodze. Stary Jonathas ciężko wysiadł z niego pierwszy, ażeby pomódz Rafałowi; podtrzymywał go wątłemi już rękami, mając o nim staranie drobiazgowe, jakiém tylko kochanek otacza kochankę. Obydwaj znikli na ścieżce, oddzielającéj gościniec od miejsca przeznaczonego na plac walki, i pokazali się dopiéro długo potém: szli powoli. Czteréj widzowie téj sceny dziwnéj doznali głębokiego wzruszenia na widok Valentin'a, opartego na ramieniu swojego sługi: blady i wynędzniały, szedł jak podagryk, ze spuszczoną głową, nie mówiąc nic. Możnaby powiedzieć: dwaj starcy jednakowo zniszczeni, jeden przez czas, drugi przez myśl; pierwszy miał swój wiek wypisany na białych włosach, młody nie miał wieku wcale.

— Panie, nie spałem — rzekł Rafał do swojego przeciwnika.

Te słowa lodowate i spojrzenie straszne, jakie im towarzyszyło, przejęły dreszczem prawdziwego napastnika, w którym obudziła się świadomość winy i wstyd ukryty za postępowanie. W postawie, w dźwięku głosu i ruchach Rafała było coś dziwnego. Margrabia zamilkł, i wszyscy poszli za nim. Niepokój i oczekiwanie były u szczytu.

— Jeszcze jest czas — podjął nanowo — na danie mi lekkiéj satysfakcyi; ale daj mi ją pan, gdyż inaczéj zginiesz. W téj chwili liczysz pan jeszcze na swoję zręczność, nie zrzekając się myśli walki, w któréj, zdaje się panu, że masz całą przewagę. Nie, panie! jestem szlachetny, i uprzedzam pana o mojéj wyższości. Posiadam straszną moc. Dla unicestwienia pańskiéj zręczności, dla zasłonięcia panu oczu, dla wywołania drżenia w pańskich rękach i sercu, dla zabicia nawet pana, dosyć mi jest pragnąć tego tylko. Nie chcę być zmuszonym do użycia mojéj władzy, ponieważ posługiwanie się nią za drogo mnie kosztuje. Nie sam byś pan umarł. Jeżeli wzbraniasz się pan zatém prosić mnie o usprawiedliwienie, pańska kula pójdzie do wody téj kaskady, mimo przyzwyczajenia do morderstwa, a moja prosto w pańskie serce, choćbym nawet w nie nie mierzył.

W téj chwili głosy bezładnie pomieszane przerwały Rafałowi. Wymawiając te słowa, margrabia stale kierował na przeciwnika nieznośną jasność swojego wzroku nieruchomego, wyprostowawszy się, pokazując twarz obojętną, podobnie jak u waryata złośliwego.

— Każ mu milczéć — rzekł młody człowiek do swojego świadka — jego głos przewraca mi wnętrzności!

— Przestań pan! Pańska przemowa jest bezużyteczną — wołali do Rafała świadkowie i chirurg.

— Panowie, spełniam moję powinność. Czy ten młodzieniec ma co do rozporządzenia?

— Dosyć! dosyć!

Margrabia stał nieruchomie, ani na chwilę nie spuszczając z oka swojego przeciwnika, który, opanowany przez moc prawie magiczną, był jak ptak przed wężem: zmuszony do wytrzymywania tego wzroku zabójczego, uciekał przed nim i bezustannie powracał.

— Daj mi wody, pić mi się chce — rzekł do świadka.

— Czy boisz się?

— Tak — odpowiedział. — Oko tego człowieka pali i rzuca na mnie urok.

— Chcesz go przeprosić?

— Już nie czas po temu.

Postawiono obydwu przeciwników o piętnaście kroków jeden od drugiego. Każdy z nich miał przy sobie dwie pary pistoletów, i, stosownie do programu ceremonii mógł dać dwa strzały, kiedy mu się podoba, lecz po znaku już danym przez świadków.

— Co ty robisz, Karolu? — krzyknął młody człowiek, służący za świadka przeciwnikowi Rafała — nabijasz pierwéj kulę nim proch.

— Jestem już zabity — odpowiedział szepcąc — postawiliście mnie naprzeciw słońca.

— Słońce jest za panem — rzekł do niego Valentin, głosem poważnym i uroczystym, nabijając pistolet powoli, nie troszcząc się ani o znak już dany, ani o staranność, z jaką weń mierzył przeciwnik.

Ta pewność naturalna miała w sobie coś tak strasznego, że przejęła grozą nawet dwu pocztylionów, przywiedzionych tam przez ciekawość okrutną. Igrając ze swoją władzą, czy téż chcąc jéj doświadczyć, Rafał rozmawiał z Jonathas'em i patrzył na niego w chwili, kiedy wytrzymywał strzał swojego nieprzyjaciela. Kula Karola złamała gałąź wierzby i odskoczyła na wodę. Strzelając na los szczęścia, Rafał trafił w serce przeciwnika, i nie zwracając uwagi na padanie młodzieńca, wyjął szybko z kieszeni Jaszczur, chcąc zobaczyć, ile go kosztowało życie człowieka. Talizman nie był większy od małego liścia dębowego.

— No, i cóż! czego tam patrzycie, pocztylioni? w drogę! — zawołał margrabia.

Przybywszy tego samego wieczoru do Francyi, wziął się natychmiast drogą do Owernii, zmierzając ku wodom w *Mont Dore*. W czasie podróży powstała w jego sercu jedna z tych myśli, nagle

przychodzących, które wpadają w naszę duszę, jak promienie słońca po-przez gęste obłoki na jakąś ciemną dolinę. Smutne blaski, mądrości niezbłagane! Oświecają one wypadki już dokonane, odsłaniają przed nami nasze błędy i pozostawiają nas bez przebaczenia winy, wobec nas samych. Pomyślał nagle, że posiadanie mocy, jak można najbardziéj nawet olbrzymiéj, nie dawało jeszcze umiejętności posługiwania się nią. Berło jest zabawką dla dziecka, toporem dla Richelieu'go, a dla Napoleona lewarem do nachylania świata. Moc pozostawia nas takiemi, jakiemi jesteśmy, a wielkości dodaje tylko wielkim. Rafał mogąc zrobić wszystko, nie zrobił nic.

U wód, w górach Dore, zastał tych samych ludzi, oddalających się od niego z tym pośpiechem, z jakim zwierzęta uciekają od jednego ze swoich, który padł trupem, zwąchawszy go zdaleka. Ta nienawiść była obustronną. Ostatnia przygoda wywołała w nim wstręt do towarzystwa. To też piérwszém jego staraniem było poszukać sobie schronienia na uboczu, w okolicy miejsca kąpielowego. Instynktownie czuł potrzebę zbliżenia się do natury, do wzruszeń prawdziwych i tego życia roślinnego, któremu z taką przyjemnością pozwalamy się uwodzić na polach. Nazajutrz, po przybyciu, wdrapał się nie bez trudu na cypel *Sancy* i zwiedził doliny wyższe, miejscowości powietrzne, jeziora nieznane, wieśniacze chaty gór *Dore*, których przykre i dzikie powaby zaczynają nęcić pędzel naszych artystów. Częstokroć spotyka się tam cudowne krajobrazy, pełne wdzięku i świeżości, kontrastujące silnie widokiem złowrogim gór smutnych. Blisko na pół mili od wsi, Rafał znalazł się w miejscu, gdzie naturze, wesołéj i zalotnéj jak dziecko, przyjemność to niejako robiło chować skarby; widząc to ustronie malownicze i naiwne, postanowił tam żyć. Życie musiało tam być spokojne, spontaniczne, wegietacyjne, jak życie rośliny.

Wystawcie sobie ostrokręg odwrócony, ale ostrokręg z granitu, szeroko otworzony u góry, rodzaj miednicy o brzegach powyszczerbianych przez zakręty dziwaczne: tu ławy proste bez roślinności, gładkie, sinawe, po których promienie słoneczne ślizgały się, jak po zwierciadle; tam skały napoczęte przez łomy, pomarszczone przez wyrwy, skąd zwieszały się bryły lawy, przygotowywane powoli przez wodę deszczową do upadku, mające często na wierzchu wieńce z kilku drzew karłowatych, wystawianych na tortury przez wiatry; następnie, tu i owdzie wąwozy ciemne i chłodne, skąd wznosił się bukiet kasztanów wysokich jak cedry, albo groty żółtawe, otwierające paszczę czarną i głęboką, opalisadowaną jerzyną i kwiatami, przykrytą cyplem zieloności. W głębi tego wycinka, znajdował się staw, może dawny krater wulkanu, którego woda czysta posiadała blask dyamentu. Naokoło téj kotliny głębokiéj, oblamowa-

nėj granitem, wierzbami, mieczykami, dębami i tysiącem roślin aromatycznych, podówczas kwitnących, roztaczała się łąka zielona jak darń angielska; jėj trawa wytworna i śliczna była nawodnianą przez strumyki wypływające z rozpadlin skał i użyźnianą przez odpadki roślinne, jakie nawałnice niosły bezustannie z wysokich wierzchołków na spód. Staw nieregularnie wycięty w ząbki trójkątne, jak suknia u dołu, mógł mieć trzy morgi rozległości; stosownie do zbliżenia się skał i wody, łąka miała jednę albo dwie morgi szerokości; w niektórych stronach było zaledwie dosyć miejsca na przejście dla krów. Na pewnėj wysokości życie roślinne ustawało. Granit w górze przybierał formy najdziwaczniejsze i przyswajał sobie barwy mgliste, które górom wysokim nadają pewne podobieństwo do obłokow nieba. Miłemu widokowi doliny, te skały nagie i łyse przeciwstawiały obrazy dzikie i jałowe spustoszenia smutnego, urwiska grożące upadkiem, formy tak dziwne, że jedna z tych skał nazwaną została *Kapucynem*, z powodu podobieństwa do mnicha. Niekiedy te igły ostro zakończone, te filary śmiałe, te groty napowietrzne, zapalały się po kolei, stosownie do biegu słońca lub fantazyi powietrza, i przybierały odcienia złota, zabarwiały się na purpurowo, stawały się żywo różowemi, albo zamglonemi, albo szaremi. Te wyniosłości przedstawiały widowisko bezustanne i mieniące się jak odblaski tęczowe szyi gołębiėj. Często, pomiędzy dwoma ścianami lawy, oddzielonemi od siebie jak gdyby za jednym uderzeniem topora, piękny promień światła przedzierał się, przy wschodzie lub zachodzie słońca, aż na dno tego śmiejącego się koszyczka, gdzie igrał w wodzie stawu, podobny do pręgi złotėj, która wpada przez szczelinę okiennicy i przechodzi przez pokój hiszpański, szczelnie zamknięty do *siesty*. Kiedy słońce unosiło się nad starym kraterem, napełnionym wodą przy jakiėjś rewolucyi przedpotopowėj, boki skaliste rozgrzewały się, stary wulkan zapalał się, a jego nagłe gorąco budziło zarodki, użyźniało roślinność, barwiło kwiaty i przyśpieszało dojrzewanie owoców tego małego kawałka ziemi nieznanėj. Rafał, dostawszy się tam, zobaczył krowy, pasące się na łące; kiedy zbliżył się o kilka kroków do stawu, w miejscu, gdzie grunt był najszerszy, spostrzegł skromny domek, wybudowany z granitu, pokryty drzewem. Dach tego rodzaju chałupy, w harmonii z miejscowością, ozdobiony był mchem, powojem i kwiatami, zdradzającemi wysoką starożytność. Dym cienki, którego ptaki nie bały się wcale, wydostawał się z komina w ruinie. Przy drzwiach leżała wielka ława pomiędzy dwoma powojami olbrzymiemi, czerwonemi od kwiatów, które napełniały wonią powietrze. Zaledwie można było dopatrzyć się murów pod gałęziami winnėj latorośli i pod girlandami róż i jaśminów, krzyżujących się

dziwacznie i bezładnie. Nie troszcząc się o te ozdoby polne, mieszkańcy nie mieli żadnego starania o nie i pozostawiali naturze jéj wdzięk dziewiczy i swawolny. Pieluchy rozwieszone na krzaku porzeczki suszyły się na słońcu. Kot drzemał na cierlicy, a pod spodem, kociołek świeżo wyszorowany leżał wśród łupin od kartofli. Z drugiéj strony domu, Rafał zobaczył ogrodzenie z cierni suchych, których przeznaczeniem, bez wątpienia, było nie pozwolić kurom niszczyć owoców i warzywa. Zdawało się, że tam świat się kończy. To miejsce zamieszkania było podobne do tych gniazd ptasich zręcznie przyczepionych do dziupli skały, pełnych sztuki i zaniedbania razem. Była-to natura naiwna i dobra, sielskość prawdziwa, lecz poetyczna, ponieważ kwitła o tysiąc mil od naszych poezyj malowanych, nie miała podobieństwa z żadną ideą, a powstawała sama z siebie, będąc istotnym tryumfem przypadku. W chwili, kiedy Rafał się zjawił, słońce rzucało promienie z prawéj strony na lewą i dodawało blasku kolorom roślin, uwydatniało lub ozdabiało czarami światła i kontrastami cienia, tła żółte lub szare skał, różnorodną zieleń liści, masy niebieskie, czerwone lub białe kwiatów, rośliny wijące się wraz z ich dzwonkami, aksamit mieniący się mchów, grona rumiane tarni, a nadewszystko zwierciadło wody przezroczystéj, w którém odbijały się wiernie wierzchołki olbrzymie, drzewa, dom i niebo. W tym obrazie rozkosznym, wszystko miało swój połysk, począwszy od miki błyszczącéj, a skończywszy na pęku trawy jasnéj, skrytym w miłym światło-cieniu; wszystko, co się widziało, było harmonijném; i krowa nakrapiana, o sierści lśniącéj, i nietrwałe kwiaty wodne, rozpostarte jak frendzle wiszące ponad wodą w jakiéjś jamie, gdzie brzęczały owady odziane w lazur lub szmaragd, i korzenie drzew, rodzaj włosów przesypanych piaskiem, leżące wieńcem na jakiéjś postaci niekształtnéj z głazu. Ciepłe zapachy wód, kwiatów i grot, przejmujące wonią to miejsce ustronne, wywołały w Rafale uczucie prawie lubieżne. Cisza uroczysta, jaka panowała w tym gaiku, zapomnianym może w spisach poborcy, została nagle przerwana szczekaniem dwóch psów. Krowy zwróciły głowy w stronę wejścia do doliny, pakazały Rafałowi pyski wilgotne i, popatrzywszy się na niego głupowato, zaczęły nanowo gryźć trawę. Koza i jéj koziołek, zawieszone na skałach, prawie magicznie, zeszły na ławę granitową nieopodal Rafała, jak gdyby chciały go wybadać. Naszczekiwania psów przywabiły na dwór dziecko grube, które stanęło z rozdziawioną gębą, a potém starca z siwemi włosami, średniego wzrostu. Te dwie istoty licowały z krajobrazem, z powietrzem, z kwiatami i domem. Zdrowie wylewało się po-przez brzegi téj natury obfitéj, a starość i wiek dziecinny wyglądały tam pięknie; wreszcie we

wszystkich tych typach bytu było pewne zaniedbanie pierwotne, jakaś rutyna szczęścia, zadająca kłam naszym kazaniom filozoficznym i lecząca serce z jego namiętności nadętych. Starzec należał do modeli ulubionych dla męskiego pędzla Schnetz'a; była-to twarz brunatna, której liczne zmarszczki wydawały się, jak gdyby były twarde w dotknięciu, nos prosty, policzki wystające i poprzerzynane żyłami, jak na starym liściu winnéj latorośli, kontury ostre, wszystkie znamiona siły, nawet tam, gdzie siła znikła; na jego rękach zgrubiałych, jakkolwiek przestały już pracować, zachował się włos biały i rzadki, jego postawa człowieka prawdziwie wolnego, pozwalała przeczuwać, że we Włoszech byłby może został rozbójnikiem przez zamiłowanie do swojéj szacownéj wolności... Dziecko, prawdziwy góral, miało oczy czarne, mogące patrzéć w twarz słońcu bez przymykania powiek, cerę ciemno-bronzową, i włosy brunatne w nieładzie. Był rzeski i stanowczy, naturalny w ruchach, jak ptak; źle ubrany, pokazywał przez dziury odzienia skórę białą i świeżą. Obydwa stali w milczeniu, jeden niedaleko od drugiego, ożywieni tém samém uczuciem, dającém w wyrazach ich twarzy dowod identyczności najzupełniejszéj w ich życiu, jednakowo próżniaczém. Starzec przyswoił sobie zabawy dziecka, a dziecko humor starca, przez rodzaj umowy pomiędzy dwoma słabościami, pomiędzy siłą mającą się skończyć, a siłą mającą się rozwinąć. Niezadługo, kobieta, jakich trzydziestu lat wieku, ukazała się na progu drzwi. Przędła chodząc. Była-to Owerniaczka, o mocnych kolorach z wyrazem wesołym, otwarta, z zębami białemi, z twarzą z Owernii, wzrostem z Owernii, uczesaniem głowy i spódnicą z Owernii, piersiami odskakującemi z Owernii, i jéj gwarą; słowem, wszystko tam było idealizacyą zupełną kraju, obyczajów, pracowitości, ciemnoty, oszczędności, serdeczności.

Ukłoniła się Rafałowi i zaczęli z sobą rozmawiać; psy się uspokoiły, starzec usiadł na ławce w słońcu, a dziecko chodziło za matką, gdzie się tylko ruszyła, nic nie mówiąc, lecz słuchając i przypatrując się obcemu człowiekowi.

— Nie boicie się tutaj, moja dobra kobieto?

— A skąd-że znowu mielibyśmy się bać? Kiedy drzwi zamknięte, to i któż mógłby tu wejść? Och! nie boimy się wcale. Zresztą — rzekła, wprowadzając margrabiego do wielkiéj izby domu — co-by nam złodzieje wziąć mogli?

Pokazywała mury zczerniałe od dymu, na których, za całą ozdobę, znajdowały się obrazy kolorowane na niebiesko, czerwono i zielono, a przedstawiające *Śmierć Kredytu*, *Mękę Jezusa Chrystusa* i *Grenadyerów w Gwardyi Cesarskiéj*; następnie, tu i owdzie w izbie, było stare łóżko orzechowe z filarkami, stół na nogach kręconych,

stołki, dzieża do chleba, słonina zawieszona u pułapu, sól w garnku, patelnia, a na kominku gipsowe figurki pożółkłe i kolorowane. Wychodząc z domu, Rafał spostrzegł wśród skał człowieka, który trzymał w ręku motykę i, ciekawie pochylony, przyglądał się domowi.

— Panie, to mój chłop — rzekła Owerniaczka, uśmiechając się w sposób właściwy wieśniaczkom — co uprawia rolę na górze.

— A ten starzec, czy to wasz ojciec?

— Nie, z przeproszeniem pana, to dziadek mojego chłopa. Ma on, tak jak go pan widzi, sto i dwa lata. Ale cóż tam! niedawnoco, zaprowadził naszego chłopaka do Clermont na piechotę! Był z niego chłop mocny; ale teraz to już tylko śpi, pije i je. Bawi się ciągle z chłopakiem. Często mały prowadzi go pod górę, a on taki i idzie.

Valentin od razu zdecydował się żyć między tym starcem, a tym dzieckiem, oddychać ich powietrzem, jeść ich chleb, pić ich wodę, spać ich snem, wytworzyć sobie w żyłach ich krew. Dziwactwo umierającego! Stać się jedną z ostryg téj skały, ocalić swoję skorupę choćby na kilka dni, wprawiając śmierć w odrętwienie było dla niego arcywzorem moralności indywidualnéj, prawdziwą formułą bytu ludzkiego, pięknym ideałem życia, życiem samém, życiem prawdziwém. Przyszła mu do serca myśl głęboka egoizmu, w którym wszechświat zaginął. W jego oczach, nie było już wszechświatu, ponieważ wszechświat przeminął zupełnie w nim. Dla chorych świat się zaczyna u wezgłowia, a kończy na łóżku w nogach. Ten krajobraz był tém łóżkiem dla Rafała.

Któż przynajmniéj raz w życiu nie śledził za krokami i chodem mrówki, która zsunęła się ze słomy do jedynego otworu, jakim oddycha ślimak płowy, nie badał fantazyj ważki wysmukłéj, nie zachwycał się tysiącem żył, ukolorowanych jak róża katedry gotyckiéj, a rysujących się wyraźnie na tle czerwonawém liści młodego dębu? Kto nie patrzył długo z rozkoszą na efekt deszczu i słońca na dachu pokrytym dachówkami brunatnemi, lub nie rozmyślał nad kroplami rosy, płatkami kwiatków, wycięciami różnorodnemi ich kielichów? Kto nie zatapiał się w tych marzeniach materyalnych, bezwrażliwych a zaprzątających umysł, bez celu, a jednak wiodących do jakiéjś myśli? Kto nie pędził życia dziecinnego, życia próżniaczego, życia człowieka dzikiego, ale bez jego pracy? Tak żył Rafał przez czas kilku dni, bez troski, bez pragnień, doznając polepszenia się znacznego, dobrobytu nadzwyczajnego, który uspokoił jego niepokoje, złagodził cierpienia. Wdrapywał się na skały, chodził siadywać na wierzchołku góry, skąd jego oczy obejmowały krajobraz niezmiernéj rozległości. Tam pozostawał przez dnie całe jak oślina na słońcu, jak zając w legowisku. Albo raczéj, poufaląc się

ze zjawiskami życia roślinnego, ze zmiennościami nieba, śledził za postępem wszystkich dzieł na ziemi, w wodzie lub powietrzu.

Usiłował zżyć się z ruchem wewnętrznym téj natury i przejąć się w zupełności jéj biernem posłuszeństwem, ażeby stać się zawistym od prawa despotycznego i zachowawczego, jakie rządzi bytami instynktownemi. Nie chciał być samemu sobie ciężarem. Podobny do zbrodniarzy z dawnych czasów, którzy, ścigani przez sprawiedliwość, wybawiali się od niéj, jeżeli zdołali się schronić się pod cieniem ołtarza, próbował wślizgnąć się do przybytku życia. Udało mu się zostać częścią uzupełniającą to szerokie i potężne owocowanie: zżył się z niepogodami powietrza, mieszkał we wszystkich wydrążeniach skał, nauczył się zwyczajów i obyczajów wszystkich roślin, zbadał życie wód i ich rozkład i poznajomił się ze zwierzętami; ostatecznie tak doskonale połączył się z tą ziemią nieożywioną, że do pewnego stopnia zrozumiał jéj duszę, przeniknął jéj tajemnice. Dla niego, formy niezliczone wszystkich królestw były rozwinięciem jednéj i téj saméj substancyi, kombinacyami jednego ruchu, obszernem oddychaniem jednéj istoty, która działała, rosła, chodziła, myślała, a z którą on chciał rosnąć, chodzić, myśléć, działać. Swoje życie zmieszał fantastycznie z życiem téj skały, zaszczepił się tam. Dzięki temu tajemniczemu iluminizmowi, temu wyzdrowieniu podrobionemu, podobnemu do dobroczynnych szałów, udzielanych przez naturę jako tyleż zatrzymań się w boleści, Valentin rozkoszował się przyjemnościami drugiego wieku dziecinnego, przez czas pierwszych chwil swojego pobytu wśród tego krajobrazu pogodnego. Chodził tam tropić błahostki, rozpoczynać tysiące rzeczy nie kończąc żadnéj, zapominając nazajutrz o projektach wczorajszych, nie troszcząc się o nic; był szczęśliwy, zdawało mu się, że jest ocalony. Pewnego rana został przypadkiem w łóżku aż do południa, zatopiony w tém marzeniu pomieszaném z czuwaniem i snem, które rzeczywistościom udziela pozoru fantazyi, a urojeniom nadaje wydatność bytu, kiedy nagle, nie wiedząc z początku, czy nie śni w dalszym ciągu, usłyszał po raz pierwszy wiadomość o swojém zdrowiu, udzieloną przez gospodynię Jonathas'owi, przychodzącemu codzień pytać się o nie. Owerniaczka, sądząc bezwątpienia, że Valentin śpi jeszcze, nie zniżyła kamertonu swojego głosu góralskiego.

— Ani ma się z tém lepiéj, ani ma się gorzéj — mówiła. — Kaszlał przez całą noc tak, że duszę-by można było oddać. Kaszle, pluje, kochane panisko, że aż litość bierze. Ja i mój chłop, pytamy się siebie, skąd on bierze siłę, żeby tak kaszlać. Aż się serce kraje. Cóż-to za potępiona choroba! Wcale z nim nie tęgo! Boimy się zawsze, żeby nie znaléźć go pękniętym w łóżku, którego rana. A blady jest, na prawdę, jak Jezus z wosku! Do dyabła! widzę

go jak wstaje, to przecie biedne ciało ma chude jak szczapa. A i nie słychać od niego dobrze, bynajmniéj! Ale to mu wszystko jedno, niszczy się bieganiem, jak gdyby miał zdrowie do sprzedania. A wytrzymały jest, aż miło, że się nie skarży wcale. Co prawda jednak, to lepiéj-by mu było w ziemi, niż na łące, bo cierpi mękę Pańską! Nie pragniemy tego, panie; nie mamy w tém interesu. A choćby nam nie dawał tego, co nam daje, tobyśmy go kochali także: to wcale nie interes przez nas mówi. Ach! mój Boże! — podjęła na nowo — to tylko Paryżan trzeba na takie psie choroby! Skąd-że im się to bierze? Biedny chłopiec! to pewna, że nie skończy dobrze. To ta gorączka, widzi pan, tak go podkopuje, tak go dziurawi, tak go rujnuje! a on ani się domyśla. Nie wié o tém, panie. Nie widzi tego wcale. Ale niéma czego płakać, panie Jonathas! Trzeba sobie powiedzieć, że będzie szczęśliwy, jak przestanie cierpieć. Powinieneś pan odprawić nowennę za niego, a mybyśmy zapłacili chętnie za gromnicę, żeby tylko zbawić stworzenie takie miłe, takie poczciwe jak baranek wielkanocny!

Głos Rafała stał się tak słabym, że nie mógł być usłyszanym; musiał więc wycierpieć męki tego przerażającego gadania. Niecierpliwość jednak wypędziła go z łóżka, i pokazał się na progu izby:

— Stary zbrodniarzu — krzyczał na Jonathas'a — chcesz więc być moim katem?

Wieśniaczce zdawało się, że zobaczyła upiora i uciekła.

— Zabraniam ci — mówił Rafał daléj — niepokoić się choć trochę o moje zdrowie.

— Dobrze, panie margrabio — odpowiedział stary sługa, ocierając łzy.

— I najlepiéj-byś zrobił, żebyś odtąd nie przychodził tu bez mojego rozkazu.

Jonathas chciał być posłusznym; zanim jednak się cofnął, rzucił na margrabiego spojrzenie wierne i pełne politowania, w którém Rafał wyczytał wyrok śmierci dla siebie. Zrażony, przejęty nagle poczuciem prawdy swojego położenia, Valentin usiadł na progu drzwi, skrzyżował ręce na piersiach i spuścił głowę. Jonathas, przestraszony, zbliżył się do swojego pana.

— Panie?

— Precz! precz! — krzyczał chory.

Nazajutrz rano, Rafał, wdarłszy się na skały, usiadł w rozpadlinie pełnéj mchu, skąd mógł widzieć wąską drogę, przez którą wracało się z wód do domu. U spodu cypla spostrzegł Jonathas'a, rozmawiającego nanowo z Owerniaczką. Złośliwa potęga wytłomaczyła mu kiwania głową, ruchy rozpaczne, złowrogą naiwność téj kobiety, w skutek czego rzucił nawet fatalne słowa na wiatr

i w ciszę. Przejęty zgrozą, schronił się na najwyższe szczyty gór i pozostał tam aż do wieczora, nie mogąc jednak odpędzić od siebie złowrogich myśli, tak nieszczęśliwie obudzonych w jego sercu przez okrutne zainteresowanie się, którego stał się przedmiotem. Nagle, sama Owerniaczka stanęła przed nim niespodzianie, jak cień w cieniu wieczora; przez dziwactwo poety, chciał widzieć w jéj spódnicy w pręgi czarne i białe, niejakie podobieństwo do żeber wyschniętych widma.

— Panie, to-ć to rosa już pada — rzekła do niego. — Jeżeli pan zostanie tutaj, to zrobi się z panem, ani mniéj ani więcéj, to, co z owocem babrzącym się w błocie. Trzeba wrócić do domu. To nie zdrowo tak oddychać rosą, kiedy przytém nic pan nie miał w ustach od samego rana.

— Do pioruna! — zawołał — stara czarownico, rozkazuję wam ażebyście mnie pozwolili żyć, jak mi się podoba, albo wyniosę się stąd. Dosyć tego, że kopiecie mi grób co rano; nie przetrząsajcie go więc przynajmniéj wieczorem.

— Pański grób! panie! Kopać panu grób! A gdzież to jest pański grób? Chcielibyśmy widzieć pana w dostateczności, jak nasz ojciec, a wcale nie w grobie! Grób! wszyscy jesteśmy w grobie, i tak dosyć wcześnie.

— Dosyć! — przerwał jéj Rafał.

— Niech się pan oprze na mojém ramieniu.

— Nie.

Ze wszystkich uczuć człowiek najtrudniéj znosi litość, zwłaszcza kiedy na nią zasługuje. Nienawiść jest środkiem pokrzepiającym, dodaje życia, pobudza do zemsty; litość zaś zabija, osłabia jeszcze naszę słabość. Jest-to złe, które staje się filutem, jest-to pogarda w czułości, albo czułość w zniewadze. Rafał znalazł w starcu stuletnim litość tryumfującą, w dziecku litość zaciekawioną, w kobiecie litość dręczącą, w mężu litość interesowną, pod jakąkolwiek jednak formą to uczucie pokazywało się, zawsze było brzemienne śmiercią. Poeta zawsze robi poemat, straszny albo radosny, stosownie do obrazów, jakie go uderzają; jego dusza egzaltowana odrzuca odcienie miłe, i wybiera zawsze barwy żywe i wyraźne. Ta litość wywołała w sercu Rafała straszny poemat żalu i melancholii. Bezwątpienia, zbliżając się do natury, nie myślał o otwartości uczuć naturalnych. Kiedy zdawało mu się, że jest sam pod drzewem, pasując się z kaszlem upartym, z którego, po strasznéj walce, wychodził zwycięzcą zawsze przybitym, widział oczy błyszczące i płynne małego chłopca, siedzącego na czatach w kępie trawy, przypatrującego mu się z tą ciekawością dziecinną, w któréj tyleż jest żartu co rozkoszy i jakiegoś zainteresowania się pomieszanego z brakiem

wszelkiego uczucia. Straszne słowo Trapistów: *Bracie, trzeba umrzeć!* było niejako wypisane w oczach wieśniaków, z któremi żył Rafał, i nie wiedział sam, czego obawiał się więcéj: ich słów naiwnych, czy téż milczenia; wszystko w nich wprawiało go w kłopot. Pewnego poranku spostrzegł dwu ludzi ubranych czarno, którzy kręcili się koło niego, węszyli go i przypatrywali mu się ukradkiem; następnie, udając, że przyszli tam na przechadzkę, zwrócili się do niego z zapytaniami powszedniemi, na które odpowiedział krótko. Poznał w nich doktora i księdza z wód, przysłanych pewnie przez Jonathas'a, badanych przez gości lub przynęconych zapachem bliskiéj śmierci. I zobaczył wtenczas swój własny orszak pogrzebowy, słyszał śpiew księży, liczył gromnice, a piękności téj bogatéj natury, w łonie któréj, jak mu się zdawało, znalazł życie, widział tylko po-przez kir. Wszystko, co zwiastowało mu niedawno długie życie, przepowiadało mu teraz bliski koniec. Nazajutrz wyjechał do Paryża, obsypany życzeniami melancholicznemi i serdecznie żałosnemi, z jakiemi jego gospodarze zwrócili się do niego.

Po całonocnéj podróży obudził się w jednéj z najweselszych dolin w *Bourbonnais*, któréj okolice i widoki wirowały naokoło niego, porywane nagle niby obrazy mgliste snu. Natura roztaczała się przed jego oczami z okrutną zalotnością. To *Allier* rozwijał w bogatéj perspektywie swoję wstęgę płynną i błyszczącą, to wioski, skromnie ukryte w głębi gardła skał żółtawych, pokazywały szczyty dzwonnic; to znowu młyny w dole odkrywały się nagle po winnicach jednostajnych, a zawsze ukazywały się zamki wesołe, wsie zawieszone, lub jakieś drogi wysadzone topolami wyniosłemi; wreszcie Loara ze swojemi długiemi kaskadami dyamentowemi błyszczała wśród piasków złoconych. Powabów bez końca! Natura ruchliwa, żywa, jak dziecko, zawierająca zaledwie miłość i soki miesiąca Czerwca, nęciła fatalnie oczy zagasłe chorego. Podniósł firanki powozu i ułożył się do spania. Pod wieczór, minąwszy *Cosne*, został obudzony przez muzykę wesołą, i znalazł się wobec uroczystości wiejskiéj. Poczta mieściła się tuż przy placu. Przez czas, kiedy pocztylioni przekładali konie u powozu, widział tańce téj ludności wesołéj, dziewczyny ustrojone w kwiaty i zalecające się, młodych chłopaków ożywionych, a potém twarze starych chłopów tęgo zaczerwienione od wina. Małe dzieci dokazywały, stare kobiety rozmawiały, śmiejąc się, wszystko miało głos, a przyjemność upiększała nawet ubiory i stoły zastawione. Plac i kościół przedstawiały fizyognomię szczęścia; dachy, okna, a nawet bramy wsi były, jak się zdawało, również wyświątecznione. Podobnie jak umierający, którzy niecierpliwią się na najmniejszy hałas, Rafał nie mógł powstrzymać się od zaklęcia złowróżbnego, chcąc nakazać milczenie

tym skrzypcom, unicestwić ten ruch, zagłuszyć tę wrzawę, rozproszyć tę uroczystość zuchwałą. Dostroił się całkiem smutnie w powozie. Kiedy spojrzał na plac, zobaczył wesołość przerażoną, wieśniaczki w ucieczce, a ławki puste. Na rusztowaniu estrady grajek niewidomy grał w dalszym ciągu na klarnecie rondo krzykliwe. Ta muzyka bez tancerzy, ten starzec samotny z profilem niesmacznym, w łachmanach, z włosami rozczochranemi, ukryty pod cieniem lipy, był niejako obrazem fantastycznym życzenia Rafała. Padał strumieniem jeden z tych deszczów silnych, jakie z chmur elektrycznych w Czerwcu wyładowywują się nagle, i tak samo ustają. Było-to rzeczą tak naturalną, że Rafał popatrzywszy na niebo za kilkoma chmurami białawemi, porwanemi przez wiatr zawiejny, nie pomyślał nawet o zobaczeniu swojego Jaszczuru. Usiadł na nowo w kącie powozu, który też wkrótce potoczył się po drodze.

Nazajutrz, znalazł się u siebie, w swoim pokoju, przy kominku. Kazał naniecić wielki ogień, ponieważ było mu zimno. Jonathas przyniósł listy, wszystkie od Pauliny. Otworzył pierwszy bez pośpiechu i rozwinął go, jak gdyby to był szary papier wezwania bez kosztów, przysłanego przez poborcę. Przeczytał pierwsze zdanie: „Wyjechał. Ależ-to ucieczka, mój Rafale. Jakto! nikt nie może mi powiedzieć, gdzie jesteś? A jeżeli ja nie wiem, to któżby o tém wiedział?“ Nie chcąc dowiedzieć się więcéj, wziął zimno listy i wrzucił je w ogień, patrząc okiem przymgloném i bez żaru na igraszki płomienia, który miął papier wyperfumowany, wysuszał go, odwracał, w kawałki drobił.

Urywki toczyły się po popiołach, pozwalając mu widzieć początki zdań, słowa, myśli nawpół spalone, które z upodobaniem chwytał w płomieniu dla rozrywki bezmyślnéj:

„....Siedząc u twoich drzwi... czekałam.... Kaprys..... byłam posłuszną... Rywalki.... ja, nie!.... twoja Paulina.... kochasz więc już twojéj Pauliny?.... Gdybyś był chciał mnie opuścić, nie byłbyś mnie porzucał... Miłość wieczna... Umrzéć!“

Te słowa wywołały w nim rodzaj wyrzutów sumienia: schwycił za szczypce i wyratował z płomieni ostatni płatek listu:

„....Szemrałam — mówiła Paulina — ale się nie skarżyłam, Rafale. Zostawiając mnie daleko od siebie, chciałeś zapewnie ukryć przede mną brzemię jakiegoś smutku. Pewnego dnia zabijesz mnie może, ale jesteś zanadto dobry, ażebyś miał pozwolić mi cierpieć. Tak więc, nie wyjeżdżaj już w ten sposób. Bądź spokojny! mogę wystawić się na wszelkie katusze, ale przy tobie. Smutek, jakibyś mi sprawił, nie byłby już smutkiem: mam więcéj jeszcze miłości w sercu, aniżeli ci jéj pokazałam. Mogę znieść wszystko, byle tylko nie płakać zdala od ciebie, i nie wiedzieć, że ty“.....

Rafał położył na kominku ten szczątek listu zczernionego przez płomień, lecz natychmiast wrzucił go w ogień. Ten papier był obrazem zanadto żywym jego miłości i jego życia fatalnego.

— Idź po pana Bianchon — rzekł do Jonathasa.

Horacy przyszedł i zastał Rafała w łóżku.

— Mój przyjacielu, czy możesz przyrządzić napój lekko przejęty opium, któryby mnie utrzymywał w stanie senności ciągłéj, tak jednak, ażeby używanie stałe tego środka nie szkodziło mi?

— Nic łatwiejszego — odpowiedział młody lekarz — potrzebaby jednak być na nogach przez kilka godzin dziennie, ażeby jeść.

— Kilka godzin! — rzekł Rafał, przerywając mu — nie, nie; chcę podnosić się tylko na jednę godzinę, co najwyżéj.

— Jakiż więc jest twój zamiar? — spytał Bianchon.

— Spać, to jeszcze żyć — odpowiedział chory.

— Nie pozwól wchodzić nikomu, choćby to była nawet panna Paulina de Vitschnau — mówił Valentin do Jonathas'a, kiedy lekarz pisał receptę.

— No i cóż, panie Horacy, czy jest jaka nadzieja? — spytał stary służący młodego lekarza, wyprowadzając go na ganek.

— Może ciągnąć jeszcze długo, albo umrzéć dziś wieczór. U niego szanse życia i śmierci są równe. Nic tego nie rozumiem — odpowiedział lekarz, machnąwszy ręką z powątpiewaniem. — Trzebaby go rozerwać.

— Rozerwać go! ależ pan go nie zna. Któregoś dnia zabił człowieka, nie rzekłszy: uf! Nic go już rozerwać nie może.

Rafał pozostawał przez kilka dni pogrążony w nicestwie sztucznego snu. Dzięki władzy materyalnéj, wywieranéj przez opium na naszę duszę niematerya lną, ten człowiek, pełen wyobraźni tak potężnie czynnéj zszedł aż do stanu tych zwierząt leniwych, które butwieją wśród lasów, pod formą zwłok roślinnych, nie ruszając się krokiem dla schwycenia łatwéj zdobyczy. Zagasił nawet światło nieba, które nie dochodziło do jego mieszkania. Koło ósméj godziny wieczorem wstawał z łóżka: nie mając jasnéj samowiedzy swojego bytu, zaspakajał głód, i następnie kładł się natychmiast spać. Jego sny zimne i pomarszczone przynosiły mu obrazy bezładne, widziadła, światło-cienie na tle czarném. Zagrzebał się w głębokiéj ciszy, w przeczeniu ruchu i życia umysłowego. Pewnego wieczoru obudził się znacznie późniéj, niż zwykle, i nie zastał obiadu na stole. Zadzwonił na Jonathas'a.

— Możesz odejść — rzekł do niego. — Daję ci majątek, będziesz szczęśliwy na starość; ale nie chcę pozwolić ci igrać z mojém życiem! Jakto! nędzniku, jeść mi się chce! Gdzie mój obiad? mów!

Jonathas uśmiechnął się nieznacznie z zadowoleniem, wziął świecę, której światło migotało w ciemności olbrzymich apartamentów pałacu, poprowadził swego pana, który stał się maszyną, do obszernéj galeryi i otworzył raptownie drzwi. Rafał, oblany światłem, był olśniony, zdziwiony od razu widowiskiem niesłychaném. Widać tam było żyrandole obciążone świecami, najrzadsze kwiaty z jego cieplarni artystycznie ułożone, stół iskrzący się srebrem, złotem, perłową masą, porcelaną; obiad królewski, którego podania apetyczne drażniły gruczołki nerwowe podniebienia. Widział tam swoich przyjaciół zgromadzonych, pomieszanych z kobietami wystrojonemi i zachwycającemi, o szyjach gołych, ramionach odkrytych, z włosami pełnemi kwiatów, z oczami błyszczącemi, a wszystko piękności różnorodne, podniecające ubraniem lubieżném: jedna uwydatniała swoje kształty powabne żakietą irlandzką, inna miała na sobie *basquinę* pożądliwą Andaluzyanek; ta, nawpół naga, jako Dyana polująca, i tamta, skromna i zalotna w kostiumie panny de la Vallière, były jednakowo przeznaczone do upojenia. W oczach wszystkich współbiesiadników błyszczała radość, miłość, rozkosz. W chwili kiedy twarz zamarła Rafała pokazała się w otworze drzwi, porwał się okrzyk niespodziewany, nagły, wrzaskliwy, jak promienie téj uroczystości improwizowanéj. Głosy, zapachy, światło, te kobiety przejmującéj piękności, ugodziły we wszystkie jego zmysły, obudziły w nim chuć. Rozkoszna muzyka, ukryta w salonie przyległym, pokryła potokiem harmonii tę wrzawę odurzającą i dopełniła téj wizyi dziwnéj. Rafał uczuł swoję dłoń w objęciu dłoni łachotliwéj, w dłoni kobiety, któréj ręce świeże i białe wyciągnęły się do uścisku, w dłoni Aquiliny. Zrozumiał, że ten obraz nie był nieokreślonym, ani fantastycznym, jak obrazy przelotne jego snów bezbarwnych, krzyknął złowrogo, zamknął drzwi gwałtownie i zbezcześcił starego sługę, uderzając go w twarz.

— Potworze! przysiągłeś więc sobie pozbawić mnie życia! — zakrzyknął. — Następnie, drżąc cały przed niebezpieczeństwem, na które się był naraził, odzyskał siły, ażeby dostać się do swojego pokoju, wypił silną dozę snu, i położył się do łóżka.

— Cóż u dyabła! — rzekł Jonathas, oprzytomniając — pan Bianchon kazał mi rozerwać go przecie.

Było już koło północy. W tym czasie Rafał, przez jeden z tych kaprysów fizyologicznych, które zadziwiają i do rozpaczy przyprowadzają nauki lekarskie, jaśniał pięknością podczas snu. Kolor różowy, żywy, barwił jego policzki białe. Czoło pełne wdzięku, jak u młodéj dziewczyny, wyrażało gieniusz. Życie kwitło na téj twarzy, spokojnéj i wypoczętéj. Możnaby powiedzieć, że to młode dziecko, śpiące pod opieką matki. Jego sen był dobrym snem,

a przez usta koralowe przechodził oddech równy i czysty; uśmiechał się, bezwątpienia uniesiony przez sen w piękne życie. Może był stuletnim starcem, może wnuki życzyły mu długiego życia, może ze swojéj ławki wiejskiéj, na słońcu, siedząc pod cieniem liści, spostrzegał jak prorok na wierzchołku góry ziemię obiecaną w dobroczynnéj dali.

— Mam cię nareszcie!

Te słowa, powiedziane głosem srebrzystym, rozproszyły postacie mgliste jego snu. Przy świetle lampy zobaczył Paulinę siedzącą na łóżku, ale Paulinę wypięknioną przez rozstanie i przez cierpienie. Rafał osłupiał na widok téj twarzy białéj, jak płatki kwiatka wodnego, ktory, otoczony długiemi włosami czarnemi, wydawał się jeszcze czarniejszym w cieniu. Łzy naznaczyły drogę błyszczącą na jéj policzkach i wisiały tam, gotowe spaść za najmniejszym wysiłkiem. Ubrana biało, z głową pochyloną i zaledwie dotykając się łóżka, była tam jak anioł, ktory zstąpił z nieba, jak widzenie, które oddech mógł rozproszyć.

— Ach! zapomniałam wszystkiego! — zawołała w chwili, kiedy Rafał otworzył oczy. — Mam tyle tylko głosu, żeby ci powiedzieć: „Należę do ciebie! Tak, moje serce jest jedną miłością“. Ach! nigdy, aniele mojego życia, nie byłeś tak piękny! Twoje oczy rażą piorunem. Ale domyślam się wszystkiego, bądź spokojny! Poszedłeś szukać zdrowia beze mnie, obawiałeś się mnie... A więc...

— Uciekaj! uciekaj! daj mi pokój! — odpowiedział nakoniec Rafał głosem stłumionym. — Odejdź stąd. Jeżeli tu zostaniesz, umrę! Chcesz widzieć, jak będę umierał?

— Umierał! — powtórzyła. — Alboż ty możesz umrzeć beze mnie? Umrzeć? ależ ty jesteś młody! Umrzeć? ależ ja ciebie kocham! Umrzeć! — dodała głosem głębokim i gardłowym, biorąc go za ręce w napadzie szału.

— Zimne! — rzekła. — Czyżby to było złudzenie?

Rafał wyciągnął zpod wezgłowia płatek jaszczuru, wątły i mały, jak listek barwinku, i, pokazując go jéj, rzekł:

— Paulino, śliczny obrazie mojego pięknego życia, pożegnajmy się!

— Pożegnać się? — powtórzyła z wyrazem zdziwienia na twarzy.

— Tak. To jest talizman, który spełnia moje pragnienia i przedstawia moje życie. Patrz, ile mi go zostało. Jeżeli będziesz patrzeć na mnie jeszcze, umrę...

Młodéj dziewczynie zdawało się, że Valentin oszalał; wzięła talizman i poszła po lampę. Oświetlona światłem migocącém, które padało równocześnie także na Rafała i na talizman, przypatrywała

się z wielką uwagą i twarzy kochanka i ostatniemu kawałkowi skóry magicznéj. Widząc ją, piękną przestrachem i miłością, przestał być panem swojéj myśli; wspomnienia scen pieszczotliwych i uciech upajających namiętności odniosły zwycięstwo nad jego duszą, uśpioną oddawna, i rozniecily się tam jak ognisko źle ugaszone.

Krzyk straszny wyrwał się z gardła młodéj dziewczyny, oczy jéj się rozszerzyły, brwi, gwałtownie wyciągnięte przez boleść niesłychaną, rozsunęły się ze zgrozą, gdyż czytała w oczach Rafała jedno z tych pragnień wściekłych, będących niegdyś jéj dumą; lecz w miarę jak to pragnienie rosło, skóra, kurcząc się, łechtała jéj rękę. Nie zastanawiając się, uciekła do salonu przyległego i zamknęła za sobą drzwi.

— Paulino! Paulino! — wołał umierający, biegnąc za nią — ja ciebie kocham, ja ciebie uwielbiam, ja ciebie pożądam! Przeklnę cię, jeżeli mi nie otworzysz! Chcę umrzéć dla ciebie!

Siłą szczególną, ostatnim wybuchem życia zwalił drzwi na ziemię i zobaczył, jak jego kochanka nawpół naga wiła się na kanapie. Paulina napróżno starała się rozerwać sobie pierś; chcąc jednak zadać sobie szybko śmierć, usiłowała udusić się szalem.

— Jeżeli umrę, on będzie żył!.. — mówiła, starając się napróżno zaciągnąć węzeł.

Włosy miała rozczochrane, ramiona nagie, ubranie w nieładzie i w téj walce ze śmiercią, z oczyma we łzach, z twarzą rozpłomienioną, wijąc się w strasznéj rozpaczy, pokazywała Rafałowi, pijanemu miłością, tysiące piękności, które powiększały tylko jego szał; rzucił się na nią z lekkością ptaka drapieżnego, rozerwał szal i chciał ją wziąć w swoje ramiona.

Umierający szukał słów na wyrażenie pragnienia, jakie pożerało wszystkie jego siły, a znajdował tylko dźwięki zduszone chrapu w piersi, któréj oddech, coraz bardziéj pusty, wychodził niejako z wnętrzności. Nakoniec, nie mogąc już formować dźwięków, ugryzł Paulinę w pierś. Jonathas nadszedł, przerażony krzykami, które słyszał, i starał się wyrwać młodéj dziewczynie trupa, na którym siedziała w kącie.

— Czego chcecie ode mnie? — zawołała. — On należy do mnie; zabiłam go. Czyż nie przepowiedziałam tego?

Epilog.

A co się stało z Pauliną?

— Ach! z Pauliną, dobrze. Czy siedzieliście kiedy w miły wieczór zimowy przed waszém ogniskiem domowém, rozkosznie oddani wspomnieniom miłości, lub młodości, przypatrując się prążkom, wytworzonym przez ogień na kawałku dębu? Tu gorzenie rysuje pola czerwone warcabnicy, tam migoce aksamitem; małe płomyki niebieskie biegają, skaczą, igrają na tle gorącém paleniska. Przychodzi malarz nieznany, który się posługuje tym płomieniem; od jednego zamachu rysuje w łonie tych płonących barw fioletowych lub purpurowych postać nadnaturalną i niesłychanie wytworną, zjawisko przelotne, którego przypadek nie rozpocznie nigdy: jest-to kobieta z włosami porwanemi wiatrem, z profilem oddychającym namiętnością rozkoszną, ogień w ogniu: uśmiecha się, ulatnia i nie zobaczycie jéj już nigdy. Żegnaj, kwiecie płomienia, żegnaj, zasado niezupełna, nieoczekiwana, przybyła zawcześnie lub zapóźno, ażeby stać się jakimś pięknym dyamentem!

— Ależ Paulina?

— Nie rozumiesz pan? A więc zaczynam nanowo. Miejsca! miejsca! Nadchodzi; oto królowa złudzeń, kobieta, która przemija jak pocałunek, kobieta, która, jak błyskawica żywa i jak ona parząc, wytryskuje z nieba, istota niestworzona, cała z ducha, cała z miłości. Przyoblekła się w jakieś ciało z płomienia, albo raczéj płomień jest dla niéj chwilą ożywioną. Linie jéj kształtów są téj czystości, która mówi wam, że ona pochodzi z nieba. Czyż nie jaśnieje, jak anioł? czyż nie słyszycie drżenia powietrznego jéj skrzydeł? Lżejsza niż ptak, pada tuż przy was, a oczy jéj straszne rzucają urok; oddech miły, ale potężny, pociąga ku sobie wasze usta siłą magiczną; uciekając, porywa was i nie czujecie już ziemi. Chcecie pociągnąć raz tylko waszą ręką łachotliwą, waszą ręką sfanatyzowaną po tém ciele ze śniegu, dotknąć się jéj włosów złotych, pocałować jéj oczy rzucające iskrami. Jakaś para was upaja, jakaś muzyka czarodziejska was czaruje. Drżycie wszystkiemi nerwami, wszystko w was staje się pragnieniem, wszystko cierpieniem. O! szczęście bez nazwy! dotknęliście się ust téj kobiety, lecz nagle okrutny ból was budzi. Ha! ha! uderzyliście się głową o kant łóżka, całując jego mahoń brunatny, złocenia zimne, jakiś brąz, Amorka mosiężnego.

— Ależ, panie, Paulina?

— Jeszcze? Słuchajcie! Pewnego pięknego poranku jakiś młody człowiek, wyjeżdżając z Tours na statku *Ville d'Angers*, trzymał w swéj ręce rękę ślicznéj kobiety. Złączeni w ten sposob, oboje zachwycali się długo ponad szerokiemi wodami Loary białą postacią, sztucznie rozwiniętą w łonie mgły, jak owoc wód i słońca, lub jak kaprys obłoków i powietrza. Kolejno ondyna albo sylfida, ta płynna istota unosiła się w powietrzu, jak słowo napróżno szukane, które lata w pamięci, nie dając się jednak uchwycić; przechadzała się pomiędzy wysepkami, wstrząsała głową poprzez wysokie topole; następnie, zolbrzymiawszy, albo jaśniała tysiącami fałd sukni, albo błyszczała aureolą, opisaną przez słońce naokoło jéj twarzy; unosiła się ponad wioskami, ponad pagórkami i zabraniała, jak się zdawało, przepłynąć statkowi parowemu przed zamkiem Ussé. Możnaby powiedzieć, że to było widmo „Pani pięknych Kuzynek", które chciało zasłaniać kraj przed najazdami nowoczesnemi.

— Dobrze, rozumiem już teraz co do Pauliny. A Fedora?

— Och! Fedora! spotkacie ją jeszcze. Była wczoraj w teatrze *Bouffons*, dziś wieczorem pójdzie do Opery; jest wszędzie; to Społeczeństwo, jeżeli chcecie.

KONIEC.

ARCYDZIEŁO NIEZNANE.

PEWNEMU LORDOWI.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

1845.

I.

Gilletta.

Pod koniec 1612 roku, w zimny poranek grudniowy, młody człowiek, którego ubranie miało bardzo lichy pozór, przechadzał się przed bramą domu, położonego przy ulicy *des Grands Augustins* w Paryżu. Po długiém chodzeniu po téj ulicy, z niezdecydowaniem kochanka, który nie śmie przedstawić się u pierwszéj swojéj kochanki, choćby ta była jak najprzystępniejszą, przestąpił ostatecznie próg bramy i spytał, czy mistrz Franciszek *PORBUS* jest u siebie. Na odpowiedź twierdzącą, jaką mu dała stara kobieta, zajęta zamiataniem pokoju na dole, młody człowiek wszedł powoli na schody i zatrzymywał się na każdym stopniu, niby dworak świeżéj daty, niespokojny o przyjęcie, jakiego dozna u króla. Kiedy się dostał na sam wierzch kręconych schodów, pozostał przez chwilę w sieni, niepewny, czy ujmie za kołatkę dziwaczną, jaka zdobiła drzwi pracowni, gdzie bezwątpienia był przy robocie malarz Henryka IV-go, usunięty dla Rubensa przez Maryą de Médicis. Młody człowiek doznawał tego wrażenia głębokiego, jakie musiało wprawiać w drżenie serca wielkich artystów, kiedy w zapale młodości i miłości dla

sztuki spotykali się z człowiekiem gienialnym lub z arcydziełem. We wszystkich uczuciach ludzkich znajduje się kwiat pierwotny, zrodzony przez entuzyazm szlachetny, który słabnie aż dotąd, dopóki szczęście nie stanie się wspomnieniem, a sława — kłamstwem. Pomiędzy temi wzruszeniami nietrwałemi nic bardziéj podobnego do miłości, jak młoda namiętność artysty, rozpoczynającego męczarnie rozkoszne przeznaczenia sławy i nieszczęścia — namiętność pełną odwagi i nieśmiałości, wiary nieokreślonéj i zniechęceń pewnych. Kto, przy lekkiéj kieszeni, będąc młodzieńcem gienialnym, nie drżał żywo, przedstawiając się mistrzowi, temu niedostawać będzie zawsze jednéj struny w sercu, jakiegoś dotknięcia pędzlem, uczucia w dziele, pewnego wyrazu poezyi. Jeżeli jacyś fanfaroni, nadęci sobą, wierzą zawcześnie w przyszłość, to są ludźmi talentu tylko dla głupców. Pod tym względem zdawało się, że młody nieznajomy miał prawdziwą zasługę, jeżeli tylko talent ma się mierzyć tą nieśmiałością pierwszą, tą wstydliwością nie-do-opisania, którą ludzie zapowiadający sławę umieją tracić przy uprawianiu sztuki, a ładne kobiety — w szrankach kokieteryi. Nawyknienie do tryumfów zmniejsza niepewność, a wstydliwość jest może niepewnością tylko.

Młody neofita, przygnębiony nędzą i zdziwiony w téj chwili swoją śmiałością, nie byłby wszedł do malarza, któremu zawdzięczamy cudowny portret Henryka IV-go, gdyby nie pomoc nadzwyczajna, jaką mu zesłał przypadek. Jakiś starzec wszedł na schody. Po dziwaczności ubrania, po wspaniałości kołnierza koronkowego, po pewności poważnéj chodu młody człowiek domyślał się w téj osobistości albo protektora, albo przyjaciela malarza; cofnął się ku ścianie, ażeby mu zrobić miejsce, i wpatrywał się w niego ciekawie, sądząc, że znajdzie w nim poczciwą naturę artysty lub charakter usłużny ludzi, kochających sztukę; ale spostrzegł coś szatańskiego w téj twarzy, a nadewszystko to *niewiadomo coś*, co nęci artystów. Wystawcie sobie czoło łyse, beczkowate, wyskakujące, spadające wydatnie na mały nos spłaszczony, zadarty na końcu jak u Rabelais'go lub Sokratesa; usta uśmiechnięte i pomarszczone, podbródek krótki, dumnie podniesiony, ozdobiony brodą siwą, ostrzyżoną śpiczasto, oczy barwy zielonéj morza, zamglone z pozoru przez wiek, które jednak przez kontrast z białością perłowéj masy, w jakiéj pływała źrenica, musiały rzucać spojrzenia magnetyczne w chwili najsilniejszego gniewu lub zapału. Twarz była zresztą dziwnie zwiędnięta w skutek znojów, wieku, a więcéj jeszcze z powodu myśli, które nurtują zarówno duszę, jak i ciało. Oczy nie miały rzęs i zaledwie można było dopatrzyć się kilku śladów powiek, ponad ich łukami wyskakującemi. Umieśćcie tę głowę na ciele wysmukłém i wątłém,

otoczcie ją koronką oślepiającéj białości i wypracowaną jak nóż do krajania ryb, rzućcie na żupan czarny starca ciężki łańcuch ze złota, a będziecie mieli obraz doskonały téj osobistości, któréj słabe światło schodów dodawało jeszcze koloru fantastycznego. Możnaby powiedzieć, że płótno Rembrandta szło cicho i bez ram w czarnéj atmosferze, jaką sobie przyswoił ten wielki malarz. Starzec rzucił na młodzieńca spojrzenie pełne bystrości, zastukał po trzykroć do drzwi i rzekł do człowieka słabowitego, w wieku około lat czterdziestu, który mu otworzył:

— Dzień dobry, mistrzu!

Porbus ukłonił się z uszanowaniem, wpuścił do siebie młodego człowieka, sądząc, iż przyprowadził go starzec, i tém mniéj jeszcze troszczył się o niego, że neofita pozostawał pod wpływem czaru, którego muszą doznawać malarze z urodzenia na widok pierwszéj pracowni, jaką zobaczyli, a gdzie się objawiają pewne środki materyalne sztuki. Okno otwarte u stropu oświecało pracownią mistrza Porbusa. Światło skoncentrowane na płótnie, rozpiętém na sztalugach, które dopiéro było naznaczone trzema czy czterema kreskami białemi, nie dochodziło aż do czarnych głębin kątów téj obszernéj pracowni; lecz kilka refleksów przypadkowych zapalało w tym cieniu rudym blaszkę posrebrzaną na brzuchu zawieszonego na murze pancerza rajtara, rysowało gwałtowną brózdę światła na gzymsie rzeźbionym i politurowanym starożytnego kredensu, przepełnionego rzadką zastawą stołową, lub wykłuwało punkty, błyszczące w pasmach ziarnistych kilku starożytnych kotar, przetykanych złotem, o wielkich fałdach potrzaskanych, ktore były tam porzucone jako modele. Szkielety z gipsu, i odłamki i torsy bogiń starożytnych, miłośnie wypolerowanych przez pocałunki wieków, leżały bezładnie na półkach i konsolach. Niezliczone szkice, studya, robione trojakim ołówkiem, krwawnikiem lub piórkiem, pokrywały ściany aż do sufitu. Pudełka od farb, butelki oliwy i pokostu, stołki przewrócone pozostawiały wąską tylko drogę do przyjścia pod aureolę, rzuconą przez wysokie okno, któréj promienie padały prosto na bladą twarz Porbusa i na czaszkę z kości słoniowéj dziwnego człowieka. Uwaga młodzieńca wkrotce zatrzymała się na jednym obrazie, który, w tym czasie zamieszek i rewolucyj, stał się już tak sławnym, że przychodzili go oglądać ci zapaleńcy, którym zawdzięczać należy przechowywanie ognia świętego w złych dniach. Ta piękna kartka przedstawiała *Maryą Egipcyankę* w chwili płacenia za przejazd na statku. Arcydzieło to, przeznaczone dla Maryi de Médicis, było przez nią sprzedane w dniach jéj nędzy.

— Twoja święta mi się podoba — rzekł starzec do Porbusa —

i zapłaciłbym ci za nią dziesięć talarów w złocie ponad cenę, jaką daje królowa; ale podkupywać ją?.. do dyabła!..

— Uważasz ją pan za dobrą?

— Hę! hę! — odparł starzec — dobrą?.. tak i nie. Twoja kobietka jest nieźle urządzona, ale nie żyje wcale. Wam zawsze się zdaje, że wszystko już zrobione, kiedyście narysowali poprawnie twarz i położyli każdą rzecz na swojém miejscu, według praw anatomii! Kolorujecie ten kontur tonem ciała, przyprawionym zawczasu na palecie, starając się usilnie wytrzymać jednę stronę ciemniéj, niż drugą, i ponieważ patrzycie od czasu do czasu na kobietę nagą, która stoi na stole, zdaje się wam stąd, żeście skopiowali naturę, wyobrażacie sobie, że jesteście malarzami i żeście wykradli tajemnicę Bogu!.. Prrr! Na to, ażeby być wielkim poetą, nie wystarcza znać gruntownie składnią i nie robić błędów językowych! Patrz na swoję świętą, Porbusie! Na pierwszy rzut oka wydaje się cudowną, lecz przy powtórném obejrzeniu widać, że jest przylepiona do głębi płótna, że nie możnaby było obejść jéj ciała naokoło. Jest-to sylwetka, która ma jednę stronę tylko; jest-to powierzchowność odkrojona, obraz, który nie umiałby się odwrócić, ani zmienić pozycyi. Nie czuję powietrza pomiędzy temi rękoma a tłem obrazu; brak przestrzeni i głębi, jakkolwiek perspektywa jest dobra, a skracanie się powietrza ściśle zaobserwowane; lecz pomimo tych usiłowań, tak godnych pochwały, nie mógłbym uwierzyć, że ciepłe tchnienie życia ogrzewa to piękne ciało. Zdaje mi się, że gdybym podniósł rękę do téj szyi tak jędrnie okrągłéj, to uczułbym zimno marmuru! Nie, mój kochany, krew nie płynie pod tą skórą z kości słoniowéj, życie nie wzdyma swoją cieczą purpurową tych żył i włókien, które splatają się na siatkę pod przezroczystością bursztynową policzków i piersi. To miejsce drga, ale tamto jest nieruchome, życie i śmierć walczą w każdym szczególe: tu kobieta, tam posąg, a daléj trup. Twój utwór jest niekompletny. Umiałeś tchnąć część tylko swojéj duszy w dzieło ukochane. Pochodnia Prometeusza więcéj niż raz zgasła ci w rękach, a płomień niebiański nie dotknął wielu miejsc twego obrazu.

— Ale czemu, drogi mistrzu? — rzekł z uszanowaniem Porbus do starca w chwili, kiedy młody człowiek z trudnością hamował silną ochotę wybicia go.

— Ach! widzisz — odpowiedział staruszek — pływałeś niezdecydowanie pomiędzy dwoma systematami, pomiędzy rysunkiem i kolorem, pomiędzy flegmą drobiazgową, sztywnością dokładną starych mistrzów niemieckich a zapałem olśniewającym, bujnością szczęśliwą malarzów włoskich. Chciałeś naśladować odrazu Hansa Holbeina i Tycyana, Albrechta Dürera i Pawła Weroneza. Zapewne,

była w tém wspaniała ambicya! Lecz cóż się stało? Nie masz ani powabu surowego oschłości, ani ułudnych czarów światłocienia. W tém miejscu, jak brąz stopiony, który druzgoce zanadto słabą formę, bogaty i jasny kolor Tycyana rozsadza chudy kontur Albrechta Dürera, w jaki go wlałeś. Gdzieindziéj rysunek wytrzymał i pomieścił w sobie wspaniałe wylewy palety weneckiéj. Twarz nie jest ani doskonale rysowana, ani doskonale malowana i wszędzie nosi ślady téj nieszczęśliwéj chwiejności. Jeżeli nie czułeś się dosyć silnym na to, ażeby w ogniu swojego gieniuszu stopić razem obydwie maniery współzawodne, trzeba było wybierać otwarcie pomiędzy jedną a drugą i osięgnąć jednolitość, która podrabia jeden z warunków życia. Jesteś prawdziwy tylko w miejscach pośrednich; twoje kontury są fałszywe, nie zataczają się i nie zapowiadają niczego z tyłu. Prawdę widać tu — rzekł starzec, wskazując na pierś świętéj. — Następnie tu... — podjął, oznaczając punkt, gdzie na obrazie kończyło się ramię. — Ale tam — dodał, powracając do środka szyi — wszystko jest fałszywe. Nie rozbierajmy nic; toby cię przyprowadziło do rozpaczy.

Starzec usiadł na stołku, wziął się rękoma za głowę i umilkł.

— Mistrzu — powiedział do niego Porbus — a jednak studyowałem tę szyję na kobiecie nagiéj; lecz na nasze nieszczęście pewne efekty, prawdziwe w naturze, nie są prawdopodobne na płótnie...

— Zadaniem sztuki nie jest kopiować naturę, ale ją wyrażać! Nie masz być nędznym kopistą, ale poetą! — wykrzyknął żywo starzec, przerywając Porbusowi z wyrazem nakazującym. — Inaczéj rzeźbiarz skwitowałby się ze wszystkich swoich prac, odlewając kobietę! Dobrze spróbuj odlać rękę swojéj kochanki i położyć ją przed sobą, a wyda ci się jak trup okropny, bez żadnego podobieństwa i będziesz musiał pójść po dłuto człowieka, który, nie kopiując dokładnie, wyobrazi ci ruch i życie. Potrzebujemy uchwycić ducha, duszę, wyraz rzeczy i istot. Efekty! efekty! ależ to są przypadki życia, nie zaś życie. Ręka, ponieważ wybrałem ten przykład, nie należy jedynie tylko do ciała, lecz wyraża i przedłuża myśl, jaką trzeba uchwycić i oddać. Ani malarz, ani poeta, ani rzeźbiarz nie powinni oddzielać skutku od przyczyny, ponieważ jedno jest nieprzeparcie w drugiém! Walka istotna toczy się tam! Wielu malarzy odnosi zwycięstwo instynktownie, nie znając tego zagadnienia sztuki. Rysujecie kobietę, ale jéj nie widzicie! Nie w ten sposób dochodzi się do wyrwania tajemnicy naturze. Wasza ręka, chociaż nie myślicie o tém, odtwarza model, jaki kopiowaliście u waszego mistrza. Nie schodzicie dostatecznie do istoty formy, nie idziecie z dostateczném zamiłowaniem i wytrwałością za jéj wykrętami i za

jéj wybiegami. Piękność jest rzeczą surową i trudną, która nie pozwala się ująć w ten sposób, i potrzeba czekać na jéj godziny, śledzić ją, napierać na nią, oplątać ją mocno, ażeby zmusić do poddania się. Forma jest Proteuszem bardziéj jeszcze nieuchwytnym i bardziéj płodnym w tajniki, aniżeli Proteusz mitologiczny, i tylko po długich walkach można go zmusić do pokazania się pod swoją prawdziwą postacią. Wy, wy zadawalniacie się pierwszym pozorem, jakiego on wam dostarcza, lub co najwyżéj drugim albo trzecim; lecz nie tak postępują sobie szermierze-zwycięscy. Ci malarze niezwyciężeni nie dają się uwieść wszystkim tym wybiegom i idą wytrwale aż dotąd, dopóki natura nie zostanie zmuszoną do pokazania się w całéj nagości i w prawdziwym swoim duchu. Tak postępował Rafael — rzekł starzec, zdejmując czapkę aksamitną dla wyrażenia szacunku, jaki w nim wzbudzał król sztuki. — Jego wielka wyższość pochodzi z ducha wewnętrznego, który u niego chce niejako rozbić formę. Forma jest w jego postaciach tém, czém u nas: drogomanem do przekazywania sobie myśli i wrażeń, poezyą szeroką. Każda twarz jest światem, portretem, którego model objawił się w wizyi wzniosłéj, oblany światłem, wywołany przez głos wewnętrzny, wydobyty palcem niebiańskim, pokazującym w przeszłości całego jednego życia źródła ekspresyi. Robicie kobietom piękne suknie z ciała, piękne draperye z włosów, ale gdzie jest krew, która rodzi spokój lub namiętność, która wywołuje efekty szczególne? Twoja święta jest brunetką, lecz to, mój biedny Porbusie, jest właściwém blondynce! Wasze twarze zatém są blademi widmami kolorowanemi, które nam przeprowadzacie przed oczyma, nazywając to malarstwem i sztuką. Ponieważ zrobiliście coś, co jest bardziéj podobne do kobiety, aniżeli do domu, myślicie więc, żeście osiągnęli cel, i, dumni, że nie potrzebujecie wypisywać obok waszych figur: *currus venustus* lub *pulcher homo*, jak pierwsi malarze, wyobrażacie sobie, że jesteście artystami cudownemi! Ach! ach! jeszcze wam do tego daleko, moi dzielni towarzysze, i będziecie musieli zużyć wiele ołówków, pokryć wiele płócien, zanim swego dopniecie. Zapewne, kobieta trzyma głowę w ten sposób, unosi suknią tak samo, oczy jéj przyćmiewają się i łzami zachodzą z tym wyrazem słodyczy zrezygnowanéj, cień drgający rzęs pływa tak po licach! To tak i to nie tak. Czego nie dostaje? troszki; lecz ta troszka jest wszystkiém. Macie pozór życia, ale nie wyrażacie jego nadmiaru, który się wylewa, tego czegoś, co jest duszą może, a co pływa mgławo po powłoce; tego kwiatu wreszcie, jaki Tycyan i Rafael uchwycili. Wychodząc z punktu najwyższego, do jakiego doszliście, możnaby było może stworzyć wyborne malarstwo; ale wy nużycie się za prędko. Pospólstwo uwielbia, a prawdziwy

znawca uśmiecha się. O, Mabuzie, mistrzu mój! — dodał ten dziwny człowiek — jesteś złodziejem, zabrałeś życie ze sobą! Pominąwszy to — podjął nanowo — twoje płótno warto więcéj, aniżeli obrazy tego kuglarza Rubensa, z jego górami mięs flamandzkich, podsypanych cynobrem, z jego falami włosów rudych i z jego wrzaskiem farb. Tu przynajmniéj jest kolor, uczucie i rysunek, te trzy strony istotne sztuki.

— Ależ ta święta jest cudowna, mój staruszku! — zawołał młodzieniec głosem silnym, budząc się z zamyślenia głębokiego. — Te dwie twarze, świętéj i przewoźnika, są pomyślane z wytwornością, nieznaną mistrzom włoskim, i nie znam ani jednego, któryby był oddał wahanie się przewoźnika.

— Czy ten kawaler jest z panem? — spytał Porbus starca.

— Niestety! mistrzu, proszę o przebaczenie za moję śmiałość — odpowiedział neofita, czerwieniąc się. — Jestem nieznany, bazgracz instynktowy, a przybyłem od niedawna dopiéro do tego miasta, źródła wszelkiéj wiedzy.

— Do dzieła! — zawołał Porbus, podając mu czerwony ołówek i ćwiartkę papieru.

Nieznajomy żwawo skopiował Maryą w rysunku.

— Ho! ho! — odezwał się starzec. — Pańskie imię?

Młody człowiek podpisał u spodu: Mikołaj Poussin.

— To wcale nieźle, jak na poczynającego — powiedział ten dziwny człowiek, który rozprawiał tak zapamiętale. — Widzę, że można mówić o malarstwie przy tobie. Nie ganię ci tego, żeś uwielbiał świętą Porbusa. Jest-to arcydzieło dla wszystkich i obeznani tylko z najgłębszemi tajnikami sztuki mogą odkryć to, w czém ona grzeszy. Lecz, ponieważ jestes godzien lekcyi i zdolnyś ją rozumieć, pokażę ci, jak małéj rzeczy potrzeba do uzupełnienia tego dzieła. Patrz pilném okiem i uważnie, gdyż podobna sposobność do nauczenia się nie zdarzy ci się może nigdy. Daj paletę, Porbus!

Porbus poszedł po paletę i pędzle. Staruszek zakasał rękawy z ruchem gwałtowności konwulsyjnéj i wsunął wielki palec w paletę rożnobarwną i założoną tonami, którą Porbus mu podał; następnie wyrwał raczéj, nie zaś wziął mu z ręki pęczek pędzli wszelkich rozmiarów, przy czém jego broda, ostrzyżona śpiczasto, zaczęła nagle ruszać się w skutek usiłowań groźnych, które wyrażały świerzbienie fantazyi, tchnącéj miłością. Nasycając pędzel farbą, mruczał przez zęby:

— Ależ te tony należałoby wyrzucić za okno razem z tym, który je skomponował, tak ich surowość i fałsz są oburzające. Jak tu tém malować?

Następnie maczał koniec pędzla z żywością gorączkową w ró-

żnych kupkach farb, których gamę całą przebiegał niekiedy szybciéj, aniżeli organista katedralny rozległość klawiatury przy *O, Fili* na Wielkanoc.

Porbus i Poussin stali nieruchomo z obudwu boków płótna, pogrążeni w najgwałtowniejszéj kontemplacyi.

— Widzisz, młodzieńcze — mówił starzec — widzisz, jak za pomocą trzech lub czterech dotknięć i małego laserunku niebieskawego można było puścić powietrze naokoło głowy téj biednéj świętéj, która musiała się dusić i czuć, że jest złapaną w tę atmosferę gęstą! Patrz, jak ta draperya fruwa teraz i jak widać, że ją powiew morski unosi! Przedtém miała pozór płótna skrochmalonego i podtrzymywanego szpilkami. Czy uważasz, jak werniks atłasowy, który położyłem na piersi, dobrze oddaje tłustą miękkość skóry młodéj dziewczyny, i jak ton, pomieszany z farbą brunatno-czerwoną i okrą paloną, ogrzewa szare zimno tego wielkiego cienia, gdzie krew się ścinała, zamiast płynąć? Chłopcze, chłopcze, tego, co ci pokazują tutaj, żaden mistrz nie mógłby cię nauczyć. Mabuse tylko posiadał tajemnicę nadawania życia figurom. Mabuse miał jednego tylko ucznia, a tym byłem ja. Ja nie miałem ucznia i jestem stary! Masz dosyć inteligencyi, ażeby odgadnąć resztę z tego, co ci pozwoliłem zobaczyć.

Wciąż mówiąc, dziwny starzec dotykał wszystkich stron obrazu: tu dwa pociągnięcia pędzlem, tam jedno, a zawsze tak właściwie, że możnaby w tém widzieć inne malowanie, bo malowanie nasiąknięte światłem. Pracował z zapałem tak namiętnym, że pot perlisty wystąpił mu na czoło ogołocone z włosów; malował szybko w małych poruszeniach, tak niecierpliwych, tak dorywczych, że młodemu Poussin'owi wydawało się, jak gdyby w ciele téj dziwacznéj osobistości był szatan, który działa przez jego ręce, biorąc je fantastycznie wbrew woli człowieka. Blask nadnaturalny oczu, konwulsye, przedstawiające się jako skutek jakiegoś oporu, nadawały téj myśli pozór prawdy, który musiał oddziałać na młodą wyobraźnią. Starzec malował, mówiąc:

— Paf! paf! paf! i jak to się smaruje masłem, młodzieńcze! Chodźcie, moje dotknięcia drobne, osłońcie rudą barwą ten ton lodowaty! Nuże! pęc! pęc! pęc! — mówił, dodając ciepła częściom, gdzie był wykazał brak życia, usuwając kilkoma plamami farby różnice temperamentu i przywracając jedność tonu, jakiéj wymagała gorąca Egipcyanka.

— Widzisz, mały, tylko ostatnie dotknięcie pędzla coś warto. Porbus rzucił ich tam sto; ja położyłem jedno. Nikt nie jest nam wdzięcznym za to, co się znajduje pod spodem. Zapamiętaj to dobrze!

Nareszcie ten szatan zatrzymał się i, zwracając się do Porbusa i Poussina, którzy oniemieli z uwielbienia, rzekł:

— To nie warto jeszcze mojéj Pięknéj Orzeszarki, chociaż możnaby podpisać swe nazwisko pod spodem podobnego dzieła. Tak, podpisałbym się — dodał, wstając po lusterko, w którém się jéj przypatrywał. — A teraz idźmy na śniadanie — rzekł. — Chodźcie obydwa do mnie, do mieszkania. Mam szynkę wędzoną, wino dobre. Ech! ech! pomimo złych czasów pogadamy o malarstwie! Jesteśmy jednéj siły. Przecież ten malec — dodał, uderzając po ramieniu Mikołaja Poussina — posiada łatwość.

Spostrzegłszy wtedy lichy spencerek Normanda, wyjął zza pasa sakiewkę skórzaną, poszukał w niéj, wziął dwie sztuki złota i, podając mu je, rzekł:

— Kupuję od ciebie rysunek.

— Weź — powiedział Porbus do Poussina, widząc, jak ten zadrżał i poczerwieniał ze wstydu, gdyż młody adept posiadał dumę ubogiego. — Weź-że, bo on w swoim mieszku ma okup na dwóch królów!

Wszyscy trzej opuścili pracownią i przyszli, gawędząc o sztukach, aż do pięknego domu drewnianego, położonego w bliskości mostu Saint-Michel, którego ozdoby, kołatka, futryny okien i arabeski w podziw wprawiły Poussina. Malarz *in spe* znalazł się nagle w sali na dole, przed dobrym ogniem, koło stołu, zastawionego potrawami apetycznemi i — szczęście niesłychane! — w towarzystwie dwu wielkich artystów, pełnych prostoty.

— Młodzieńcze — rzekł do niego Porbus, widząc, jak osłupiał przed jednym z obrazów — nie przypatruj się zawiele temu płótnu, bo rozpacz cię ogarnie.

Był-to *Adam*, którego zrobił Mabuse dla wydostania się z więzienia, gdzie go wierzyciele przetrzymali tak długo. Ta postać przedstawiała w istocie taką potęgę rzeczywistości, że Mikołaj Poussin zaczął od téj chwili rozumiéć prawdziwe znaczenie słów bezładnych, jakie powiedział starzec. Ten patrzył na obraz z wyrazem zadowolnienia, lecz bez entuzyazmu, i zdawało się, że chciał powiedzieć: „Ja robię lepiéj!“

— Jest w tém życie — rzekł. — Mój biedny mistrz przeszedł tu samego siebie; ale brakowało jeszcze trochę prawdy w tle obrazu. Człowiek jest bardzo żywy, podnosi się i przyjdzie do nas; lecz powietrza, nieba, wiatru, jakim oddychamy, jaki widzimy i czujemy, tam niéma. Następnie jest tam tylko człowiek! A przecież jedyny człowiek, jaki bezpośrednio wyszedł z rąk Boga, musiał miéć coś boskiego, czego temu brakuje. Sam Mabuse mówił to ze złością, kiedy nie był pijany.

Poussin patrzył się kolejno na starca i na Porbusa z ciekawością niespokojną. Zbliżył się do tego ostatniego, jak gdyby chciał go spytać o nazwisko gospodarza domu, lecz malarz położył palec na ustach z wyrazem tajemniczym i młody człowiek, żywo zainteresowany, zamilkł, mając nadzieję, że prędzéj lub późniéj jakieś słowo pozwoli mu zgadnąć nazwisko gospodarza, o którego bogactwie i talentach świadczyło dostatecznie uszanowanie, jakie Porbus mu okazywał, i cuda nagromadzone w téj sali.

Poussin, widząc na ciemném futrowaniu dębowém wspaniały portret kobiety, zawołał:

— Coż za piękny Giorgione!

— Nie! — odpowiedział starzec — widzisz pan jednę z pierwszych moich mazanin!

— Do licha! jestem więc u boga malarstwa — rzekł naiwnie Poussin.

Starzec uśmiechnął się jak człowiek, który zżył się oddawna z tą pochwałą.

— Mistrzu Frenhofer! — odezwał się Porbus — czy nie mógłbyś kazać sprowadzić troszkę swojego dobrego wina reńskiego dla mnie?

— Dwa oksefty — odpowiedział starzec. — Jeden, ażeby się odpłacić za przyjemność, jakiéj doznałem dziś rano, widząc twoję śliczną Rybaczkę, a drugi jako upominek przyjaźni.

— Ach! gdybym nie był ciągle cierpiący -- podjął nanowo Porbus — i gdybyś mi pan pozwolił zobaczyć swoję Piękną Orzeszarkę, to możebym zrobił jaki obraz wzniosły, szeroki i głęboki, w którym postacie byłyby wielkości naturalnéj.

— Pokazać moje dzieło! — zawołał starzec nawskroś wzruszony. — Nie, nie, muszę je wydoskonalić jeszcze. Wczoraj, pod wieczór — mówił — zdawało mi się, żem skończył. Jéj oczy były dla mnie wilgotne, jéj ciało ożywione. Sploty jéj włosów poruszały się. Oddychała! Jakkolwiek znalazłem sposob zrealizowania na płotnie płaskiém wypukłości i okrągłości natury, to rano, przy świetle dziennem, poznałem swój błąd. Ach! ażeby dojść do tego rezultatu chlubnego, studyowałem do gruntu wielkich mistrzow kolorytu, analizowałem i podnosiłem warstwę po warstwie obrazy Tycyana, tego króla światła; jak ten malarz najwyższy, naszkicowałem swoję postać w tonie jasnym, pastą miękką i tłustą, gdyż cień jest tylko przypadkowym. Zapamiętaj to sobie, mały. Następnie powróciłem do dzieła i za pomocą pół-tonów i laserunków, ktorych przezroczystość zmniejszałem coraz bardziéj, wydobyłem cienie najsilniejsze, aż do czarności najbardziéj zaklęsłych, gdyż cienie malarzy zwyczajnych mają całkiem inną naturę, aniżeli ich tony świetlne; jest-

to drzewo, spiż, jest to wszystko, co chcecie, ale nie ciało w cieniu. Czuć, że gdyby ich postać zmieniła położenie, to miejsca ocienione nie oczyściłyby się i nie stałyby się świetlnemi. Uniknąłem tego błędu, w który wielu z pomiędzy najznakomitszych popadło; u mnie białość przejawia się pod nieprzezroczystością cienia najbardziéj wytrzymanego! Jak mnóstwo głupców, którzy wyobrażają sobie, że rysują poprawnie, ponieważ robią kreskę starannie wygładzoną, nie naznaczyłem sucho konturów zewnętrznych swojéj postaci i nie wydostałem na wierzch aż do najdrobniejszego szczegółu anatomicznego, gdyż ciało ludzkie nie kończy się liniami. Rzeźbiarze mogą w tém więcéj zbliżyć się do prawdy, aniżeli my. Ściśle mówiąc, rysunek nie istnieje wcale! Nie śmiéj się, młodzieńcze! Jakkolwiek dziwném ci się wydaje to słowo, zrozumiesz kiedyś przyczynę. Linia jest środkiem, za pomocą którego człowiek zdaje sobie sprawę z efektu światła na przedmioty; lecz niéma linii w naturze, gdzie wszystko jest pełne: modelując, rysuje się, to jest wydobywa się rzeczy z łona, w jakiem są; rozkład światła jedynie nadaje postać ciału! To też nie naznaczałem silnie rysunku, rozlałem po konturach obłok pół-tonów jasnych i ciepłych, co sprawia, że nie mógłby nikt położyć dokładnie palca na miejscu, gdzie kontury spotykają się z tłami. Zbliska ta robota wydaje się bawełnistą i taką, jak gdyby nie było w niéj precyzyi, ale o dwa kroki wszystko się umacnia, odznacza i uwydatnia; ciało się obraca, kształty odskakują, czuć, jak powietrze krąży naokoło. A jednak nie jestem jeszcze zadowolniony; mam wątpliwości. Być może, iż należałoby nie rysować jednéj tylko linii, a lepiéj zacząć postać od środka, przystępując najpierw do części wydatnych, najbardziéj oświetlonych, i przejść następnie do części najciemniejszych. Bo czyż nie tak postępuje słońce, ten boski malarz wszechświata? O, naturo! naturo! kto cię kiedy podszedł w wybiegach! Macie! zbytek wiedzy, tak samo jak niewiadomości, doprowadza do negacyi. Wątpię o swojém dziele.

Starzec zamilkł na chwilę i potém zaczął:

— Oto dziesięć lat, młodzieńcze, jak pracuję, ale czémże jest dziesięć małych latek, kiedy chodzi o walkę z naturą? Nie wiemy, ile czasu spotrzebował mocarz Pigmalion na zrobienie jedynego posągu, który chodził!

Starzec popadł w zadumę głęboką i pozostał z oczyma nieruchomemi, bawiąc się machinalnie nożem.

— Otóż i na rozmowie ze swoim *duchem* — rzekł Porbus pocichu.

Na to słowo Mikołaj Poussin uczuł się pod władzą niewytłómaczonéj ciekawości artysty. Ten starzec z oczyma białemi, uważny,

i ogłupiony, stał się dla niego czémś więcéj, niż człowiekiem, i objawił mu się jako gieniusz dziwaczny, żyjący w jakiéjś sferze nieznanéj. Obudzał tysiąc myśli bezładnych w duszy. Tak samo nie można określić zjawiska moralnego téj fascynacyi swojego rodzaju, jak nie można wytłómaczyć wzruszenia, wywołanego przez śpiew, który przypomina ojczyznę w sercu wygnańca. Lekceważenie, jakie ten stary człowiek usiłował wyrazić dla najpiękniejszych porywów sztuki, jego bogactwo, jego obejście się, względy Porbusa dla niego, to dzieło trzymane tak długo w tajemnicy — dzieło cierpliwości, dzieło gienialne bezwątpienia, jak trzeba było domyślać się po głowie Dziewicy, którą młody Poussin pochwalił tak otwarcie, a która, piękna jeszcze nawet obok *Adama* Mabuse'a, świadczyła o robocie wspaniałéj mocarza sztuki, — wszystko-to w tym starcu wychodziło poza granice natury ludzkiéj. To, co bujna wyobraźnia Mikołaja Poussina mogła schwycić jasno i dojrzéć, widząc tę istotę nadnaturalną, było obrazem zupełnym natury artysty, téj natury szalonéj, któréj zostało powierzonych tyle władz, a która często ich nadużywa, pociągając za sobą zimny rozsądek filistrów, a nawet wielu amatorów poprzez tysiączne drogi kamieniste, gdzie dla nich niéma nic, kiedy tymczasem swawolna w swoich fantazyach, ta dziewczyna o skrzydłach białych odkrywa tam epopeje, zamki, dzieła sztuki! Natura szydercza i dobra, bujna i biedna! Tym sposobem dla entuzyasty Poussina ten starzec stał się, drogą transfiguracyi nagłéj, sztuką samą, sztuką, z jéj tajemnicami, z jéj porywami, z jéj rojeniami.

— Tak, mój biedny Porbusie — podjął nanowo Frenhofer — nie udało mi się aż dotąd spotkać kobiety bez zarzutu, ciała, którego kontury odznaczałyby się pięknością doskonałą, a którego karnacya... Lecz gdzież ona jest w życiu — rzekł, przerywając sobie — ta trudna do znalezienia Wenus starożytnych, tak często poszukiwana, jeżeli my spotykamy się z kilkoma zaledwie jéj pięknościami rozpierzchłemi? Och! ażeby widzieć przez chwilę, raz tylko naturę boską, zupełną, ideał wreszcie, oddałbym cały majątek, ale poszedłbym cię szukać w twoich otchłaniach, piękności niebiańska! Jak Orfeusz, zszedłbym do piekła sztuki, ażeby stamtąd sprowadzić życie.

— Możemy odejść stąd — rzekł Porbus do Poussina — on już nas nie słyszy, nie widzi wcale!

— Chodźmy do jego pracowni — odpowiedział młody człowiek oczarowany.

— Och! stary wyga potrafił zawarować do niéj wejście! Jego skarby są zanadto dobrze pilnowane, abyśmy mogli się tam dostać.

Nie czekałem na pańską myśl i fantazyą w staraniu się o zdobycie tajemnicy!

— Jest więc i tajemnica?

— Tak — odpowiedział Porbus. — Stary Frenhofer jest jedynym uczniem, jakiego Mabuse chciał wyrobić. Zostawszy jego przyjacielem, zbawcą, ojcem, Frenhofer poświęcił największą część swoich skarbów na zadowolnienie namiętności Mabuse'a; w zamian zato Mabuse przekazał mu tajemnicę swojego malowania wypukłego, siłę nadawania postaciom tego życia nadzwyczajnego, tego kwiatu natury, naszéj rozpaczy wiecznéj, którego *robienie* posiadał tak dobrze, że pewnego dnia, kiedy sprzedał i przepił adamaszek wzorzysty, w jaki miał się ubrać na wjazd Karola V-go, towarzyszył swojemu panu w ubraniu z papieru, malowanego na adamaszek. Świetność szczególna materyi, jaką miał na sobie Mabuse, zadziwiła cesarza, który, chcąc zwrócić się z pochwałą do protektora starego pijaka, odkrył podstęp. Frenhofer jest człowiekiem rozmiłowanym w naszéj sztuce, który widzi wyżéj i daléj, aniżeli inni malarze. Głęboko przemyślał on o farbach, o prawdzie bezwzględnéj linij, lecz wciąż szukając, doszedł do tego, że zwątpił o przedmiocie samym swoich poszukiwań. W chwilach rozpaczy utrzymuje, że rysunek nie istnieje i że za pomocą krések można oddać tylko figury gieometryczne: tu się mija z prawdą, gdyż za pomocą kréski i czarnéj farby, która nie jest kolorem, można zrobić figurę; co dowodzi, że nasza sztuka jest, jak natura, złożoną z nieskończoności elementów; rysunek daje szkielet, barwa jest życiem; lecz życie bez szkieletu jest czémś bardziéj niezupełném, aniżeli szkielet bez życia. Wreszcie jest coś prawdziwszego nad to wszystko, a mianowicie, że praktyka i obserwacya są wszystkiém w malarzu i że jeżeli rozumowanie i poezya kłócą się z pędzlami, to dochodzi się do zwątpienia, jak nasz poczciwina, który jest zarówno waryatem, jak malarzem. Malarz wielki, który na nieszczęście urodził się bogatym, co mu pozwoliło chodzić samopas. Nie naśladuj go pan! Pracuj! Malarze powinni myśléć tylko z pędzlem w ręku.

— My się tam dostaniemy! — zawołał Poussin, nie słuchając wcale Porbusa i nie wątpiąc o niczém.

Porbus uśmiechnął się na entuzyazm młodego nieznajomego i pożegnał się z nim, zapraszając do siebie w odwiedziny.

Mikołaj Poussin powrócił wolnym krokiem na ulicę *da la Harpe* i minął, nie spostrzegłszy się, skromne biuro hotelu, w którym mieszkał. Biegnąc z niespokojną szybkością po nędznych schodach, dostał się do pokoju wysokiego, leżącego pod dachem na pionowych belkach — tém pokryciem naiwném i lekkiém domów starego Paryża. Przy jedyném i ciemném oknie tego pokoju zobaczył młodą

dziewczynę, która, usłyszawszy trzask drzwi, podniosła się nagle z ruchem miłosnym; poznała malarza po sposobie, w jaki schwycił za zasuwkę.

— Co tobie? — spytała.

— To jest... to jest — zawołał, nie mogąc odetchnąć z radości — że poczułem się malarzem! Wątpiłem o sobie aż dotąd, lecz dziś rano uwierzyłem w siebie samego! Mogę być wielkim człowiekiem! Tak, Gilletto, będziemy bogaci, szczęśliwi! W tych pędzlach jest złoto.

Lecz nagle zamilkł. Jego twarz poważna a jędrna straciła wyraz radości, kiedy porównał bezgraniczność swoich nadziei ze szczupłością swoich środków. Mury były pokryte prostemi papierami, pełnemi szkiców ołówkowych. Nie posiadał czterech płócien czystych. Farby wówczas były w wysokiéj cenie, a biedny młodzieniec widział, że jego paleta jest mniéj więcéj nagą. Wśród téj nędzy posiadał i odczuwał niezliczone bogactwa serca i nadmiar gieniuszu pożerającego. Przywiedziony do Paryża przez jednego ze swych przyjaciół, albo może przez swój własny talent, spotkał tam nagle kochankę, jednę z tych dusz szlachetnych i wspaniałomyślnych, które przychodzą cierpiéć obok wielkiego człowieka, poślubiają jego nędzę i starają się usilnie zrozumiéć jego kaprysy; wytrzymałą na nędzę i miłość, jak inne są nieustraszone w noszeniu zbytku, w popisywaniu się bezczułością. Uśmiech, błąkający się na ustach Gilletty, złocił to poddasze i rywalizował ze świetnością nieba. Słońce nie zawsze świeciło, a ona była tam zawsze, skupiona w swojéj namiętności, przywiązana do swego szczęścia, do swego cierpienia, pocieszająca gieniusz, który przelewał się w miłość, za nim ogarnął sztukę.

— Słuchaj, Gilletto, pójdź!

Posłuszna i wesoła dziewczyna skoczyła na kolana malarza. Wszystko w niéj było wdziękiem, wszystko pięknością; śliczna jak wiosna, zdobna we wszelkie bogactwa kobiece i oświecająca je ogniem pięknéj duszy.

— O, Boże! — zawołał — nigdy nie odważę się jéj powiedzieć...

— Tajemnica? — przerwała — muszę ją znać!

Poussin zadumał się.

— Mów-że!

— Gilletto! biedne serce lube!

— Och! chcesz czegoś ode mnie!

— Tak.

— Jeżeli życzysz sobie, abym pozowała przed tobą, jak któregoś dnia — podjęła z wyrazem zadąsania — to nie zgodzę się na to

nigdy, gdyż w takich razach twoje oczy nic mi nie mówią. Nie myślisz wcale o mnie, chociaż patrzysz na mnie.

— Wolałażbyś widzieć, że kopiuję inną kobietę?

— Może — odpowiedziała — jeżeliby była całkiem brzydką.

— A więc — przerwał Poussin tonem poważnym — gdyby dla mojéj sławy przyszłéj, gdyby dla zrobienia ze mnie wielkiego malarza trzeba było pójść pozować do innego?

— Chcesz mnie wypróbować — rzekła. — Wiesz dobrze, że nie pójdę.

Poussin pochylił głowę na piersi jak człowiek, który ugina się pod brzemieniem radości lub boleści, za silnéj na jego duszę.

— Słuchaj — mówiła, ciągnąc Poussina za rękaw żupana wytartego — powiedziałam ci, Miku, że oddałabym życie za ciebie; ale nie przyrzekałam ci nigdy, pókim żywa, że wyrzeknę się swojéj miłości.

— Wyrzec się? — zawołał Poussin.

— Gdybym się pokazała tak innemu, nie kochałbyś mnie już. Ja sama uważałabym się za niegodną ciebie. Być posłuszną twoim kaprysom, czyż to nie jest rzeczą naturalną i prostą? Wbrew sobie samej czuję się szczęśliwą i dumną z tego, że spełniam twoję wolę. Ale dla innego! coż znowu!

— Przebacz mi, Gilletto — rzekł malarz, rzucając się na kolana. — Wolę być kochanym, aniżeli sławnym. Dla mnie jesteś piękniejszą, aniżeli majątek i zaszczyty. Weź, rzuć pędzle, spal moje szkice. Omyliłem się. Moje powołanie, to kochać cię. Nie jestem wcale malarzem, ale zakochanym. Niech zginie sztuka i wszystkie jéj tajemnice!

Ona, szczęśliwa, oczarowana, uwielbiała go. Panowała, czuła instynktownie, że sztuki będą zapomniane dla niéj i rzucone jéj pod nogi, jak ziarnko kadzidła.

— A tymczasem to starzec — podjął Poussin. — Widziałby w tobie kobietę tylko, a ty jesteś tak doskonała!

— Trzeba bardzo kochać! — zawołała, gotowa poświęcić swoje względy miłości, ażeby wynagrodzić kochanka za wszystkie poświęcenia, jakie dla niéj zrobił. — Ale — ciągnęła daléj — zgubiłabym się przez to. Ach! zgubić się dla ciebie! Tak, to piękne! ale ty zapomnisz o mnie... O! jakże zła myśl przyszła ci tam!

— Przyszła, a jednak kocham cię! — zawołał z rodzajem skruchy. — Ale czyż jestem nikczemnikiem?

— Poradźmy się ojca Hardouin — rzekła.

— O, nie! niech to zostanie w tajemnicy pomiędzy nami dwojgiem.

— A więc pójdę, ale nie bądź tam — powiedziała. — Zostań

przy drzwiach, uzbrojony w sztylet; jeżeli krzyknę, wejdź i zabij malarza.

Nie widząc już nic poza sztuką, Poussin ściskał Gillettę w swoich ramionach.

— Nie kocha mnie już — pomyślała Gilletta, kiedy została samą.

Żałowała już swego postanowienia. Ale wkrótce zaczęło ją dręczyć przerażenie okrutniejsze, niż jéj żal, i starała się odpędzić od siebie myśl straszną, która powstała w jéj głowie. Zdawało się jéj, że już kocha mniéj malarza, uważając go za mniéj godnego szacunku, aniżeli przedtém.

II.

Katarzyna Lescaut.

W trzy miesiące po spotkaniu się Poussina i Porbusa, ten ostatni przyszedł odwiedzić Frenhofera. Starcem miotało wówczas jedno z tych zwątpień głębokich i spontanicznych, którego przyczyna, jeżeli trzeba wierzyć matematykom medycyny, leży w trawieniu złém, w wietrze, gorącu lub w jakiém zbrzęknięciu hipochondryi, a według spirytualistów — w niedoskonałości naszéj natury moralnéj. Poczciwina czysto i poprostu zmęczył się przekończaniem swojego obrazu tajemniczego. Siedział jak gdyby omdlały w szerokiém krześle z dębu rzeźbionego, wybitém czarną skórą, i, nie zmieniając postawy melancholijnéj, rzucił na Porbusa spojrzenie człowieka, który osiedlił się w swojém zmartwieniu.

— I cóż, mistrzu — spytał Porbus — czy ultramaryna, po którą jeździłeś do Brygi, okazała się złą? Czy nie umiałeś rozetrzéć naszéj nowéj białéj farby? A może olej jest lichy lub pędzle twarde?

— Niestety! — zawołał starzec — zdawało mi się przez chwilę, że moje dzieło jest skończone, ale z pewnością omyliłem się w kilku szczegółach, i nie uspokoję się prędzéj, aż rozświetlę wątpliwości. Gotuję się do podróży i chcę pojechać do Turcyi, do Grecyi, do Azyi, ażeby tam poszukać modelu i porównać mój obraz z różnemi naturami. A może też mam na górze — rzekł, zdradzając się, z uśmiechem zadowolnienia — naturę samę. Niekiedy przejmuje

mnie rodzaj strachu, ażeby jakie tchnienie nie zbudziło téj kobiety i ażeby nie znikła.

Potém wstał nagle, jak gdyby chciał odjeżdżać.

— Och! och! — odpowiedział Porbus — przychodzę w sam czas, ażeby panu oszczędzić kosztów i trudów podróży.

— Jakto? — spytał Frenhofer zdziwiony.

— Młodego Poussina kocha kobieta, któréj nieporównana piękność jest bez żadnego zarzutu. Ale, mój drogi mistrzu, jeżeli zgodzi się pożyczyć ci jéj, to przynajmniéj potrzeba będzie pokazać nam swoje płótno.

Starzec stał prosto, nieruchomy, w stanie ogłupienia zupełnego.

— Jakto! — zawołał wreszcie z boleścią — pokazać moje stworzenie, moję małżonkę? rozedrzéć zasłonę, pod którą w czystości kryłem swoje szczęście? Ależ to byłaby straszna prostytucya! Od dziesięciu już lat żyję z tą kobietą; ona należy do mnie, do mnie tylko; ona mnie kocha. Czyż nie uśmiechała się do mnie za każdém pociągnięciem pędzla, którym się jéj dotykałem? Ona ma duszę, duszę, jaką ją obdarzyłem. Zaczerwieniłaby się, gdyby inne oczy, nie moje zatrzymały się na niéj. Pokazać! ale gdzież jest mąż, kochanek tak nikczemny, ażeby chciał poprowadzić swoję kobietę na bezcześć? Kiedy robisz obraz dla dworu, nie wkładasz weń całéj swojéj duszy; sprzedajesz kurtyzankom manekiny kolorowane tylko. Mój obraz nie jest obrazem, ale uczuciem, ale namiętnością! Urodzona w mojéj pracowni, musi pozostać w niéj dziewicą i wyjść stamtąd może tylko okryta. Poezya i kobiety pokazują się nago tylko swoim kochankom! Czyż posiadamy model Rafaela, Angielikę Aryosta, Beatriczę Dantego? Nie! widzimy tylko ich kształty. Tak! dzieło, które trzymam na górze pod kluczem, jest wyjątkiem w naszéj sztuce. To nie płótno, to kobieta! kobieta, z którą płaczę, śmieję się, rozmawiam i myślę. Chcesz, ażebym nagle opuścił szczęście dziesięciu lat, jak się rzuca płaszcz; ażebym nagle przestał być ojcem, kochankiem i bogiem! Ta kobieta nie jest utworem, ale stworzeniem. Jeżeli przyjdzie twój młodzieniec, dam mu swoje skarby, obrazy Corregia, Michała-Anioła, Tycyana, będę całował ślady jego stóp w piasku; ale wyrobić sobie rywala? niech hańba spadnie na mnie! Cha! cha! więcéj jeszcze jestem kochankiem, aniżeli malarzem. Tak, będę miał dość siły spalić moję piękną Orzeszarkę w ostatniéj chwili życia, ale zmuszać ją do wytrzymania wzroku człowieka, młodego człowieka, malarza? nie! nie! Zabiłbym nazajutrz tego, ktoby ją zbrukał swojém spojrzeniem! Zabiłbym ciebie w téj chwili, ciebie, przyjaciela, gdybyś jéj nie powitał na kolanach! I ty chcesz teraz, ażebym wystawił swoje bożyszcze na zimne spojrzenia i na głupie krytyki osłów? Ach!

miłość jest tajemnicą, żyje ona tylko na dnie serc i wszystko jest stracone, kiedy człowiek mówi choćby do swojego przyjaciela: „Oto ta, którą kocham!“

Zdawało się, że starzec napowrót odmłodniał; w jego oczach był blask i życie, jego policzki blade mieniły się żywym, czerwonym kolorem, a ręce mu się trzęsły. Porbus, zdziwiony gwałtownością namiętną, z jaką te słowa były mówione, nie wiedział, co odpowiedzieć na uczucie, zarówno nowe, jak głębokie. Czy Frenhofer był przy zdrowych zmysłach, czy też waryatem? Czy znajdował się pod władzą fantazyi artysty, czy też myśli, jakie wyraził, pochodziły od tego fanatyzmu niewytłomaczonego, a wywołanego w nas przez długie rodzenie wielkiego dzieła? Czy można więc było mieć nadzieję wejścia w układy z tą namiętnością dziwaczną?

Szarpany temi wszystkiemi myślami, Porbus rzekł do starca:

— Ale czyż to nie kobieta za kobietę? Czy Poussin nie wystawia swojéj kochanki na pańskie spojrzenia?

— Co za kochankę? — odpowiedział Frenhofer. — Ona go zdradzi prędzéj lub późniéj. Moja będzie mi zawsze wierną!

— A więc — odparł Porbus — nie mówmy już o tém. Ale zanim się znajdzie, choćby nawet w Azyi, kobieta równie piękna, równie doskonała, jak ta, o któréj mówię, umrzesz pan może, nie dokończywszy obrazu.

— Och! już skończony — rzekł Frenhofer. — Ktoby go widział, myślałby, że spostrzega kobietę, leżącą na łóżku z aksamitu, pod kotarami. Obok niéj trójnóg złoty wyziewa zapachy. Skusiłbyś się wziąć za kutas od sznurów, podtrzymujących kotary, i zdawałoby ci się, że widzisz łono *Katarzyny Lescaut*, pięknéj kurtyzanki, zwanéj *Piękną Orzeszarką*, jak zdradza ruch jéj oddechu. A jednak chciałbym być pewnym...

— Jedź więc do Azyi — odpowiedział Porbus, spostrzegając rodzaj wahania się w spojrzeniu Frenhofera.

I Porbus postąpił kilka kroków ku drzwiom sali.

W téj chwili Gilletta i Mikołaj Poussin podeszli byli pod mieszkanie Frenhofera. Kiedy młoda dziewczyna miała już wejść, puściła ramię malarza i cofnęła się, jak gdyby ją tknęło nagłe jakieś przeczucie.

— Ale pocóż ja tu przyszłam? — spytała kochanka z dźwiękiem głosu głębokim i patrząc na niego okiem nieruchomém.

— Gilletto, pozwoliłem ci być panią saméj siebie i chcę słuchać cię we wszystkiém. Jesteś mojém sumieniem i moją sławą. Powróć do mieszkania; będę szczęśliwszym może, aniżeli gdybyś...

— Czyż należę do siebie, kiedy mówisz do mnie w ten sposób? Och! nie! jestem dziecko, nic więcéj. Niech tam! — dodała, zdo-

bywając się, jak się zdawało, na wysiłek gwałtowny — jeżeli nasza miłość zginie i jeżeli wpuszczę do swego serca długi żal, to czyż twoja sława nie będzie zapłatą za to, żem była posłuszną twoim życzeniom? Wejdźmy. Być ciągle jak gdyby wspomnieniem na twojéj palecie, to także żyć jeszcze!

I otwierając drzwi domu, oboje kochankowie spotkali się z Porbusem, który, zdumiony pięknością Gilletty, mającéj wtedy oczy pełne łez, schwycił ją drżącą i przywiódł przed starca, mówiąc:

— Patrz! czyż nie warta wszystkich arcydzieł świata?

Frenhofer zadrżał. Gilletta była tam, w naiwnéj i prostéj postawie młodéj Gieorgianki, niewinnéj i trwożliwéj, jakby porwana i przedstawiona przez rozbójników jakiemuś handlarzowi niewolników. Wstydliwa krasa barwiła jéj twarz, spuszczała oczy, ręce miała zwieszone po obu stronach; zdawało się, że siły ją opuszczają, a łzy protestowały przeciwko gwałtowi, godzącemu na jéj wstydliwość. W téj chwili Poussin, w rozpaczy, że wyprowadził ten piękny skarb z poddasza, złorzeczył samemu sobie. Stał się więcéj kochankiem, niż artystą, i tysiące skrupułów zawirowało mu w sercu, kiedy zobaczył oko odmłodzone starca, który, przez przyzwyczajenie malarza, rozbierał, jeżeli tak wyrazić się można, tę młodą dziewczynę, odgadując kształty najtajniejsze. Wówczas napadła nań okrutna zazdrość prawdziwéj miłości.

— Gilletto, uchodźmy! — zawołał.

Na ten akcent, na ten krzyk wesoła kochanka podniosła oczy na niego, zobaczyła go i pobiegła w jego ramiona.

— Ach! więc mnie kochasz! — podjęła, wybuchając łzami.

Pierwéj miała energią przemilczéć cierpienia, teraz zbrakło jéj sił do ukrycia szczęścia.

— Och! zostaw mi ją pan na chwilę — odezwał się starzec — a porównasz z nią moję Katarzynę. Tak, zgadzam się na to.

Jeszcze była miłość w krzyku Frenhofera. Zdawało się, że był zalotny dla swojéj podobizny-kobiety i że cieszył się zawczasu ze zwycięstwa, jakie piękność jego dziewicy odniesie nad pięknością prawdziwéj młodéj dziewczyny.

— Nie pozwól mu cofnąć słowa — zawołał Porbus, uderzając po ramieniu Poussina. — Owoce miłości przechodzą prędko, a sztuki piękne są nieśmiertelne.

— Czyż dla niego — odpowiedziała Gilletta, patrząc uważnie na Poussina i Porbusa — nie jestem czémś więcéj, niż kobietą?

Podniosła głowę dumnie, lecz kiedy, rzuciwszy spojrzenie iskrzące się na Frenhofera, zobaczyła, że jéj kochanek zapatrzył się znowu na portret, który kiedyś był wziął za Giorgiona, zawołała:

— Ha! chodźmy na górę! Nigdy tak na mnie nie patrzył!

— Starcze! — podjął Poussin, wyrwany z zamyślenia głosem Gilletty — widzisz tę szpadę? Utopię ją w twém sercu na pierwszy wyraz skargi, jaki wymówi ta młoda dziewczyna, podłożę ogień pod twój dom i nikt z niego nie wyjdzie. Rozumiesz?

Mikołaj Poussin stał się ponury, a jego mowa była straszną. Ta postawa, a zwłaszcza wyraz młodego malarza pocieszyły Gillettę, która mu przebaczyła prawie zato, że ją poświęcił dla malarstwa i swojéj chwalebnéj przyszłości. Porbus i Poussin zostali przy drzwiach pracowni, spoglądając jeden na drugiego w milczeniu. Jeżeli z początku malarz Maryi Egipcyanki pozwolił sobie kilku wykrzykнień: „Ach! rozbiera się... On jéj powiedział, żeby stanęła w świetle! Porównywa ją!“ — to wkrótce zamilkł na widok Poussina, którego twarz powlekła się głębokim smutkiem, i jakkolwiek starzy malarze nie mają już skrupułów tak małych wobec sztuki, to jednak uwielbiał je, gdyż były tak naiwne i ładne. Młody człowiek trzymał rękę na klindze sztyletu, a ucho miał prawie przylepione do drzwi. Obydwa, stojąc w cieniu, podobni byli do dwu spiskowców, oczekujących godziny uderzenia na tyrana.

— Wejdźcie! wejdźcie! — zawołał na nich starzec, promieniejący szczęściem. — Moje dzieło jest doskonałe i teraz mogę je pokazać z dumą. Nigdy malarz, pędzle, farby, płótno i światło nie stworzą rywalki Katarzynie Lescaut, pięknéj kurtyzance!

Porbus i Poussin, miotani żywą ciekawością, wbiegli na środek obszernéj pracowni, zasłanéj kurzem, gdzie wszystko było w nieładzie, gdzie zobaczyli tu i owdzie obrazy zawieszone na ścianach. Zatrzymali się najprzód przed postacią kobiety wielkości naturalnéj, nawpół nagiéj, dla któréj zostali przejęci uwielbieniem.

— Och! nie zajmujcie się tém — rzekł Frenhofer — jest to płótno, które zamazałem dla wystudyowania pewnéj pozy; ten obraz nic nie wart. Oto moje błędy — podjął, wskazując na zachwycające kompozycye, rozwieszone na ścianach naokoło nich.

Na te słowa Porbus i Poussin, zdumieni lekceważeniem takich dzieł, zaczęli szukać portretu zapowiedzianego, lecz nie udało im się go dopatrzyć.

— A więc ten! — rzekł do nich starzec, którego włosy były w nieładzie, którego twarz była rozpłomienioną uniesieniem nadnaturalném, którego oczy iskrzyły się, a który dyszał jak młody człowiek, pijany miłością. — Ach! ach! — wykrzyknął — nie spodziewaliście się tyle doskonałości! Jesteście przed kobietą i szukacie obrazu. Tyle jest głębi w tém płótnie, powietrze tak jest tam prawdziwe, że nie możecie odróżnić go od powietrza, które nas otacza. Gdzie sztuka? zagubiona, rozpierzchnięta! Wszakże-to kształty nawet młodéj dziewczyny. Czyż nie dobrze uchwyciłem kolor, ży-

cie linii, która określa, jak się zdaje, ciało? Czyż to nie to samo zjawisko, jakie nam przedstawiają przedmioty, znajdujące się w atmosferze, jak ryby w wodzie? Podziwiajcie, jak kontury odrzynają się od tła! Czyż się nie zdaje, że możnaby przesunąć rękę po tych plecach? To też przez siedem lat studyowałem efekty zespalania się światła dziennego z przedmiotami. A te włosy! czyż światło ich nie oblewa?.. Ale ona odetchnęła, zdaje mi się!.. To łono! widzicie! Ach! któżby nie chciał uwielbiać jéj na kolanach? Ciało drga. Wstanie, poczekajcie!

— Czy widzisz pan co? — spytał Poussin Porbusa.

— Nic. A pan?

— Nic.

Obydwaj malarze pozostawili starca w ekstazie i patrzyli, czy światło, padając wprost z góry na płótno, jakie im pokazał, nie neutralizowało wszystkich tych efektów. Badali wówczas obraz, stając z prawéj strony, z lewéj, z przodu, schylając się i podnosząc kolejno.

— Tak, tak, to płótno jednak — mówił do nich Frenhofer, myląc się co do celu tego badania szczegółowego. — Patrzcie! oto blejtram, stalugi, wreszcie moje farby, moje pędzle.

I schwycił w rękę pędzel, który im przedstawił z ruchem naiwnym.

— Stary rajtar żartuje sobie z nas — rzekł Poussin, powracając przed rzekomy obraz. — Nie widzę tam nic, tylko farby bezładnie nagromadzone i ujęte w mnóstwo linij dziwacznych, które tworzą mur malarstwa.

— My się mylimy. Widzisz pan!.. — podjął Porbus.

Przybliżając się, spostrzegli w rogu płótna kawałek stopy nagiéj, która wychodziła z tego chaosu farb, tonów, półcieniów, z tego rodzaju mgły bez kształtu; ale była-to stopa rozkoszna, stopa żywa. Skamienieli z uwielbienia przed tym fragmentem, który uszedł losu niepodobnego do wiary, powolnego i stopniowego zniszczenia. Ta stopa zjawiła się tam jak tors jakiéjś Wenus z marmuru paryjskiego, który przechował się pomiędzy zgliszczami miasta spalonego.

— Jest tam kobieta pod spodem — zawołał Porbus, zwracając uwagę Poussina na warstwy farb, które stary malarz kładł kolejno jedne na drugich, sądząc, że udoskonala swój obraz.

Obydwaj malarze odwrócili się mimowolnie do Frenhofera, zaczynając tłómaczyć sobie, aczkolwiek niejasno, ekstazę, w jakiéj żył.

— On-to robił w dobréj wierze — rzekł Porbus.

— Tak, mój przyjacielu — odpowiedział starzec, budząc się — trzeba mieć wiarę, wiarę w sztukę i żyć długo ze swojém dziełem, ażeby wydać podobny utwór. Niektóre z tych cieni kosztowały

mnie wiele pracy. Widzicie, na policzku, poniżéj oczu znajduje się cień, który, jeżeli będziecie go obserwowali w naturze, wyda się wam niepodobnym do wyrażenia. I cóż? myślicie może, iż ten efekt nie kosztował mnie trudów niesłychanych, zanim go oddałem? Lecz przytém, mój drogi Porbusie, patrz uważnie na moję pracę, a zrozumiesz lepiéj to, co ci mówiłem o sposobie traktowania modelacyi i konturów. Przypatrz się światłu na piersi i zobacz, jak przez ciąg dotknięć i *rzutów* farby silnie naoliwionéj udało mi się zawiesić prawdziwe światło i skombinować je z białością błyszczącą tonów świetlnych, i jak przez robotę przeciwną, ścierając wydatności i ziarnistość farby, zdołałem, wciąż pieszcząc kontur mojéj postaci, utopiony w półcieniu, usunąć ideję nawet rysunku i środków sztucznych i nadać mu pozór okrągłości natury saméj. Przybliżcie się, będziecie widzieli lepiéj robotę. Zdaleka znika. Czekajcie! tu, zdaje mi się, jest bardzo wyraźna.

I końcem pędzla wskazał obydwu malarzom farbę koloru jasnego.

Porbus uderzył starca po ramieniu i, zwracając się do Poussina, rzekł:

— Czy pan wiesz, że widzimy w nim bardzo wielkiego malarza?

— Więcéj jeszcze poetę, aniżeli malarza — odpowiedział poważnie Poussin.

— Tam — podjął Porbus, dotykając płótna — kończy się nasza sztuka na ziemi.

— I stąd idzie zagubić się w niebiosach — rzekł Poussin.

— Ileż-to rozkoszy na tym kawałku płótna! — zawołał Porbus.

Starzec, zamyślony, nie słuchał ich i uśmiechał się do téj kobiety urojonéj.

— Lecz prędzéj czy późniéj spostrzeże się, że niéma nic na tém płótnie — odezwał się Poussin.

— Nic na mojém płótnie! — krzyknął Frenhofer, patrząc kolejno na obu malarzy i swój rzekomy obraz.

— Coś pan zrobił? — odpowiedział Porbus Poussinowi.

Starzec schwycił silnie młodego człowieka za ramię i rzekł:

— Ty nie widzisz nic, rataju! gburze! urwisie! sodomczyku! Pocożeś tu przyszedł? Mój dobry Porbusie — podjął, zwracając się do tego malarza — miałżebyś i ty także żartować sobie ze mnie? odpowiedz! Jestem twoim przyjacielem, mów, czym nie popsuł obrazu?

Porbus, niezdecydowany, nie śmiał nic powiedzieć, lecz niepokój, malujący się na białéj twarzy starca, był tak okrutny, że wskazał na płótno, mowiąc:

— Widzisz pan!

Frenhofer wpatrzył się w obraz przez chwilę i zachwiał się.

#179 46.

— Nic! nic! I pracowałem przez dziesięć lat!

Usiadł i płakał.

— Jestem więc głupcem, waryatem! nie mam ani talentu, ani zdolnosci! Jestem jedynie człowiekiem bogatym, który, chodząc, tyle tylko robi, że chodzi! Miałżebym więc nic nie stworzyć?

Wpatrywał się w obraz poprzez mgły, następnie podniosł się nagle z dumą i rzucił na obudwu malarzy spojrzenie zaiskrzone.

— Na krew na ciało, na głowę Chrystusa, jesteście ludźmi zazdrosnemi, którzy chcą we mnie wmówić, że jest zepsuta, ażeby mi ją ukraść! Ja ją widzę! — krzyczał — ona jest cudownie piękną!

W téj chwili Poussin usłyszał płacz Gilletty zapomnianéj w kącie.

— Co tobie jest, mój aniele? — spytał jéj malarz, stając się napowrót kochankiem.

— Zabij mnie! — powiedziała. — Byłabym nikczemną, gdybym cię kochała jeszcze, gdyż pogardzam tobą. Uwielbiam cię, ale ty mnie zgrozą przejmujesz; kocham cię i zdaje mi się, że cię już nienawidzę!

Przez czas, kiedy Poussin słuchał Gilletty, Frenhofer nakrywał swoję Katarzynę szarszą zieloną z poważnym spokojem jubilera, który zamyka szufladę, będąc przekonanym, że jest w towarzystwie zręcznych oszustow. Rzucił na obudwu malarzy spojrzenie głęboko ponure, pełne pogardy i podejrzenia, wyprowadził ich w milczeniu za drzwi pracowni z pośpiechem konwulsyjnym i rzekł do nich z progu swojego mieszkania:

— Bądźcie zdrowi, moi kochani przyjaciele!

To pożegnanie lodem ścięło obydwu malarzy. Nazajutrz Porbus, niespokojny, przyszedł zobaczyć Frenhofera i dowiedział się, że ten umarł w nocy, spaliwszy wpierw swoje płótno.

Paryż, w lutym 1832 r.

KONIEC.

Nr 323919 LUBLIN

Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

II 323914

T. 7

1000084135